

Frederick Forsyth

## Weteran

(The Veteran)

Z angielskiego przełożyli:

Jacek Manicki

Arkadiusz Nakonieczni

Witold Nowakowski

Data wydania oryginalnego 2000

Data wydania polskiego 2001

Weteran

Dzień pierwszy: wtorek

Właściciel małego wielobranżowego sklepu na rogu widział wszystko, a przynajmniej tak twierdził. Układając towary na wystawie, w pewnej chwili podniósł wzrok i zobaczył tego mężczyznę po drugiej stronie ulicy. Mężczyzna był zupełnie niepozorny i sklepikarz z pewnością nie poświęciłby mu ani odrobiny uwagi, gdyby nie to, że tamten utykał.

Właściciel sklepu zeznał później, że poza tym na ulicy nie było nikogo.

Pod warstwą szarych chmur dzień był gorący i parny, powietrze lepilo się do ciał. Nie wiadomo czemu tak nazwana Paradise Way wyglądała równie obskurnie i beznadziejnie jak zawsze: handlowa ulica w sercu jednego z upstrzonych graffiti, umęczonych, wycieńczonych przestępczością osiedli szpecących krajobraz między Leyton, Edmonton, Dalston i Tottenham.

Trzydzieści lat wcześniej, podczas uroczystej ceremonii otwarcia, Meadowdene Grove nazywano „nowym, wzorcowym osiedlem domów komunalnych dla klasy pracującej”, już sama nazwa była jednak grubym nieporozumieniem: miejsce to nie miało nic wspólnego z łąką ani parowem, ostatni zagajnik wycięto zaś w tych okolicach jeszcze w średniowieczu \*.[\* Meadow - łąka; dene - parów; grove - zagajnik (przyp. tłum.).] W rzeczywistości osiedle przypominało betonowy gułag, powstało dzięki uchwale komunizującej rady miejskiej, a zaprojektowali je architekci mieszkający w przytulnych jednorodzinnych domkach z dala od miast.

Upadek Meadowdene Grove przebiegał w iście oszałamiającym tempie, którego mógłby pozazdrościć niejeden kamień. W roku 1996 labirynt przejść, pasaży i bram łączących budynki cuchnął i wyglądał jak kloaka; życie pojawiało się tam wyłącznie nocami, kiedy gangi miejscowej bezrobotnej (i niezdatnej do jakiegokolwiek pracy) młodzieży przeczesywały teren w poszukiwaniu handlarzy narkotyków, by odebrać od nich haracz. Dawni robotnicy, a obecnie emeryci, kurczowo trzymający się przebrzmiałych zasad i niegdysiejszej moralności, żyli za zabarykadowanymi drzwiami w śmiertelnym lęku przed grasującymi wokół stadami wilków. Między sześciopiętrowymi budynkami z

zewnątrznymi klatkami schodowymi znajdowały się splachetki czegoś, co dawno temu miało być trawnikami, a gdzie obecnie wały się zardzewiałe skorupy skanibalizowanych samochodów. Wewnętrzne alejki krzyżowały się na dziedzińcach, które w zamyśle miały stanowić miejsca spotkań i odpoczynku, po czym biegły dalej, do Paradise Way. Główny handlowy deptak niegdyś kipiał życiem, potem jednak sklepy stopniowo zamykano, w miarę jak ich właścicielom przykrzyła się walka z drobnymi kradzieżami, poważnymi włamaniami, wandalizmem i rasistowskimi ekscesami. Ponad połowa była już zamknięta na głucho, te zaś, które pozostały, miały szyby wystawowe ukryte za gęstymi metalowymi siatkami.

Pan Veejay Patel wciąż trwał na swym posterunku na rogu. Do Wielkiej Brytanii przybył w wieku dziesięciu lat z rodzicami uciekającymi przed prześladowaniami reżimu Idiego Amina. Wielka Brytania udzieliła im schronienia. Był jej za to ogromnie wdzięczny. Wciąż kochał swą przybraną ojczyznę, przestrzegał prawa, starał się być dobrym obywatelem i coraz bardziej dziwił się charakterystycznemu dla lat dziewięćdziesiątych upadkowi obyczajów.

Na tym terenie, zwanym przez londyńską policję Kwadratem Północno-Wschodnim, nikt obcy nie mógł czuć się bezpiecznie. Utykający mężczyzna był obcy.

Od narożnika dzieliło go jeszcze zaledwie piętnaście jardów, kiedy z wąskiej betonowej alejki między dwoma nieczynnymi sklepami wyłoniły się dwie postaci i zagroziły mu drogę. Pan Patel znieruchomiał przy oknie. Dwaj młodzi ludzie bardzo się różnili, ale wyglądali równie groźnie. Doskonale znał oba typy. Jeden był pękaty, - z ogoloną na łyso głową i świńską twarzą. Nawet z odległości mniej więcej trzydziestu jardów pan Patel doskonale widział kolczyk połyskujący w jego lewym uchu. Ubrany był w bufiaste dzinsy i poplamioną bawełnianą koszulkę, nad szerokim skórzanym paskiem zwieszał się piwny kałdun. Stał jak głaz przed utykającym mężczyzną, który, chcąc nie chcąc, musiał się zatrzymać.

Drugi był szczuplejszy, w jasnych drelichowych spodniach i zapinanej na suwak szarej wiatrówce. Proste przetłuszczzone włosy sięgały mu poniżej uszu. Ten zajął pozycję za plecami ofiary.

Pękaty zacisnął pięść i zbliżył ją do twarzy mężczyzny. Pan Patel zauważył metaliczny błysk na palcach. Widział, że pękaty porusza ustami, ale nie słyszał, co mówi do obcego. Wystarczyłoby, żeby utykający mężczyzna oddał napastnikom portfel, zegarek i cokolwiek jeszcze cennego miał przy sobie. Przy odrobinie szczęścia miałby szansę wyjść z tego bez nawet jednego draśnięcia.

Wybrał jednak znacznie gorsze rozwiązanie. Napastnicy przewyższali go przecież liczebnością i siłą. Sądząc po siwych włosach, nie był już młodzieniaszkiem, na dodatek zaś miał niesprawną nogę, a jednak postanowił walczyć.

Cios, który zadał prawą ręką, był tak szybki, że pan Patel z trudem go dostrzegł.

Mężczyzna zatoczył szeroki łuk ramieniem i pochylił się do przodu, by zwiększyć siłę uderzenia. W chwili kiedy pięść zetknęła się z nosem pękatego, rozległ się wrzask, który dotarł do uszu pana Patela nawet przez grubą, kilkuwarstwową szybę witryny jego sklepu.

Pękaty zasłonił twarz rękami i zatoczył się wstecz. Spomiędzy jego palców pociekła strużka krwi. Podczas składania zeznań sklepikarz musiał w tym momencie przerwać i zastanowić się, by dokładnie odtworzyć przebieg kolejnych wydarzeń. Tłustowłosy zadał od tyłu mocny cios w nerki, po czym kopnął mężczyznę w zgięcie kolana zdrowej nogi. To wystarczyło, by ofiara osunęła się na chodnik.

W Meadowdene Grove nosiło się albo sportowe pantofle (żeby szybko się poruszać), albo wojskowe buciorzy (żeby mocno kopać). Obaj napastnicy mieli na nogach wojskowe buciorzy. Człowiek na chodniku zwinął się w kłębek, chroniąc najbardziej wrażliwe części ciała, ale w konfrontacji z dwoma parami ciężko obutych stóp nie miał żadnych szans - tym bardziej że pękaty skoncentrował się na głowie.

W sumie, zdaniem sklepikarza, napastnicy zadali około dwudziestu kopnięć, może nawet więcej, zanim ofiara wreszcie znieruchomiała. Wówczas tłustowłosy pochylił się i sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki mężczyzny.

Pan Patel widział, jak wyciąga stamtąd portfel, a zaraz potem obaj napastnicy odwrócili się i zniknęli w betonowej alejce między sklepami. Pękaty zadarł koszulkę i przyciskał jej skraj do krwawiącego nosa. Sklepikarz natychmiast pobiegł za kontuar, podniósł słuchawkę i wystukał 999. Ponieważ telefonistka nie chciała przyjąć anonimowego zgłoszenia, musiał podać nazwisko i adres. Jak tylko formalnościom stało się zadość, poprosił o przysłanie policji i karetki pogotowia, po czym odłożył słuchawkę i wrócił na posterunek obserwacyjny przy oknie wystawowym. Mężczyzna wciąż leżał bez ruchu na chodniku. Nikt się nim nie zajmował. W takiej okolicy ludzie starają się nie wtrącać w nie swoje sprawy. Pan Patel naturalnie udzieliłby rannemu pomocy, gdyby miał na ten temat jakiegokolwiek pojęcie. Bał się, że postępując niewłaściwie, wyrządzi ofierze jeszcze większą krzywdę. Bał się też o swój sklep i o to, że napastnicy być może wrócą, więc tylko stał i czekał.

Jako pierwszy, w niespełna cztery minuty po wezwaniu, zjawił się radiowóz. Przypadek sprawił, że dwaj funkcjonariusze akurat przejeżdżali prawie pół mili od miejsca zdarzenia, w dodatku zaś obaj dobrze znali okolicę, ponieważ tu właśnie zostali skierowani podczas wiosennych zamieszek rasowych.

Jak tylko samochód zatrzymał się z piskiem opon i ucichło zawodzenie syreny, jeden policjant wysiadł i podbiegł do nieruchomego człowieka, drugi zaś połączył się przez radio z centralą, aby upewnić się, czy karetka jest w drodze. Pan Patel widział, jak obaj funkcjonariusze spoglądają w kierunku jego sklepu, lecz żaden z nich nie przeszedł na drugą stronę ulicy, by potwierdzić, że właśnie stąd telefonowano po pomoc. To mogło poczekać. Zaraz potem zza rogu, z włączoną syreną i migającymi światłami, wyjechała karetka. Na Paradise Way pojawili się też pierwsi gapie, lecz wszyscy trzymali się z daleka. Później policja usiłowała nakłonić ich do złożenia zeznań, ale bezskutecznie: w Meadowdene Grove wszyscy cenią sobie rozrywkę, nikt jednak nie spieszy się, by pomagać policji.

W karetce byli dwaj sanitariusze, doskonale wyszkoleni i doświadczeni. Dla nich, podobnie jak dla policji, przepisy są przepisami i trzeba ich skrupulatnie przestrzegać. - Chyba dostał parę kopniaków - powiedział policjant, który przyklęknął przy ofierze. - Nie wygląda najlepiej.

Sanitariusze skinęli głowami, po czym wzięli się do pracy. Ponieważ nie stwierdzili zewnętrznego krwotoku, najważniejszym zadaniem stało się unieruchomienie karku. Ofiary wypadków często przyplącały śmiercią interwencje niedouczone ratowników, którzy nieświadomie doprowadzali do nieodwracalnego uszkodzenia rdzenia kręgowego. W tym wypadku o niczym takim nie mogło być mowy, ponieważ sprawne ręce błyskawicznie założyły ofierze pólsztywny kołnierz.

Następnie ułożono go na podkładce usztywniającej zarówno kark, jak i kręgosłup, i dopiero wtedy znalazł się na noszach, a chwilę później w karetce. Sanitariusze działali sprawnie i fachowo; zaledwie pięć minut po dotarciu na miejsce byli już gotowi do odjazdu.

- Zabiorę się z wami - powiedział policjant, który jako pierwszy znalazł się przy ofierze. - Może będzie chciał złożyć zeznanie.

Zawodowcy ze służb ratowniczych doskonale wiedzą, kto się czym zajmuje i dlaczego. Pozwala to zaoszczędzić mnóstwo czasu. Jeden z sanitariuszy skinął głową. Karetka to był jego teren i on tu rządził, ale policja też miała swoją robotę do wykonania. Zdawał sobie jednak doskonale sprawę, iż szansa na to, że ofiara wypowie choćby jedno sensowne słowo, jest znikoma, burknął więc:

- Dobra, ale nie przeszkadzaj. Marnie z nim.

Policjant zajął miejsce z przodu kabiny, tuż przy przepierzeniu. Kierowca zatrzasnął tylne drzwi, pobiegł na swoje miejsce, drugi sanitariusz pochylił się nad nieprzytomnym mężczyzną. Dwie sekundy później karetka ruszyła z przeraźliwym wyciem syreny, minęła gapiów zgromadzonych na Paradise Way i skręciła w zatłoczoną High Road. Policjant trzymał się uchwyty i obserwował przy pracy profesjonalistę z nieco innej branży.

Drogi oddechowe, przede wszystkim udrożeń drogi oddechowe! Korek z krwi i śluzu w tchawicy może zabić człowieka równie szybko i skutecznie jak pocisk karabinowy. Za pomocą małej pompki sanitariusz usunął niewielką ilość śluzu i odrobinę krwi. Drogi oddechowe wolne, oddech płytki, ale stabilny. Na wszelki wypadek sanitariusz założył rannemu na opuchniętą twarz maskę tlenową. Ta szybko powiększająca się opuchlizna bardzo go niepokoiła. Zbyt dobrze znał ten objaw. Puls: regularny, lecz niezbyt szybki, jeszcze jedna oznaka ewentualnego uszkodzenia mózgu. W piętnastopunktowej „skali śpiączkowej” piętnaście punktów oznacza całkowitą przytomność, trzy - głęboką śpiączkę. Dwa i jeden to śmierć. Pacjent kwalifikował się na jedenaście punktów, z tendencją spadkową.

- Do Królewskiego! - zawołał, przekrzykując zawodzenie syreny. - Niech szykują zespół neuro!

Kierowca skinął głową, przejechał pod prąd przez ruchliwe skrzyżowanie, po czym skręcił w kierunku Whitechapel. Szpital Królewski przy Whitechapel Road pełnił stały dyżur neurochirurgiczny; kilka dodatkowych minut straconych na dojazd mogło później okazać się zbawienne w skutkach.

Kierowca podał centrali swoją dokładną pozycję, szacunkowy czas przybycia do szpitala oraz przekazał prośbę o przygotowanie zespołu operacyjnego.

Sanitariusz miał rację. Jednym z objawów poważnego uszkodzenia mózgu, szczególnie w wyniku pobicia, jest błyskawiczne puchnięcie tkanki miękkiej twarzy i głowy, która w

krótkim czasie przybiera monstrualne, wręcz karykaturalne rozmiary. Twarz rannego zaczęła puchnąć jeszcze wtedy, kiedy leżał na chodniku; w chwili gdy karetka zajechała przed wejście do Szpitala Królewskiego, jego głowa wyglądała jak futbolówka. Otworzyły się drzwi, nosze wyjechały z karetki, nieprzytomny mężczyzna znalazł się pod opieką zespołu urazowego. Trzema lekarzami, w tym jednym anesteziologiem, i trzema pielęgniarkami dowodził Carl Bateman. Otoczyli nosze, przenieśli pacjenta (wciąż z usztywnionym karkiem i kręgosłupem) na szpitalne i zabrali go.

- A moja deska i kołnierz?! - zawołał sanitariusz, ale nikt go nie usłyszał. Wszystko wskazywało na to, że będzie musiał odebrać je nazajutrz.

Z karetki wygramolił się policjant.

- Którędy poszli?

- Tędy. - Sanitariusz wskazał mu drogę. - Tylko nie przeszkadzaj.

Funkcjonariusz skinął głową i wszedł przez uchylne drzwi, wciąż licząc na zeznanie.

Zamiast niego usłyszał polecenie pielęgniarki:

- Proszę tu usiąść i czekać.

Tymczasem na Paradise Way działo się mnóstwo rzeczy. Dowodzenie objął inspektor z posterunku przy Dover Street, w tej okolicy zwanego „puszką przy Dover”. Miejsce zdarzenia odgrodzono pasiąstą taśmą, kilkunastu policjantów przeczesywało najbliższy teren, szczególną uwagę poświęcając sklepom wzdłuż ulicy i wznoszącym się nad nimi sześciu piętrom mieszkań. Najbardziej interesowały ich budynki po przeciwnej stronie ulicy, istniało bowiem spore prawdopodobieństwo, iż ktoś z mieszkańców widział cały przebieg wydarzeń. Niestety, niewiele udało im się osiągnąć: reakcje potencjalnych świadków wahały się między autentycznym zażenowaniem a oślim uporem i nieskrywanym szyderstwem. Funkcjonariusze uparcie próbowali dalej.

Inspektor bardzo szybko poprosił o przysłanie kolegi z wydziału kryminalnego, gdyż nie ulegało wątpliwości, że szykuje się praca dla detektywów. W „puszce przy Dover” detektyw Jack Burns musiał zostawić w kantynie niedopitą herbatę oraz samotnego nadinspektora Alana Parfitta, by przejąć sprawę rozboju przy Paradise Way. Co prawda protestował, że to niemożliwe, bo przecież zajmuje się już kilkoma kradzieżami samochodów i ucieczką z miejsca wypadku, nazajutrz zaś ma stawić się na rozprawie w sądzie, ale niewiele mu to dało. Za mało ludzi, tyle usłyszał w odpowiedzi na swoje żale. Cholerny sierpień, mamrotał wściekle pod nosem, wychodząc z posterunku.

Na miejscu przestępstwa zjawiał się wraz ze swym partnerem, detektywem Luke'em Skinnerem, mniej więcej w tym samym czasie co Zespół Zabezpieczania Śladów.

Członkowie tych zespołów nie mają łatwego życia: w roboczych kombinezonach i gumowych rękawiczkach przeszukują miejsca popełnienia przestępstw w poszukiwaniu wszystkiego, co może mieć wartość dowodową. Ponieważ na pierwszy rzut oka dość trudno ustalić, co taką wartość będzie miało, co zaś nie, z zasady zgarnia się wszystko, co wpadnie w ręce, i pakuje się w torebki. Zadanie stwierdzenia, co to jest i czy na cokolwiek się przyda, odkłada się na później. W pracy tej trzeba niekiedy łązić na czworakach w niezbyt przyjemnych miejscach. Osiedle Meadowdene Grove z pewnością się do nich zaliczało.

- Brakuje portfela, Jack - powiedział inspektor, który zdążył już porozmawiać z panem Patelem. - A jeden z napastników ma rozbity nos. Próbował powstrzymać krwotok bawełnianą koszulką. Niewykluczone, że krew kapłała na ziemię.

Burns skinął głową. Podczas gdy członkowie Zespołu Zabezpieczenia Siadów penetrowali na czworakach i w kucki cuchnące zakamarki, mundurowi policjanci zaś bezskutecznie szukali świadków, Jack Burns udał się do sklepu pana Veejay a Petela.

- Detektyw Burns - przedstawił się, prezentując odznakę - a to mój współpracownik, detektyw sierżant Skinner. Rozumiem, że to pan wezwał pomoc?

Jack Burns pochodził z Devon, w londyńskiej policji pracował od trzech lat, przez cały czas w „puszce przy Dover”. W rodzinnych stronach przywykł do tego, że obywatele chętnie i ze wszystkich sił pomagają stróżom porządku publicznego; po przenosinach do stolicy doznał więc potwornego szoku. Pan Patel stanowił dla niego nie lada zaskoczenie, przypomniał mu bowiem o starych, dobrych czasach na prowincji. Nie dość, że naprawdę chciał pomóc, to jeszcze starał się zeznawać jasno, precyzyjnie i szczegółowo. Dokładnie opowiedział, co widział, i opisał sprawców. Jack Burns zapalał do niego autentyczną sympatią. Gdyby we wszystkich sprawach występowali tacy świadkowie jak Veejay Patel z Entebe i Edmonton! Nad Meadowdene Grove zapadał już zmierzch, kiedy właściciel sklepu złożył podpis pod spisanyymi przez Skinnera zeznaniami.

- Chciałbym, żeby pojechał pan z nami na posterunek i rzucił okiem na kilka zdjęć - powiedział Burns. - Może uda się panu rozpoznać któregoś z napastników. Ogromnie ułatwiłoby nam pracę, gdybyśmy od początku wiedzieli, kogo szukać.

Pan Patel strasznie się zakłopotał.

- Bardzo proszę, nie dzisiaj! Jestem sam w sklepie, zamykam dopiero o dziesiątej. Ale jutro wraca mój brat. Był na wakacjach, rozumiecie panowie: sierpień. Mógłbym przyjść rano.

Dziesiąta trzydzieści w sądzie, przypomniał sobie Burns. Cóż, będzie musiał zostawić to Skinnerowi.

- W takim razie o jedenastej? Wie pan, gdzie jest komisariat przy Dover Street? Proszę powiedzieć, że jest pan ze mną umówiony.

- Mało jest takich jak on - zauważył Skinner, kiedy wracali do samochodu.

- Podoba mi się - odparł Burns. - Kiedy złapiemy tych drani, chyba uda nam się zapuszkować ich na dłużej.

W drodze powrotnej na posterunek Burns dowiedział się przez radio, dokąd zabrano ofiarę i kto jej pilnuje. Pięć minut później połączył się z funkcjonariuszem.

- Całe ubranie, łącznie z zawartością kieszeni i wszystkim, co miał przy sobie, trzeba zapakować w torby i dostarczyć do komisariatu. No i oczywiście dokumenty. Wciąż nie wiemy, jak się nazywa. Kiedy wszystko będzie gotowe, dajcie znać, to przyślemy kogoś, żeby was zmienił.

Carla Batemana nie obchodziło ani nazwisko i adres człowieka na noszach, ani to, kto potraktował go w tak bezwzględny sposób. Batemana interesowało tylko jedno: utrzymać go przy życiu. Z izby przyjęć nosze pojechały prosto na salę reanimacyjną. Bateman był

pewien, że ofiara doznała bardzo licznych obrażeń, ale zasady były proste: najpierw te bezpośrednio zagrażające życiu, reszta potem.

Na początek drogi oddechowe. Sanitariusz wykonał dobrą robotę. Pomimo lekkiego charkotu, drogi oddechowe były wolne, a kark prawidłowo usztywniony.

Kolejna sprawa to oddech. Bateman polecił rozciąć pacjentowi koszulę na piersi, po czym dokładnie zbadał go stetoskopem. Przy okazji stwierdził złamanie kilku żeber, lecz uszkodzenia te, podobnie jak zmiażdżone palce lewej ręki i powybijane zęby, nie zagrażały bezpośrednio życiu. Pacjent oddychał w miarę regularnie - gdyby było inaczej, wszelkie inne uszkodzenia ciała, rzecz jasna, przestałyby mieć jakiegokolwiek znaczenie. Niepokojący był natomiast puls, który uderzał już ponad sto razy na minutę. Mogło to świadczyć o poważnych obrażeniach wewnętrznych.

Krażenie. W ciągu niespełna minuty założono dwa wenflony; jeden posłużył do pobrania dwudziestu mililitrów krwi do analizy, do drugiego podłączono kroplówkę.

Stan ogólny. Sprawy nie miały się najlepiej: twarz i głowa wyglądały tak, jakby nie należały do istoty ludzkiej, wskaźnik skali śpiączkowej osiągnął sześć i ciągle spadał.

Wszystko wskazywało na poważny uraz mózgu; Carl Bateman po raz kolejny pomyślał z uznaniem o sanitariuszu, który podjął decyzję o przewiezieniu pacjenta właśnie do tego szpitala. Zadzwoił na oddział tomografii komputerowej i uprzedził, że za pięć minut zjawi się tam pacjent w ciężkim stanie, następnie zaś połączył się ze swoim kolegą, neurochirurgiem Paulem Willisem.

- Podejrzewam duży krwiak śródczaszkowy - powiedział. - Spadł już do piątki i ciągle idzie w dół.

- Dajcie mi go, jak tylko będzie gotowy wydruk z tomografu - odparł neurochirurg.

Mężczyzna miał na sobie buty i skarpetki, bieliznę, koszulę, spodnie z paskiem, marynarkę i cienki płaszcz przeciwdeszczowy. Poniżej pasa nie było żadnych problemów: wszystko po prostu ściągnięto. Aby uniknąć ryzyka uszkodzenia kręgosłupa, płaszcz, marynarka i koszula zostały rozcięte. Następnie ubranie, łącznie z zawartością kieszeni, zapakowano w foliowe worki i przekazano uradowanemu funkcjonariuszowi, czekającemu w izbie przyjęć. Wkrótce potem zjawił się jego zmiennik, on zaś zawiózł zdobycz na Dover Street, do czekającego niecierpliwie Jacka Burnsa.

Badanie tomograficzne potwierdziło najgorsze podejrzenia Carla Batemana: krwotok do jamy czaszki. Ucisk krwi na mózg był już tak duży, iż lada chwila mógł okazać się śmiertelny albo spowodować nieodwracalne skutki.

O dwudziestej piętnastej pacjent trafił na stół operacyjny. Dzięki komputerowym wydrukowi doktor Willis miał doskonały przegląd sytuacji i mógł stosunkowo łatwo dotrzeć do rejonu zagrożenia.

Najpierw w czaszce wywiercono trzy małe otworki, które następnie połączono prostymi cięciami. Po usunięciu trójkątnego fragmentu kości usunięto krew powodującą ucisk na mózg oraz podwiązano uszkodzone naczynia krwionośne. Tkanka mózgowa ponownie wypełniła przeznaczoną dla niej przestrzeń, brakujący fragment czaszki trafił z powrotem na miejsce, na skórę założono szwy, a całość spowito bandażami. Doktor Willis mógł mieć nadzieję, że nie spóźnił się z interwencją.

Ludzkie ciało to przedziwne urządzenie: może umrzeć od ukąszenia pszczoły, niekiedy zaś radzi sobie z rozległymi uszkodzeniami. Zdarza się, iż po usunięciu krwiaka pacjenci błyskawicznie odzyskują przytomność i w ciągu zaledwie kilku dni wracają do pełnej sprawności, o rokowaniach można jednak cokolwiek mówić dopiero po dwudziestu czterech godzinach, czyli po ustąpieniu działania środków znieczulających. Brak jakichkolwiek oznak poprawy na drugi dzień po operacji daje podstawy do niepokoju. Doktor Willis umył się, przebrał i pojechał do domu, do St. John's Wood.

- Niech to szlag trafi! - zaklął Jack Burns, spoglądając na leżące przed nim ubranie i rzeczy osobiste ofiary. Wśród tych ostatnich znajdowały się: w połowie pusta paczka papierosów, również opróżnione do połowy pudełko zapalek, trochę drobnych, brudna chusteczka oraz klucz na wstążce, najprawdopodobniej od mieszkania. Wszystko to wydobyto z kieszeni spodni. W marynarce niczego nie znaleziono. Dokumenty, i cokolwiek jeszcze mężczyzna miał przy sobie, musiały być w skradzionym portfelu.

- Schludny gość - zauważył Skinner. - Buty tandetne, ale wypastowane. Spodnie tanie i znoszone, ale świeżo wyprasowane, tak samo jak koszula, choć z przetartym kołnierzykiem i mankietami. Mimo że nie ma forsy, stara się jakoś wyglądać.

- Tylko trochę szkoda, że nie miał w tylnej kieszeni spodni karty kredytowej albo zaadresowanego do siebie listu - odparł Burns znad sterty formularzy, których wypełnianie stanowi zmorę współczesnych policjantów. - Tymczasem będę musiał wciągnąć go do ewidencji jako NDM.

Amerykanie używają określenia John Doe, londyńska policja zaś - Niezidentyfikowany Dorosły Mężczyzna. Kiedy dwaj detektywi wreszcie uporali się z papierkową robotą i stwierdzili, że mimo wszystko mają czas i ochotę na kufelek piwa, było jeszcze ciepło, ale zupełnie ciemno.

Jakaś milę od nich „Schludny gość” leżał na wznak na oddziale intensywnej opieki medycznej Szpitala Królewskiego. Oddech miał płytki, lecz regularny, puls zaś wciąż zbyt szybki.

John Burns pociągnął tęgi łyk piwa.

- Kto to może być, do cholery? - zapytał nie bardzo wiadomo kogo.

- Nie przejmuj się, szefuniu - odparł Luke Skinner. - Niedługo się dowiemy.

Nie miał racji.

Dzień drugi: środa

Dla detektywa Jacka Burnsa był to niezwykle pracowity dzień, który przyniósł dwa tryumfy, dwa rozczarowania oraz mnóstwo nowych pytań. Nic nadzwyczajnego. Bardzo rzadko zdarzają się przypadki elegancko zapakowane jak gwiazdkowy prezent i tylko czekające na to, by pociągnąć za wstążkę, zdjąć przykrywkę i zobaczyć, co jest w środku.

Pierwszym sukcesem okazał się pan Patel. Sklepiarz zjawił się punktualnie o jedenastej, tak samo chętny do współpracy jak minionego dnia.

- Pokażę panu kilka zdjęć - powiedział Burns, kiedy usiedli przed urządzeniem przypominającym duży telewizor.



W dawnych czasach Archiwum Zdjęciowe, zwane wśród funkcjonariuszy wydziału kryminalnego Galerią Piękności, zajmowało kilkanaście opastych albumów. Burns z nostalgią wspominał te czasy, ponieważ świadkowie mogli wówczas wertować albumy, wielokrotnie wracając do „podejrzanych” zdjęć, zanim dokonali ostatecznego wyboru. Teraz cały proces odbywał się elektronicznie i twarze pojawiały się na ekranie. Na pierwszy ogień poszły podobizny setki notowanych przez policję „twardzieli” z Kwadratu Północno-Wschodniego. Oczywiście ludzi takich było znacznie więcej, Burns jednak zaczął od bliskich znajomych policjantów z posterunku przy Dover Street.

Pan Veejay Patel okazał się świadkiem doskonałym.

- To ten - powiedział, kiedy na ekranie pojawiła się fotografia numer dwadzieścia osiem. Spoglądała na nich twarz stanowiąca połączenie głupoty i brutalności: niskie czoło, szeroki nos, kolczyk w uchu.

- Jest pan pewien? Może widział go pan gdzieś indziej, na przykład w sklepie?

- Na pewno nie. To ten, który dostał w nos.

MARK PRICE - głosił podpis, obok zaś widniał numer identyfikacyjny. Nieco później, przy numerze siedemdziesiąt siedem, pan Patel uzyskał drugie trafienie: tym razem twarz była szczupła, pociągła, okolona przetłuszczonymi, opadającymi poniżej uszu włosami. Harry Cornish. Pan Patel również w tym wypadku nie miał najmniejszej wątpliwości. Żadna z pozostałych fotografii nie wzbudziła jego zainteresowania. Burns wyłączył monitor; wkrótce powinien uzyskać pełne informacje o obu zidentyfikowanych osobnikach.

- Kiedy ich odnajdziemy i aresztujemy, poproszę pana o ponowną identyfikację.

Sklepiarz skinął głową. Wciąż był pełen dobrych chęci. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Luke Skinner powiedział:

- Cholera, przydałoby się nam więcej takich jak on!

Czekając, aż komputer dostarczy informacje na temat Price'a i Cornisha, Jack Burns zajrzał do sąsiedniego pokoju. Człowiek, którego szukał, siedział za biurkiem i, rzecz jasna, wypełniał formularze.

- Charlie, masz chwilę czasu?

Charlie Coulter wciąż jeszcze miał stopień sierżanta, ale był starszy od Burnsa i pracował na posterunku przy Dover Street już od piętnastu lat. Wiedział wszystko o miejscowych rzezimieszkach.

- Tych dwóch? - parsknął. - To zwierzęta. Drobne i poważne kradzieże, włamania, rozboje, wybryki chuligańskie... Paru ludzi trafiło przez nich do szpitala. Obaj już siedzieli. Dlaczego pytasz?

- Bo tym razem niewiele brakowało, żeby kogoś zabili. Wczoraj napadli na ulicy na starszego gościa i skopali go do nieprzytomności. Masz ich adresy?

- Chyba musiałbym popytać - odparł Coulter. - Z tego, co słyszałem, ostatnio wynajmowali razem jakieś mieszkanie w okolicy High Road.

- A nie w Grove?

- Chyba nie. To raczej nie ich teren. Widocznie wybrali się na występy gościnne.

- Są w jakimś gangu?

- Nie, działają tylko we dwóch.

- Pedaly?

- Nic o tym nie wiem. Raczej nie. Cornish mógł pójść do pudła za gwałt, ale kobieta w ostatniej chwili odwołała zeznania. Przypuszczalnie Price ją nastraszył.

- Ćpają?

- Też nic nie wiem na ten temat, lecz chyba nie. Za to na pewno piją. Są specjalistami od burd w knajpach.

Zadzwoił telefon na biurku Coultera, więc Burns zostawił go samego. Po powrocie do swojego pokoju zastał gotowe wydruki komputerowe. Udał się więc do swojego szefa, Alana Parfitta, uzyskał od niego wszystkie niezbędne zgody i o 14.00 miał już w ręce dwa nakazy aresztowania, u boku zaś dwóch uzbrojonych mundurowych policjantów. Do zespołu dołączył Skinner i jeszcze sześciu funkcjonariuszy, w tym jeden z podręcznym taranem do drzwi.

Początek akcji wyznaczono na 15.00. Budynek był stary i skrofuliczny, przeznaczony w niedalekiej przyszłości do rozbiórki. Tymczasem ogrodzono go drewnianym płotem, odcięto wodę, gaz oraz elektryczność. Drzwi na klatkę schodową ustąpiły po jednym uderzeniu. Poszukiwani mieszkali na pierwszym piętrze, w dwupokojowym mieszkaniu, które nigdy nie prezentowało się zbyt dobrze, ale teraz prawie niczym nie różniło się od chlewu. Było puste. Umundurowani funkcjonariusze schowali broń, po czym przystąpiono do przeszukania.

Szukano wszystkiego i zarazem czegokolwiek: portfela ofiary, jego zawartości, ubrań i butów, w których dokonano napaści... Nikt nie zadawał sobie trudu, żeby być szczególnie delikatnym: jeśli w chwili wejścia policji mieszkanie wyglądało jak chlew, to po jej wyjściu wyglądało jak chlew, przez który przeszła trąba powietrzna. Udało się trafić tylko na jedno znalezisko: zakrwawioną bawełnianą koszulkę, zwiniętą i wciśniętą za zdewastowaną kanapę. Koszulka trafiła do foliowego worka, podobnie jak jeszcze kilka fragmentów ubioru. Jeżeli badanie laboratoryjne wykryłoby na nich mikrowłókna pochodzące z ubrania ofiary, świadczyłyby to o tym, że zaistniał fizyczny kontakt między utykającym mężczyzną a Price'em i Cornishem.

Podczas gdy pozostali członkowie zespołu byli zajęci przeszukiwaniem, Burns i Skinner rozmawiali z sąsiadami. Większość znała z widzenia poszukiwaną dwójkę, nikt nie powiedział o nich dobrego słowa - przede wszystkim ze względu na hałaśliwe pijackie powroty do domu późno w nocy lub nawet wczesnym ranem. Nikt też nie miał pojęcia, gdzie mogą się podziewać w to sierpniowe popołudnie.

Po powrocie na posterunek Jack Burns zasiadł przy telefonie. Poprosił o rozesłanie do wszystkich posterunków rysopisów obu mężczyzn, zadzwonił do doktora Carla Batemana z pytaniem o stan pacjenta, następnie zaś zaczął telefonować kolejno do wszystkich londyńskich szpitali, które poprzedniego dnia miały ostry dyżur. Oczekiwaną informację uzyskał od młodego lekarza ze Szpitala Królowej Anny.

- Mam go! - oznajmił z satysfakcją, odkładając słuchawkę, po czym odwrócił się do Skinnera. - Jedź do Królowej Anny, znajdź na izbie przyjęć doktora Melrose'a, spis zeznanie, pokaż mu zdjęcie Price'a. Aha, niech ci dadzą kserokopię wszystkich wczorajszych wpisów.

- A co się stało? - zapytał Skinner.

- Wczoraj zgłosił się człowiek z rozbitym nosem, odpowiadający rysopisowi Price'a. Doktor Melrose stwierdził złamanie w dwóch miejscach. Nasz przyjemniaczek ma teraz zabandażowaną twarz.

- Kiedy to było, szefie?

- Wczoraj, punktualnie o piątej po południu.

- A więc trzy godziny po napadzie... Myślę, że to może być nasz człowiek.

- Ja też tak myślę. Ruszaj.

Podczas nieobecności Skinnera do Burnsa zadzwonił sierżant z Zespołu Zabezpieczenia Śladów. Nie miał dobrych wiadomości: drobiazgowo poszukiwania prowadzone do samego zmroku nie dały żadnych interesujących rezultatów. Członkowie zespołu sprawdzili każdy zakamarek, zajrzeli do każdej studzienki ściekowej, obejrzelili każde źdźbło trawy i zajrzeli pod każdą obluzowaną płytę chodnikową. Opróżnili nawet wszystkie pięć okolicznych śmietników i szczegółowo sprawdzili ich zawartość. Efektem tych poszukiwań było kilkanaście zużytych prezerwatyw, brudnych strzykawek i zatłuszczonych opakowań po hamburgerach. Nie znaleziono ani śladów krwi, ani portfela.

Najwidoczniej Cornish wepchnął portfel do kieszeni, by później na spokojnie sprawdzić jego zawartość. Jeśli była tam gotówka, najprawdopodobniej już ją wydał, resztę zaś wyrzucił; niestety, nie uczynił tego na obszarze Meadowdene Grove. Mieszkał mniej więcej pół mili stamtąd; za duży obszar do przeszukania, za dużo śmietników, bocznych alejek i studzienek. Daj Boże, żeby portfel w dalszym ciągu tkwił w jego kieszeni. Gdyby tak było i gdyby znalazła go tam policja, ani Cornish, ani Price długo nie mieliby okazji zagrać ze sobą w mistrza intelektu.

Jeśli chodzi o Price'a, to prowizoryczny opatrunek z bawełnianej koszulki zahamował krwotok na tyle, że w bezpośredniej okolicy miejsca popełnienia przestępstwa na ziemię nie spadła ani jedna kropla krwi. Mimo to zeznania rewelacyjnego naocznego świadka oraz informacja ze Szpitala Królowej Anny o pacjencie ze złamanym nosem pozwalały z optymizmem patrzeć w przyszłość.

Rozmowa z doktorem Batemanem przyniosła lekkie rozczarowanie, za to kolejny telefon, od sierżanta Coultera, był wręcz wspaniały: Coulter skorzystał ze swoich licznych w rejonie „uszu” i dowiedział się, że Cornish i Price właśnie spędzają mile czas w sali bilardowej w Dalston.

Schodząc po schodach, Burns zobaczył wkraczającego na posterunek Skinnera. Wracał z zeznaniem doktora Melrose'a, który na przedstawionej mu fotografii rozpoznał swego wczorajszego pacjenta, oraz kserokopią wpisu do książki przyjęć - jak się okazało, Price podał prawdziwe dane. Burns polecił mu zanieść to wszystko do pokoju, a potem wracać do samochodu.

W chwili przyjazdu policji obaj łotrzykowie w najlepsze grali w bilard. Burns przeprowadził operację sprawnie i fachowo. Miał wsparcie w postaci sześciu umundurowanych funkcjonariuszy, którzy obstawili wszystkie wyjścia z lokalu. Pozostali gracze obserwowali przebieg wydarzeń z zainteresowaniem ludzi, którzy mogą sobie na nie pozwolić, ponieważ tym razem nie oni mają kłopoty, ale ktoś inny.

Price z wściekłością wpatrywał się w Burnsa świńskimi oczkami po dwóch stronach opatrunku na nosie.

- Mark Price. Aresztuję pana pod zarzutem czynnej napaści i poważnego uszkodzenia ciała niezidentyfikowanego człowieka. Czynu tego dopuścił się pan wczoraj około godziny czternastej dwadzieścia na Paradise Way w Edmonton. Nie musi pan odpowiadać na pytania, ale ostrzegam, że może pan sobie poważnie zaszkodzić, nie mówiąc teraz czegoś, na co później chciałby się pan powołać w sądzie. Jednocześnie wszystko, co pan powie, może być użyte przeciwko panu.

Price zerknął na Cornisha, który najwidoczniej w ich zespole był odpowiedzialny za wyższe funkcje mózgowe. Cornish lekko pokręcił głową.

- Spadaj, dupku! - wycedził Price.

Skutego kajdankami, wyprowadzono z sali. Dwie minuty później podążył za nim Cornish. Obu załadowano do furgonetki, razem z sześcioma policjantami, po czym mała kawalkada ruszyła w drogę powrotną do „puszki przy Dover”.

Procedury, przede wszystkim procedury! Jeszcze z samochodu Burns polecił jak najprędzej ściągnąć na posterunek policyjnego lekarza. Wolał się zabezpieczyć przed ewentualnym oskarżeniem, że to brutalność policji przyczyniła się do zmiany kształtu nosa aresztowanego. Poza tym potrzebował próbki krwi do analizy, by porównać ją z krwią na koszulce. Na posterunku czekała na niego odpowiedź w sprawie prawej ręki ofiary napaści - niestety nie taka, na jaką miał nadzieję.

Zapowiadała się długa noc. Do aresztowania doszło o 19.15. Oznaczało to, że Burns ma dwadzieścia cztery godziny do chwili, kiedy jego przełożeni dadzą mu dodatkowe dwanaście albo miejscowe władze dorzucą kolejne dwadzieścia cztery. Jako oficer, który dokonał aresztowania, musiał sporządzić szczegółowy protokół, uzyskać podpisy świadków oraz opinię policyjnego lekarza, stwierdzającą, że stan zdrowia obu zatrzymanych pozwala na to, by ich przesłuchać. Niezbędne były również próbki ubrań, zawartość kieszeni oraz próbki krwi.

Luke Skinner, czujny jak jastrząb, dopilnował, żeby żaden z zatrzymanych nie wyrzucił niczego z kieszeni podczas transportu i w drodze z policyjnej furgonetki na posterunek. Nikt jednak nie mógł zabronić Cornishowi oświadczenia kategorycznym tonem, że do chwili przydzielenia adwokata z urzędu nie zamierza odzywać się ani słowem.

Oświadczenie to było przeznaczone głównie dla Price'a, który bez wątplenia zrozumiał, że ma postępować tak samo jak jego kompan.

Formalności trwały ponad godzinę. Zapadał zmrok. Lekarz przyjechał i odjechał, pozostawiając opinię dotyczącą stanu zdrowia zatrzymanych. Ubrano ich w jednoczęściowe papierowe kombinezony i zamknięto w oddzielnych celach. Każdy dostał po kubku herbaty, później zaś mógł liczyć na posiłek z policyjnej kantyny. Wszystko zgodnie z przepisami. Zawsze zgodnie z przepisami.

Burns najpierw zajrzał do Price'a.

- Chcę prawnika - powiedział aresztant. - Bez niego nic nie będę gadał.

Cornish powtórzył to samo.

Tego dnia dyżurnym adwokatem z urzędu był Lou Slade. Chociaż oderwano go od kolacji, bez słowa protestu przyjechał na posterunek i spędził prawie dwie godziny w zamkniętym pomieszczeniu ze swymi nowymi klientami.

- Jeśli pan sobie życzy, inspektorze, może pan teraz przesłuchać ich w mojej obecności - oznajmił, kiedy narada dobiegła końca. - Uprowadzam jednak, że na tym etapie nie będą odpowiadać na żadne pytania. Kategorycznie zaprzeczają wszelkim oskarżeniom: twierdzą, że w chwili kiedy popełniano zarzucany im czyn, znajdowali się daleko od miejsca przestępstwa.

Slade był doświadczonym prawnikiem i wielokrotnie miewał już do czynienia z podobnymi sprawami. Nie wierzył w ani jedno słowo swoich klientów, ale starał się jak najlepiej wykonywać swój zawód.

- Jak pan sobie życzy - odparł Burns. - Powinien pan jednak wiedzieć, że sprawa jest doskonale udokumentowana i wciąż pojawiają się nowe dowody. Mogą się zaklinać, że ten człowiek potknął się i rozbił sobie głowę na chodniku, ale to i tak niewiele im pomoże. Biorąc pod uwagę ich dotychczasowe wyczyny, parę lat odsiadki mają jak w banku. Burns wiedział, że obdukcja wykazała liczne ślady kopnięć na ciele ofiary, a Slade wiedział o tym, że on wie.

- Oni i tak wszystkiemu zaprzeczają, inspektorze. Chciałbym, najszybciej jak się da, zobaczyć materiał dowodowy.

- Wszystko w swoim czasie, panie Slade. A ja z kolei chcę wiedzieć, na jakie alibi będą próbowali się powoływać. Zresztą, zna pan przepisy równie dobrze jak ja.

- Jak długo może ich pan trzymać?

- Do siódmej piętnaście jutro wieczorem. Dwanaście dodatkowych godzin od moich położonych to za mało, więc prawie na pewno jutro po południu wystąpię do sądu o zgodę na przedłużenie tymczasowego aresztowania.

- Nie będę zgłaszał sprzeciwu. - Slade nie zamierzał w bezsensowny sposób tracić czasu. Miał przecież do czynienia z bandziorami, którzy bez najmniejszego powodu skatowali Bogu ducha winnego człowieka. Sąd i tak bez mrugnięcia okiem pozwoliłby na przedłużenie tymczasowego aresztowania. - Przypuszczam, że mimo wszystko będzie chciał ich pan przesłuchać, chociaż uprzedziłem już, że niczego nie powiedzą?

- Obawiam się, że tak.

- W takim razie, ponieważ zapewne obaj chcielibyśmy choć trochę pomieszkać w naszych domach, czy mogę zaproponować dziewiątą rano?

Burns zgodził się i Slade pojechał do domu. Burns musiał przeprowadzić jeszcze jedną rozmowę telefoniczną. Połączywszy się ze Szpitalem Królewskim, poprosił do telefonu siostrę dyżurną z oddziału intensywnej opieki medycznej. Istniała przecież niewielka szansa, że ofiara napaści odzyskała przytomność.

Paul Willis również pracował do późnego wieczora. Po mężczyźnie pobitym w Meadowdene Grove operował jeszcze młodego motocyklistę, który na stromej ulicy, prowadzącej na Archway Hill, próbował chyba ustanowić światowy rekord prędkości pojazdów lądowych. Neurochirurg robił co w jego mocy, ale w głębi duszy dawał

młodemu człowiekowi najwyżej pięćdziesiąt procent szans na przeżycie. O telefonie Burnsa dowiedział się już po tym, jak pielęgniarka odłożyła słuchawkę. Minęły dwadzieścia cztery godziny od operacji, działanie narkozy powinno już ustąpić. Przed pójściem do domu lekarz zajrzał do pokoju, w którym leżał zoperowany pacjent. Żadnych zmian. Serce uderzało miarowo, lecz ciśnienie krwi wciąż było za wysokie. W skali śpiączkowej pacjent uzyskał zaledwie trzy punkty na piętnaście możliwych, co oznaczało, że był pogrążony w głębokiej śpiączce.

- Zaczekamy jeszcze trzydzieści sześć godzin - powiedział dyżurującej pielęgniarence. - Chciałem wyjechać na weekend, ale wpadnę w sobotę rano, chyba że wcześniej coś zmieni się na lepsze. Proszę mnie zawiadomić, jak tylko coś się będzie działo. Jeśli do soboty nie nastąpią żadne zmiany, trzeba będzie zrobić jeszcze jedno badanie tomograficzne.

Drugi dzień zakończył się głośnym chrapaniem Price'a i Cornisha w celach na posterunku przy Dover Street. Ich ofiara leżała w tym czasie na wznak, podłączona do czujników monitorujących funkcje życiowe, zamknięta we własnym, niedostępnym dla innych świecie.

Doktor Willis uwolnił się na jakiś czas od myśli o pacjentach i w swoim eleganckim domu przy St. John's Wood Terrace oglądał stary spaghetti western z Clintem Eastwoodem. Detektyw Skinner o mało nie spóźnił się na randkę z ładną studentką wydziału aktorskiego Hampstead School, którą przed miesiącem poznał w przerwie koncertu w filharmonii. Na posterunku przy Dover Street nikt nie wiedział o jego upodobaniach (jeśli chodzi o muzykę poważną, nie o kobiety).

Detektyw Jack Burns wrócił do pustego domu w Campden Town i przygotował sobie na kolację grzanki z fasolką. Nie mógł już się doczekać chwili, kiedy Jenny i chłopcy wrócą z wakacji w Salcombe, w jego rodzinnym Devon. Najchętniej zaraz wsiadłby do samochodu i pojechał do nich. Sierpień, pomyślał. Cholerny sierpień.

Dzień trzeci: czwartek

Przesłuchanie Price'a i Cornisha nie dało żadnych rezultatów. Nie było w tym winy Jacka Burnsa, który doskonale znał się na swojej robocie. Na pierwszy ogień wziął Price'a, jako twardszego z tej dwójki. W obecności milczącego Lou Slade'a spróbował najpierw łagodnej perswazji.

- Posłuchaj, Mark, mamy cię na widelcu. Jest naoczny świadek, który wszystko widział. Wszystko, od samego początku do końca. I będzie zeznawał.

Cisza.

Mój klient odmawia składania zeznań - przetłumaczył Slade.

- Ten człowiek walnął cię prosto w nos. Złamał ci kinol. Jak myślisz, dlaczego starszy, spokojny człowiek mógłby to zrobić?

Burns liczył na to, że Price wymamrocze jakieś „A bo ja wiem?”, albo „Durny staruch”, czy coś w tym rodzaju. Byłoby to pośrednie przyznanie się do tego, że był na miejscu zdarzenia. Niestety, jego oczekiwania spełzły na niczym; bandzior tylko wpatrywał się w niego nienawistnym spojrzeniem.

- Mamy też próbki twojej krwi, kolego. Tej, która pociekła ci z nosa. Nie przyznał się co prawda, że próbki pochodzą nie z chodnika tylko z bawełnianej koszulki, ale też nikt nie mógł mu zarzucić, że powiedział nieprawdę. Price spojrzął z przerażeniem na adwokata, który również wyraźnie się zaniepokoił. Slade doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, iż na chodniku w pobliżu miejsca rozboju znajdują się plamy krwi jego klienta, sprawa byłaby z góry przegrana i pozostałaby już tylko walka o zmianę kwalifikacji prawnej czynu oraz starania o podważenie wagi dowodów zebranych przez Burnsa, i to jeszcze na długo przed rozprawą. Pokręcił tylko nieznacznie głową na znak, żeby Price w dalszym ciągu trzymał gębę na kłódkę.

I tak właśnie się stało.

Burns poświęcił każdemu zatrzymanemu pół godziny, po czym zwinął żagle.

- Zamierzam wystąpić o zgodę na przedłużenie tymczasowego aresztowania - poinformował Slade'a, kiedy Price i Cornish wrócili do swoich cel. - Pasuje panu czwarta po południu?

Prawnik skinął głową. Oczywiście będzie przy tym, lecz nie powie ani słowa. Mijałoby się to z celem.

- Jutro zamierzam przeprowadzić dwie konfrontacje przy St. Anne's Road - ciągnął detektyw. - Jeśli uzyskam dwa pozytywne rezultaty, przedstawię formalne oskarżenie. Slade skinął głową i wyszedł. W drodze do biura myślał o tym, iż wedle wszelkiego prawdopodobieństwa niewiele zdoła pomóc swoim klientom. Burns był fachowcem wysokiej klasy: drobiazgowy i skrupulatny, nie popełniał głupich błędów, które potem można by wykorzystać. Co gorsza, on sam również nie miał najmniejszej wątpliwości co do winy obydwóch. Doskonale znał ich mało chlubną przeszłość, już jutro zaś miał poznać ją także sąd. Kimkolwiek był ów tajemniczy świadek, jeśli jego zeznania rzeczywiście obciążą Price'a i Cornisha, obaj będą mogli na długo pożegnać się z wolnością.

Przed laty konfrontacje przeprowadzano w komisariatach, potem jednak przeniesiono je do specjalnie przygotowanych mieszkań, usytuowanych w rozmaitych częściach miasta. Najbliższy taki lokal znajdował się przy St. Anne Road, zaledwie kilka kroków od szpitala, w którym pracował doktor Melrose i gdzie Price zgłosił się ze swoim złamanym nosem. Ten system był znacznie bardziej efektywny. Każdy lokal wyposażono w najnowsze zdobycze techniki, pozwalające na bezpieczną identyfikację przestępców przez świadków, bez narażania tych drugich na niebezpieczeństwo. W każdej chwili można tam było również wezwać kilkanaścioro statystów w różnym wieku i o różnym wyglądzie. Ochotnicy ci dostawali piętnaście funtów za to, żeby wejść do pokoju, postać chwilę w szeregu, a potem wyjść. Burns polecił zorganizować dwa seanse nazajutrz o jedenastej.

Dziennikarzami, do których Burns czuł głęboką awersję, miał się zająć Skinner. Robił to naprawdę dobrze. Był rzadko spotykanym zjawiskiem: policjant wykształcony w szkole publicznej, ze względu na swoje maniery stanowiący często obiekt żartów w kantine, niekiedy jednak bardzo przydatny.

Wydział Scotland Yardu, zajmujący się kontaktami z mediami, poprosił o krótką informację. Z całą pewnością nie była to sprawa z pierwszych stron gazet, ale oprócz czynnej napaści wchodził również w grę aspekt ustalenia tożsamości ofiary. Problem polegał na tym, że Skinner nie dysponował ani rysopisem, ani fotografią - na cóż bowiem zdałoby się zdjęcie przedstawiające ogromną, opuchniętą twarz o zdeformowanych rysach, okoloną zewsząd bandażami?

Należało więc zainteresować się wszystkimi, którzy w ostatni wtorek wyszli z domu w rejonie Tottenham/Edmonton i do tej pory nie powrócili i przynajmniej z grubsza odpowiadali następującemu opisowi: utykający mężczyzna w wieku od pięćdziesięciu do pięćdziesięciu pięciu lat, o siwych włosach, średniego wzrostu i średniej tuszy. Istniała niewielka szansa, że ze względu na sezon ogórkowy prasa wykaże choć odrobinę zainteresowania tą zagadką.

Jedna gazeta była stuprocentowym „pewniakiem” - miejscowy „Express”, szmatławiec obejmujący zasięgiem Edmonton i Tottenham, w związku z czym Luke Skinner umówił się na lunch ze znajomym dziennikarzem, który pilnie wszystko zanotował i obiecał zrobić, co będzie w jego mocy.

Sądy cywilne mogą sobie pozwolić na wakacyjną przerwę, w sądach zajmujących się sprawami kryminalnymi ruch trwa natomiast przez cały rok. Ponad dziewięćdziesiąt procent spraw tego rodzaju rozpatrują sądy pokoju, w związku z czym muszą pracować przez siedem dni w tygodniu i pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku. Znaczną część zadań wykonują w nich sędziowie, dla których jest to jedynie działalność społeczna: to do nich właśnie trafiają wszystkie drobne sprawy, takie jak wykroczenia drogowe, wnioski o zezwolenie na przeszukanie, niewielkie kradzieże i tym podobne. Zalicza się do nich również wnioski o przedłużenie tymczasowego aresztowania. W poważniejszych wypadkach decyzję pozostawia się jednak zawodowemu sędziemu.

Tego popołudnia w sali numer trzy sądu na Highbury Corner urzędowało trzech sędziów pokoju pod przewodnictwem Henry’ego Spellara, emerytowanego dyrektora szkoły. Sprawa była tak prosta i oczywista, że zajęła im zaledwie kilka sekund. Jak tylko dobiegła końca, Price i Cornish zostali odwiezieni z powrotem na Dover Street, Burns zaś zameldował się przed detektywem Parfittem.

- Jak leci, Jack? - zapytał szef wydziału kryminalnego.

- Marnie, proszę pana. Zaczęło się doskonale: od świadka, który widział całe zdarzenie od początku do końca. To właściciel sklepu po drugiej stronie ulicy. Porządny obywatel, chętny do współpracy z policją. Niestety brakuje mi portfela ofiary oraz wyników badań laboratoryjnych jednoznacznie łączących z nią Price’a i Cornisha. Jest tylko złamany nos Price’a i potwierdzony fakt, że zgłosił się z nim do ambulatorium trzy godziny po napadzie.

- Czyli czego ci trzeba?

- Portfela i wyników badań. Muszę zidentyfikować ofiarę i mieć stuprocentowe dowody winy tych dwóch typków.

- Zamierzasz przedstawić formalne oskarżenie?



- Owszem, jeśli jutro zidentyfikuje ich pan Patel. To nie może ujść im na sucho. Są winni jak diabli.

Alan Parfitt skinął głową.

- W porządku, Jack. Postaram się przycisnąć laborantów. Informuj mnie na bieżąco o rozwoju sytuacji.

W Szpitalu Królewskim zapadał zmrok, lecz człowiek leżący na oddziale intensywnej opieki medycznej nie zdawał sobie z tego sprawy. Od operacji upłynęło już czterdzieści osiem godzin; działanie narkozy dawno minęło, ale on nawet nie drgnął. Ciągłe przebywał we własnym, odległym świecie.

Dzień czwarty: piątek

Znajomy dziennikarz spisał się doskonale - obszerny artykuł ukazał się na pierwszej stronie pod intrygującym tytułem: TAJEMNICA UTYKAJĄCEGO MĘŻCZYZNY. Poniżej znajdował się szczegółowy opis napadu oraz informacja o dwóch mieszkańcach okolicy, „pomagających policji w śledztwie”. Stan ofiary określono jako „stabilny”; brzmi to uspokajająco, wszyscy jednak wiedzą, iż oznacza coś akurat przeciwnego. Dziennikarz dokładnie opisał mężczyznę, szczególny nacisk kładąc na siwe włosy i niedowład jednej nogi, zakończył zaś pytaniem: CZY KTOKOLWIEK ZNA TEGO CZŁOWIEKA? Detektyw Skinner uważnie przeczytał artykuł, jedząc śniadanie w kantynie. Właśnie na coś takiego liczył. Znalazło się nawet miejsce na dopisek drobnym drukiem, informujący o przedłużeniu tymczasowego aresztowania podejrzanych o kolejne dwadzieścia cztery godziny.

O jedenastej furgonetka zawiozła Price'a i Cornisha do policyjnego lokalu przy St. Anne's Road. Przeprowadzono dwie konfrontacje: w każdej uczestniczyli podejrzani oraz osiem osób o zbliżonej posturze i wyglądzie. Ze względu na stan, w jakim znajdował się nos Price'a, wszyscy mieli opatrunki na nosach.

Pan Patel nie miał wątpliwości. W ciągu dwudziestu minut dwukrotnie zidentyfikował obu sprawców, a następnie potwierdził, że przed sądem podtrzyma swoje wcześniejsze zeznania. Burns nie posiadał się z zadowolenia, tym bardziej że żaden z bandziorów nie widział świadka, żaden też nie miał na wolności koleżków, którzy mogliby go odszukać i próbować zastraszyć.

Odwieziono go do sklepu, ochotnicy dostali wypłatę i się rozeszli, Price i Cornish znaleźli się z powrotem w swoich celach. Kiedy jakiś czas później Burns i Skinner przyjechali na posterunek, żeby formalnie przedstawić zatrzymanym zarzuty, poprosił ich do siebie policjant dyżurny.

- Jack, był do ciebie telefon. - Zerknął do notesu. - Niejaka panna Armitage, kwiaciarka. Burns nieco się zdziwił, gdyż nie zamawiał żadnych kwiatów. Z drugiej strony, Jenny miała wrócić już w przyszłym tygodniu; ładny bukiet na pewno sprawiłby jej przyjemność. Dobry pomysł.

- Chodziło o jakiegoś utykającego mężczyznę - dodał sierżant.

Kobieta podała swój adres, więc Burns i Skinner natychmiast wrócili do samochodu.

Panny Armitage, dwie wiekowe siostry, prowadziły niewielką kwaciarnię przy Upper High Road. Połowa towaru znajdowała się w sklepie, połowa przed nim. Kwiaty wystawione przed sklepem musiały toczyć nierówną walkę z kłębami spalin, wydychanymi przez wielkie ciężarówki zmierzające na północ i południe.

- To mógł być on - powiedziała Verity Armitage. - Odpowiada rysopisowi. Mówi pan, że stało się to we wtorek rano?

Burns zapewnił ją, że tak.

- Kupił u nas kwiaty. Niezbyt drogie, a właściwie to prawie najtańsze. Sześć złocieni. Wystarczyło na niego spojrzeć, żeby się domyślić, że nie ma pieniędzy. A w gazecie napisali, że został ranny.

- I to poważnie. Nie może mówić, bo jest w śpiączce. Jak zapłacił?

- Gotówką.

- Bilonem? Wygrzebał drobne z kieszeni spodni?

- Nie, wyjął z portfela pięcioletni banknot. Zapamiętałam to, bo mu wypadł z ręki, a ja schyliłam się i podniosłam, ze względu na jego nogę.

- Jaki to był portfel?

- Taki plastikowy, czarny.

- Widziała pani, gdzie go schował?

- Do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Może mi pani pokazać, jak wyglądają te złocienie?

Na lunch wrócili do kantyny na posterunku. Burns nie ukrywał rozczarowania; po karcie kredytowej pozostałby wyraźny ślad - numer, nazwisko, a co za tym idzie, numer konta i adres. Cokolwiek. Ale gotówka...

- Co w sierpniowe popołudnie zrobiłbyś z bukietem złocieni? - zapytał Skinnera.

- Zaniósłbym dziewczynie. Albo matce.

Głęboko zamyśleni, siedzieli nad pustymi talerzami.

- Proszę pana...

Bojaźliwy głos dobiegł z drugiego końca długiego stołu. Siedziała tam bardzo młoda policjantka, świeżo po szkole.

- Tak?

- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł... Rozumiem, że panowie rozmawiali o tym utykającym mężczyźnie?

- Owszem. Przyda nam się każdy pomysł, szczególnie dobry. Czy ten pan jest dobry? Zarumieniła się po koniuszki uszu. Najmłodszy stażem, wiekiem i rangą funkcjonariusze bardzo rzadko wtrącają się do rozmowy detektywów.

- Kiedy na niego napadnięto, szedł w kierunku przystanku autobusowego. W przeciwną stronę, jakieś pięćset jardów od miejsca napadu, jest cmentarz...

- Czym się pani teraz zajmuje?

- Porządkuję kartotekę.

- To może zaczekać. Pojedzie pani z nami na cmentarz.

Jak zwykle, prowadził Skinner, policjantka zaś, która pochodziła z tej okolicy, wskazywała drogę. Duży komunalny cmentarz był mocno zaniedbany. Zaczęli od narożnika i systematycznie przeszukiwali alejkę za alejką.

Znalazła je dziewczyna. Oczywiście zdążyły już mocno przywiednąć, ale bez wątpienia były to złocienie, wstawione do słoika z mętną wodą. Napis na płycie informował, że w grobie spoczywają doczesne szczątki niejakiej Mavis June Hall. Oprócz tego znajdowały się tam daty urodzenia i śmierci oraz litery RIP. Kobieta nie żyła już od dwudziestu lat, umarła zaś w wieku siedemdziesięciu.

- Szefie, spójrz na datę urodzenia. W zeszły wtorek była rocznica.

- Ale kim ona dla niego była, u diabła?

- Może matką?

- Może. I może nasz człowiek nazywa się Hali.

Zabrali kwiaty i w drodze powrotnej zatrzymali się przy sklepie sióstr Armitage. Panna Verity była niemal pewna, że są to te same złocienie, które sprzedała utykającemu mężczyźnie. Jak tylko Skinner usiadł za swoim biurkiem przy Dover Street, zatelefonował do Wydziału Zaginięć. W kartotece figurowały trzy osoby o nazwisku Hali; niestety dwie były kobietami, a jedna dzieckiem.

- Przecież ten człowiek nie żył na Księżycu, ktoś musiał go znać! - pieklił się Burns. - Dlaczego nikt nie zgłosił zaginięcia?

Zapowiadająca się tak dobrze sprawa z każdą chwilą stawała się coraz bardziej beznadziejna.

Ładna i bystra policjantka wróciła do archiwum, Burns i Skinner udali się zaś do aresztu, gdzie oficjalnie poinformowali Price'a i Cornisha o przedstawieniu im zarzutów napaści, rabunku i poważnego uszkodzenia ciała. Kwadrans po trzeciej furgonetka z aresztantami i policjantami ponownie wyruszyła na Highbury Corner, ponieważ sekretarz sądu zdołał wcisnąć tę sprawę na sam koniec dnia roboczego. Dwaj przestępcy nie mieli już wrócić na Dover Street. Burns zamierzał złożyć wniosek o zamknięcie ich na tydzień w prawdziwym więzieniu, najlepiej w Pentonville.

Tym razem trafili do sali numer jeden, gdzie miejsce dla oskarżonych znajduje się niemal pośrodku pomieszczenia, sprawę zaś rozpatrywał doświadczony sędzia Jonathan Stein. Niemal równocześnie z policyjną furgonetką wiozącą Price'a i Cornisha zjawiała się więzienna, którą mieli odjechać do zakładu karnego. Lou Slade był już na miejscu. Wniosek o odesłanie do więzienia miał, w imieniu Prokuratury Królewskiej, złożyć młody prawnik.

W dawnych czasach policja nie tylko prowadziła śledztwo i zbierała materiał dowodowy, ale również przedstawiała go w sądzie, i sporo ludzi starej daty bardzo to sobie chwaliło. Od wielu lat jednak funkcję tę przejęła Prokuratura Królewska. Do jej zadań należy między innymi stwierdzenie, czy materiały przygotowane przez policję są wystarczająco przekonujące, żeby doprowadzić do skazania oskarżonego. W razie wątpliwości, sprawę wycofuje się z sądu. Niejeden wściekły detektyw, widząc, jak sprawa, nad którą w pocie czoła pracował przez wiele tygodni, jest skreślana jednym pociągnięciem pióra, miotał na tę instytucję najgorsze obelgi. Stwierdzenie, że policja i Prokuratura Królewska żyją ze sobą w zgodzie i przyjaźni, mocno mijałoby się z prawdą.

Problem z prokuraturą polega na tym, że jest niedofinansowana, nadmiernie rozbudowana i nędznie płaci. Jak się łatwo domyślić, w związku z tym bywa często traktowana wyłącznie jako przechowalnia dla młodych i niedoświadczonych prawników,

k którzy, jak tylko nadarzy im się sposobność, uciekają do ciekawszych i bardziej popłatnych zajęć.

Panna Prabani Sundaran, żrenica w oku pochodzących ze Sri Lanki rodziców, była bardzo bystra i bardzo ładna. I po raz pierwszy miała wystąpić przed prawdziwym sędzią w prawdziwej sprawie... Ale mimo to Burns nie spodziewał się żadnych problemów.

Wniosek o tymczasowe odesłanie aresztowanych do więzienia był jedynie formalnością. Biorąc pod uwagę kryminalną przeszłość Price'a i Cornisha, nie mogło być mowy o tym, by sędzia Stein zwolnił ich za kaucją. Oczywiście należało liczyć się z koniecznością wielokrotnego składania takiego wniosku, za każdym razem zgoda mogła bowiem być wyrażona jedynie na siedem dni. Potem, kiedy sprawą zajmie się już prokurator, panna Sundaran będzie miała okazję być jednym z jego asystentów, przygotowując akt oskarżenia na podstawie materiału dowodowego dostarczonego przez policję.

Tymczasem musiała tylko dopełnić formalności. Zawsze i wszędzie te formalności.

Na znak dany przez sędziego Steina panna Sundaran wstała i, korzystając z notatek, przedstawiła w skrócie sprawę. Kiedy skończyła, Slade również podniósł się z miejsca.

- Moi klienci zaprzeczają oskarżeniom i zamierzają udowodnić to podczas ewentualnej rozprawy - oświadczył.

- Domagamy się przedłużenia tymczasowego aresztowania o siedem dni.

- Co pan na to, panie Slade?

Sędzia chciał wiedzieć, czy adwokat zaproponuje zwolnienie za kaucją, ale Slade pokręcił głową.

- Bardzo rozsądnie - powiedział Stein z suchym półuśmiechem. - Wyrażam zgodę na przedłużenie tymczasowego aresztowania o jeden tydzień i czasowe umieszczenie w więzieniu. Ewentualny kolejny wniosek w tej sprawie rozpatrzę w następny piątek przed południem.

Wszyscy obecni doskonale zdawali sobie sprawę, iż oznacza to tyle, że każdy następny wniosek o przedłużenie tymczasowego aresztowania będzie rozpatrywany pozytywnie aż do chwili, kiedy obie strony będą gotowe stanąć przed sądem.

Price i Cornish, w kajdankach i w otoczeniu więziennych strażników, pojechali do Pentonville, Lou Slade zaś wrócił do swego biura, wiedząc, że w poniedziałek rano otrzyma odpowiedź w sprawie przydzielenia jego klientom stałego obrońcy z urzędu. Nie dysponowali środkami finansowymi, które pozwoliłyby im samodzielnie zadbać o obronę, musieli więc zadowolić się tym, co było dostępne za darmo: młodymi, świeżo opierzonymi adwokatami, dopiero zdobywającymi doświadczenie, lub leciwymi, tuż przed emeryturą, którym zabrakło sprytu i talentu, żeby dorobić się czegoś sensownego podczas wieloletniej pracy, w związku z czym nie gardzili teraz nawet urzędowymi honorariami. Cóż, w tych brutalnych czasach zwykła napaść połączona z rozbojem i poważnym uszkodzeniem ciała z pewnością nie zainteresuje nikogo, kto zapragnąłby poświęcić się tej sprawie wyłącznie dla zawodowej sławy.

Jack Burns pojechał z powrotem na Dover Street. Na jego biurku piętrzył się stos papierów. Narobiło mu się trochę zaległości w pracy, a przecież na rozwiązanie czekało jeszcze kilka kwestii związanych ze sprawą napadu przy Paradise Way.

Dzień piąty: sobota

Zgodnie z obietnicą, doktor Paul Willis zjawiał się w szpitalu w sobotę o dziewiątej rano. Miał powody do niepokoju, ponieważ stan pacjenta nie uległ zmianie. Wkrótce trzymał w ręce wyniki powtórnego badania tomograficznego. Wynikało z niego jasno, że odpowiedzialnością za śpiączkę nie można obarczyć nowego tętniaka, gdyż taki na szczęście nie powstał. Mimo to ciśnienie wewnątrzczaszkowe oraz ciśnienie tętnicze krwi było zbyt wysokie. Willis zaczął się obawiać najgorszego, czyli poważnych uszkodzeń aksonalnych, niewykrywalnych żadnymi badaniami. Jeśli takie uszkodzenia wystąpiły w pniu mózgu lub korze mózgowej, pacjent mógł trwać miesiącami w stanie wegetatywnym, aż do naturalnej śmierci... lub odłączenia urządzeń podtrzymujących życie. Zaraz po weekendzie lekarz postanowił przeprowadzić szczegółowe badania pnia mózgu, tymczasem jednak spieszył się do czekającej w samochodzie żony, z którą właśnie wybierał się na przyjęcie w Oxfordshire. Obrzucił pacjenta jeszcze jednym spojrzeniem i wyszedł.

Nieprzyjaciele w wielkiej liczbie nadciągali z martwej strefy w pobliżu starego kamiennego fortu. Widział ich już kiedyś w tej paskudnej, potajemnej wojnie podczas rajdu z Oddziałem B, lecz wtedy byli tylko małąkimi pojedynczymi sylwetkami na tle odległych bladobrazowych wzgórz. Teraz te fanatyczne dranie przypuściły frontalny atak. Wszędzie było ich pełno.

Jego oddział Uczył zaledwie dziesięciu ludzi plus zbieranina około pięćdziesięciu policjantów, żandarmów i żołnierzy z poboru, niewyszkolonych i niedoświadczonych. Pod swoim dowództwem miał między innymi dwóch „Rupertów”, dwóch sierżantów, porucznika i pięciu szeregowców. Liczbę nieprzyjaciół szacował na co najmniej dwustu, a ze wszystkich stron wciąż nadciągali nowi.

Rozpłaszczony na dachu, przycisnął do ramienia kolbę karabinu ze snajperską lunetą i błyskawicznie rozprawił się z trzema nieprzyjaciółmi, zanim zdążyli się zorientować, skąd padają strzały. Nic dziwnego, w tym huku eksplodujących pocisków artyleryjskich...

Gdyby nie pojedynczy wystrzał godzinę wcześniej, kiedy rebelianci zajmowali posterunek Jebel Ali, byłoby już po nich. Kilka bezcennych minut pozwoliło im zająć pozycję, zanim pierwsza fala atakujących ruszyła ku ogrodzeniu z drutu kolczastego, ale i tak liczebna przewaga tamtych czyniła sytuację zupełnie beznadziejną.

W dole, na błotnistej ścieżce noszącej dumną nazwę Main Street, twarzą w dół leżało ciało czarnoskórego żołnierza. Kapitan Mike wciąż starał się jakoś pokonać czterystujardowy odcinek dzielący ich od stanowiska porucznika Labalaby, nieustraszonego Fidżyjczyka, prowadzącego ogień na wprost z przestarzałego dwudziestopięcifuntowego działa.

Po prawej stronie pojawiły się dwie głowy w zawojach, więc natychmiast posłał każdej kulkę. Po lewej od razu wyłoniły się kolejne. Uwaga nieprzyjaciół koncentrowała się na kapitanie wciąż pozostającym na odkrytym terenie. Opróżnił do końca magazynek, zabijając jednego i zmuszając dwóch pozostałych do ukrycia się.

Przeturlał się w bok, żeby zmienić magazynek, i w tej samej chwili, niemal tuż nad jego głową, z potwornym rykiem przemknęła rakietą z karola gustawa. Stopę niżej i zostałby z

niego rozmazany hamburger. Spod dachu, na którym leżał, dobiegał głos jego „Ruperta” domagającego się wsparcia Z powietrza, i pał licho niski pułap chmur! Już z nowym magazynkiem, dostrzegł dwóch nieprzyjaciół na otwartym terenie i sprzątnął ich obu, zanim zdążyli dobrać się do skóry kapitanowi Mike’owi. Chwilę później kapitan, wraz z sanitariuszem Tobinem, bezpiecznie dotarł do stanowiska działa.

Nie wiedział tego wtedy, ale miał się dowiedzieć później, że nieustraszony Labalaba został dwukrotnie trafiony w czoło, a Tobina śmiertelnie raniono zaraz po tym, jak opatrzył szeregowca Ti, który zarobił trzy postrzały, ale przeżył-Zupełnie przypadkowo zobaczył terrorystę, który mało nie rozwalił go na kawałki rakieta z karola gustawa; wycelował starannie i z chirurgiczną precyzją przebił mu szyję NATO-wskim pociskiem kalibru 7,62, z niklowo-miedzianym pancierzem. Karol gustaw umilkł, lecz ogłuszający huk moździerzy i używanego przez nieprzyjaciół bezodrzutowego działa kalibru 75 milimetrów trwał w dalszym ciągu.

Wreszcie od strony morza, na pułapie najwyżej stu stóp, nadleciały samoloty. Bomby i rakiety powietrze-ziemia odebrały nieprzyjacielowi ochotę do walki; atak najpierw osłabł, zaraz potem zupełnie się załamał i buntownicy rzucili się do ucieczki, zabierając ze sobą wszystkich rannych i większość zabitych. Później miało się okazać, iż jego oddział powstrzymał natarcie prawie czterystu ludzi, posyłając do raju niemal stu z nich. Leżąc wciąż płasko na dachu, roześmiał się w głos. Ciekawe, co by sobie teraz pomyślała ciotka May...

Nieprzytomny pacjent na oddziale intensywnej opieki medycznej Szpitala Królewskiego w Londynie wciąż przebywał bardzo, bardzo daleko.

Dzień szósty: niedziela

Jedną z największych, dość nieskomplikowanych przyjemności, na jakie od czasu do czasu pozwalał sobie Jack Burns, było niedzielne wylegiwanie się w łóżku. Tym razem nie było mu dane jej zaznać. O 7.15 zadzwonił telefon.

- Właśnie przyszedł pewien człowiek, który codziennie rano wychodzi na spacer z psem - powiedział dyżurny z posterunku przy Dover Street. Burns zaczął się zastanawiać, ile czasu zajęłoby mu uduszenie go, gdyby solidnie przyłożył się do roboty. - Przyniósł portfel. Pies znalazł go na kupie gruzu, jakieś pół mili od osiedla.

Burnsowi opadła szczęka.

- Czarny, z taniego plastiku?

- Widział go już pan? - zdziwił się dyżurny.

- Proszę zatrzymać tego człowieka! Niech nigdzie nie odchodzi! Będę za dwadzieścia minut.

Miłośnikiem spacerów z psem okazał się niejaki Robert Whittaker, zadbany i elegancki emeryt. Kiedy detektyw zjawił się na posterunku, pan Whittaker pił herbatę w jednym z pokojów przesłuchań. Złożywszy zeznania, podpisał je i poszedł, Burns natomiast wezwał Zespół Zabezpieczania Śladów i poprosił o dokładne przeszukanie terenu, na którym znaleziono portfel. Raport powinien być gotowy jeszcze przed wieczorem. Od

czterech dni nie padało, teraz jednak na niebie gromadziły się chmury, byłoby więc dobrze, żeby zdążyć przed deszczem.

Na koniec obejrzał portfel. Był trochę obśliniony i widniały na nim niewielkie wgłębienia po psich zębach. Ostrożnie chwycił go szczypcami i umieścił w foliowej torebce, następnie zaś zatelefonował do laboratorium. Tak, oczywiście wiem, że jest niedziela, ale to pilna sprawa.

Członkom zespołu udało się napełnić osiem wielkich worków różnymi rzeczami znalezionymi na stercie gruzów i w trawie wzdłuż Mandela Road. Badanie tych przedmiotów trwało do późnej nocy, żaden z nich jednak nie pochodził z czarnego plastikowego portfela.

Dzień siódmy: poniedziałek

Kulił się lękliwie w niemal zupełnej ciemności, rozjaśnianej jedynie przez samotną nocną lampkę w kącie sali, od której biegły ku sufitowi zagadkowe ruchliwe cienie. W sierocińcu słychać było oddechy pogrążonych we śnie chłopców, od czasu do czasu rozległ się jęk lub krzyk, nieomylna oznaka sennego koszmaru. Teraz, kiedy rodzice odeszli, nie miał pojęcia, co się z nim stanie, dokąd pójdzie. Wiedział tylko tyle, że jest samotny i przerażony w zupełnie obcym miejscu.

Chyba zdrzemnął się na chwilę, lecz ocknął się natychmiast, jak tylko otworzyły się drzwi, wpuszczając do sali wydłużony trapez elektrycznego światła z korytarza. Zaraz potem pochyliła się nad nim, delikatne ręce otuliły go kocem, odgarnęły z czoła kosmyk mokrych od potu włosów.

- Już dobrze, dobrze... Jeszcze nie śpisz? Śpij już, chłopcze. Bóg i Jego aniołowie zaopiekują się tobą aż do rana, kiedy przyjdzie ciotka May.

Ukojony łagodnymi słowami, bez lęku pogrążył się w mroku wiecznej nocy.

Dzwoniła dyżurna pielęgniarka z oddziału intensywnej opieki medycznej Szpitala Królewskiego. Burns zostawił numer swojego telefonu komórkowego na wypadek, gdyby wydarzyło się coś ważnego.

- Detektyw Burns? Z przykrością muszę pana zawiadomić, że pacjent, którym się pan interesował... ten niezidentyfikowany mężczyzna... zmarł dzisiaj o godzinie 6.10.

Jack Burns odłożył aparat. Sprawa o napaść i pobicie zamieniła się w sprawę o morderstwo. Była z tego przynajmniej taka korzyść, że wszyscy zaczęli jej poświęcać więcej uwagi. Będzie musiał wziąć udział w sekcji zwłok, a potem dostarczyć tych dwóch bydłaków z powrotem na Highbury Corner i przedstawić zmienione zarzuty.

Oznaczało to również konieczność zawiadomienia sekretariatu sądu oraz Lou Slade'a. Formalności, wciąż te formalności... Wszystkich jednak należało starannie dopełnić, aby uniknąć sytuacji, kiedy Price i Cornish musieliby zostać zwolnieni z powodu formalnych niedopatrzeń, wywleczonych na światło dzienne przez jakiegoś sprytnego prawnika.

Burns chciał mieć ich za kratkami przez wiele lat.

Szpital Królewski w Londynie ma własną kostnicę i oddział anatomopatologii. Tam właśnie w południe odbyła się sekcja zwłok. Przeprowadził ją policyjny anatomopatolog doktor Laurence Hamilton.

Burns uważał takich ludzi za dziwaków. Wykonywali pracę, która budziła jego najgłębszą odrazę. Niektórzy byli pogodnego usposobienia i sypali żartami jak z rękawa, tnąc, krojąc i zszywając leżące na metalowym stole zwłoki. Inni podchodzili do swego zajęcia bardziej profesjonalnie, niemal z chłopięcym entuzjazmem, niczym lepidopterolodzy badający nowe, nieznane nauce okazy motyli. Jeszcze inni nieodmiennie nosili ponure miny i odzywali się półsłówkami. Hamilton należał do pierwszego z wymienionych gatunków: życie było piękne, a praca cudowna.

Jack Burns już niejedną raz uczestniczył w sekcjach zwłok, a jednak woń eteru i formaliny jak zwykle sprawiła, że żołądek podszedł mu do gardła. Kiedy niewielka piła tarczowa zaczęła się wgrzyzać w czaszkę denata, odwrócił głowę i zapatrzył się na wiszące na ścianach tablice anatomiczne.

- Nieźle go załatwili - mruknął Hamilton, przyglądając się blademu, posiniaczonemu ciału.  
- Został skopany na śmierć w zeszły wtorek - poinformował Burns. - Tyle że umarł dopiero sześć dni później.

- Niestety moja diagnoza musi być trochę bardziej precyzyjna - odparł Hamilton pogodnym tonem. - „Skopany na śmierć” chyba nie wystarczy.

Przystąpił do pracy, dyktując swoje spostrzeżenia do mikrofonu trzymanego przez asystentkę, podążając za nim jak cień wokół stołu. Badanie zajęło niemal godzinę.

Uszkodzenia były bardzo rozległe, dodatkowo zaś Hamilton poświęcił sporo uwagi starej ranie - strzaskanemu przed wielu laty biodru i prawej kości udowej. Spięte stalowymi klamrami, stanowiły przyczynę, dla której mężczyzna utykał do końca życia.

- Zupełnie jakby wpadł pod ciężarówkę - stwierdził anatomopatolog. - Bardzo rozległe obrażenia.

Wskazał na blizny w miejscach, gdzie kości przebiły skórę, °raz na znacznie bardziej regularne blizny pooperacyjne. Cała reszta - a było tego sporo - pochodziła z ubiegłego wtorku: zmiażdżona lewa ręka, wybite zęby, trzy połamane żebra, złamana kość policzkowa. Burns uważnie przyjrzał się prawej ręce, lecz nie dostrzegł na niej śladów obrażeń. Carl Bateman miał rację. Dziwne.

- Przyczyna śmierci? - zapytał od niechcenia.

- Wszystko dokładnie opiszę w protokole. - Jasne. Anatomopatolog miał być jednym z głównych świadków oskarżenia na procesie. - Ale tak między nami, najprawdopodobniej w grę wchodzi poważne aksonalne uszkodzenia mózgu. Neurochirurg robił, co mógł, ale nie widział tego, co ja teraz widzę. Żadne badanie by tego nie wykazało. Do tego należy jeszcze dodać kilka lub kilkanaście pomniejszych urazów, z których co prawda żaden nie stanowił bezpośredniego zagrożenia dla życia, ale łącznie musiały być nie lada wyzwaniem dla organizmu. Zaraz pozszywam go dla rodziny. Jest jakaś rodzina?

- Nie mam pojęcia - odparł Burns. - Nie wiem nawet, kto to był.

Przez całe popołudnie przygotowywał dokument dla sądu na dzień następny. Lou Slade również nie był zachwycony: jego rola już się skończyła i musiał czym prędzej znaleźć kogoś, kto dalej poprowadzi sprawę, ale on również padł ofiarą „syndromu sierpniowego”: większość osób, do których dzwonił, wyjechała na wakacje. W końcu jednak udało mu się znaleźć jakiegoś młodzieńca z King's Bench Walk. Teraz, kiedy



sprawa o pobicie zamieniła się w sprawę o morderstwo, mógł przynajmniej liczyć na jakiś rozgłos.

- Chociaż mnie osobiście wcale się to nie podoba, to jednak muszę ich bronić.

- Tylko proszę się za bardzo nie starać - odparł Burns i odłożył słuchawkę.

Nieco później nadeszły złe wieści, na szczęście jednak zaraz potem przyszła pora na dobre. Ponaglani przez inspektora Partiffa, specjaliści od mikrośladów dostarczyli wreszcie wyniki badań. Na odzieży Price'a i Cornisha nie znaleziono żadnych dowodów na to, że mieli fizyczny kontakt z ofiarą. Krew na koszulce Price'a była wyłącznie krwią właściciela koszulki.

Burns podszedł do tego z filozoficznym spokojem. Gdyby doszło do prawdziwej walki wręcz, na ubraniach uczestników z pewnością pozostałyby jakieś mikrowłókna. Price i Cornish byli zbyt głupi, żeby zdawać sobie sprawę z poziomu, na jaki w ciągu minionych dwudziestu lat wspięła się kryminologia. Obecnie w śledztwach i procesach wykorzystywano materiały dowodowe, o których Burnsowi nawet się śniło w czasach, kiedy jeszcze był zwyczajnym policjantem w Paignton.

W tym wypadku jednak ofiarę powalono uderzeniem w twarz i kopniakiem, później zaś napastnicy tylko kopali ją ciężkimi buciorami. Kiedy dwadzieścia cztery godziny później zabrano im je i poddano dokładnym badaniom, były już tak brudne, że niczego nie zdołano na nich znaleźć.

Telefon z działu daktyloskopii znacznie poprawił mu humor. Na portfelu oprócz psiej śliny znaleziono odciski palców trzech osób. Jedną z nich był właściciel portfela, drugą - pan Whittaker, który po złożeniu zeznania bez najmniejszych oporów zgodził się na pobranie odcisków, trzecią zaś Harry Cornish. Burns był tak podekscytowany, że aż wstał z fotela.

- Jesteście pewni? To nie pomyłka?

- Jack, stuprocentową pewność daje zbieżność w szesnastu punktach pomiarowych. Ja uzyskałem zbieżność w dwudziestu jeden punktach, więc mam ponad sto procent pewności.

Technik z daktyloskopii również miał być jednym z głównych świadków oskarżenia.

- Mam cię, draniu! - oświadczył tryumfalnie Burns najbliższej donicze.

Pozostał jeszcze tylko jeden problem, który wciąż nie dawał mu spokoju. Kim był kulejący mężczyzna? Co sprowadziło go do Edmonton? Czy zjawiał się tu tylko po to, żeby położyć skromną wiązanekę na grobie od dawna nieżyjącej kobiety? Czy miał rodzinę? Jeśli tak, to może gdzieś daleko, jak on, Burns? Czy gdzieś pracował, gdzie miał grono znajomych? Dlaczego nikt nie zgłosił jego zaginięcia? Jak to się stało, że zadał tak potężny cios Price'owi, a mimo to na jego knykciach nie było ani śladu zadrapania lub zasinienia? I dlaczego w ogóle podjął walkę? Dla starego, tandetnego portfela z paroma banknotami w środku? Luke Skinner wpadł na doskonały pomysł.

- Ten policjant, który pierwszy dotarł na miejsce napadu... Widział twarz ofiary, zanim zdążyła spuchnąć. To samo sanitariusz, który zajmował się nim na chodniku i w karetce. Może spróbowalibyśmy zrobić portret pamięciowy?

Burns odszukał sanitariusza przez londyńską centralę pogotowia ratunkowego; kiedy mężczyzna dowiedział się, że ofiara napadu zmarła, chętnie zgodził się pomóc. Obiecał, że nazajutrz zaraz po pracy zgłosi się na posterunek.

Sprawa z policjantem była jeszcze łatwiejsza, gdyż pracował przy Dover Street. Na następny dzień na drugą zamówiono specjalistę od portretów pamięciowych ze Scotland Yardu. Burns zakończył dzień długą rozmową z Alanem Partiffem, który szczegółowo przeanalizował wszystkie zgromadzone przez Burnsa dowody, po czym przyznał mu rację.

- Sprawa wygląda obiecująco, proszę pana. Mamy zeznania Patela, mamy pozytywną identyfikację podejrzanych przez naocznego świadka, rozbity nos opatrywany trzy godziny później przez doktora Melrose'a i portfel. Zapuszkujemy ich do końca życia.

- Chyba tak - odparł Partiff. - Masz moje pełne poparcie. Jutro mam spotkanie z szychą z Prokuratury Królewskiej. Chyba uda mi się go przekonać, że w tej sprawie możemy iść na całość.

Na razie w teczce sprawy były zeznania, zeznania i jeszcze raz zeznania. Szczegółowe raporty z sekcji zwłok i wydziału daktyloskopii miały nadejść dopiero za kilka dni, obaj mężczyźni jednak byli zgodni, że Prokuratura Królewska da się przekonać już na tym etapie.

Dzień ósmy: wtorek

Nazajutrz Price i Cornish w obecności pana Steina ponownie stanęli przed obliczem sądu w gmachu przy Highbury Corner. Funkcję oskarżyciela publicznego pełniła panna Sundaran. Jej rodzice promieniowali dumą, obserwując zza szklanej przegrody, jak córka występuje w pierwszej w życiu sprawie o morderstwo.

Sędzia Stein nie tracił czasu. Po odczytaniu informacji o zmianie kwalifikacji prawnej czynu Slade oświadczył, że jego klienci nie przyznają się do winy. Sędzia Stein spojrzał pytająco na pannę Sundaran, która natychmiast zgłosiła wniosek o przedłużenie tymczasowego aresztowania o kolejny tydzień.

- Panie Slade, czy wnioskuje pan o warunkowe zwolnienie za kaucją?

- Nie, Wysokie Sądzie.

- W takim razie przychylam się do prośby oskarżyciela. Następne posiedzenie we wtorek o jedenastej. Wyprowadzić zatrzymanych.

Price'a i Cornisha wyprowadzono do więziennej furgonetki. Panna Sundaran była bardzo zadowolona, ponieważ miała już w rękach komplet dokumentów i dowiedziała się, że sprawa niemal na pewno trafi przed sąd i że ona również będzie brała w niej udział.

Niewykluczone, iż Prokuratura Królewska podejmie decyzję w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Jak tylko mecenas Slade otrzyma oficjalną informację na ten temat, będzie można rozpocząć przygotowania do obrony.

Ciekawe, do czego się tu przygotowywać - myślał ponuro Slade. - Musiałbym znaleźć jakiegoś geniusza w peruce, żeby ich z tego wyciągnął.

Tworzenie portretu pamięciowego przebiegało nadspodziewanie sprawnie. Sanitariusz i policjant najlepiej jak potrafili opisali rysownikowi ofiarę napadu, ten zaś przystąpił do pracy, przez cały czas kierując się ich uwagami. Niebawem twarz na kartce zaczęła nabierać życia: czoło, krótkie siwiejące włosy, szczeka, usta... Obaj widzieli mężczyznę tylko z zamkniętymi oczami, ale teraz rysownik otworzył mu je i z kartki spojrzał na nich

człowiek... jakże niepodobny do zmasakrowanych, opuchniętych, pokrojonych, a następnie zszytych zwłok, spoczywających w chłodni.

Teraz do dzieła przystąpił Luke Skinner. Wykorzystując swoje znajomości w biurze prasowym Scotland Yardu, zamierzał umieścić obszerny materiał w jutrzejszym wydaniu „Evening Standard”. W sierpniu wypadał szczyt okresu ogórkowego, trudno było o interesujące informacje, to zaś zapowiadało się naprawdę ciekawie. Wieczorem spotkał się z dziennikarzem, który gładko połknął przynętę. CZY KTOŚ ZNA OFIARĘ ŚMIERTELNEGO POBICIA? Zaraz pod nagłówkiem znajdzie się portret pamięciowy i dokładny opis, ze szczególnym uwzględnieniem wyraźnego utykania. Skinner doskonale zdawał sobie sprawę, że to ich ostatnia szansa - na kolejną, a tym bardziej na lepszą, nie mieli co liczyć.

Dzień dziewiąty: środa

„Evening Standard” to jedyna londyńska popołudniówka, która obejmuje zasięgiem nie tylko miasto, ale i znaczną część południowo-wschodniej Anglii. Skinner miał szczęście: z braku bardziej interesujących materiałów podobizna ofiary ukazała się na pierwszej stronie. KTO ZNA TEGO CZŁOWIEKA? - głosił podpis, poniżej zaś znajdował się odsyłacz do artykułu w dalszej części numeru. Zamieszczono w nim szczegółowy rysopis mężczyzny (podkreślając cechę charakterystyczną, jaką była wyraźna niesprawność jednej nogi, będąca następstwem uszkodzenia biodra sprzed około dwudziestu lat), a także informację, iż krótko przed napaścią człowiek ten odwiedził miejscowy cmentarz, gdzie położył kwiaty na grobie niejakiej Mavis Hall.

Burns i Skinner czekali z nadzieją przez cały następny dzień, lecz nikt nie zadzwonił.

Podobnie następnego dnia. I następnego. Nadzieja powoli wędła.

Koroner nie wyraził zgody na pochowanie zmarłego w anonimowym grobie, ponieważ wciąż jeszcze była szansa na identyfikację.

- To dziwne i cholernie smutne, szefie - powiedział Skinner do Burnsa w drodze powrotnej na posterunek. - Człowiek żyje w takim wielkim mieście jak Londyn, gdzie mieszka kilkanaście milionów ludzi, ale jeśli trzyma się trochę na uboczu, tak jak on, to nikt nawet nie wie o jego istnieniu.

- Ktoś jednak musiał wiedzieć - odparł Burns. - Może jakiś sąsiad albo znajomy...

Wszyscy teraz powyjeżdżali. Cholerny sierpień!

Dzień dziesiąty: czwartek

Radca królewski [\* Radca królewski (Queen's Council) - honorowy tytuł nadawany wybitnym prawnikom (przyp. tłum.)] James Vansittart stał przy oknie swego gabinetu i spoglądał nad ogrodami w kierunku Tamizy. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat należał do grona najznakomitszych i odnoszących największe sukcesy londyńskich adwokatów. Radcą królewskim został już w wieku czterdziestu trzech lat, co było tym bardziej zdumiewające, że wykonywał wówczas swój zawód zaledwie od lat osiemnastu. Sukces ten osiągnął zarówno dzięki swoim umiejętnościom, jak i przychylności losu. Dziesięć lat temu, jako asystent znacznie starszego i bardziej doświadczonego radcy królewskiego, występując w zastępstwie chorego pryncypała, poszedł na rękę pewnemu sędziemu,

któremu bardzo zależało na tym, by nie przekładać sprawy na później. Mimo pewnych wątpliwości, biuro radcy zgodziło się na to ryzykowne zadanie, które jednak okazało się bardzo opłacalne, ponieważ doprowadziło do uwolnienia oskarżonego ze wszystkich zarzutów. W powszechnej opinii stało się tak głównie dzięki oratorskim zdolnościom Vansittarta; fakt, że dowody również przemawiały na korzyść oskarżonego, chociaż z pewnością nie przeszkodził, to jednak miał tylko drugorzędne znaczenie.

Rok później wniosek o nadanie tytułu radcy królewskiego został pozytywnie zaopiniowany przez biuro lorda kanclerza, będące wówczas w rękach konserwatystów. Jego ojciec hrabia Essendon zasiadał wówczas z ramienia Partii Konserwatywnej w Izbie Lordów, co bez wątpienia okazało się sprzyjającą okolicznością. Według powszechnej opinii w londyńskiej adwokaturze i parlamencie drugi syn Johnny'ego Essendona stanowił obiecujący materiał. Co prawda był również inteligentny, ale cóż, na to nic nie można było poradzić.

Vansittart odwrócił się od okna, podszedł do biurka i wezwał przez interkom kierownika swojej kancelarii. Michael „Mike” Creedy od dwudziestu lat z zegarmistrzowską precyzją kierował pracą niemal trzydziestu prawników tworzących biuro radcy królewskiego.

Byстрыm okiem szybko wyłowił z tłumu młodego Vansittarta i polecił go uwadze ówczesnego szefa. Jego podopieczny nie zawiódł go, piętnaście lat później stając się jego przełożonym. Obrazu sukcesu dopełniała uroczą i utalentowaną malarsko żoną, posiadłość w Berkshire oraz dwaj synowie w Harrow. Drzwi otworzyły się i Mike Creedy wszedł do eleganckiego gabinetu o ścianach zastawionych książkami.

- Mike, chyba wiesz, że rzadko podejmuję się prowadzenia spraw bez wynagrodzenia?

- I bardzo słusznie, proszę pana.

- Od czasu do czasu chyba jednak mógłbym to zrobić? Na przykład raz w roku. Wiesz, dla poprawy wizerunku publicznego i tak dalej?

- Raz w roku całkowicie wystarczy. Nie należy przesadzać.

Vansittart roześmiał się głośno. Creedy zajmował się również finansami i niezbyt lubił, kiedy „jego” prawnicy rezygnowali z honorariów na rzecz jakichś instytucji dobroczynnych lub podejmowali się obrony oskarżonych, których nie było stać na ich usługi. Od czasu do czasu gotów był przymknąć oko na takie fanaberie, ale nie za często.

- Ma pan coś konkretnego na myśli?

- Jest dość ciekawa sprawa przy Highbury Corner. Dwaj młodzi ludzie oskarżeni o napaść i pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Twierdzą, że tego nie zrobili. Kto wie, może mówią prawdę. Nazywają się Price i Cornish. Możesz skontaktować się z ich obrońcą z urzędu?

Godzinę później Lou Slade wytrzeszczył oczy na aparat telefoniczny, jakby nagle stwierdził, że jest wysadzany diamentami.

- Vansittart? - wykrztusił. - Sam cholerny Vansittart? To znaczy, jestem zaszczycony - poprawił się szybko. - To wspaniała wiadomość... Oczywiście, czekam przy aparacie...

- To miło z pańskiej strony, że zechciał pan zamienić ze mną kilka słów - rozległ się chwilę potem uprzejmy, pewny siebie, dystyngowany głos. Ani chybi Eton albo Harrow, a potem Królewska Kompania Reprezentacyjna, przemknęło Slade'owi przez głowę.

Rozmowa nie trwała długo, lecz była bardzo konkretna. Slade z przyjemnością wprowadzi pana Vansittarta w sprawę Price'a i Cornisha. Owszem, ma przy sobie teczkę oskarżenia, przysłano ją z samego rana. Naturalnie, chętnie przyjedzie w dogodnym dla pana Vansittarta terminie, aby odbyć pierwszą naradę wojenną. Oczywiście, druga po południu będzie w sam raz.

Vansittart nie zawiódł oczekiwań Slade'a: okazał się człowiekiem bardzo kulturalnym, czarującym i subtelnym. Poczęstował gościa herbatą w delikatnej porcelanowej filiżance, potem zaś, spostrzegłszy nikotynowe plamy na jego palcach, zaproponował cygaro, które Slade z wdzięcznością przyjął. Mimo wszystko czuł się trochę nieswojo w towarzystwie takich ludzi.

Vansittart spojrział na teczkę z dokumentami, ale jej nie otworzył.

- Ciekaw jestem pańskiej opinii na temat tej sprawy. Czy zechciałby mi pan ją streścić? Slade poczuł się mile połączony i trudno mu się dziwić. W skrócie zrelacjonował wydarzenia minionych ośmiu dni, poczynając od chwili, kiedy telefon z posterunku przy Dover Street oderwał go od kolacji.

- Wygląda więc na to, że głównym i zarazem jedynym świadkiem jest ów pan Patel - stwierdził Vansittart, gdy Slade umilkł. - Cała reszta to dowody laboratoryjne oraz poszlaki. Czy wszystko jest w tej tece?

- Wszystko. - Slade miał w sumie dwie godziny na przejrzanie dokumentów, ale w zupełności mu to wystarczyło. - Myślę jednak, że to sporo. Nasi klienci nie mają alibi poza tym, jakie wystawili sobie nawzajem. Twierdzą, że w czasie kiedy dokonano napadu, albo spali, albo się wałęsali.

Vansittart podniósł się z fotela, w związku z czym Slade'owi nie pozostało nic innego, jak tylko pospiesznie odstawić filiżankę z niedopitą herbatą, zdusić cygaro w popielniczce i pójść w ślady gospodarza.

- Jestem panu niezmiernie wdzięczny, że zechciał pan pofatygować się osobiście - powiedział Vansittart, odprowadzając Slade'a do drzwi. - Zawsze byłem zdania, że na początku współpracy koniecznie trzeba się poznać. I dziękuję za opinię.

Obiecał, że wieczorem zapozna się z całą dokumentacją i że nazajutrz z samego rana zadzwoni do Slade'a, ten jednak był już umówiony w sądzie, w związku z czym mężczyźni ustalili, że skontaktują się o trzeciej po południu.

Dzień jedenasty: piątek

Telefon zadzwonił punktualnie o trzeciej.

- Interesująca sprawa, panie Slade, nieprawdaż? Mocna, ale chyba do ruszenia.

- Pod warunkiem że uda się zakwestionować zeznania pana Patela.

- Otóż to. Czy nasi klienci usiłowali w jakiś sposób wytłumaczyć, skąd wzięły się na portfelu odciski palców jednego z nich i dlaczego drugi zgłosił się do lekarza ze złamanym nosem zaledwie trzy godziny po napadzie?

- Nie. Powtarzają tylko „nie wiem” i „nie pamiętam”. Obawiam się, że nie są za bardzo bystry.

- Cóż, na to nie mamy wpływu, lecz sądzę, że mimo to przydałoby nam się jakieś racjonalne wyjaśnienie. Chciałbym zamienić z nimi kilka słów.

Slade nie posiadał się ze zdumienia. Sprawy toczyły się zaskakująco szybko.

- Niestety w poniedziałek cały dzień jestem w sądzie, a we wtorek sędzia Stein ma podjąć decyzję o przedłużeniu tymczasowego aresztowania. Moglibyśmy porozmawiać z nimi w pokoju spotkań przy Highbury Corner, zanim odwieżą ich do więzienia.

- Taaak... Szczerze mówiąc, zamierzałem interweniować już we wtorek, więc powinienem chyba wcześniej wiedzieć, na czym konkretnie stoimy. Nie lubię psuć weekendu tak miłym ludziom jak pan, ale czy moglibyśmy spotkać się jutro?

Slade nie wierzył własnym uszom. Interwencja? Ani przez chwilę nie przypuszczał, że radca królewski będzie chciał być obecny podczas zwykłej formalności, jaką było przedłużenie tymczasowego aresztowania. Spotkanie w więzieniu Pentonville zostało wyznaczone na godzinę dziesiątą rano. Slade miał wcześniej poinformować władze więzienia.

Dzień dwunasty: sobota

Niewątpliwie nastąpiła pomyłka. Pan Vansittart zjawił się w więzieniu za kwadrans dziewiąta i uprzejmie, choć stanowczo, wyjaśnił funkcjonariuszowi pełniącemu służbę w sali odwiedzin, że widzenie wyznaczono nie na dziesiątą, lecz na dziewiątą, i że nie ma mowy o tym, żeby on, będąc bardzo zajęтым człowiekiem, mógł czekać aż godzinę. Pan Slade z pewnością zjawi się nieco później. Zasięgnąwszy opinii przełożonego, funkcjonariusz poprosił jednego z kolegów, by ten zaprowadził prawnika do rozmównicy. Pięć po dziewiątej przyprowadzono obu zatrzymanych. Patrzyli na niego spode łba, lecz na nim nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

- Przepraszam w imieniu pana Slade'a, który się nieco spóźni - powiedział. - Nazywam się James Vansittart i jestem waszym obrońcą. Siadajcie, proszę.

Strażnik wyszedł, mężczyźni usiedli przy stole. Vansittart położył na blacie teczkę z dokumentami, a następnie pchnął w kierunku zatrzymanych paczkę papierosów i pudełko zapalek. Obaj łapczywie zapalili, po czym Cornish bez pytania schował papierosy do kieszeni. Vansittart uśmiechnął się promiennie.

- Widzę, panowie, że narobiliście sobie trochę kłopotów. - Obserwowali przez zasłonę dymu, jak prawnik pobieżnie przegląda dokumenty. - Pan Cornish... - mruknął po chwili, podnosząc wzrok na młodego człowieka o prostych włosach. - Jeden z naszych najpoważniejszych problemów jest związany z portfelem. W niedzielę rano przypadkowy przechodzień znalazł go w trawie w pobliżu Mandela Road. Portfel bez wątpienia stanowił własność ofiary, ponieważ były na nim jej odciski palców. Niestety, tak się niefortunnie składa, że pańskie również.

- Ja tam o niczym nie wiem - wymamrotał Cornish.

- Istotnie, pamięć niekiedy zawodzi, kiedy człowiek ma wiele spraw na głowie, ale przecież musi istnieć jakieś bardzo proste wytłumaczenie. Na przykład takie, że gdy w środę rano szedł pan Mandela Road na śniadanie, zobaczył pan leżący przy krawężniku portfel...

Co prawda Cornish stanowił „mózg” duetu, nie był jednak bystry, tylko sprytny. Niemniej w jego oczach pokazał się błysk zrozumienia.

- Jasne! Tak było!

- Gdyby zechciał mi pan to powiedzieć, wówczas ja, jako pański obrońca, naturalnie bym panu uwierzył. Z pewnością wyjaśniłby mi pan również, iż wiedziony naturalną ciekawością, schylił się pan i podniósł portfel, pozostawiając w ten sposób na nim odciski palców.

- No!

- Niestety portfel był pusty, więc, niewiele myśląc, wyrzucił go pan za ogrodzenie, gdzie przeleżał kilka kolejnych dni aż do chwili, kiedy został odnaleziony przez psa. Zgadza się?

- Zgadza!

Cornishowi zaczął się podobać ten nowy papuga. Cwany gość. Vansittart wydobył z teczek arkusz papieru kancelaryjnego i pośpiesznie spisał oświadczenie.

- Doskonale, mamy już to na piśmie. Proszę uważnie zapoznać się z treścią. Jeśli wszystko się zgadza, proszę podpisać.

Cornish nie potrafił czytać aż tak prędko, ale mimo to złożył koślawy autograf.

- Teraz przejdźmy do drugiego problemu, czyli do pańskiego nosa, panie Price.

Price nie miał już opatrunku, lecz jego nos wciąż był spuchnięty i obolały.

- Około piątej po południu w dniu napadu zjawił się pan w Szpitalu Świętej Anny, gdzie opatrzone panu złamany nos. Oskarżenie przykłada do tego faktu dużą wagę.

- Tak było - burknął Price.

- Czy panowie chadzacie może razem na piwo?

Skinęli głowami.

- Poszliście może dokądś w poniedziałek wieczorem?

Zastanawiali się przez chwilę, po czym Cornish odparł:

- King's 'Ead przy Farrow Street.

- Widziało was tam wiele osób, w tym również barman?

Kolejne skinięcie.

- W poniedziałek wieczorem, na dzień przed napadem?

Jeszcze jedno skinięcie.

- W takim razie być może w drodze powrotnej pan Price poczuł, że musi pozbyć się nadmiaru płynów z organizmu, potknął się i uderzył twarzą w zaparkowany samochód, miażdżąc sobie przy okazji nos? Cornish trącił kumpla łokciem.

- Pamiętasz, Mark? Tak właśnie było.

- Z nosa, ma się rozumieć, popłynęła krew, w związku z czym pan Price ściągnął koszulkę i użył jej jako prowizorycznego opatrunku, by zatamować krwotok. Po dotarciu do domu obaj zasnęliście kamiennym snem i obudziliście się we wtorek dopiero około południa.

Cornish uśmiechnął się szeroko.

- Jasne! No nie, Mark?

- Pozostaje nam jeszcze pięć godzin, które upłynęły do chwili, kiedy znaleźliście się w szpitalu. Bez wątplenia usłyszę od pana Price'a, że nie chciał robić zamieszania i nie

zdawał sobie sprawy z tego, że nos jest złamany, i że dopiero pan, jako jego przyjaciel, namówił go do skorzystania z opieki medycznej. I w ten sposób około piątej zgłosił się pan do Szpitala Świętej Anny, gdzie poddał się pan badaniu.

Price z zapalem pokiwał głową.

- Wcześniej, ma się rozumieć, zjedliście lunch. Może usiedliście w jakimś barze o pierwszej, zamówiliście coś na ciepło, przejrzeście najnowsze wydanie „Sun” z wynikami niedzielnych gonitw... Niestety zapewne nie pamiętacie nazwy tego baru? Obaj równocześnie pokręcili głowami.

- Mniejsza o to. Takich lokali jest mnóstwo w okolicy, a wszystkie do siebie podobne. Nie ulega jednak wątpliwości, że przez cały dzień nawet nie zbliżyliście się do Meadowdene Grove?

- Pewno, że nie - potwierdził Cornish. - Zaszliśmy tylko do tej knajpy, wrzuciliśmy coś na ruszt i wyszliśmy gdzieś o wpół do trzeciej.

- Byliście tam kiedyś wcześniej?

- Nie, ani razu. Zaszliśmy przypadkiem. Nie pamiętam, jak się ta knajpa nazywała.

- Pańskie słowa brzmią bardzo przekonująco. Sąd powinien dać im wiarę pod warunkiem, że obaj będziecie się twardo trzymać tego kursu. Żadnych zmian, żadnych szczegółów. Jak najkrócej i najprościej. Rozumiecie?

Pan Vansittart spisał kolejne oświadczenie, tym razem dotyczące nosa Price'a. Price prawie w ogóle nie potrafił czytać, lecz mimo to ochoczo je podpisał. Prawnik dołączył oba oświadczenia do teczki. Chwilę potem do rozmównicy wszedł nieco zdziwiony Slade i Vansittart podniósł się z miejsca.

- Drogi panie Slade, przykro mi z powodu tego zamieszania. Dałbym sobie głowę uciąć, że umówiliśmy się na dziewiątą. Na szczęście nie ma to większego znaczenia, bo i tak już prawie skończyliśmy. - Odwrócił się z uśmiechem do Price'a i Cornisha. - Zobaczymy się we wtorek w sądzie, ale nie będziemy mogli rozmawiać. Proszę nie wdawać się w dyskusje ze współlokatorami z celi. Niektórzy bywają podstawieni.

Zaproponował zmieszanemu Slade'owi podwiezienie swoim bentleyem. W samochodzie Slade zapoznał się z dwoma nowymi oświadczeniami.

- Lepiej - przyznał z podziwem. - Dużo lepiej. Dwa mocne punkty obrony. Dziwne, dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedzieli. Pozostaje nam tylko ten Patel...

- Ach tak, pan Veejay Patel. Praworządny, uczciwy obywatel. Być może na tyle uczciwy, że będzie skłonny przyznać, iż nie sposób wykluczyć, że się jednak pomylił.

Slade miał co do tego pewne wątpliwości, w porę jednak przypomniał sobie, że Vansittart jest mistrzem w zadawaniu krzyżowych pytań. Lepszy był chyba tylko George Carman. Od razu się rozpogodził, a kiedy usłyszał, że wzięty prawnik zamierza zjawić się we wtorek przy Highbury Corner, nawet się uśmiechnął. To powinno wprowadzić trochę zamieszania.

Dzień piątnasty: wtorek

Nie zawiódł się. Kiedy panna Prabani Sundaran zobaczyła wchodzącego na salę Jamesa Vansittarta, zatrzepotała ze zdumienia długimi rękami. Vansittart, jakby nigdy nic, usiadł zaledwie dwa albo trzy jardy od niej, na miejscu przeznaczonym dla



obrońców, uśmiechnął się i skinął życzliwie głową. Sędzia Jonathan Stein kończył sporządzać notatki z poprzedniej sprawy, dostrzegł więc prawniczą znakomitość z lekkim opóźnieniem. Dzięki wieloletniej praktyce zdołał zachować kamienną twarz. Lou Slade zajął miejsce za Vansittartem.

- Wprowadzić Price'a i Cornisha! - zawołał woźny Clark.

Skuci i otoczeni przez strażników więziennych usiedli na ławce dla oskarżonych. Vansittart natychmiast podniósł się z miejsca.

- Panie sędzio, nazywam się James Vansittart i reprezentuję oskarżonych. Moim asystentem jest pan Louis Slade.

Usiadł, sędzia zaś przyjrzał mu się uważnie.

- Panie Vansittart, to posiedzenie dotyczy przedłużenia tymczasowego aresztowania podejrzanych o jeden tydzień.

Co prawda słowo „tylko” nie padło, niemniej zawisło w powietrzu. Vansittart natychmiast poderwał się z miejsca.

- Oczywiście, panie sędzio.

- Doskonale. Panno Sundaran, może pani zaczynać.

- Dziękuję, panie sędzio. Oskarżenie składa wniosek o przedłużenie o tydzień tymczasowego aresztowania Marka Price'a i Harry'ego Cornisha.

Stein przeniósł wzrok z powrotem na Vansittarta. Chyba wzięty adwokat nie zamierza...

- Nie wnioskuję o zwolnienie za kaucją - oświadczył Vansittart.

- Rozumiem. Sąd przychyliła się do wniosku oskarżenia.

- Jednak, panie sędzio, obrona pragnie złożyć inny wniosek.

- Bardzo proszę.

- Chcielibyśmy wiedzieć, czy oskarżenie prowadzi jeszcze jakieś czynności w sprawie, czy też materiały, które zostały nam udostępnione, są już kompletne.

Usiadł ponownie, nie spuszczać wzroku z panny Sundaran. Na zewnątrz udało jej się zachować spokój, w środku jednak była zupełnie rozedrgana. Na studiach uczono ją, że wszystko powinno odbywać się według uświęconych tradycją schematów, a tymczasem tutaj wystarczyło jedno zdanie wypowiedziane przez tego człowieka, by ze schematów zostały strzępy. Na szczęście siedzący za nią Jack Burns pochylił się i szepnął jej kilka słów do ucha.

- Panie sędzio, wciąż jeszcze trwają intensywne działania zmierzające do identyfikacji ofiary.

Vansittart już był na nogach.

- Obrona w żadnym razie nie neguje faktu, że brutalnie zamordowano człowieka. Gdyby żył, zapewne mógłby w istotny sposób przyczynić się do postępów śledztwa. Jego tożsamość, czy też jej brak, w żaden sposób nie zmienia kwalifikacji prawnej czynu, którego się na nim dopuszczono. W związku z tym obrona musi ponowić pytanie: czy prokuratura jest gotowa przedstawić akt oskarżenia?

Cisza.

- Panno Sundaran? - ponaglił ją łagodnie Stein.

Czuła się jak pilot myśliwca podczas pierwszego samodzielnego lotu. Właśnie eksplodował silnik, a ktoś pytał ją, co zamierza zrobić w tej sprawie.

- Myślę, że tak, panie sędzio.

Vansittart znowu poderwał się z miejsca.

- W takim razie obrona wnioskuje, żeby dokładnie za tydzień przekazać sprawę sądowi. Wszystkim nam zależy na tym, by sprawiedliwość była wymierzana tak szybko, jak to możliwe. Moi klienci już od dwóch tygodni są pozbawieni wolności w związku ze sprawą, z którą, jak zgodnie i stanowczo twierdzą, nie mają nic wspólnego. Skoro zarówno oskarżenie, jak i obrona są gotowe do działania, nie widzę żadnego powodu, by czekać. Jonathan Stein zastanowił się głęboko. Vansittart zdecydował się na duże ryzyko. W wypadku przekazania sprawy sąd decyduje nie tyle o winie bądź niewinności oskarżonych, ile o tym, czy sprawa jako taka w ogóle istnieje, czyli czy prokuraturze udało się zebrać wystarczająco dużo materiałów dowodowych, żeby rozpocząć postępowanie dowodowe. obrońcy bardzo rzadko zgłaszają taki wniosek na tak wczesnym etapie, wszystko wskazywało jednak na to, iż radca królewski postanowił zagrać *va banque*.

- Zgadza się - oświadczył wreszcie sędzia. - Za tydzień.

- Obrona wnosi również, by oskarżenie przedstawiło wtedy wszystkich świadków i umożliwiło ich przesłuchanie.

A więc zanosilo się na próbę generalną ewentualnego procesu. Zwykle to oskarżenie musi wcześniej odkryć karty, podczas gdy obrona ukrywa swoje atuty do ostatniej chwili. Tym razem obie strony miały zademonstrować, czym dysponują, wyjątkowo wcześnie.

- Wyrażam zgodę. Panno Sundaran, ma pani tydzień na przygotowanie świadków i przedstawienie ich sądowi.

Dzień szesnasty: środa

Prabani Sundaran w panice pobiegła do swego bezpośredniego przełożonego w Prokuraturze Królewskiej.

- Potrzebuję kogoś doświadczonego, kto pomoże mi w przyszły wtorek. Sama na pewno nie dam rady Vansittartowi!

- Musisz - odparł szef. - Połowa ludzi jest na wakacjach. Cholerny sierpień. Reszta siedzi po uszy w robocie.

- Ale proszę pana, przecież to Vansittart! Zje naszych świadków żywcem!

- To tylko wstępna rozprawa, czysta formalność. Postanowił zaryzykować i trochę się przeliczył. Będziemy dokładnie wiedzieli, na czym zamierza oprzeć linię obrony. Szkoda, że to zdarza się tak rzadko.

- A jeśli pan Stein nie dopuści do zasadniczej rozprawy?

- Prabani, rozumiem twoje zdenerwowanie, ale musisz wziąć się w garść. Stein na pewno nie poprze wniosku obrony o umorzenie sprawy. Mamy jednoznaczne zeznania Patela. Jeśli je potwierdzi, jesteśmy górą. On jest w tym wszystkim kluczową postacią, bez niego nic byśmy nie wskórali. Na pewno dasz sobie radę.

Po południu sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Okazało się, że zwolniło się kilka terminów na najbliższy piątek, więc czy panna Sundaran nie byłaby skłonna wyrazić zgody... Panna Sundaran poprosiła o godzinę na zastanowienie. Poza Patelem i Whittakerem wszyscy świadkowie byli „z branży” lub bardzo blisko z nią związani.

Przeprowadziła kilka rozmów telefonicznych, po czym o czwartej zadzwoniła do sekretariatu sądu z informacją, że zgadza się na przesunięcie terminu wstępnej rozprawy.

Do Jamesa Vansittarta zadzwoniono o piątej. On również wyraził zgodę, nie pozostało więc nic innego, jak zawiadomić władze więzienia Pentonville, że zatrzymanych należy dostarczyć do gmachu sądu w piątek na dziesiątą rano, do sali numer jeden.

Dzień osiemnasty: piątek

Prokuratura przedstawiła jedenastu świadków. Przesłuchanie rozpoczęło od policjanta, który jako pierwszy zjawił się na miejscu zdarzenia. Zeznał, że owego wtorku pełnił z kolegą służbę patrolową w radiowozie, kiedy kilka minut po drugiej po południu centrala poleciła im udać się na Paradise Way, do ofiary przypuszczalnego rozboju. Cztery minuty później byli już we wskazanym miejscu. Najlepiej jak potrafił, zajął się leżącym na chodniku mężczyzną, jego kolega zaś w tym czasie wezwał posiłki. Pięć minut później przyjechała karetka, która zabrała ofiarę do szpitala, po kolejnym kwadransie natomiast zjawił się inspektor i dalej to już on kierował rozwojem wydarzeń.

James Vansittart uśmiechnął się do młodego funkcjonariusza.

- Nie mam pytań - oświadczył i policjant z ulgą zajął miejsce w głębi sali.

Drugim świadkiem był właśnie inspektor. Panna Sundaran poprowadziła go pytaniami, a kiedy skończyła, Vansittart podniósł się z miejsca.

- Czy w chwili, kiedy zjawił się pan na miejscu przestępstwa, byli tam już jacyś gapie?

- Tak.

- Oprócz pana byli tam zapewne również inni funkcjonariusze policji?

- Owszem. W sumie dziesięciu.

- Polecił im pan przeprowadzić rozmowy z obecnymi w celu ustalenia ewentualnych naocznych świadków?

- Owszem.

- A następnie odwiedzić wszystkie okoliczne mieszkania, z których okien można było obserwować całe zdarzenie?

- Tak jest.

- Oraz przeczesać okolicę, łącznie z trasą ucieczki sprawców, również po to, by znaleźć świadków?

- Tak.

- Ile czasu zajęły im te czynności?

- Do zmroku, czyli mniej więcej do ósmej wieczorem.

- Wynika z tego, że pańscy ludzie pukali do drzwi i rozmawiali z przechodniami przez niemal sześć godzin?

- Zgadza się.

- Czy w tym czasie udało im się znaleźć choć jedną osobę, która widziała sam napad albo przynajmniej uciekających ludzi o rysopisach odpowiadających rysopisom moich klientów?

- Nie.

- Czyli... powiedzmy... po stu rozmowach nie zdołaliście zdobyć żadnego, choćby najdrobniejszego dowodu, który pozwoliłby połączyć moich klientów z tą sprawą?

- Nie.

- Dziękuję panu, inspektorze. Nie mam więcej pytań.

Potem przyszedł kolej na Jacka Burnsa. Przedstawił dokładną relację z dotychczasowych wydarzeń, poczynając od wezwania, które oderwało go od posiłku w kantynie, a kończąc na formalnym oskarżeniu Price'a i Cornisha o zabójstwo. Vansittart wstał natychmiast po jego ostatnich słowach.

- Rozumiem, że przeprowadził pan bardzo drobiazgowe śledztwo?

- Mam taką nadzieję.

- Zajrzał pan pod każdy kamień?

- Chciałbym w to wierzyć.

- Ilu funkcjonariuszy uczestniczyło w pracach Zespołu Zabezpieczania Śladów?

- Około dwunastu.

- Nie udało im się jednak znaleźć żadnego śladu krwi pana Price'a w pobliżu miejsca popełnienia przestępstwa?

- Nie.

- Mamy więc złamany nos, lejącą się obficie krew i ani jednej kropli na chodniku?

- Mogę tylko powtórzyć, że niczego takiego nie udało nam się odnaleźć.

Burns był zbyt szcwanym lisem, żeby dać się zwabić w pułapkę.

- Mój klient twierdzi, iż na miejscu przestępstwa nie znaleziono śladów jego krwi z tego prostego powodu, że nie tam złamał sobie nos, a na dodatek w ogóle go tam nie było.

Idźmy dalej, panie Burns...

Vansittart zdecydował się na tę miniprzemowę wyłącznie ze względu na sędziego Jonathana Steina, który słuchał go z kamienną twarzą, notując coś od czasu do czasu. Panna Sundaran również sporządzała notatki, tyle że znacznie pilniej.

- Czy podczas przeszukiwania miejsca przestępstwa zespół natknął się na jakieś ślady, które mogły być pozostawione przez sprawców?

- Tak.

- Ile worków wypełniono zebranymi materiałami?

- Dwadzieścia.

- I zawartość wszystkich szczegółowo zbadano?

- Tak jest.

- Czy w tych dwudziestu workach znaleziono cokolwiek, co mogłoby skierować podejrzenia na moich klientów?

- Nie.

- A mimo to już nazajutrz w południe zarządził pan zakrojone na szeroką skalę poszukiwania panów Price'a i Cornisha, z zamiarem ich aresztowania. Dlaczego?

- Ponieważ następnego dnia między jedenastą a dwunastą uzyskałem dwie pozytywne identyfikacje.

- Na podstawie fotografii z policyjnego archiwum?

- Owszem.

- Osobą, która zidentyfikowała moich klientów był pan Veejay Patel, miejscowy sklepikarz?

- Tak jest.

- Proszę mi powiedzieć: ile fotografii obejrzał pan Patel?

Jack Burns zajrzał do notatek.

- Siedemdziesiąt siedem.

- Dlaczego akurat tyle?

- Ponieważ na dwudziestej ósmej fotografii rozpoznał Marka Price'a, a na siedemdziesiątej siódmej Harry'ego Cornisha.

- Czy w tej dzielnicy Londynu policja zgromadziła zdjęcia właśnie siedemdziesięciu siedmiu młodych mężczyzn rasy białej?

- Nie.

- Czy tych zdjęć jest więcej?

- Owszem.

- Ile zdjęć znajdowało się w archiwum tamtego przedpołudnia?

- Około czterystu.

- Około czterystu... A mimo to pan Patel obejrzał tylko siedemdziesiąt siedem z nich.

- Ponieważ bez żadnych wątpliwości rozpoznał obu sprawców.

- Co nie zmienia faktu, że nie miał okazji obejrzeć pozostałych trzystu dwudziestu trzech fotografii, prawda?

Zapadła długa cisza.

- Prawda - powiedział wreszcie Burns.

- Panie Burns, mój klient pan Price od szyi w górę jest dość zażywnym białym mężczyzną w wieku dwudziestu pięciu lat, o wygolonej głowie. Twierdzi pan, że wśród tych czterystu fotografii nie znalazłoby się parę przedstawiających osoby bardzo do niego podobne?

- Wcale tak nie twierdzę.

- Ja uważam, że znalazłoby się ich znacznie więcej niż parę. W dzisiejszych czasach wielu zażywnych młodych ludzi strzyże sobie krótko włosy lub nawet zupełnie je goli. Mimo to nie dał pan panu Patelowi szansy porównania zdjęcia pana Price'a z fotografiami przedstawiającymi osoby o zbliżonym wyglądzie? Cisza.

- Musi pan odpowiedzieć, panie Burns - przypomniał mu delikatnie sędzia.

- Nie, nie dałem.

- Nie możemy więc wykluczyć, iż wśród trzystu dwudziestu trzech twarzy, których pan Patel nie widział, znajdowała się co najmniej jedna bardzo podobna do twarzy pana Price'a, ale pan Patel nie mógł jej obejrzeć, zastanowić się ani porównać ich obu?

- Nie, nie można tego wykluczyć.

- Dziękuję panu, panie Burns. Nie mam więcej pytań.

Sytuacja stawała się bardzo nieprzyjemna. Wzmianka o „zażywnych młodych ludziach strzygących krótko włosy” wywarła wrażenie na Steinie. On również oglądał telewizję, a w niej powtarzające się często relacje z chuligańskich burd wokół stadionów. Zeznania Carla Batemana były czysto technicznej natury. Opowiedział o tym, jak do Szpitala Królewskiego w Londynie przywieziono ofiarę pobicia, i opisał swoje

postępowanie aż do chwili, kiedy nieprzytomny mężczyzna trafił na oddział neurochirurgii. Mimo to, kiedy Bateman skończył, Vansittart natychmiast się podniósł.

- Tylko jedna krótka sprawa, proszę pana. Czy dokonał pan oględzin prawej ręki ofiary? Bateman uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Owszem.

- W chwili przyjęcia do szpitala czy później?

- Później.

- Czy zrobił pan to na czyjąś prośbę?

- Tak.

- Czyją, jeśli można wiedzieć?

- Detektywa Burnsa.

- Czy pan Burns pytał o ewentualne uszkodzenia knykci?

- Owszem.

- I co, stwierdził pan takie uszkodzenia?

- Nie.

- Od jak dawna pełni pan ostre dyżury w izbie przyjęć?

- Od dziesięciu lat.

- A więc ma pan bogate doświadczenie. Z pewnością wielokrotnie oglądał pan rezultaty silnych uderzeń zadanych pięścią w twarz? Rezultaty widoczne zarówno na twarzy, jak i na pięści?

- Zgadza się.

- Czy po potężnym ciosie, który zmiażdżył nos dorosłego człowieka, na ręce osoby, która taki cios zadała, nie powinny pozostać jakieś ślady?

- Nie wiem, czy powinny, ale na pewno mogły.

- Na ile oszacowałby pan prawdopodobieństwo powstania takich śladów? Osiemdziesiąt procent?

- Mniej więcej.

- Otarcia naskórka? Obrażenia kości śródreczą?

- Raczej te drugie.

- Zbliżone do „zespołu boksera”?

- Tak jest.

- A jednak nie stwierdził pan niczego w tym rodzaju na ręce ofiary?

- Nie.

- Dziękuję panu.

Carl Bateman nie wiedział o tym, że napadnięty mężczyzna zastosował znacznie bardziej niebezpieczny cios: nie zacisnął pięści, lecz uderzył od dołu nasadą otwartej dłoni. Gdyby Price nie był takim osiłkiem, zaprawionym w niezliczonych burdach, przypuszczalnie runąłby nieprzytomny na ziemię.

Paul Willis, neurochirurg, przedstawił swoją relację i opuścił miejsce dla świadków nie niepokoiony przez Vansittarta. Inaczej miała się rzecz z doktorem Melrose'em ze Szpitala Świętej Anny.

- Panie doktorze, czy w chwili, kiedy badał pan pana Price'a w tamten wtorek między siedemnastą a siedemnastą trzydzieści, stwierdził pan w jego nozdrzach obecność krwi?

- Tak.
  - W jakiej postaci: zakrzepniętej czy płynnej?
  - W obu. U wylotu utworzyły się już skrzepy, wyżej wciąż była płynna.
  - Stwierdził pan również złamanie kości nosowej w dwóch miejscach oraz przesunięcie części chrzestnych?
  - Zgadza się.
  - Następnie nastawił pan kość i założył opatrunek, pozostawiając Naturze dalszą część procesu leczenia?
  - Tak jest.
  - Gdyby pacjent przed przybyciem do szpitala usiłował sam nastawić sobie złamany nos, czy spowodowałoby to krwotok?
  - Oczywiście.
  - Mając to na uwadze, czy podjąłby się pan określenia, ile czasu minęło od powstania uszkodzenia do chwili, kiedy ranny zgłosił się do pana po pomoc?
  - Co najmniej kilka godzin.
  - Ile? Trzy? Dziesięć? A może więcej?
  - Trudno dokładnie powiedzieć.
  - W takim razie przedstawię panu taki oto hipotetyczny przebieg wydarzeń: pewien młody człowiek idzie w poniedziałek wieczorem do pubu, doprowadza się tam do pożałowania godnego stanu, w drodze powrotnej do domu postanawia oddać mocz do studzienki kanalizacyjnej. Niestety, częściowo z powodu upojenia alkoholowego, a częściowo z powodu nierównego chodnika, potyka się, traci równowagę i z dużą siłą uderza twarzą w bok zaparkowanej przy krawężniku furgonetki. Czy taki upadek, który wydarzył się poprzedniego wieczoru, mógłby stać się przyczyną opisanych przez pana obrażeń?
  - Ewentualnie.
  - Tak czy nie, panie doktorze? Jest to możliwe, czy nie?
  - Jest.
  - Dziękuję panu. Nie mam więcej pytań.
- W rzeczywistości Vansittart rozmawiał ze Steinem, mówił zaś coś w tym rodzaju: Oto co naprawdę przydarzyło się mojemu klientowi. Obaj wiemy, że jeśli będzie twardo stał przy tej wersji, oskarżeniu nie uda się udowodnić, że było inaczej.
- Jack Burns paskudnie zaklął w duchu. Dlaczego Melrose nie stwierdził po prostu, że było niemożliwe, żeby takie obrażenia powstały wcześniej niż przed czterema godzinami? Przecież nikt by tego nigdy nie sprawdził. Cholerny konował.
- Co prawda Paul Finch kierował laboratorium kryminalistycznym, ale nie był funkcjonariuszem policji, gdyż już od wielu lat tymi badaniami zajmowali się na zlecenie policji cywilni naukowcy.
- O ile się nie mylę, do laboratorium dostarczono dużą liczbę ubrań z mieszkania wynajmowanego wspólnie przez oskarżonych?
  - Zgadza się.
  - Oraz odzież, którą ofiara miała na sobie podczas napadu?
  - Tak.

- Jak się domyślam, zbadał pan wszystko za pomocą najnowocześniejszego sprzętu, by stwierdzić, czy na ubraniu ofiary znajdują się mikrowłókna z odzieży moich klientów?

- Tak.

- Znalazł je pan?

- Nie.

- Dostarczono panu również do badania bawełnianą koszulkę przesiąkniętą krwią?

- Owszem.

- I próbkę krwi mojego klienta, pana Price'a?

- Tak.

- Czy to była ta sama krew?

- Ta sama.

- Czy na koszulce znajdowała się również krew innej osoby?

- Nie.

- Czy otrzymał pan do analizy próbki krwi z chodnika na Paradise Way lub w ogóle z Meadowdene Grove?

- Nie.

- Czy otrzymał pan próbki krwi pobrane z nadwozia furgonetki parkującej przy Farrow Road lub z chodnika i jezdni w jej bezpośrednim otoczeniu?

Pytanie zupełnie zaskoczyło Fincha. Zerknął na sędziego, lecz ten przyglądał mu się z kamienną twarzą. Frost podparł głowę rękami, panna Sundaran zaś wpatrywała się przed siebie z osłupiałą miną.

- Przy Farrow Road? Nie.

- Otóż to. Nie mam więcej pytań.

Hamilton ze swadą przedstawił rezultaty przeprowadzonej przez siebie autopsji.

Oświadczył, iż przyczyną śmierci były rozległe aksonalne uszkodzenia pnia mózgu powstałe w wyniku wielokrotnych, silnych uderzeń w czaszkę, najprawdopodobniej zadanych ciężkimi podkutymi butami.

- Czy w trakcie autopsji zbadał pan dokładnie całe zwłoki? - zapytał James Vansittart.

- Oczywiście.

- Prawą rękę także?

Anatomopatolog zajął do notatek.

- Z pewnością, ale niczego na ten temat nie zapisałem.

- Czy dlatego, że nie znalazł pan żadnych obrażeń?

- Z pewnością.

- Dziękuję panu.

W przeciwieństwie do profesjonalistów, pan Whittaker był lekko podenerwowany i zadał sobie trud, by włożyć odświętne ubranie. W jego wypadku był to wojskowy sweter z oznaką artylerzysty. Miał pełne prawo ją nosić, ponieważ podczas pobytu w wojsku służył właśnie w artylerii.

Wiadomość, że będzie zeznawał w sądzie, wywołała spore poruszenie w Klubie Sześćdziesięciolatków, a zachwycony, choć zarazem nieco zdezorientowany, Mitch przy każdej okazji otrzymywał podwójną porcję pieaszczot. Wspomagany pytaniami panny Sundaran opowiedział szczegółowo, że jak zwykle wczesnym rankiem zabrał Mitcha na



spacer i że obawiając się nadciągającego deszczu, wszedł przez dziurę w płocie na ogrodzony niezagospodarowany teren i skierował się na skróty do domu. W pewnej chwili Mitch przybiegł do niego, trzymając coś w pysku. Był to portfel, a ponieważ pan Whittaker przeczytał w piątkowej gazecie apel policji, niezwłocznie dostarczył znalezisko na posterunek przy Dover Street.

Jak tylko skończył, wstał z miejsca mężczyzna w eleganckim, kosztownym garniturze. Pan Whittaker wiedział, że to obrońca obu bandziorów. Dawniej nie patyczkowano by się z nimi, tylko powieszono by ich na najbliższej gałęzi. Niestety czasy się zmieniły. Ten człowiek ich bronił, więc był wrogiem, lecz mimo to uśmiechał się całkiem przyjaźnie.

- Taki wczesny letni poranek to najprzyjemniejsza pora dnia, prawda? Chłodno, spokojnie, nikogo nie ma...

- Dlatego właśnie lubię tę porę.

- Ja też. Często wychodzę wtedy na spacer z moim jack russell terierem.

Chyba nie taki zły ten gość. Co prawda Mitch był najwykleszym mieszkańcem, ale kiedyś, dawno temu, pan Whittaker miał jack russell teriera.

- Wróćmy jeszcze raz do tej sytuacji: idzie pan przez ogrodzony teren, a Mitch biegnie bez smyczy, tak?

- Zgadza się.

- I nagle zjawia się z portfelem w pysku?

- Tak jest.

- Widział pan, gdzie dokładnie go znalazł?

- Nie.

- Czy to mogło być na przykład dziesięć jardów od ogrodzenia?

- Ja odszedłem na jakieś dwadzieścia, a Mitch nadbiegł z tyłu.

- Czyli mógł znaleźć portfel nawet dziesięć jardów od płotu?

- Myślę, że tak.

- Dziękuję, panie Whittaker.

Starszy pan był mocno zdziwiony, że tak szybko poproszono go o opuszczenie miejsca dla świadków. To naprawdę wszystko? Lekko rozczarowany zajął miejsce w jednym z ostatnich rzędów.

Badania odcisków palców dla londyńskiej policji również wykonują cywilni fachowcy.

Jednym z nich był Clive Adams. Opisał portfel, który mu dostarczono, powiedział o trzech rodzajach odcisków palców oraz o tym, jak kolejno identyfikował je jako odciski pana Whittakera, nieżyjącego właściciela portfela, oraz Harry'ego Cornisha. Vansittart natychmiast pospieszył z pytaniami.

- Czy były smugi?

- Owszem.

- W jaki sposób powstają takie smugi, panie Finch?

- Wystarczy, że odciski nakładają się na siebie albo że przedmiot, na którym je pozostawiono, otarł się o coś.

- Na przykład o wewnętrzną wyściółkę kieszeni?

- Na przykład.

- Czyje odciski były najwyraźniejsze?

- Pana Whittakera i pana Cornisha.
  - Znajdowały się na zewnętrznej stronie portfela?
  - Tak, z wyjątkiem dwóch odcisków palców pana Cornisha, które były wewnątrz.
  - A więc odciski pozostawione przez pana Whittakera były wyraźne i pozbawione smug, jakby portfel ani przez chwilę nie znajdował się w ciasnej kieszeni?
  - Mniej więcej tak to wyglądało.
  - Odciski pana Cornisha były równie wyraźne?
  - Tak jest.
  - Załóżmy, że ktoś zabiera portfel napadniętej ofierze, opróżnia go z zawartości, a następnie wpycha do tylnej kieszeni obcisłych dżinsów. Czy w takiej sytuacji jest szansa, żeby pozostawione przez niego odciski były wyraźne i nienaruszone?
  - Owszem, jest.
  - Ale po kilkusetjardowym biegu chyba nie wyglądałyby już tak świeżo, a być może nawet całkiem by się zatarły?
  - Nie można tego wykluczyć.
  - A gdyby złodziej, używając kciuka i palca wskazującego, wyjął potem portfel z kieszeni, by go wyrzucić, czy pozostawiłby na rozmazanych odciskach nowe, czytelne?
  - Zapewne tak by się stało.
  - W swoim raporcie napisał pan, że na portfelu pod świeżymi odciskami znajdowały się smugi, które mogły stanowić pozostałość po palcach innej osoby.
  - Owszem, ale nie sposób tego teraz ustalić. Rozmazane odciski równie dobrze mogły należeć do właściciela portfela lub Cornisha.
- Siedzący w głębi sali Jack Burns poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Panna Verity Armitage. Podniosła przecież portfel z podłogi.
- Panie Adams, portfel zabrano ofierze kilka minut po drugiej po południu we wtorek przed dwoma tygodniami. Już w środę, mniej więcej o tej samej porze, pan Cornish znalazł się w policyjnym areszcie. Wynika z tego, że musiał pozostawić odciski na portfelu w ciągu tych dwudziestu czterech godzin, prawda?
  - Rzeczywiście.
  - Jednak portfel odnaleziono dopiero w niedzielę rano, z czego wynika, że przeleżał w trawie od czterech i pół do pięciu i pół doby. Mimo to odciski przetrwały w doskonałym stanie.
  - Przy ładnej bezdeszczowej pogodzie jest to całkowicie możliwe.
  - Czy wobec tego jest pan w stanie precyzyjnie określić, czy odciski palców pana Cornisha pojawiły się na portfelu we wtorek, czy w środę?
  - Niestety nie.
  - W środę rano dwaj młodzi ludzie, idąc Mandela Road, zobaczyli leżący na chodniku portfel. Jeden z nich, wiedziony całkiem naturalną ciekawością, zatrzymuje się, podnosi go i otwiera. Portfel jednak jest pusty, a do tego bardzo tani, zupełnie pozbawiony wartości. W związku z tym ów młody człowiek wyrzuca go za metalowe ogrodzenie. Portfel spada na ziemię i leży tam aż do niedzieli, kiedy znajduje go pies. Czy to brzmi prawdopodobnie?
  - W miarę.

- Tak czy nie, panie Finch? Czy gdyby wydarzenia rozegrały się według takiego schematu, odciski palców na portfelu wyglądałyby właśnie w ten sposób?

- Tak.

Kolejna zaszyfrowana wiadomość dla sędziego Steina. Harry Cornish będzie twierdził, że było tak, jak przed chwilą opowiedział jego adwokat. Sędzia Stein zanotował coś z poważną miną.

Pozostał jeszcze pan Veejay Patel. Jego dotychczasowe zeznania były jednoznaczne. Przy pomocy panny Sundaran powtórzył je od początku do końca. Burns z każdą chwilą coraz bardziej się odprężył. Sprawy znowu zaczęły przybierać korzystny obrót.

Vansittart podniósł się z miejsca.

- Panie Patel, jest pan uczciwym człowiekiem.

- Mam nadzieję.

- Człowiekiem, który nie zawahałby się przyznać do pomyłki, gdyby nabrał uzasadnionych podejrzeń, że ją popełnił?

- Mam nadzieję.

- Powiedział pan, że dokładnie widział twarz pana Price'a, ponieważ ten stał zwrócony przodem w pańskim kierunku.

- Tak. Stał po prawej stronie, patrząc od strony sklepu.

- Równocześnie stał przodem do ofiary, z czego wynika, że ofiara była odwrócona do pana tyłem. Dlatego nie mógł pan opisać jej wyglądu.

- Właśnie.

- Twierdził pan także, iż drugi napastnik, którym według pańskich zeznań był pan Cornish, stał za plecami ofiary. Wynika z tego, że on również był zwrócony do pana tyłem?

- No, tak.

- Wobec tego, jak udało się panu zobaczyć jego twarz?

Pan Patel wyraźnie się zaniepokoił.

- Wtedy jej nie widziałem. Dopiero później, kiedy kopał tego człowieka.

- Panie Patel, gdyby kopał pan kogoś leżącego na ziemi, gdzie by pan patrzył?

- Chyba właśnie na niego...

- Czyli w dół?

- Tak.

- Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, czy zechciałby pan wstać, panie Cornish?

Harry Cornish wstał, razem z nim zaś uczynił to policjant, z którym był skuty kajdankami. Sędzia Stein zrobił zdziwioną minę, ale Vansittart twardo parł naprzód.

- Panie Cornish, proszę teraz spojrzeć pod swoje stopy.

Jak tylko Cornish pochylił głowę, długie włosy całkowicie zasłoniły jego twarz. W sali zapadła martwa cisza. Po dłuższej chwili przerwał ją Vansittart.

- Może pan usiąść, panie Cornish. - Następnie zwrócił się łagodnym tonem do właściciela sklepu: - Panie Patel, wydaje mi się, że w rzeczywistości zobaczył pan z odległości około trzydziestu jardów jakiegoś szczupłego młodego człowieka o pociągłej twarzy i długich włosach. Następnego dnia zobaczył pan zdjęcie osoby odpowiadającej z

grubsza temu opisowi i nieco pochopnie uznał pan, że to właśnie ten człowiek. Czy mogło tak się zdarzyć?

- Chyba tak... - wyszeptał Veejay Patel.

Burns rozpaczliwie usiłował nawiązać z nim kontakt wzrokowy, ale świadek nie patrzył w jego stronę. Jeszcze jeden, przemknęło Burnswi przez głowę. Jeszcze jeden, do którego zadzwonił ktoś w nocy albo nad ranem i zapytał, jak się czują żona i dzieci. Boże, jeszcze jeden.

- A teraz wróćmy do pana Price'a. Czy bywa pan na stadionie Arsenalu przy Highbury Road?

- Nie.

- Tamtego okropnego dnia zobaczył pan przysadzistego, mocno zbudowanego młodego człowieka o bardzo krótko ostrzyżonych włosach, zgadza się?

- Tak jest.

- Gdyby choć raz przeszedł się pan na mecz, spotkałby pan stu takich młodych ludzi, kolejną setkę zobaczyłby pan zaś w samochodach pędzących z niedozwoloną prędkością ulicami północnego Londynu. Czy wie pan, jak oni wszyscy są ubrani? W granatowe dżinsy i brudne podkoszulki, do tego zaś mają szerokie skórzane pasy. To prawie jak mundur. Widywał pan już takich ludzi?

- Owszem.

- W różnych miejscach w Londynie?

- Tak.

- I w telewizji, gdzie pokazywano policjantów z rozmaitych europejskich krajów walczących z angielskimi pseudokibicami?

- Tam też.

- Panie Patel, napadnięty nie mógł uderzyć napastnika z taką siłą, jaką pan opisywał. Gdyby tak uczynił, na jego ręce musiałyby zostać jakieś ślady. Przypuszczam, że widział pan, jak ofiara podnosi prawą rękę po to, by zasłonić się przed kolejnym ciosem. Czy mogło tak właśnie być?

- Tak, mogło.

- Skoro pomylił się pan w tej sprawie, być może pomylił się pan również w innych? Być może wcale nie widział pan twarzy napastników aż tak dokładnie, jak się panu wydawało?

Burns oparł głowę na rękach. Ten, kto „przeszkolił” Patela, znał się na rzeczy. Świadek nie odwołał wcześniejszych zeznań, co mogłoby się wydawać podejrzane, lecz zamiast „na pewno” mówi teraz „być może” a zamiast „bez wątpienia” - „przypuszczalnie”. Sądy nie skazują ludzi na podstawie przypuszczeń.

- Oskarżenie przedstawiło już wszystkich świadków, panie sędzio, i zgłasza wniosek o skierowanie sprawy przed sąd karny - oświadczyła panna Sundaran, kiedy pan Patel opuścił miejsce dla świadków.

Sędzia Stein spojrział wyczekująco na Jamesa Vansittarta. Obaj wiedzieli, co teraz nastąpi. W sali zrobiło się tak cicho, że dałoby się usłyszeć brzęknięcie spadającej szpilki.

- Panie sędzio, wszyscy doskonale sobie zdajemy sprawę z wagi decyzji, jaką ma pan podjąć. Musi pan być całkowicie pewien, że przedstawione dowody są wystarczające, aby, oczywiście jeśli nie zostaną obalone, na ich podstawie niezależny sąd z czystym sumieniem wydał wyrok skazujący. Moim zdaniem o niczym takim nie może być mowy. Oskarżenie oparło swój wniosek na trzech zasadniczych dowodach: zeznaniach pana Patela, złamanym nosie i portfelu. Pan Patel, dogłębnie uczciwy człowiek, przyznał przed chwilą, iż po głębszym namyśle wcale nie jest pewien, czy rzeczywiście rozpoznał oskarżonych na przedstawionych mu fotografiach. Pozostaje nam więc nos pana Price'a oraz odciski palców pana Cornisha na pustym, porzuconym portfelu. Chociaż z pewnością nie musi pan się zastanawiać, co będzie lub nie będzie powiedziane przed innym sądem, ani tym bardziej domyślać się linii obrony, to jednak dzięki swojej wiedzy i bogatemu doświadczeniu bez wątplenia zdaje pan sobie sprawę, iż dowody te zostaną obalone. Istnieje przecież logiczne i całkowicie wiarygodne wyjaśnienie zarówno kwestii złamanego nosa, jak i portfela. Obaj wiemy, że w takiej sytuacji żaden sąd nie wyda wyroku skazującego, w związku z czym nie pozostaje mi nic innego, jak prosić o oddalenie wniosku oskarżenia.

To prawda, pomyślał Jonathan Stein. Sąd puści wolno tych dwóch rzezimieszków. Vansittart tak czy inaczej osiągnie swój cel, tyle że gdyby jednak doszło do rozprawy, kosztowałoby to mnóstwo czasu i pieniędzy z publicznej kasy.

- Po głębokim zastanowieniu jestem zmuszony przyznać rację panu Vansittartowi. Umarzam sprawę. Proszę uwolnić oskarżonych.

Z tymi słowami wstał i wyszedł z sali, dogłębnie zniesmaczony swoją decyzją.

- Proszę wstać! - wykrzyknął woźny z pewnym opóźnieniem, ponieważ większość obecnych już tłoczyła się przy drzwiach. Cornish i Price, już bez kajdanek, usiłowali ucisnąć rękę Vansittartowi, ale ten minął ich jak powietrze i wyszedł na korytarz. Dotarcie na parter gmachu sądu zajmuje zwykle trochę czasu, ale tym razem Burns znalazł się tam jako jeden z pierwszych. Dochodząc do drzwi, odwrócił się i ujrzał wychodzących z windy Price'a i Cornisha. Obaj, teraz już wolni ludzie, jak na komendę pokazali mu palec.

- Wypchaj się, gnoju! - wrzasnął Price, po czym wyszli na Highbury Street i zamaszystym krokiem skierowali się do swojej nory.

- To było bardzo niegrzeczne - odezwał się głos tuż obok niego.

Burns przez chwilę w milczeniu przyglądał się mężczyźnie w nienagannie skrojonym garniturze i o równie nienagannych manierach, czując, jak ogarnia go fala nienawiści i obrzydzenia do niego i jemu podobnych.

- Mam nadzieję, że jest pan z siebie zadowolony, panie Vansittart. Ci dwaj zamordowali bezbronного człowieka jak dwa razy dwa jest cztery, a dzięki panu znaleźli się na wolności i mogą to zrobić jeszcze raz. I jeszcze. - Był tak wściekły, że nawet nie silił się na uprzejmość. - Mało panu było spraw, które prowadził pan za ciężką forszę? Po co zjawił się pan tutaj, żeby za darmo uwolnić tych dwóch zwyrodnialców?

W błękitnych oczach Vansittarta nie było szyderstwa, tylko współczucie. Jego reakcja całkowicie zaskoczyła detektywa: Vansittart podszedł jeszcze bliżej (Burns poczuł dyskretny zapach bardzo drogiej wody kolońskiej) i wyszeptał Burnsowi do ucha:

- Może to pana zdziwi, lecz dzisiaj jednak zatryumfowała sprawiedliwość.

Wyszedł przez obrotowe drzwi, wszedł do bentleya, który zjawił się nie wiadomo skąd, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zatrzasnął drzwi i odjechał.

- Ale mi tryumf, niech mnie szlag trafi! - parsknął Burns.

Była już pora lunchu, postanowił więc wrócić na piechotę na oddalony o dwie mile posterunek. W połowie drogi odezwał się pager; wzywano go właśnie do komisariatu. Natychmiast zadzwonił z telefonu komórkowego.

- Jest tu do ciebie jakiś starszy jegomość - poinformował go dyżurny. - Mówi, że znał ofiarę.

„Starszy jegomość” okazał się zaawansowanym wiekiem emerytem, londyńczykiem do szpiku kości. Burns znalazł go w jednym z pokoiów przesłuchań, najspokojniej w świecie palącego papierosa pod wywieszką z zakazem palenia, i od razu zapalał do niego sympatią. Nazywał się Albert Clarke, „ale wszyscy mówią na mnie Nobby”.

Burns i Nobby Clarke usiedli naprzeciwko siebie przy stole. Detektyw otworzył notes.

- Dla formalności, poproszę o pełne imię, nazwisko i adres. - Chwilę potem przerwał pisanie i spojrzał ze zdziwieniem na starszego mężczyznę. - Willesden? To strasznie daleko stąd!

- Wiem, gdzie to jest. Przecież tam mieszkam.

- A ofiara?

- Też. Przecież tam się poznaliśmy, no nie?

Clarke należał do tych rdzennych londyńczyków, którzy uwielbiają zamieniać wszystkie lub prawie wszystkie zdania twierdzące w pytające.

- I przejechał pan taki kawał drogi, żeby mi o nim powiedzieć?

- Pomyślałem, że tak trzeba, skoro nie żyje, i w ogóle. Musi pan dorwać tych drani, którzy to zrobili.

- Dorwałem ich - odparł ponuro Burns - ale sąd ich zwolnił.

Clarke zaniemówił ze zdumienia. Burns podsunął mu wyjętą z szuflady popielniczkę i mężczyzna zgasił papierosa.

- Tak nie powinno być. Co się dzieje z tym krajem, do cholery?

- Nie pan jeden się nad tym zastanawia. Wracajmy jednak do rzeczy. Jak nazywała się ofiara?

- Peter.

- A dalej?

- Nie wiem. Nigdy go nie pytałem.

Burns przymknął oczy i policzył w duchu do dziesięciu.

- Przypuszczamy, że przyjechał tu we wtorek położyć kwiaty na jednym z grobów na miejscowym cmentarzu. To była jego matka?

- Nie. Nie miał rodziców, umarli, kiedy był mały. Wychowywali go w Bernado. To pewnie była ciotka May, jego opiekunka.

Burns wyobraził sobie małego, samotnego chłopca i troskliwą kobietę usiłującą polatać jego poszargane życie. Dwadzieścia lat po jej śmierci wciąż o niej pamiętał i kładł kwiaty na jej grobie. Osiemnaście dni temu zapłacił za to własnym życiem.

- Gdzie się poznaliście?

- W klubie.
  - W jakim klubie?
  - Przy Opiece Społecznej. Dawali nam krzesła, bo ja mam artretyzm, a on kulał na jedną nogę.
- Burns bez trudu wyobraził sobie dwóch starszych mężczyzn czekających cierpliwie w tłumie interesantów.
- Pewnie rozmawialiście o tym i owym?
  - Pewnie.
  - I nigdy nie zapytał go pan o nazwisko?
  - Nie, bo on nigdy nie pytał o moje.
  - Pan zapewne odbierał tam emeryturę, a on?
  - Rentę inwalidzką. Miał trzydzieści procent utraty zdrowia.
  - Pewnie za nogę. Mówił, gdzie się tego dorobił?
  - A jakże. W wojsku, był komandosem. Skakał w nocy i wiatr zniósł go na skały. Spadochron ciągnął go przez pięćset jardów. Kiedy kumple go znaleźli, prawa noga była w kawałkach.
  - Więc pewnie był bezrobotny?
  - Peter? - prychnął z oburzeniem Nobby Clarke. - Skądże znowu! Nie wzięłby od nikogo ani pensa, który by mu się nie należał. Był nocnym stróżem.
- Nic dziwnego, że nikt nie zgłosił zaginięcia. Mieszkał i pracował sam, a firma, która go zatrudniała, przypuszczalnie wypuściła wszystkich pracowników na urlop. Cholerny sierpień.
- Skąd się pan dowiedział o jego śmierci?
  - Z gazety.
  - Informacja ukazała się dziewięć dni temu. Dlaczego czekał pan tak długo?
  - Bo to sierpień. W sierpniu zawsze jeżdżę na dwa tygodnie do córki, na wyspę Wight. Wróciłem dopiero wczoraj. Nie na moje zdrowie to świeże powietrze i ten wiatr od morza. Zakaszłał i zapalił kolejnego papierosa.
  - W takim razie jakim cudem w pańskie ręce trafiła gazeta sprzed dziewięciu dni?
  - Przez ziemniaki.
  - Ziemniaki?
  - Kartofle - wyjaśnił cierpliwie Nobby Clarke.
  - Wiem, co to są ziemniaki, ale co mają wspólnego z tą sprawą?
- W odpowiedzi Nobby Clarke wyjął z kieszeni brudną, naderwaną i wymiętą pierwszą stronę „Evening Standard” sprzed dziewięciu dni.
- Dziś z samego rana poszedłem do warzywniaka kupić sobie ziemniaków na kolację. Wróciłem do domu, wysypałem je z gazety na stół i patrzę, a on gapi się na mnie z pierwszej strony.
- No tak. W małych, staromodnych sklepikach z warzywami wciąż jeszcze zawijano klientom zakupy w gazetę. Na drugiej stronie znajdował się artykuł zawierający szczegółowy opis zdarzenia oraz wzmiankę o detektywie Burnsie z posterunku przy Dover Street.
- Przyjechałem najszybciej jak mogłem.

- Odwieźć cię do domu, Nobby?

Mężczyzna aż pokraśniał.

- Od czterdziestu lat nie jechałem radiowozem. Wtedy to była policja, nie to co teraz! Burns wezwał Luke'a Skinnera, polecił mu wziąć klucz, który znaleziono w kieszeni ofiary, i pojechać samochodem przed wejście.

Wysadzili Nobby'ego Clarka przed drzwiami jego mieszkania, a następnie pojechali do siedziby miejscowego oddziału pomocy społecznej. Urzędnicy właśnie kończyli pracę, ale Burns machnął legitymacją i powiedział, że chce rozmawiać z kierownikiem.

- Szukam człowieka. Na imię ma Peter, nazwiska nie znam. Średniego wzrostu, średniej budowy ciała, siwe włosy, wiek pięćdziesiąt do pięćdziesięciu pięciu lat. Wyraźnie kuleje, dostaje rentę inwalidzką z powodu trzydziestoprocentowej utraty zdrowia. Często siadał... - Rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu krzesła. - O tam, razem z Nobbym Clarkiem.

Biura pomocy społecznej nie należą do miejsc, gdzie często i łatwo nawiązują się kontakty międzyludzkie, a przynajmniej nie między osobami siedzącymi po przeciwnych stronach biurka. Mimo to jedna z urzędniczek przypomniała sobie: Peter Benson.

Kierownik po chwili przyniósł jego teczkę. Zawierała również fotografię - niedużą i niezbyt dobrej jakości, ale całkowicie wystarczającą. Skinner zanotował adres.

- Nie pokazuje się od trzech tygodni - powiedział kierownik. - Pewnie gdzieś wyjechał.

- Nie żyje - odparł Burns. - Może pan przenieść teczkę do archiwum. Już więcej nie przyjdzie.

- Jest pan pewien? - zapytał nieufnie kierownik. - Powinniśmy chyba otrzymać oficjalne zawiadomienie...

- Niestety, on wam go na pewno nie dostarczy. Przepraszam w jego imieniu.

Po szybkim przejrzaniu planu Londynu i przy pomocy kilku okolicznych mieszkańców udało im się trafić pod wskazany adres. Niewielkie dwupokojowe mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze. Musieli odbyć wspinaczkę po schodach, ponieważ winda była nieczynna. Otworzyli drzwi i weszli do środka.

Mimo grubej warstwy kurzu i kilku martwych much na parapecie, w skromnie urządzonej wnętrze panował wzorowy porządek. Pozmywane naczynia stały na suszarce przy zlewozmywaku.

W szufladzie nocnej szafki znaleźli trochę wojskowych pamiątek i pięć odznaczeń, a wśród nich Military Medal, przyznawany za okazanie szczególnej odwagi na polu bitwy. Na półkach stały tanie wydania mocno sfatygowanych książek, na ścianach wisiały fotografie. Jedna z nich przedstawiała czterech młodych mężczyzn, uśmiechających się do aparatu na tle skrawka pustyni i fragmentu czegoś, co przypominało stary, wzniesiony z kamienia fort. Pod nią widniał podpis: „Mirbat, 1972”.

- Co to jest Mirbat? - spytał Skinner, podchodząc do Burnsa.

- Mała wioska w Dhofar, wschodniej prowincji Omanu, na samym końcu Półwyspu Arabskiego.

Młodzi ludzie byli w pustynnych mundurach, jeden miał na głowie zawój z arabskiej kraciastej chusty, trzech pozostali natomiast berety w kolorze piasku. Burns wiedział, że gdyby przyjrzał się fotografii przez szkło powiększające, dostrzegłby na beretach



emblematy w postaci uskrzydłonego sztyletu z trzema literami u góry i trzema krótkimi słowami u dołu.

- Skąd pan wie? - zdziwił się Skinner.

- Kiedyś do Devon przyjechała królowa. Trafiłem do obstawy. Dali nam dwóch ludzi z tego oddziału. Nieraz musieliśmy czekać całymi godzinami, więc sporo rozmawialiśmy. Opowiedzieli nam o Mirbacie.

- Co tam było?

- Bitwa. Jedna z bitew tajnej wojny. Komunistyczni terroryści przekradli się przez granicę z Jemenu, żeby obalić sułtana. My wysłaliśmy oddział doradców. Któregoś dnia grupa około dwustu lub trzystu terrorystów zaatakowała wioskę i garnizon Mirbat. Było tam dziesięciu naszych ludzi i kilkunastu miejscowych żołnierzy.

- Kto zwyciężył?

Burns stuknął palcem w fotografię.

- Oni. Stracili dwóch ludzi, wyłukli ponad stu napastników, aż w końcu tamci uciekli. Trzej młodzi mężczyźni stali, czwarty przyklęknął na jedno kolano. Dwadzieścia cztery lata temu, w zapomnianej przez świat pustynnej wiosce. Klęczący był szeregowcem, za nim stali: sierżant, porucznik i młody oficer, czyli „Rupert”. Skinner zbliżył twarz do zdjęcia.

- To on - powiedział, wskazując na klęczącego żołnierza. - Peter Benson. Biedaczysko. Przeszedł przez coś takiego, a potem zginął skopany na śmierć na ulicy w Edmonton... Burns już wcześniej rozpoznał Bensa. Teraz wpatrywał się w oficera. Gładkie jasne włosy ukrył pod beretem, a jasnoblękitne oczy o aroganckim spojrzeniu zmrużył trochę, by ochronić je przed blaskiem słońca, ale Burns i tak nie miał żadnych wątpliwości. Ten młody człowiek miał cały i zdrow wrócić do domu, skończyć studia prawnicze i ćwierć wieku później zostać jednym z najbardziej wziętych adwokatów w kraju. Głośny świst, z jakim Skinner wciągnął powietrze, świadczył o tym, że on także dostrzegł niepozostawiające żadnych wątpliwości podobieństwo.

- Nie rozumiem... - wyszeptał. - Skopali na śmierć jego kumpla, a on pofatygował się specjalnie, żeby uratować im tyłki?

W uszach Burnsa znowu zabrzmiał kulturalny, uprzejmy głos: „Może to pana zdziwi, panie Burns, ale...”.

Dopiero teraz, spoglądając na twarze czterech młodych żołnierzy sprzed ćwierćwiecza, Burns zrozumiał, że prawnik miał na myśli sprawiedliwość nie w rozumieniu współczesnym, lecz tym ze Starego Testamentu.

- Szefie... - odezwał się stojący u jego boku Skinner. - Jak pan myśli, co się stanie, jeśli ten sierżant albo porucznik spotkają kiedyś na ulicy Price'a albo Cornisha?

- Nie wiem - odparł cicho Burns. - Nie wiem i chyba wolałbym nie wiedzieć.

Dzień dwudziesty czwarty: czwartek

Pogrzeb odbył się na cmentarzu Specjalnego Oddziału Sił Powietrzno-Desantowych w pobliżu bazy w Herefordzie. Ciało starego żołnierza spoczęło w grobie. Trębacz odegrał „ostatnią wartę”, oddano salwę honorową. W ceremonii uczestniczyło około dziesięciu osób, wśród nich znany adwokat.

Tego samego wieczoru z jeziora w pobliżu Wanstead Marshes we wschodnim Londynie wyłowiono dwa ciała. Zidentyfikowano je jako Marka Price'a i Harry'ego Cornisha. Obaj ponieśli śmierć w wyniku uduszenia, a narzędziem zbrodni była struna pianina lub fortepianu. Nigdy nie udało się schwytać sprawców tej podwójnej zbrodni.

Cud

Siena, 1975

Żar lał się z nieba. Bezlitosne promienie z siłą młota waliły w dachy warownego tokańskiego miasta. Średniowieczne dachówki, niektóre wciąż jeszcze różowe, lecz w większości spalone na brąz lub szary odcień popiołu, połyskiwały lekko w rozgrzanym powietrzu.

Cienie czarne jak noc kładły się pod gzymsami wieńczącymi okna - ale tam, gdzie docierało słońce, białe tynkowane ściany i wiekowe cegły. Drewniane okiennice obłaziły z farby. W wąskich brukowanych uliczkach najstarszej części miasta niekiedy trafiały się plamy chłodnego mroku. Tam też senne koty zwykle szukały schronienia. Mieszkańców ani śladu, bo dziś był Dzień Palio.

Jednym z takich zaułków, zagubiony w labiryncie przecznic niewiele szerszych od jego ramion, szedł czerwony jak burak amerykański turysta. Pot zmoczył mu obficie bawełnianą koszulkę z krótkimi rękawami. Wędkarska kamizelka ciążyła jak z ołowiu. Z tyłu dreptała żona, krzywiąc się okrutnie, gdyż bolały ją stopy w sandałach na wysokich obcasach.

Zbyt późno próbowali zarezerwować hotel w mieście. O tej porze roku było to niemożliwe. Wreszcie znaleźli pokój w Casole d'Elsa. Wynajęty samochód stanął im po drodze, w końcu znaleźli parking zaraz za murami i piechotą ruszyli aż od Porta Oville. Szybko zabłądzili w plątaninie pięćsetletnich ulic, parząc stopy na kamiennym bruku. Od czasu do czasu ranczer z Kansas zatrzymywał się i nadstawiał ucha, słuchając ryku tłumu. Starał się odgadnąć, skąd ów ryk pochodzi. Jego dobrze utrzymana żona czekała tylko na okazję, żeby stanąć przy nim i powachlować się przewodnikiem.

- Zaczekaj na mnie! - zawołała, kiedy znowu weszli w wąwóz dwóch ceglanych murów, które już były stare, gdy przejeżdżał tędy sam Cosimo di Medici.

- Pospiesz się, kochanie! - odkrzyknął przez ramię. - Przegapimy paradę!

Miał rację. Pięćset jardów dalej nieprzebrana ciżba na Piazza del Campo wyciągała szyje, by zobaczyć pierwszych uczestników Camparse, parady w barwnych kostiumach siedemnastu bogatych cechów, które kiedyś rządziły i władały Sieną. W myśl tradycji, dziesięć z siedemnastu contrade brało udział w wyścigu konnym, a zwycięski cech zabierał do swojej siedziby malowaną banderę, czyli właśnie palio. Ale najpierw parada. Amerykanin przeczytał o tym swojej żonie poprzedniego wieczora w pokoju hotelowym. „Contrade, czyli dzielnice Sieny, zostały utworzone na przełomie dwunastego i trzynastego wieku”.

- Ależ to przed Kolumbem! - zaprotestowała, jakby świat nie zaznał żadnych ważkich wydarzeń, dopóki wielki Cristobal nie opuścił wód Tagu i nie popłynął na zachód po śmierć lub zwycięstwo.

- Właśnie. Kolumb to tysiąc czterysta dziewięćdziesiąty drugi. Trzy wieki wcześniej w Sienie wyznaczono czterdzieści dwie contrade, po trzystu latach ich liczbę zredukowano do dwudziestu trzech, a w tysiąc sześćset siedemdziesiątym piątym ostatecznie do siedemnastu. Zobaczmy je jutro.

Tymczasem na Campo wkraczały już pierwsze szeregi setek strojnych doboszy, muzyków i chorążych, biorących udział w Camparse. Na szesnastu pałacach wisiały godła i sztandary, a w oknach i na balkonach stali najbardziej uprzywilejowani z widzów. Reszta czterdziestotysięcznego tłumu z rumorem wypełniała środek placu.

- Szybciej, kochanie! - zawołał Amerykanin, kierując się w stronę zgiełku. - Pokonaliśmy taki kawał drogi, żeby to zobaczyć. O, tam jest ta przeklęta dzwonnica.

Rzeczywiście. Czubek wieży Mangia był widoczny ponad dachami. W tej samej chwili żona potknęła się i upadła, z nogą uwięzioną między kamieniami. Głośno krzyknęła z bólu. Mąż zawrócił natychmiast i podbiegł do niej.

- Och, kochanie... Co ci się znów stało?

Z zatroskaniem pochylił się nad nią. Trzymała się za kostkę.

- Chyba zwichnęłam nogę - odparła i zaczęła płakać. Zaczęło się tak pięknie i skończyło ponuro.

Mąż rozejrzał się po ulicy, ale wszystkie drewniane odrzwia były zamknięte naглуcho. Kilka jardów dalej krawędź muru przechodziła w wypukłe sklepienie, pod którym prześwitywało słońce, jak przez bramę.

- Chodź, podejźmy tam, może zdołasz gdzieś usiąść - powiedział.

Dźwignął ją z bruku i pokuśtykali do bramy. Weszli na dziedziniec obsadzony krzewami róż i - chwała Bogu - z kamienną ławką w cieniu muru. Amerykanin pomógł usiąść żonie. Westchnęła z wyraźną ulgą.

Hen, w dali, koniec parady opuszczał Piazza del Duomo, a czoło kolumny dotarło już do Campo, gdzie jurorzy starannie oceniali wygląd, prezencję i ruchy pocztów sztandarowych. Niezależnie od wyników wyścigu, delegacja najlepszej contrada miała otrzymać masalgano, czyli finezyjnie zdobioną srebrną tacę. Wszyscy wiedzieli, że to bardzo ważne. Turysta pochylił się, żeby obejrzeć kostkę żony.

- Czy mogę państwu w czymś pomóc? - zabrzmiał cichy głos.

Amerykanin drgnął i odwrócił się. Zobaczył obramowaną słońcem sylwetkę obcego człowieka. Wstał. Nieznajomy był szczupły i wysoki, o spokojnej pomarszczonej twarzy. Podobnie jak Amerykanin, był już po pięćdziesiątce. Siwiał. W spłowiałych płóciennych spodniach i dżinsowej koszuli wyglądał na włóczęgę, niemłodego hipisa. Dobrze mówił po angielsku, lecz z wyraźnym akcentem, prawdopodobnie włoskim.

- To zależy - podejrzliwie odparł Amerykanin.

- Pańska żona upadła i skręciła kostkę?

- Tak.

Nieznajomy przyklęknął na kamiennej ścieżce, zdjął Amerykance sandał i powoli zaczął masować opuchniętą nogę. Miał delikatne i zręczne palce. Człowiek z Kansas spoglądał czujnie, gotów w każdej chwili bronić połowicy.

- Kość jest cała. To tylko paskudne zwichnięcie - orzekł nieznajomy.

- Skąd pan wie? - zapytał mąż.

- Wiem - padła krótka odpowiedź.
  - Ach, tak? A kim pan jest?
  - Ogrodnikiem.
  - Ogrodnikiem? Tutaj?
  - Podlewam róże, zamiętam dziedziniec i dbam o porządek.
  - Ale dziś jest Dzień Palio. Nie słyszał pan?
  - Słyszałem. Trzeba to zabandażować. Mam czyste płótno, żeby zrobić szarpie. I zimną wodę na okład.
  - Co pan tu robi w Dzień Palio?
  - Nigdy nie biorę w tym udziału.
  - Dlaczego? Przecież świętuje całe miasto.
  - Bo to dzisiaj. Drugiego lipca.
  - A co w tym szczególnego?
  - To także Dzień Wyzwolenia.
  - Co?
  - Trzydzieści jeden lat temu, drugiego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, Siena została wyzwolona spod niemieckiej okupacji. I coś się zdarzyło tutaj, na tym podwórku. Coś ważnego. Moim zdaniem to cud. Pójdę po wodę.
- Amerykanin nie posiadał się ze zdumienia. Pochodził z Topeka i był katolikiem. Uczęszczał na mszę i do spowiedzi. Wierzył w cuda - zwłaszcza te, które zostały potwierdzone w Rzymie. Po to przyjechał do Włoch, żeby wreszcie znaleźć się w Rzymie. Siena to tylko dodatek. Rozejrzył się po pustym dziedzińcu.
- Prostokątny, jakieś dwadzieścia na trzydzieści jardów. Z dwóch stron otoczony wysokim murem, przynajmniej dwuipółjardowym, z łukowatą bramą, otwartą na ulicę. Dwa pozostałe mury były jeszcze wyższe, co najmniej pięćdziesięciostopowe, gładkie - jeśli nie liczyć maleńkich wywietrzników - i kryte dachówką. Zewnętrzne ściany starych jak Siena budynków. W odległym kącie dziedzińca, okolone masywnym portalem, białe drzwi. Nie były zbite z samych desek, ale z masywnych bali, jakby miały chronić przed nagłym atakiem. Zamknięte naглуcho. Wiekowe drewno już dawno spłowiło od słońca, z wyjątkiem kilku ciemnych plam.
- Wzdłuż muru, od rogu do rogu, ciągnęła się kryta kolumnada. Dach spoczywał na kamiennych słupach i kuśił chłodnym cieniem. Ogrodnik wrócił z bandażami i metalowym kubkiem pełnym wody.
- Klęknął ponownie i ciasno owinął kostkę Amerykanki, po trochu zwilżając płótno. Westchnęła z wdzięcznością.
- Dojdiesz na pokazy palio? - spytał mąż.
- Żona wstała, wsparła się na nodze, i jęknęła. Bolało.
- Jak pan sądzi? - zapytał ogrodnika.
- Ten wzruszył ramionami.
- Ulice są wąskie, gęsty tłum i sporo zamieszania. Bez podium albo drabiny nic nie zobaczycie. Ale zabawa trwa do wieczora. W każdym zaułku znajdziecie przebierańców. A w sierpniu będzie następne palio. Nie możecie poczekać?
  - Nie. Muszę doglądać stada. Za tydzień wyjeżdżamy.

- Och. W takim razie... idźcie bardzo powoli.
  - Możemy tu jeszcze chwilę posiedzieć, kochanie? - zapytała.
- Turysta skinął głową. Omiótł wzrokiem dziedziniec.
- Jaki cud? Nie widzę tu żadnej świątyni.
  - Nie ma świątyni. Nie ma świętego. Jeszcze nie. Ale kiedyś...
  - Co się tu wydarzyło trzydzieści jeden lat temu?

### Opowieść ogrodnika

- Brał pan udział w drugiej wojnie światowej?
  - Oczywiście. Służyłem w marynarce. Na Pacyfiku.
  - A zatem nie we Włoszech?
  - Nie. Mój brat był tutaj. Razem z Markiem Clarkiem.
- Ogrodnik skinął głową, jakby spozierał w przeszłość.
- Przez cały rok czterdziesty czwarty alianci z trudem posuwali się w głąb półwyspu, od Sycylii na północ, do granicy z Austrią. Niemcy bronili się i cofali, bronili i cofali. To był długi odwrót. Początkowo opowiadali się po stronie Włochów, lecz potem, po kapitulacji, stali się okupantami. Tu, w Toskanii, toczyły się wyjątkowo krwawe walki. Siłami niemieckimi dowodził marszałek polny Kesselring. Po drugiej stronie stali Amerykanie, pod dowództwem generała Clarka, Brytyjczycy generała Alexandra i oddziały Wolnej Francji pod generałem Juin. Na początku czerwca linia frontu uległa przesunięciu na północ Umbrii i tym samym wojna wkroczyła do Toskanii. Na południe stąd teren jest górzysty i mocno postrzępiony. Pagórki, pagórki i doliny poprzecinane setkami rzek i strumieni. Jedyna droga przydatna dla pojazdów wiję się między wzgórzami. Łatwo ją zaminować i trzymać pod ostrzałem ze szczytu kotliny. Moździerze rozstawione w ukryciu na wzgórzach z niesłychaną precyzją bombardowały linie wroga. Obie strony ponosiły bardzo ciężkie straty. Siena stała się wielkim punktem sanitarnym. Korpus medyczny Wehrmachtu postawił tu kilka szpitali. Wciąż były pełne, a nawet przepełnione, więc na potrzeby wojska zarekwirowano kilka klasztorów. A fala alianców ciągle parła naprzód. Kesselring wydał rozkaz, aby wszystkich rannych odesłano na północ. Dniem i nocą sunęły kolumny niemieckich ambulansów. Część żołnierzy jednak musiała pozostać. Niektórzy zmarli z ran i spoczywają poza murami miasta. Zrobiło się trochę luźniej. Ten stan trwał do ostatnich dziesięciu dni miesiąca. Potem walki wybuchły ze zdwojoną siłą, dużo bliżej Sieny. W ostatnich dziesięciu dniach przybył tutaj młody niemiecki chirurg, dopiero po studiach. Nie miał żadnego doświadczenia. Uczył się i operował niemal jednocześnie. Sypiał mało. Kończyły mu się zapasy.
- W słoneczne niebo wdarł się gromki okrzyk, kiedy ostatnia z contrade biorących udział w paradzie wmaszerowała na Piazza del Campo. Rywalizujące dzielnice tylko raz okrążyły plac po szerokiej drodze, usypanej z piachu na kamiennych płytach. Jeszcze głośniejszym wrzaskiem powitano carroccio, wóz ciągnięty przez woły, na którym jechał największy obiekt pożądania, sztandar dnia, palio.
- Niemcy trzymali w tym rejonie Czternastą Armię, dowodzoną przez generała Lemelsena. Na papierze wygląda to dumnie, lecz w rzeczywistości wiele oddziałów było

wymęczonych i wykrwawionych walką. Trzon wspomnianej armii stanowił Pierwszy Korpus Spadochroniarzy generała Schlemma. Schlemm rzucił wszystko co miał na odcinek od wybrzeża do gór na południe od Sieny. To było jego prawe skrzydło. Na lewym, w głębi łądu, zmordowana Dziewięćdziesiąta Dywizja Pancerna Grenadierów próbowała powstrzymać Pierwszą Amerykańską generała Harmona. Pośrodku Piątej Armii Marka Clarka, twarzą do Sieny, stał generał Juin z Wolnymi Francuzami. Z jednej flanki miał swoją dawną Trzecią Dywizję Piechoty Algierskiej, z drugiej flanki - Drugą Marokańską. Tak wyglądało rozstawienie wojsk niemieckich przez pięć dni zaciętych walk, od dwudziestego pierwszego do dwudziestego szóstego czerwca. Potem amerykańskie czołgi przedarły się przez obronę. Siena została okrążona najpierw od wschodu, a następnie, przez Francuzów, od zachodu. Oddziały niemieckie zaczęły się cofać, zabierając ze sobą rannych grenadierów, czołgistów, mechaników z obsługi polowego lotniska Luftwaffe i spadochroniarzy. Dwudziestego dziewiątego czerwca na południe od miasta doszło do ostatniej bitwy i alianci przełamali linię frontu. Bój był wyjątkowo krwawy. Pod osłoną mroku niemieccy sanitariusze zwiłali się jak w ukropie. Setki rannych Niemców i aliantów trafiło do Sieny. Generał Lemelson błagał Kesselringa, by ten pozwolił na przegrupowanie. Obawiał się, że po zamknięciu okrążenia wraz z całym korpusem spadochroniarzy wpadnie do niewoli. Dostał zgodę i ściągnął oddziały do miasta. W Sienie zaroilo się od żołnierzy. Poszkodowanych było tak wielu, że nawet ten dziedziniec, należący wówczas do klasztoru, został zmieniony na schronienie i lazaret dla prawie setki Niemców i wszystkich aliantów. Opiekę nad nim powierzono świeżo upieczonemu chirurgowi. Było to trzydziestego czerwca czterdziestego czwartego roku.

- Tu? - spytał Amerykanin. - Tu był szpital polowy?

- Tak.

- Przecież tu nie ma żadnych urządzeń. Prądu ani wody... Musiało im być bardzo ciężko.

- I było.

- Pływałem na transportowcu. Stworzyliśmy olbrzymie sanatorium dla rannych.

- A zatem miał pan szczęście. Tutaj ludzie leżeli tam, gdzie ich pozostawiono.

Amerykanie, Algierczycy, Marokańczycy, Anglicy, Francuzi i setka najcięższej rannych Niemców. Pozostawiono ich na pewną śmierć. Pod sam koniec ich liczba sięgała dwustu dwudziestu.

- A młody chirurg?

Ogrodnik wzruszył ramionami.

- Cóż, wziął się do pracy. Robił, co mógł. Miał do pomocy trzech sanitariuszy, przydzielonych mu przez naczelnego lekarza. Ogołocili okoliczne domy z sienników i materacy. Ze wszystkiego, co mogło posłużyć do leżenia. Kradli koce i prześcieradła. Te ostatnie szły na bandaże. Żadna rzeka nie płynie w obrębie murów Sieny, ale przed wiekami wybudowano tutaj podziemny system kanałów ciągnących świeżą wodę z zimnych górskich strumieni. Są więc studnie. Chirurg kazał ustawić łańcuch ludzi z wiadrami od najbliższej z nich do bramy lazaretu. Z sąsiedniego domu przyniesiono duży kuchenny stół i postawiono go pośrodku, pomiędzy różami. Służył do operacji. Brakowało lekarstw i nikt nie myślał o higienie. Chirurg robił zabiegi przez całe popołudnie, aż do

zmroku. Gdy zapadła ciemność, poszedł do pobliskiego szpitala wojskowego i wyzebrał kilka lamp naftowych. Przy ich świetle operował dalej. Ale wiedział, że to beznadziejne. Że ci ludzie umrą. Wielu miało okropne rany. Leżeli otępiali. Nie było czym uśmierzyć ich bólu. Niektórzy ucierpieli od wybuchu miny. Inni mieli w sobie odłamki bomb lub granatów. Ręce i nogi podziurawione pociskami. Tuż po zmroku przyszła dziewczyna.

- Jaka dziewczyna?

- Zwykła dziewczyna. Miejskowa. Włoszka, jak przypuszczał chirurg. Młoda kobieta, najwyżej dwudziestoletnia. Dziwna. Chirurg zobaczył, że na niego patrzy. Skinął jej głową, ona się uśmiechnęła, a on robił swoje.

- Dlaczego dziwna?

- Błada, okrągła twarz. Bardzo pogodna. Krótkie włosy, nie podwinięte w myśl ówczesnej mody, lecz ostrzyżone na chłopaka. Schludne, bez cienia zalotności. Ubrana była w jasnoszarą bawełnianą szatę.

- Pomogła mu?

- Nie, odeszła. Przechadzała się cicho wśród rannych. Widział, jak kawałkiem szmaty umoczonej w wodzie ocierała im czoła. A on wciąż pracował, pochylony nad stołem. Nie ustawał, choć wiedział, że to strata czasu. Miał dwadzieścia cztery lata, sam zaledwie wyrósł z wieku młodzieńczego, lecz próbował sprostać męskiemu zadaniu. Zmordowany jak pies, starał się nie popełniać błędów. Amputował za pomocą piły umoczonej w grappie, zszywał krawiecką nicią nasmarowaną woskiem, morfinę zaś musiał racjonować. A oni krzyczeli, och, jak krzyczeli...

Amerikanin obrzucił go uważnym spojrzeniem.

- Mój Boże - szepnął. - To pan był tym lekarzem. Nie jest pan Włochem. Był pan niemieckim chirurgiem.

Tamten powoli skinął głową.

- Tak, byłem.

- Już mi o wiele lepiej, kochanie. Może zdążymy jeszcze na koniec przedstawienia.

- Cicho, kotku. Za parę minut. I co się potem stało?

Orszak zszedł z Piazza del Campo i jego uczestnicy zajęli miejsca na trybunach przed starymi palazzi. Z każdej contrada pozostał tylko jeden dobosz i jeden chorąży, który w rytm werbla kreślił sztandarem figury w powietrzu, jako ostatni ukłon w stronę publiczności przed początkiem wyścigu. Ostatnia szansa, żeby zdobyć srebrną tacę dla cechu.

Opowieść chirurga

- Operowałem przez całą noc, do rana. Moi pomocnicy też byli wykończeni, ale wciąż przynosili mi nowych pacjentów. Tak to trwało. Przed świtem zniknęła. Mam na myśli dziewczynę. Nie widziałem, jak przyszła, i nie widziałem, jak odeszła.

O wschodzie słońca zapanowała cisza. Urwał się sznur rannych wnoszonych przez bramę. Umyłem ręce i zrobiłem obchód po dziedzińcu, żeby policzyć zmarłych i polecieć, by ich zabrano.

- Ilu ich było?

- Żadnego.

- Żadnego?

- Nikt nie umarł. Ani tej nocy, ani o poranku pierwszego lipca. W tamtym rogu leżało trzech Algierczyków. Rany brzucha i piersi, jeden miał poszarpaną nogę. Operowałem ich tuż przed świtem. Przyjmowali swój los ze stoickim spokojem. Leżeli w milczeniu, patrzyli w górę i myśleli pewnie o suchych wzgórzach Mahgrebu, skąd przyszli, aby walczyć i umierać za Francję. Wiedzieli, że umierają, i czekali na wezwanie Allaha. Ale nie umarli. W tym miejscu, gdzie siedzi pańska żona, leżał chłopak z Austin, z Teksasu. Kiedy go przyniesiono, zaciskał ręce na brzuchu. Z trudem mu je rozgiąłem.

Przytrzymałem własne wnętrzności, które wyłaziły z ziejącej rany. Mogłem je tylko na powrót wepchnąć do środka, ścisnąć brzegi i zaszyć. Utracił wiele krwi. Nie miałem plazmy. Rano słyszałem, jak płakał i jak wzywał matkę. Dawałem mu czas do południa, ale też nie umarł. Przed południem, mimo cienia, panował tu okropny upał. Zdawałem sobie sprawę, że w późniejszych godzinach skwar będzie nie do wytrzymania.

Przestawiłem stół pod kolumnadę, lecz dla leżących na dziedzińcu nie było żadnej nadziei. Czego nie dokonały rany i ośpienie, miało dokonać słońce. Ranni leżący pod kolumnadą mogli uważać się za szczęściarzy. Było wśród nich trzech Anglików, wszyscy z Nottingham. Jeden z nich poprosił mnie o papierosa. Prawie nie mówiłem wtedy po angielsku, lecz zrozumiałem znaczenie jego ruchów. Powiedziałem mu, że przy płucach rozerwanych odłamkiem granatu papieros jest ostatnią rzeczą, jakiej powinien sobie życzyć. Roześmiał się i odparł, że w takim razie zaczeka na generała Alexandra. Ten na pewno mu nie odmówi. Wariacki angielski humor. I odwaga. Wiedzieli, że już nigdy nie wrócą do domów, a mimo to silili się na dowcipy. Zatrzymałem przy sobie trzech noszowych, którzy właśnie wrócili z pola bitwy. Byli mocno zmęczeni, ale, dzięki Bogu, zwyciężyło w nich niemieckie poczucie dyscypliny. Przejęli służbę i moich trzech sanitariuszy wreszcie mogło zwinąć się w kącie i przespać.

- Tak minął dzień? - spytał turysta.

- Tak minął dzień. Nowym pomocnikom kazałem przetrząsnąć domy w poszukiwaniu lin, sznurów i prześcieradeł. Rozciągnęliśmy sznury nad dziedzińcem i rzuciliśmy na to prześcieradła, żeby dać rannym odrobinę cienia. Słońce prażyło coraz mocniej.

Potrzebowaliśmy wody. Chorzy konali z pragnienia. Znów zarządziłem wyprawę do pobliskiej studni. Napełnialiśmy kubki tak szybko, jak się dało. Niemcy mówili danke, Francuzi szeptali merci, a ze dwunastu Brytyjczyków powiedziało ta, mate. Modliłem się, żeby słońce zaszło jak najszybciej i żeby powiało chłodem. Nic nie powiało, ale dwanaście godzin później zapadł zmierzch i faktycznie temperatura trochę spadła.

Późnym popołudniem przypadkowo zajrzał młody kapitan ze sztabu Lemelzona. Stał, popatrzył, przeżegnał się, wymamrotał du liebe Gott i uciekł. Pobiegłem za nim, wołając, że potrzebna mi pomoc. Krzyknął przez ramię: „Zobaczę, co da się zrobić!”. Nigdy więcej go nie spotkałem. Ale chyba coś zrobił. Po godzinie naczelnny lekarz Czternastej Armii podesłał wózek z lekarstwami. Opatrunki, morfina, sulfamidy. Dobrze i to. Tuż po zmroku przybyli nowi ranni, tym razem sami Niemcy. Wszystkich razem miałem już około dwustu dwudziestu. Potem ona wróciła.

- Kto? Ta dziwna dziewczyna?



- Tak. Pojawiła się w ten sam sposób, co poprzedniej nocy. Za murami miasta ścichł ogień artylerii. Domyślałem się, że alianci robią przygotowania do ostatniego, miażdżącego szturmu. Siena zginie, choć błagałem Boga, żeby tak się nie stało. Płonne nadzieje. Na dziedzińcu panowała cisza, przerywana jedynie krzykami i mamrotaniem cierpiących żołnierzy. Tuż obok siebie usłyszałem cichy szelest jej szaty. Operowałem właśnie grenadiera ze Stuttgartu, stracił połowę szczęki. Odwróciłem się i ją ujrzałem. Zmoczyła ręcznik w chłodnej wodzie. Uśmiechnęła się i znów poszła między ludzi. Klękała przy nich, ocierała czoła i delikatnie muskała rany. Zawołałem do niej, by nie ruszała opatrunków, ale mnie nie słuchała.

- Ta sama? - spytał Amerykanin.

- Ta sama. Żadna inna. Tym razem zauważyłem jednak coś, co przegapiłem zeszłej nocy. Nie nosiła sukienki, ale raczej habit, niczym nowicjuszką. Zrozumiałem, że przyszła z żeńskiego klasztoru, których kilka mieściło się w Sienie. Na piersiach miała jakiś symbol, ciemnoszary na szarym. Krzyż, ale trochę inny. Jedno z ramion było odłamane i zwisało pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Nowy chóralny okrzyk z Piazzы przetoczył się nad dachami. Pokazy dobiegły końca i na bieżnię wyprowadzono dziesięć koni, trzymany dotąd na dziedzińcu Podesty. Były okiełznane, lecz nie miały siodeł, bo wyścig odbywał się na oklep. Przed sędziami ustawiono palio - trofeum dzisiejszych zawodów. Wywołało to kolejną wrzawę.

Na dziedzińcu żona turysty wstała i wypróbowała nogę. - Chyba mogę już pomału chodzić - powiedziała.

- Jeszcze chwilę, kochanie - odparł jej mąż. - A potem obiecuję, pójdziemy się bawić. I co z tą drugą nocą?

- Zoperowałem ostatnich dwudziestu Niemców i wróciłem do poprzednich pacjentów, chcąc im lepiej pomóc. Teraz miałem morfinę. Antybiotyki. Najbardziej cierpiących mogłem przynajmniej dopilnować, żeby nie konali w bólu.

- Umierali?

- Nie. Balansowali na granicy śmierci, ale żaden nie umarł. Nie tej nocy. Młoda zakonnica bez słowa chodziła pomiędzy nimi, uśmiechała się, zraszała im twarze świeżą wodą, zaczerpniętą niedawno ze studni, dotykała ich ran. Dziękowali jej. Niektórzy wyciągali ręce, żeby też jej dotknąć, ale ona odchodziła z uśmiechem do innych.

- Przez dwadzieścia cztery godziny żułem benzedrynę, żeby nie zasnąć. Lecz przed świtem, kiedy pozbyłem się zapasów i praktycznie nie miałem już nic do roboty, usiadłem na stole operacyjnym, przy którym kiedyś biesiadowała jakaś sieneńska rodzina. Moi pomocnicy spali tam, pod murem. Fartuch, twarz i ręce miałem uwalane krwią młodych ludzi. Wsparłem głowę na dłoniach i po prostu zasnąłem. O wschodzie słońca obudził mnie sanitariusz. Gdzieś ukradł całą puszkę prawdziwej włoskiej kawy, schowanej pewnie od początku wojny. To była najlepsza kawa, jaką piłem w życiu.

- A dziewczyna, ta młoda zakonnica?

- Odeszła.

- Jak się czuli żołnierze?

- Zrobiłem szybki obchód po dziedzińcu. Wszyscy wciąż żyli.

- Ucieszył się pan.

- Więcej. Ośłupiałem. To było niemożliwe. Miałem kiepskie wyposażenie i okropne warunki pracy. Zszywałem rany bez żadnego w tym względzie doświadczenia.

- To był już drugi lipca, prawda? Dzień Wyzwolenia?

- Prawda.

- Alianci przypuścili decydujący atak?

- Nie. Nie było szturmów na Sienę. Słyszał pan o marszałku polnym Kesselringu?

- Nie.

- Moim zdaniem był to jeden z najbardziej niedocenianych dowódców drugiej wojny światowej. Buławę marszałkowską dostał w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, ale wtedy każdy niemiecki generał wygrywał na zachodnim froncie. Pokonanemu, w ciągłej ucieczce, bywa o wiele trudniej. Jedni generałowie mają świetne zwycięstwa, inni umieją zaplanować zbrojny odwrót. Rommel był pierwszy, Kesselring drugi. Cofał się od Sycylii do Austrii. W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku alianci panowali w powietrzu i na morzu. Mieli lepsze czołgi, nieograniczone zapasy sprzętu i paliwa, i poparcie miejscowej ludności. Mogli zdobyć Italię w niecałe pół roku. Kesselring kazał im walczyć o każdą piędź ziemi. Ale, w przeciwieństwie do innych, nie był barbarzyńcą. Wykształcony, uwielbiał Włochy. Hitler rozkazał mu wysadzić mosty na Tybrze, wiodące do Rzymu. Do dzisiejszego dnia to prawdziwe perełki architektury. Kesselring nie usłuchał i tym samym dał drogę aliantom. Kiedy tamtego ranka popijałem kawę, powiadomił generała Schlemma, że cały Pierwszy Korpus Spadochroniarzy ma opuścić Sienę bez jednego strzału. Niczego nie wolno zniszczyć. Nie wiedziałem także, że papież Pius XII skontaktował się z Charles'em de Gaulle'em, którego żołnierze mieli zająć miasto, i poprosił go o to samo. Czy Juin i Lemelson zawarli jakiś układ, tego się nie dowiemy. Obaj milczeli, a teraz już nie żyją. Rozkazy jednak były jasne: ocalić Sienę.

- I nie padł ani jeden strzał? Nie spadła ani jedna bomba?

- Nic. Późnym rankiem spadochroniarze rozpoczęli wymarsz. Trwało to cały dzień. Po południu już miałem dość rytmicznego łupania butów na sąsiednich ulicach. Tymczasem odwiedził mnie naczelnny lekarz Czternastej Armii. Generał-major von Stieglitz był przed wojną znanym ortopedą. Też operował bez przerwy przez kilka dni z rzędu, ale w głównym szpitalu. Ledwo stał na nogach. Zatrzymał się w bramie i ze zdumieniem popatrzył po dziedzińcu. Miałem ze sobą sześciu pomocników, dwóch przydzielonych do wody. Spojrzał na mój zakrwawiony fartuch i na stół kuchenny, wystawiony teraz na środek, gdzie było lepsze światło. Popatrzył na cuchnącą stertę amputowanych dłoni, rąk i nóg, leżących w tamtym rogu. Niektóre nogi ciągle tkwiły w butach. „Istna jatka - powiedział. - Jest pan tu sam, kapitanie?”. „Tak jest”. „Ilu rannych?”. „Około dwustu dwudziestu, mein General”. „Narodowości?”. „Stu dwudziestu naszych i prawie setka aliantów”. „Ilu zmarło?”. „Jak dotąd żaden”. Łypnął na mnie i warknął: „Unmöglich”.

- Co to znaczy? - spytał Amerykanin.

- Niemożliwe. Potem przeszedł się wzdłuż materacy. Nie musiał o nic pytać. Na pierwszy rzut oka rozpoznawał rany i szansę przetrwania. Był z nim duchowny, który klęknął w bramie i hurtem dał ostatnie namaszczenie wszystkim, którzy nie dożyją ranka. Generał skończył obchód i wrócił do tego miejsca. Przyglądał mi się przez długą chwilę. Wyglądałem okropnie: wpół żywy ze zmęczenia, usmarowany krwią i śmierdzący. Nic nie

jadłem od czterdziestu ośmiu godzin. „Jest pan niezwykłym człowiekiem - powiedział w końcu. - Dokonał pan niemożliwych rzeczy. Słyszał pan o odwrocie?”. Powiedziałem, że tak. Złe wieści szybko się rozchodzą w pokonanej armii. Wydał kilka rozkazów swojej świcie. Z ulicy wszedł oddział noszowych. Zabierzcie tylko Niemców, powiedział, aliantów zostawcie aliantom. Znow przeszedł się po dziedzińcu i wybrał tych, którzy jego zdaniem mogli wytrzymać długą i wyboistą jazdę przez wzgórza Chianti aż do Mediolanu, gdzie wreszcie mieli dostać prawdziwą opiekę. Tych, którzy nie rokowali najmniejszej nadziei, kazał pozostawić. Siedemdziesięciu zabrano. Pozostało pięćdziesięciu, no i alianci. Generał podszedł do mnie. Słońce schowało się za domy, zmierzając w stronę horyzontu. Zrobiło się chłodniej. Był mniej opryskliwy. Zdawał się stary i zmęczony. „Ktoś musi z nimi zostać. Zgodzi się pan?”. „Zostanę”. „Pójdzie pan do niewoli”. „Wiem, panie generale”. „Dla pana była to krótka wojna. Mam nadzieję, że spotkamy się w Vaterlandzie”. Nic dodać, nic ująć. Podszedł do bramy, odwrócił się i zsalutował. Wyobraża pan sobie? On, generał, salutował kapitanowi. Nie miałem czapki, więc nie mogłem mu oddać honorów. Potem odszedł. Nigdy go już nie zobaczyłem. Pół roku później zginął podczas nalotu. Zostałem sam ze stu pięćdziesięcioma rannymi pacjentami, skazanymi na śmierć, jeśli pomoc nie nadejdzie szybko. Słońce zgasło, zapadła ciemność i skończył mi się zapas nafty. Lecz za to pojaśniał księżyc. Zacząłem rozdawać wodę. Odwróciłem się... znow tu była.

Ryk na Piazza del Campo trwał już nieustannie. Dziesięciu dżokejów, małych i żylastych, stuprocentowych zawodowców, zbliżyło się do koni. Każdy z nich trzymał pejcz zrobiony z wysuszonej byczej pyty i służący nie tylko do popędzania wierzchowca, ale i okładania najbliższych rywali. Zażarta walka była częścią wyścigu, a w nim nie było miejsca dla mazgajów. Zakłady sięgały nieba, a nastrojami tłumu kierowała przemożna chęć zwycięstwa. Za wszelką cenę.

Miejsca koni za grubą liną startową wyznaczono drogą losowania. Dżokeje, wspaniale przystrojeni w barwy swoich contrade, w hełmach na głowie i z pejczami w ręku, mocno ścigali wodze. Konie tańczyły z podniecenia, ustawione tuż za liną. Starter, czyli mossiere, patrzył na burmistrza i czekał, aż ten skinie głową, zezwalając na opuszczenie liny. Pomruk tłumu brzmiał niczym ryk lwa na afrykańskim stepie.

- Wróciła? Trzeciej nocy?

- Trzeciej i ostatniej. Pracowaliśmy jak w zespole. Czasami coś mówiłem do niej po niemiecku, ale mnie nie rozumiała. Uśmiechała się i milczała. Nie powiedziała ani słowa. Nawet po włosku. Nigdy też jej nie dotknąłem. Opiekowała się rannymi. Ja nabierałem wody i zmieniałem opatrunki. Generał von Stieglitz zostawił mi nieco zapasów, chociaż uważał, że walczę o straconą sprawę. I tak zużyłem wszystko do rana. Trzeciej nocy spostrzegłem coś jeszcze, coś czego przedtem zupełnie nie widziałem. Była ładna, ale w księżycowym blasku zobaczyłem, że ma na dłoniach duże czarne znamiona, mniej więcej wielkości dolara. Tuż przed świtem znowu zniknęła.

- Nigdy później jej pan nie widział?

- Nie. Nigdy. Zaraz po wschodzie słońca ujrzałem dziesiątki flag, łopoczących z każdego okna. Nie był to orzeł Rzeszy. Sieneńczycy szyli po cichu flagi aliantów, a najczęściej trójkolorową flagę Francji. Widać je było w całym mieście. Około siódmej na ulicy

rozległo się echo kroków. Bałem się. Jak dotąd nie spotkałem żołnierzy wroga, zdrowych i pod bronią. Hitlerowska propaganda określała ich mianem morderców. Po kilku minutach pięciu z nich stanęło w bramie wiodącej na dziedziniec. Mieli śniadą cerę i brudne, przepecone mundury. Nie mogłem rozpoznać, z jakiego są oddziału. A potem zobaczyłem krzyż lotaryński. Zatem Francuzi. Tyle że Algierczycy. Krzyczeli coś. Nic z tego nie rozumiałem. Po francusku albo po arabsku. Uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami. Zakrwawiony fartuch zakrywał mi bluzę i spodnie Wehrmachtu, ale na dole wystawały buty. Oficerskie buty. Musieli je zobaczyć. Na południe od Sieny ponieśli ciężkie straty, a teraz bez kłopotu mieli mnie jak na dłoni. Wpadli na dziedziniec, krzyczeli, wymachiwali mi przed nosem lufami karabinów. Myślałem, że mnie zastrzelą. Wtedy cicho odezwał się jeden z rannych Algierczyków, leżących pod murem. Podeszli do niego, a on coś wyszeptał. I wszystko się zmieniło. Poczęstowali mnie okropnie śmierdzącym papierosem i zmusili, żebym go wypalił na znak pojednania. O dziewiątej miasto było pełne Francuzów, zgiełkliwe witanych przez szczęśliwych Włochów. Dziewczęta rozdawały tysiące pocałunków, a ja tkwiłem tutaj z moimi strażnikami. Potem przyszedł francuski major. Mówił trochę po angielsku. Mniej więcej tyle co ja. Powiedziałem mu, że jestem niemieckim chirurgiem i że zostałem z pacjentami, w większości z wojsk alianckich. Przeszedł się między nimi i znalazł dwudziestu Francuzów, nie wspominając o Amerykanach i o Brytyjczykach. Pognał w głąb ulicy, wzywając pomocy. Po godzinie wszyscy moi podopieczni trafili do głównego szpitala, gdzie pozostało zaledwie kilku ciężko rannych Niemców. Też tam poszedłem. Trzymano mnie na porodówce, pod lufą karabinu. Francuski pułkownik zbadał moich rannych. Wszystkich, bez wyjątku. Leżeli już w świeżej i czystej pościeli, pod troskliwym okiem włoskich pielęgniarek, które umyły ich i nakarmiły. Po południu pułkownik wkroczył do mojego aresztu. Towarzyszył mu francuski generał, niejaki de Monsabert. Dość dobrze znał angielski. „Kolega mówi, że połowa z tych ludzi powinna już dawno nie żyć - zagał. - Co pan z nimi zrobił?”. Powiedziałem, że nic, co by wykraczało poza ludzkie możliwości i skromne zapasy leków. Przez chwilę rozmawiali cicho po francusku. Wreszcie generał mruknął: „Musimy zawiadomić krewnych. Gdzie są numery identyfikacyjne wszystkich poległych?”. Odparłem, że nic nie mam. Żaden żołnierz nie umarł na dziedzińcu. Znowu się naradzali. Chirurg często wzruszał ramionami. Potem generał zwrócił się do mnie. „Czy da mi pan słowo, że pozostanie tutaj i pomoże? Jest jeszcze wiele do zrobienia”. Oczywiście, że dałem słowo. A dokąd miałem uciekać? Moja armia cofała się szybciej, niż mógłbym za nią nadażyć. Gdybym poszedł gdzieś w góry, zabiliby mnie partyzanci. Z głodu i niewyspania po prostu zemdlałem. Spałem dwadzieścia godzin. Później, wykąpany i nakarmiony, na nowo wziąłem się do pracy. Wszyscy Francuzi, ranni w ostatnich dziesięciu dniach, powędrowali do szpitali w Perugii, Asyżu, a nawet w Rzymie. W Sienie pozostali tylko ci z dziedzińca. Nastawiałem kości, zakładałem gips, otwierałem prowizorycznie zaszyte rany i zaszywałem je porządniej. Były zaskakująco czyste. W żadnej z nich nie znalazłem śladów zakażenia. Poszarpane arterie goiły się same. Ustawało wewnętrzne krwawienie. Pułkownik był wysoko cenionym specjalistą z Lyonu. To on operował, ja tylko mu pomagałem. Pracowaliśmy dzień i noc bez przerwy - i nikt nie umarł. Wojna przetoczyła się na północ. Pozwolono mi mieszkać na kwaterze

francuskich oficerów. Szpital odwiedził generał Juin. Dziękował mi za wszystko, co zrobiłem dla Francji. Potem mnie przydzielono do opieki nad pięćdziesięcioma Niemcami. Miesiąc później ewakuowano nas na południe, do Rzymu. Niemcy, niezdolni do dalszej walki, zostali repatriowani za pośrednictwem Czerwonego Krzyża.

- Wrócili do domu? - zapytał Amerykanin.

- Wszyscy wrócili do domów - odparł chirurg. - Korpus Sanitarny Armii Stanów Zjednoczonych zabrał swoich chłopców i wyekspediował ich statkiem z Ostii prosto do Ameryki. Ci z Wirginii trafili do Shenandoah, a Teksańczycy do Stanu Samotnej Gwiazdy. Chłopak z Austin, ten, który płakał za matką, też wrócił do rodziny, z jelitami w brzuchu i zagojonymi ranami żołądka. Francuzi zgarnęli swoich i zwrócili ich ojczyźnie po wyzwoleniu Francji. Brytyjczycy przyszli też po mnie. Generał Alexander wizytował szpital w Rzymie i dowiedział się o dziedzińcu w Sienie. Powiedział, że o ile podtrzymam swoje słowo, wyśle mnie do wojskowego szpitala w Anglii, do opieki nad rannymi Niemcami. Mógłbym tam pozostać nawet do końca wojny. Zgodziłem się. Niemcy i tak już przegrały. Jesienią czterdziestego czwartego nikt nie robił z tego żadnej tajemnicy. Pokój zapanował w maju, w czterdziestym piątym, a ja wreszcie mogłem wrócić do rodzinnego, zniszczonego Hamburga.

- Zatem co pan tu robi trzydzieści jeden lat później? - spytał amerykański turysta.

Słysząc było wyraźnie okrzyki z Piazza del Campo. Jeden z koni wił się na ziemi ze złamaną nogą, a dżokej był nieprzytomny. Przecież pod warstwą piasku były twarde kamienne płyty. W pełnym galopie raz po raz dochodziło do groźnych kolizji, ale wyścig trwał w dalszym ciągu.

Chirurg rozłożył ręce i wzruszył ramionami. Rozejrzał się pomału.

- Wierzę, że to, co się tu zdarzyło w ciągu tamtych trzech nocy, to cud. Ale to nie ma nic wspólnego ze mną. Byłem młodszy i chciałem być dobrym chirurgiem, lecz nie aż tak dobrym. To zasługa dziewczyny.

- Będą jeszcze inne palio - powiedział turysta. - Niech pan opowie o dziewczynie.

- Proszę bardzo. Odesłano mnie do Niemiec jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Hamburg był pod brytyjską okupacją. Najpierw pracowałem w szpitalu u Anglików, a potem przeniosłem się do głównej kliniki. W czterdziestym dziewiątym mieliśmy już własne, antynazistowskie państwo. Rozpocząłem oddzielną praktykę. Szło mi znakomicie, wszedłem do zarządu prywatnego szpitala. Ożeniłem się i dochowałem dwójki dzieci. Żyło nam się coraz lepiej; Niemcy prosperowały. Porzuciłem szpital i założyłem małą klinikę. Leczyłem nowobogackich i sam się bogaciłem. Ale nigdy nie zapomniałem tego dziedzińca i dziewczyny w mnisim habicie. Po piętnastu latach, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku, rozleciało się moje małżeństwo. Dzieci, wówczas już nastoletnie, przyjęły to z bólem serca, ale mnie zrozumiały. Miałem pieniądze, miałem wolność. W sześćdziesiątym ósmym postanowiłem tutaj wrócić i ją odnaleźć. Choćby po to, żeby podziękować.

- Znalazł ją pan?

- W pewnym sensie. Minęły przecież dwadzieścia cztery lata. Musiała mieć koło czterdziestki, tak jak ja. Podejrzewałem, że jest w klasztorze, albo - jeśli odeszła - to ma męża i własne dzieci. Przyjechałem w połowie lata, wynająłem pokój w Villa Patrizia i

zaczęłam jej szukać. Najpierw obszedłem wszystkie znane mi klasztory. Były trzy, każdy pod innym wezwaniem. Zatrudniłem tłumacza i zwiedziłem je po kolei. W każdym rozmawiałem z matką przełożoną. Dwie z nich spędziły tutaj wojnę, trzecia przyszła później. Kiedy im opisałem młodą zakonnice, wszystkie kręciły głowami. Zwykle wzywały zaraz najstarszą wiekiem siostrę, ale ta też nic nie wiedziała. Znakiem szczególnym był szary habit z ciemnoszarym znakiem na piersiach. Takiego też nikt nie znał. W żadnym klasztorze nie noszono szarych habitów. Szerzej zarzuciłem sieci. Może przybyła spoza miasta? Może po prostu odwiedzała krewnych w ostatnich dniach niemieckiej okupacji w czterdziestym czwartym roku? Przeczesałem całą Toskanię, szukając jej klasztoru. Bezskutecznie. Mój tłumacz z wolna tracił już cierpliwość, a ja porównywałem dziesiątki habitów, tych współczesnych i tych z przeszłości. Znalazłem kilka szarych, ale na żadnym z nich nie było znaku krzyża ze złamanym ramieniem. Minęło półtora miesiąca, zanim zdałem sobie sprawę z beznadziejności moich poszukiwań. Nikt o niej nawet nie słyszał, nie wspominając o tym, żeby widział. Dwadzieścia cztery lata wcześniej przez trzy kolejne noce przychodziła na ten dziedziniec. Gładziła twarze konających żołnierzy. Pocieszała ich. Dotykała ich ran i nie umierali. A potem zniknęła w tłumie przelewającym się przez rozrywaną wojną Italię. Zniknęła na zawsze. Życzyłem jej jak najlepiej, ale zrozumiałem, że nigdy więcej już jej nie zobaczę.

- Przed chwilą mówił pan co innego - sprostował Amerykanin.

- Powiedziałem „w pewnym sensie” - zauważył chirurg. - Już byłem spakowany, kiedy postanowiłem jeszcze raz spróbować. W Sienie wychodzą dwie gazety: „Corriere di Siena” i „La Gazzetta di Siena”. W obu dałem ogłoszenie na ćwierć strony, z rysunkiem. Narysowałem krzyż ze złamanym ramieniem i dołączyłem go do tekstu. Dawałem nagrodę za każdą informację wiążącą się ze wspomnianym znakiem. Ogłoszenie ukazało się w dniu, w którym miałem opuścić Włochy. Byłem jeszcze w pokoju, pakując ostatnie walizki, gdy zawiadomiono mnie z recepcji, że ktoś chce się ze mną widzieć. Zszedłem z bagażami na dół. Taksówkę na lotnisko miałem za godzinę. Okazała się niepotrzebna, bo nigdzie nie poleciałem. W holu czekał zasuszony starzec z grzywą białych włosów, odziany w ciemnoszary habit przepasany białym sznurem. Na bosych stopach miał sandały. W rękę trzymał „Gazette” z moim ogłoszeniem. Przeszliśmy do kawiarni i usiedliśmy przy stoliku. Mówił po angielsku. Zapytał mnie, kim jestem i skąd to ogłoszenie. Odpowiedziałem mu, że szukam pewnej młodej kobiety z Sieny, kobiety, od której otrzymałem pomoc przed prawie ćwierćwieczem. Odparł, że nazywa się Fra Domenico i że przybył zza murów zamkniętego klasztoru, o nakazie postu, modlitwy i nauki. Życie spędził na studiach nad historią Sieny i jej religijnych uwarunkowań. Wydawał się podniecony, podekscytowany i prosił mnie, żebym mu dokładnie opisał okoliczności, w jakich zobaczyłem znak złamanego krzyża. To długa opowieść, bąknąłem. Mamy czas, powtórzył, niech pan mówi wszystko, tak jak było, a potem przyjdzie kolej na mnie.

Wielka Piazza eksplodowała wrzawą, gdy pierwszy z koni minął linię mety zaledwie o pół długości od drugiego. Przedstawiciele dziewięciu contrade jęknęli z nieukrywanym żalem, a w dziesiątej, zwanej Istrice, czyli Jeżozwierz, zapanowała nieopisana radość. W przegranych bractwach cechowych dzisiejszego wieczora wino się poleje całymi

strumieniami, w rytm smętnego potrząsania głową i narzekań, co mogłoby być, a nie było. W cechu dzielnicy Istrice wiwatom nie będzie końca.

- Co dalej? - spytał Amerykanin. - Co pan mu powiedział?

- Wszystko. Na to właśnie nalegał. Od początku do końca. Z najdrobniejszymi szczegółami. Przyjechała taksówka. Odesłałem ją. Wcześniej zapomniałem o jednym detalu. Wtedy go sobie przypomniałem. Dłonie dziewczyny. Takie, jak je widziałem w księżycowym świetle, z ciemnymi plamami. Mnich stał się biały jak jego śnieżne włosy i zaczął przesuwać różaniec między palcami. Zamknął oczy i cicho mamrotał modlitwę. Byłem wówczas luteraninem, nawróciłem się później. Spytałem go, co robi. „Modłę się, mój synu” - odparł. „Za co, ojcze?” - zaciekawilem się. „Za moją nieśmiertelną duszę i także za twoją - powiedział. - Widziałeś bowiem boże dzieło”. Spytałem, skąd wie, a on w zamian opisał mi historię Katarzyny Miłosiernej.

Opowieść Fra Domenica

- Zna pan choć trochę dzieje Sieny? - zadał mi pytanie.

- Prawie wcale - odpowiedziałem.

- To bardzo długie dzieje. Miasto stoi tu od wieków. Niektóre z nich zapisały się jako czas pokoju i dobrobytu, inne... a tych było więcej... jako okresy wojny i pożogi, rządów tyranii, oszustw, głodu i zarazy. Najgorsze dwieście lat to okres od tysiąc trzysta pięćdziesiątego piątego do tysiąc pięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku. Były to dwa stulecia ustawicznych, bezsensownych i wyniszczających wojen domowych i na obcej ziemi. Gród wielokrotnie plądrowały bandy najemników, budzących postrach condottieri. Nie było silnej władzy, która mogłaby obronić mieszczan. Musi pan wiedzieć, że w tamtych czasach nie istniała tak zwana Italia, a jedynie cerowana koldra rozmaitych skłóconych księstw, hrabstw, minirepublik i samodzielnych miast, kierujących się tylko chciwością. Siena była właśnie taką republiką, upatrzoną przez księstwo Florencji. Wreszcie Cosimo Pierwszy z rodu Medyceuszy położył na niej swoją łapę. Przedtem jednak nastąpiły najczarniejsze lata, od tysiąc pięćset dwudziestego do tysiąc pięćset pięćdziesiątego roku. O nich chcę mówić. We władzach Sieny panował istny chaos. Miastem rządziło pięć rodzin, zwanych Monti. Walczyły między sobą, aż gród popadł w ruinę. Zwycięski ród panował do tysiąc pięćset dwunastego roku. Pandolfo Petrucci okazał się brutalnym tyranem, ale przynajmniej przywrócił porządek i spokój. Po jego śmierci znowu wdarła się anarchia. Nominalnie miastem rządziła balia, czyli stałe zgromadzenie rajców, któremu do tej pory zręcznie i bezkompromisowo przewodniczył Petrucci. Ale każdy członek balia był jednocześnie członkiem rywalizujących Monti, więc zamiast współpracy trwała ciągła walka i bogata Siena padła na kolana. W tysiąc pięćset dwudziestym roku w jednej z bocznych gałęzi rodziny Petruccich, która nawet po śmierci Pandolfa zachowała znaczenie, przyszła na świat dziewczynka. Miała cztery latka, kiedy ród Petruccich ostatecznie opuścił radę. Cztery pozostałe Monti zwały się w śmiertelnym starciu. Dziewczyna była piękna, pobożna i cicha. Razem z krewnymi mieszkała niedaleko stąd, w obszernym palazzo, chroniona przed nędzą i chaosem ulicy. Inne jej rówieśniczki, bogate i przebiegłe, twardo i uparcie pchały się przez życie, by nie powiedzieć: szły po trupach. Caterina di Petrucci pozostała czysta i oddana Bogu. Z ojcem spierała się

wyłącznie w kwestii małżeństwa. W tamtych czasach powszechnie wydawano za mąż już piętnaste - lub szesnastolatki. Płynęły lata, a piękna Caterina, ku rozpaczy ojca, ciągle odrzucała kolejnych zalotników. W tysiąc pięćset czterdziestym roku w okolicach Sieny rozpętało się prawdziwe piekło: głód, zamieszki, zaraza, bunt chłopów i utarczki wewnętrzne. Caterinę to ominęło, bo była bezpieczna za murami palazzo i za kordonem straży. Szyła, czytała i chodziła na mszę do rodzinnej kaplicy. Potem jednak coś całkowicie zmieniło się w jej życiu. Wybrała się na bal - i nigdy nań nie dojechała. Wiemy, co się stało, lub sądzimy, że wiemy, bo istnieje dokument spisany po łacinie przez spowiednika jej ojca, starego zakonnika, od lat służącego duchową pomocą całej rodzinie Petruccich. Caterina wyjechała z pałacu karocą w towarzystwie swojej damy dworu i sześciu gwardzistów, bo ulice były niebezpieczne. W pewnej chwili drogę zablokowała im inna karoca, stojąca w poprzek. Caterina usłyszała głośnie okrzyki bólu. Nie bacząc na sprzeciw duenna, uniosła roletę i wyrzała. Druga karoca należała do rodziny rywali. Jakiś żebrak zatoczył się, nagle na ulicę i spłoszył konie. Z wnętrza pojazdu ze złością wyskoczył młody arystokrata, wyrwał pałkę z rąk przybocznego i brutalnie poturbował żebraka. Caterina też wyskoczyła prosto w rozmiękle błoto i zniszczyła sobie jedwabne pantofelki. Krzyknęła, żeby przestał. Uniósł głowę i wtedy zobaczyła, że to jeden z tych młodzieńców, których ojciec proponował jej na męża. Chłopak, widząc herb Petruccich na drzwiach jej karocy, odrzucił pałkę i zawołał, żeby ruszać dalej. Dziewczyna przykucnęła w błocie i przytuliła do siebie starego obdartusa. Ciężko pobity, konał. Na pewno był zawszony i cuchnął brudem i ekskrementami, ale ona trzymała go w objęciach, dopóki nie umarł. Legenda mówi, że gdy patrzyła na jego wymizerowaną i zboląłą twarz, usmarowaną krwią i błotem, widziała oblicze konającego Chrystusa. Stary kronikarz zanotował, że żebrak wyszeptał przed śmiercią: „Chroń dzieci moje”. Nigdy nie poznamy prawdy o tamtym dniu, bo naoczni świadkowie do końca milczeli. Przetrwały jedynie słowa starego mnicha, lata później spisane w mrocznej, samotnej celi. A jednak to, co się stało, odmieniło jej życie. Wróciła do domu i spaliła wszystkie swoje suknie na dziedzińcu pałacu. Powiedziała ojcu, że wyrzeka się doczesnego świata i że chce iść do klasztoru. Nie widział w tym żadnej korzyści, więc jej stanowczo zabronił. Sprzeciwiła się jego woli, co było wręcz nie do pomyślenia w tamtych czasach, i ruszyła w obchód po mieście, pukając do różnych klasztorów i prosząc, żeby ją przyjęli. Ale ojciec już wcześniej rozesłał ostrzeżenie, więc wszędzie odsyłano ją z kwitkiem. Wszyscy znali potęgę Petruccich. Ojciec sądził, że ją powstrzyma. Grubo się mylił. Ukradła skarb przeznaczony na jej wiano i po tajemnych negocjacjach z konkurencyjnym rodem, wydzierżawiła pewien dziedziniec. Nie było tego wiele. Ot, kawałek ziemi na terenach klasztoru Świętej Cecylii. Mnisi z niego nie korzystali. Miał mniej więcej dwadzieścia na trzydzieści metrów, z kolumnadą po jednej stronie, w cieniu kamiennego muru. Żeby podkreślić podział interesów, przeor klasztoru kazał jedyne przejście na dziedziniec zastawić grubymi dębowymi drzwiami i zawrzeć je na glucho. Na tym dziedzińcu Caterina założyła coś w rodzaju ochronki dla biednych i poniżonych włóczęgów. Dziś pewnie nazwalibyśmy to schroniskiem, ale wówczas nie znano takich rzeczy. Ścięła długie i piękne włosy i wdziała zgrzebną szarą szatę, chodząc boso między żebrakami. W jej przybytku najbiedniejszy z biednych, wyrzutek



społeczeństwa, ułomny i kaleka, żebrak i odszczepieniec, samotna matka, ślepiec i szaleniec, postrach „porządnych” ludzi, znajdował azyl od zła i nieszczęść panoszących się na ulicach. Leżeli w nieczystościach, między szczurami, bo nie znali innego losu. Myła ich i doglądała, leczyła siniaki i rany, za resztkę złota kupowała strawę, a kiedy i tego zabrakło, zaczęła żebrać. Rodzina się jej wyparła. Po roku nastroje w mieście uległy całkowitej zmianie. Zaczęto ją nazywać Caterina delia Misericordia, Katarzyna Miłosierna. Magnaci z poczuciem winy przesyłali jej anonimowe datki. Sława Miłosiernej przekroczyła mury grodu. Inne dziewczę z dobrego rodu zrezygnowało z dóbr doczesnych i przyłączyło się do Cateriny. A potem jeszcze jedno. Pod koniec trzeciego roku znalazła ją cała Toskania. Co więcej, i co gorsza, jej działalność zwróciła uwagę Kościoła. Musi pan bowiem wiedzieć, Signore, że to były okropne czasy dla świętego Kościoła katolickiego. Nawet ja to przyznaję. Zagarnięto zbyt wiele przywilejów, bogactwa i władzy. Książęta Kościoła, grono biskupów, arcybiskupów i kardynałów, żyli niczym książęta świeccy, oddając się przyjemnościom, gwałtom i wszelkim pokusom ciała. To spowodowało reakcję wśród ludu i poszukiwanie nowych ideałów. Powstał ruch zwany reformacją. W północnej Europie działo się jeszcze gorzej. Luter otwarcie głosił herezję, a król Anglii zerwał więzi z Rzymem. Tu, we Włoszech, prawdziwa wiara przypominała wrzący kocioł. Niedaleko, we Florencji, po straszliwych męczarniach spłonął na stosie mnich-kaznodzieja Savonarola. Ale nawet po jego śmierci nie umilkły pogłoski o spodziewanym buncie. Kościół potrzebował reform, nie schizmy, lecz niestety wielu tak to postrzegało. Należał do nich Lodovico, biskup Sieny. Bał się, gdyż przekształcił swój pałac w dom uciech cielesnych, korupcji i zbrodni. Sprzedawał dyspensy i rozgrzeszenia jedynie najbogatszym, którzy płacili złotem. Bał się także tego, że w jego własnym mieście, tuż pod jego bokiem, żyła młoda niewiasta, której postępowanie okrywało hańbą uczynki biskupa. Nie prawila kazań, nie agitowała, jak Savonarola, a jednak była niebezpieczna.

Sędziowie zgromadzeni na Piazza del Campo ceremonialnie przekazali cenne palio w ręce rajców zwycięskiej contrada. Las sztandarów z godłem jeżozwierza zakołysał się tryumfalnie, gotów poprowadzić obecnych na ucztę.

- Wszystko przegapimy, kochanie - powiedziała amerykańska żona. Znów sprawdziła kostkę i stwierdziła, że już jej lepiej.

- Jeszcze dosłownie chwilę. Obiecuję, że zobaczymy resztę uroczystości i zabaw. Będą trwały do rana. I co się z nią stało? Z Cateriną?

- Rok później biskup wykorzystał sprzyjającą chwilę. Nadeszło wyjątkowo upalne lato. Ziemia spękała, strumienie wyschły, zwłoki zwierząt i ludzi wały się po ulicach. Przybyło szczurów. A potem wybuchła zaraza. Jeszcze jeden przypadek tak zwanej Czarnej Śmierci, którą dziś znamy jako epidemię dżumy. Umierały tysiące ludzi. Obecnie wiemy, że winę za to ponoszą szczury, a w zasadzie pchły żyjące w ich futrze. Wtedy jednak nagminnie postrzegano zarazę za przejaw kary boskiej; niezadowolony Bóg domagał się ofiary. Aby odróżnić się od innych siostr zakonnych, Cateriną i jej trzy pomocnice chodziły w szarych habitach haftowanych symbolem złamanego krzyża, na znak smutku Chrystusa nad postępowaniem Jego umiłowanego ludu. Wiemy to z relacji innego spowiednika, który po latach starannie opisał wspomniane wypadki. Biskup uznał ów

symbol za objaw herezji i podburzył paru nikczemników, opłacanych po części z jego własnej kiesy. Zaraza, głosił, bierze swój początek na tym dziedzińcu, na którym sypiają włóczędzy, za dnia roznoszący chorobę po ulicach. Ludzie musieli znaleźć winowajcę. Gniewny tłum ruszył na dziedziniec. Starego kronikarza wprawdzie przy tym nie było, ale napisał to, co słyszał z kilku różnych źródeł. W obawie przed nadciągającą cizbą trzy akolitki ukryły habity pod łachmanami i uciekły. Cateriną została. Tłum wdarł się przez bramę, bił każdego - mężczyzn, kobiety i dzieci. Wszystkich tutejszych żebraków przegnano za bramy miasta, na śmierć lub nędzny żywot na głodujących polach. Najgorszy los jednak czekał Caterinę. Prawie na pewno była dziewicą, ale ją przytrzymali i po wielokroć zhańbili jej ciało. Wśród dręczycieli nie brakło gwardzistów biskupa. Potem ukrzyżowali ją na grubych drzwiach po drugiej stronie placu. Tam też umarła. Oto cała historia - zakończył chirurg. - To, co usłyszałem z ust Fra Domenica w hotelowej kafejce przed siedmioma laty.

- I to wszystko? - spytał Amerykanin. - Nie miał nic do dodania?

- Miał - przyznał Niemiec.

- Więc niech pan dokończy - poprosił turysta.

- A zatem, cytując starego mnicha, spójrzmy, co się stało. Nocą, po dniu morderstwa, nad Sieną przeszła przeokropna burza. Grube czarne chmury wypełzyły zza gór i przesłoniły słońce, a potem księżyc i gwiazdy. Zaczęło padać. Podobnej ulewy jeszcze nikt nie widział. Deszcz walił z tak zawziętą siłą, że niczym pompa strażacka mył ulice Sieny. Trwało to kilka godzin, aż do białego rana. Potem chmury zniknęły i wyjrzało słońce. Siena została oczyszczona. Woda wypłukała brudy ze wszystkich zakamarków i szczelin. Strumienie popłynęły wzdłuż ulic i wylały się przez otwory w murach na pobliskie skały. Zabrały ze sobą stada szczurów i warstwę nieczystości. Łzy Chrystusa obmyły ludzi z grzechu. W ciągu paru dni zaraza zaczęła ustępować. Ci, którzy brali udział w napadzie na dziedziniec, wstydzili się swojego czynu. Niektórzy z nich wrócili na miejsce przestępstwa. Plac był cichy i opuszczony. Zdjęli z drzwi poszarpane ciało i chcieli je pochować w chrześcijańskim duchu. Lecz księża bali się biskupa i oskarżeń o herezję. Kilku najdzielniejszych mieszczan zabrało więc Caterinę za miasto. Tam spalili zwłoki i popiół wsypali do strumienia. Mnich, spowiednik rodu Petruccich, który zapisał to wszystko po łacinie, nie podał dokładnie roku, miesiąca ni dnia wydarzeń. W innej kronice wspomniano jednak o Wielkiej Ulewie, która spadła na Sienę Anno Domini tysiąc pięćset czterdziestego czwartego, w lipcu. A było to drugiego dnia owego miesiąca.

Konkluzja

- W Dzień Palio - zauważył Amerykanin - i w Dzień Wyzwolenia.

Niemiec się uśmiechnął.

- Dzień Palio ustanowiono później, a odwrót Wehrmachtu to czysty przypadek.

- Ale wróciła. Wróciła po czterystu latach.

- Wierzę w to - cicho powiedział ogrodnik.

- Aby leczyć żołnierzy, takich jak ci, którzy ją zgwałcili.

- Tak.

- A ślady na jej dłoniach? Znak ukrzyżowania?

- Tak.

Turysta popatrzył na dębowe drzwi.

- Plamy. Jej krew?

- Tak.

- O, mój Boże - szepnął Amerykanin. Myślał przez chwilę, a potem zapytał: - Pielęgnuje pan ten ogród? Dla niej?

- Przyjeżdżam każdego lata. Zamiatam, podlewam róże. W ten sposób chcę jej podziękować. Może to widzi. Może nie.

- Dzisiaj jest drugi lipca. Przyjdzie?

- Możliwe. Raczej jednak nie. Lecz mogę pana o czymś zapewnić. Dziś w nocy w Sienie nikt nie umrze.

- Ma pan wydatki - stwierdził turysta. - Koszty... żeby to wszystko utrzymać w tym stanie. Jeśli mógłbym...

Mężczyzna w spłóviałym ubraniu wzruszył ramionami.

- Nie trzeba. Tam, koło ławki, jest skrzynka na datki. To na sieroty ze Sieny. Chyba spodobałby się jej ten pomysł.

Amerykanin był szczodry, jak cały jego naród. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął gruby portfel. Wepchnął do skrzynki z pół tuzina zielonych banknotów.

- Proszę pana - powiedział do Niemca, jednocześnie pomagając żonie wstać z ławki. - Wkrótce opuszczam Włochy i wracam do Kansas. Zajmę się pracą na ranczo i stadem. Ale do końca życia nie zapomnę, że stałem na dziedzińcu, na którym zginęła Caterina delia Misericordia. Zapamiętam to na zawsze. Chodź, kochanie, dołączymy do świętujących.

Opuścili dziedziniec i skręcili w uliczkę, skąd dobiegały odgłosy zabawy. Chwilę później, z głębokiego cienia pod kolumnadą, wyłoniła się jakaś dziewczyna.

Też była ubrana w wypłóviałe dżinsy. Włosy miała splecione w warkocze i nosiła paciorki na szyi. Z pleców zwisała jej gitara. W prawej ręce niosła ciężki plecak, a w lewej swoją torbę. Stała obok, pogmerła w kieszeni na piersiach, zapaliła, zaciągnęła się głęboko i podała skręta kumplowi.

- Ile zostawił? - spytała.

- Pięćset dolców - odparł. Porzucił już niemiecki akcent i mówił teraz, jakby przybył z Woodstock. Wyjął pieniądze z drewnianej skrzynki i wepchnął je do kieszeni.

- Ekstra historia - powiedziała dziewczyna. - Uwielbiam, jak coś opowiadasz.

- Sam to uwielbiam - skromnie mruknął hipis. Zarzucił plecak na ramiona i przygotował się do dalszej drogi. - I wiesz co? Zawsze się nabierają.

OBYWATEL

Najbardziej lubił powroty. Od ponad trzydziestu lat latał po całym świecie aluminiową rurą z godłem British Airways. Widział już siedemdziesiąt wielkich miast, w większości stolic, i dawno zaspokoił apetyt wielkiej przygody.

Trzydzieści lat temu, z płonąącym wzrokiem, nadzieją w sercu i dwoma błyszczącymi paskami młodszego oficera na rękawach, marzył o dalekich i nieznanym krajach.

Podczas częstych postojów poznawał nocne życie Ameryki i Europy, zwiedzał chramy i

świątynie na Dalekim Wschodzie. Teraz ciągnęło go do domu na przedmieściach Dorking.

Dawniej raz po raz wdawał się w romanse z najładniejszymi stewardesami. Potem, zupełnie słusznie, ożenił się z Susan i to położyło kres wszelkim takim wypadom. Pięć tysięcy nocy spędzonych w hotelach sprawiło, że myślał wyłącznie o własnym łóżku i żonie pachnącej lawendą.

Miał syna i córkę. Charles, poczęty w czasie miesiąca miodowego, skończył dwadzieścia trzy lata i był programistą. Osiemnastoletnia Jennifer rozpoczęła studia z historii sztuki na uniwersytecie w Yorku. To dawało mu poczucie stabilności i sprawiało, że tym chętniej powracał do domu. Za dwa lata mógł odejść na emeryturę. Częściej wspominał spokojne Watermill Lane i Susan czekającą w progu niż kuszące egzotyką odległe rejony świata. Drugi pilot spoglądał na siedzącego przed nim kierowcę autobusu. Po lewej, jeden z dwóch młodszych oficerów, ze źle skrywaną ciekawością, gapił się na błyszczący neonami Bangkok. Miasto z wolna pozostawało z tyłu.

Za nimi, w chłodnym powiewie klimatyzacji chroniącej przed upałem panującym na zewnątrz, tłoczyła się cała reszta: szef obsługi i piętnaście osób personelu pokładowego, czterech stewardów i jedenaście stewardes. Przylecieli razem z Heathrow dwa dni temu. Szef obsługi był doświadczonym weteranem. Na pewno sprawdzi wszystko - od przednich drzwi do ogona.

Dowodzący boeingiem 747-400 jumbo kapitan Adrian Fallon miał bardzo proste zadanie: musiał bezpiecznie przewieźć ponad czterystu pasażerów z Bangkoku na londyńskie lotnisko Heathrow, czyli - jak zapisano w dzienniku pokładowym - z BKK do LHR. Za to pobierał pensję.

Dwie godziny przed odlotem autobus wiozący załogę wjechał na teren lotniska, minął strażników i stanął przed biurem BA. Do startu pozostawało jeszcze dużo czasu, ale kapitan Fallon cenił punktualność, a usłyszał, że speedbird one zero, który opuścił Sydney o piętnastej piętnaście (czasu lokalnego), będzie lądował w Bangkoku dokładnie o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć (też czasu lokalnego). Podobno już zbliżał się do celu.

Pół mili za autobusem podążała czarna limuzyna. Jechał w niej jeden pasażer, wygodnie siedzący z tyłu, za szoferem w liberii. Samochód wraz z kierowcą wynajął w luksusowym hotelu Oriental, w którym pracowicie spędził trzy dni na naradach i konferencjach. Do bagażnika włożył tylko jedną walizkę, skórzaną, z solidnymi mosiężnymi zamkami. Bagaż człowieka podróżującego dość często, lecz drogo. Na fotel obok siebie rzucił neseser ze skóry krokodyla.

W górnej kieszeni świetnie skrojonego jasnego garnituru miał brytyjski paszport, wystawiony na nazwisko Hugona Seymoura, i bilet lotniczy z Bangkoku do Londynu - rzecz jasna, pierwszej klasy. Kiedy speedbird one zero wolno sunął po pasie w kierunku rękawa, limuzyna stanęła przed halą odlotów.

Pan Seymour nie przenosił walizki na wózek. Uniósł wypielęgowaną dłoń i na jego wezwanie natychmiast stawił się mały tajski bagażowy. Pan Seymour dał napiwek kierowcy i wskazał na walizkę w otwartym bagażniku. Potem wszedł za śmiesznie

drepczącym Tajem do hali i stanął do odprawy. Przez niecałe trzydzieści sekund czuł kleisty upał tropikalnej nocy.

Oczywiście odprawa pasażerów pierwszej klasy wcale nie trwała godzinę i czterdzieści pięć minut. Przy stanowisku British Airways w ogóle nie było nikogo. Młody urzędnik w kilka chwil załatwił wszelkie formalności i samotna skórzana walizka, wyraźnie opatrzona naklejką BA London, powędrowała do luku bagażowego. Pan Seymour wziął kartę pokładową i udał się do poczekalni, za kontrolą paszportową.

Umundurowany oficer tajskiej straży granicznej zerknął w bordowy paszport, na kartę pokładową i na twarz pasażera stojącego za szklaną szybą. Ujrzał lekko opalonego mężczyznę w średnim wieku, świeżo ogolonego i o starannie przystrzyżonych siwiejących włosach, lekko rozwianych podmuchem suszarki. Całości dopełniała biała jedwabna koszula, jedwabny krawat od Jima Thompsona i jasna jedwabna marynarka, kupiona u jednego z lepszych krawców w Bangkoku, zdolnego w trzydzieści godzin skopiować każdy garnitur z Saville Row. Oficer wysunął paszport przez szparę w szklanym przepierzeniu.

- Sawat-di, krab - mruknął Anglik.

Oficer uniósł głowę i uśmiechnął się z zaskoczeniem, słysząc podziękowanie w rodzimym języku. Niespotykana rzecz u cudzoziemców.

W niewidocznych z zewnątrz, długich korytarzach sunął sznur pasażerów, przybyłych z Sydney do Bangkoku. Oni także szli do odprawy, tyle że w hali przylotów. Za nimi podążała grupa „tranzytowców”. Kiedy samolot był już pusty, na pokład wkroczyła ekipa sprzątająca. Spod pięćdziesięciu dziewięciu rzędów foteli wygarnęła czternaście pełnych kubłów śmieci. A tymczasem pan Seymour, z neseserem ze skóry krokodyla w ręku, przeszedł spokojnie do poczekalni pierwszej klasy. Tam powitały go dwie olśniewająco piękne tajskie dziewczyny. Usiadł wygodnie i zamówił kieliszek wytrawnego białego wina. Potem pograżył się w lekturze jakiegoś artykułu zamieszczonego w „Forbesie”. Poza nim w eleganckiej, przestronnej i chłodnej poczekalni było zaledwie dwudziestu innych pasażerów.

Pan Seymour nawet nie zauważył - bo nie chciał zauważyć - że tuż obok jego stanowiska odprawy odbywała się odprawa pasażerów klasy biznesowej. Boeing 747-400 linii BA był wyposażony w czternaście foteli pierwszej klasy. Dziesięć miało być zajętych, w tym cztery przez kontynuujących lot z Sydney. Pan Seymour dotarł na lotnisko jako pierwszy z sześciu pasażerów wsiadających w Bangkoku. Klasa biznesowa, licząca dwadzieścia trzy miejsca, była zajęta w całości. Osiemnaście osób wsiadało w stolicy Tajlandii. To właśnie one stały, oczekując na odprawę.

Trochę dalej ciągnęła się kolejka klasy turystycznej, eufemistycznie określanej teraz nazwą „World Traveller” czyli „Światowy podróżnik”. Tłoczyły się tam tłumy ludzi. Dziesięć stanowisk z trudem obsługiwało ponad czterystu pasażerów. W tej ciżbie była także rodzina Higginsów. Sami nieśli walizki. Przyjechali tu autobusem, w którym z powodu ścisunku panował taki upał, że nawiew nic nie pomagał. Wysiedli wymięci i spoceni. Dopiero po godzinie trafili do poczekalni, zaglądając na krótko do strefy wolnocłowej. Usiedli w części dla niepalących. Zostało im pół godziny. Kapitan Fallon wraz z załogą już dawno był w samolocie, ale i jego wyprzedził personel pokładowy.

Zwyczajowy kwadrans piloci spędzili w biurze, wypełniając i przeglądając odpowiednie papiery. Najważniejszy z tego wszystkiego był jak zwykle plan lotu, określający czas podróży, minimalną ilość potrzebnego paliwa i - na kilku dodatkowych stronach - opisujący szczegóły trasy. Informacje pochodziły z ośrodków kontroli lotu, rozmieszczonych pomiędzy Bangkokiem i Londynem. Kapitan zatrzymał wzrok na prognozie pogody. Wszędzie spokój, po drodze i nad Anglią. Z łatwością, nabytą długim doświadczeniem, przejrzał NOTAM-y (uwagi dla pilotów). Wybrał tylko te najważniejsze i nie kłopotał się całą resztą.

Po zabranii i podpisaniu wymaganych dokumentów czwórka pilotów mogła wejść na pokład. Zjawili się tam przed pasażerami. Tłum przyjezdnych z Sydney też zdażył się już rozejść. Kręciła się jedynie ekipa sprzątająca, ale to było w gestii szefa personelu, a pan Harry Palfrey bez trudu radził sobie z ludźmi.

Tajscy sprzątacze stanowili tylko część zmartwienia. Należało przewietrzyć, wyczyścić i sprawdzić wszystkie toalety. Wniesiono żywność i napoje dla ponad czterystu osób. Pan Palfrey osobiście dokonał wyboru najnowszych londyńskich gazet, przed chwilą dostarczonych z Heathrow innym samolotem. Nie skończył nawet połowy wyznaczonych czynności, a już kapitan z załogą weszli do kabiny.

Latem kapitan Fallon korzystał z pomocy tylko dwóch oficerów, lecz teraz był koniec stycznia i zimowe wiatry, wiejące od czoła, przedłużały lot do trzynastu godzin. W takich warunkach pilot potrzebował zmiany.

W głębi duszy Adrian Fallon uważał, że to niepotrzebne. Z tyłu kabiny, po lewej stronie, mieściła się mała wnęka z dwoma leżankami. Każdy kapitan w pewnej chwili zostawiał samolot pod opieką autopilota i dwóch dyżurnych oficerów i kładł się spać na jakieś cztery lub pięć godzin. Przepisy jednak były przepisami i w zimie latało ich nie trzech lecz czterech.

Przeszli przez długi tunel rękawa i wkroczyli do pustej maszyny. Fallon zerknął na młodszego z oficerów.

- Wybacz, Jim. Obchód.

Młodzieniec, który przez całą podróż autobusem chłonał oczami umykające rozkosze Bangkoku, posłusznie skinął głową, otworzył drzwi w ścianie tunelu i wyszedł w lepką noc. Nikt nie lubił tego obowiązku, więc zazwyczaj obarczano nim najmłodszych. Gdyby całego jumbo jeta zamknąć w prostokątnym pudełku, od nosa do ogona i aż po końce skrzydeł, zajmowałby powierzchnię akra, czyli ponad czterech tysięcy metrów kwadratowych. Obchód należał do prostych czynności - należało obejść całą maszynę i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Nic więcej. Jakiś panel mógł pozostawać niedomknięty, jakaś kałuża mogła zdradzać przeciek... Coś, na co mechanicy nie zwrócili uwagi. Nie wdając się w szczegóły: są mechanicy i mechanicy. Linie lotnicze wołały, żeby ostatecznego przeglądu dokonywał ktoś z załogi.

Czasem na zewnątrz panuje mróz niemal nie do zniesienia. Czasami bywa tropikalny monsun. Parszywe szczęście. Tym razem młody „ochotnik” z trzema paskami na rękawie wrócił dwadzieścia minut później mokry od potu i pogryziony przez moskity, ale poza tym całkiem zdrowy.

Kapitan Fallon wkroczył do swego zamku po schodkach wiodących od wejścia na górny poziom. Potem przestąpił próg kabiny. Po chwili wszyscy piloci zdjęli marynarki, powiesili je na drzwiach w szafie i zajęli właściwe miejsca. Fallon usiadł po lewej, pierwszy oficer po prawej. Drugi pilot ukrył się we wnęce i zaczął przeglądać wiadomości giełdowe. Na samym początku kariery zawodowej, po przesiadce z krajowych lotów do Belfastu na linie międzynarodowe, Fallon korzystał jeszcze z pomocy mechanika pokładowego i nawigatora. To już odległa przeszłość. Mechanikiem była teraz długa deska rozdzielcza, ciągnąca się mu nad głową od ściany do ściany, pełna wskaźników, zegarów, dźwigni, przycisków i bezpieczników. Rolę nawigatora pełniły trzy bezwładnościowe systemy pomiaru pozycji, „czarne skrzynki” działające o wiele szybciej i skuteczniej.

Pierwszy oficer sięgnął po jeden z pięciu spisów przedstartowych czynności kontrolnych. Fallon spojrział na cargo, które miał podpisać, z chwilą kiedy wszystkie bagaże trafiają już do luku, oraz na listę pasażerów. Oczekiwał na potwierdzenie od pana Palfreya.

Prawdziwym przekleństwem każdego kapitana nie jest pasażer bez bagażu - ten zawsze można dostać później - ale bagaż bez pasażera. Trzeba wówczas przetrząsnąć cały luk i odszukać podejrzaną walizki. Mogą zawierać wszystko.

Cały samolot był zasilany przez silnik pomocniczy, tak zwany APU, w rzeczywistości pięcią turbiną odrzutową, o której wie na ogół niewiele postronnych osób. APU w jumbo ma dość mocy, żeby dźwignąć mały myśliwiec. To pozwala na funkcjonowanie wszystkich urządzeń pokładowych - świateł, wentylacji, startera i tak dalej - bez konieczności dostarczania do samolotu zewnętrznego zasilania.

W poczekalni klasy turystycznej państwo Higgins byli już zmęczeni. Ich córka Julie po trochu rozrabiła z nudów. Cztery godziny temu opuścili dwugwiazdkowy hotel i, jak większość współczesnych podróżników, mordowali się całą drogę. Zanieść bagaż do autobusu, sprawdzić, czy nic nie zostało, stać w kolejce i czekać, wcisnąć się w ciasny fotel, utknąć w korku, martwić się spóźnieniem, znów utknąć w korku, wysiąść na lotnisku, w tym samym czasie odszukać bagaż, dziecko i wózek, przejść przez kontrolę bezpieczeństwa, przejść przez rewizję osobistą, bo klamra od paska zapiszczała, oddać płaczącej córce lalkę prześwietloną promieniami Roentgena, kupić trochę prezentów w strefie wolnocłowej, stanąć w kolejce i czekać... aż wreszcie usiąść na twardych plastikowych krzesłach w poczekalni. Ostatni przystanek przed wejściem na pokład.

Julie trzymała lalkę w ramionach. Zabawka była tajlandzka, z Phuket. Dziewczynka, zmęczona czekaniem, wędrowała po hali. Jakiś człowiek zawołał do niej: - Cześć, mała. Ładna lala.

Zatrzymała się i spojrzała na niego. W niczym nie przypominał jej ojca. Miał kowbojskie buty na grubych obcasach, brudne i powycierane dżinsy, niebieską koszulę i paciorki na szyi. Włosów dawno już nie mył i nie golił brody. Obok niego leżał mały plecak.

Julie Higgins zupełnie nie wiedziała, bo ośmiolatki na ogół nie wiedzą o takich rzeczach, że na Dalekim Wschodzie roi się od zachodnich włóczędów. Człowiek, który ją zaczepił, właśnie do nich należał. Kraje Orientu są jak magnes dla tysięcy podobnych osobników, bo życie tam jest relatywnie tańsze i łatwiejsze i nie ma większych problemów z zakupem narkotyków.

- Nowa - odpowiedziała Julie. - Ma na imię Pooky.

- Pięknie. A dlaczego? - zapytał hipis.
- Bo tata kupił ją w Pukit.
- Znam to miejsce. Wspaniała plaża. Byłaś tam na wakacjach?
- Tak. Pływałam z tatą i widzieliśmy ryby.

W tym momencie pani Higgins trąciła nogą męża w kolano i ruchem głowy wskazała na córkę.

- Julie! Chodź tu, kochanie! - zawołał pan Higgins.

Julie знаła ten ton głosu. Tato wyraźnie nie pochwalał jej zachowania. Posłusznie wróciła do rodziców. Higgins spod oka spojrzął na hipisa. Nie znosił takich luzaków, brudasów i na pewno ćpunów. Co to za partner do rozmowy, zwłaszcza dla mojej córki? - pomyślał. Hipis zrozumiał. Wzruszył ramionami, wyciągnął paczkę papierosów, zobaczył napis „Nie palić” tuż nad swoją głową, więc poszedł w drugi koniec sali, zanim sięgnął po zapalniczkę. Pani Higgins pociągnęła nosem. Przez megafon wezwano podróżnych do wejścia na pokład samolotu. Najpierw rzędy od trzydziestu czterech do pięćdziesięciu siedmiu.

Pan Higgins zerknął na kartę pokładową. Rząd trzydziesty czwarty, miejsca D, E i F. Zebrał więc rodzinę, sprawdził, czy mają bagaże, i stanął w ostatniej kolejce.

Wiadomo było, że samolot za żadne skarby świata nie wystartuje o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć. Tak zwany rozkład lotów, oględnie mówiąc, należał do szeroko pojętej fikcji. Kapitan Fallon otrzymał wiadomość z wieży, że pięć minut po północy dostanie „lukę” powietrzną. Zamierzał ją wykorzystać. We współczesnej awiacji takie luki mają ogromne znaczenie. W Europie Zachodniej lub Ameryce Północnej wystarczy którąś przegapić podczas startu lub lądowania i samolot może czekać dodatkową godzinę, zanim otworzy się następna.

Dwadzieścia minut opóźnienia nie powodowało żadnych perturbacji. Dawało się to odrobić w ciągu całego lotu. Ze względu na silne wiatry nad Pakistanem i w południowej części Afganistanu czas przelotu obliczano na trzynaście godzin i dwadzieścia minut. W porównaniu z Bangkokiem różnica czasu w Londynie wynosiła siedem godzin. Samolot miał lądować mniej więcej dwadzieścia po szóstej, styczniowego ranka, przy temperaturze na zewnątrz bliskiej zera. W Tajlandii, o północy, temperatura wynosiła dwadzieścia sześć stopni Celsjusza, a wilgotność powietrza oscylowała w granicach dziewięćdziesięciu procent.

Ktoś zapukał do drzwi kabiny. Wszedł szef personelu pokładowego. W ręku trzymał listę pasażerów, bo przed chwilą zakończył „liczenie pogłowia”.

- Czteryestu pięciu, kapitanie.

Zgadzało się. Fallon podpisał „loadsheet”, czyli wyważenie samolotu, i oddał go Palfreyowi, który z kolei odszedł, żeby przez otwarte drzwi przekazać papier obsłudze naziemnej BA. Na zewnątrz latającego mamuta sprawni dworzanie kończyli ostatnie prace. Zamknięto luk bagażowy, odczepiono węże, wycofano pojazdy na bezpieczną odległość. Olbrzym zamierzał puścić w ruch cztery silniki rolls-royce’a i pokolować na pas startowy.

W przedziale pierwszej klasy pan Seymour zdjął wreszcie jedwabną marynarkę i powiesił ją do szafy. Poluźnił jedwabny krawat. Koło siebie postawił kieliszek musującego



szampana. Szef personelu podał mu świeże wydania „Financial Times” i „Daily Telegraph”. Pan Palfrey - snob w każdym calu - uwielbiał coś, co określał mianem „stylu”. Dziś nawet hollywoodzkie gwiazdy wyglądały jak łachmaniarki. Dobrze więc było raz na jakiś czas popatrzeć na kogoś naprawdę stylowego.

W kabinie pilotów Fallon nadzorował procedurę przed startem. Przez okienko zobaczył ciągnik prowadzony przez anonimowego, lecz wiernego sługę, znanego wśród pilotów jako Joe Traktor. Bez niego speedbird one zero nigdzie by się nie ruszył, ponieważ swoim nosem celował wprost w terminal i nie zdołałby się obrócić bez pomocy.

Ze stanowiska kontroli lotu nadeszło zezwolenie na uruchomienie silników. Jednocześnie samolot drgnął, wypychany od rękawa przez maleńki, ale niezwykle silny wehikuł Joego Traktora. Ożyły cztery turbiny rolls-royce 524. Fallon nie potrzebował do tego generatora zewnętrznego. Wszystko załatwił APU.

Na rozkaz kapitana drugi pilot sięgnął do górnej tablicy i uruchomił silnik numer cztery. Drugą ręką wyregulował dopływ paliwa. Powtórzył to jeszcze trzykrotnie, uruchamiając silniki trzy, dwa i wreszcie jeden. Automat ustawił turbiny na martwy ciąg.

Joe Traktor obrócił samolot o dziewięćdziesiąt stopni, nosem w kierunku pasa do kołowania. Z tyłu, za dyszami silników, musiała być wolna przestrzeń. Kiedy to zrobił, wywołał przez mikrofon kabinę pilotów. Kabel łącznościowy prowadził od ciągnika do gniazda obok przedniego koła jumbo jeta. Joe poprosił o zaciągnięcie hamulców. Dobrze, że to zrobił; chciał dożyć późnej starości. Aby odłączyć kabel, musiał wysiąść z ciągnika, wejść pod spód samolotu i wyciągnąć wtyczkę. Gdyby dostał się pod przednie koło, pojawiłby się z powrotem w postaci hamburgera. Fallon zaciągnął hamulec i poinformował, że to zrobił. Pięćdziesiąt stóp niżej Joe Traktor zwinął kabel, odszedł kilka kroków i zgodnie z procedurą uniósł chorągiewkę. Fallon pomachał mu z wdzięcznością. Ciągnik odjechał. Kontrola naziemna zezwoliła na kołowanie i resztę przekazała na wieżę.

Higginsowie wreszcie zasiedli w rzędzie trzydzieści cztery. Mieli szczęście. Miejsce G było wolne, więc mogli skorzystać z wszystkich czterech foteli. John Higgins usadowił się na fotelu D, tuż przy przejściu. Jego żona zajęła G, przy drugim przejściu. Środek pozostał dla Julie, która właśnie teraz pieczołowicie układała lalkę na nocny spoczynek. Speedbird one zero zbliżał się do pasa startowego. Ciężar manewrowania ogromnym kadłubem spoczywał na przednim kole. Fallon sterował jedną ręką. Przez cały czas był w kontakcie z wieżą. Kiedy dotarł do końca pasa, poprosił o natychmiastowe zezwolenie na start. Oznaczało to, że chce ruszyć „z marszu”, bez żadnych przestojów. Wieża wydała zgodę.

Jumbo wjechał na pas i ustawił się na środkowej linii. Kapitan przesunął w przód wszystkie manetki gazu i zacisnął palce, uruchamiając zespół TOGA (Take-Off / Go Around). Ciąg czterech silników wzrósł do wcześniej przewidzianej wartości.

Pasażerowie poczuli nagle przyspieszenie. Jumbo z łoskotem toczył się po pasie. Na wyciszonym pokładzie i w kabinie załogi nikt nie słyszał ogłuszającego wycia turbin, ale wszyscy mieli świadomość unoszącej ich mocy. Daleko z boku połyskiwały światła głównego terminalu. Dłoń kapitana przemknęła po przyciskach kontrolnych i przednie koło oderwało się od ziemi. Pasażerowie pierwszej klasy usłyszeli metaliczny zgrzyt

dochodzący gdzieś z dołu, ale to tylko szczęknęła teleskopowa noga, uwolniona od gigantycznego ciężaru. Dziesięć sekund później całe podwozie główne powędrowało w górę i samolot uniósł się w powietrze.

Wysoko nad ziemią, na polecenie Fallona, drugi pilot uruchomił mechanizm chowający koła. Coś stuknęło parę razy, a potem umilkł hałas i zniknęła wibracja. Samolot wspinał się z szybkością tysiąca trzystu stóp na minutę. Na wysokości tysiąca pięciuset stóp kąt wznoszenia zmalął. Prędkość zaczęła wzrastać. Fallon wydał polecenie, żeby pomału zmniejszać wychylenie sterów, z dwudziestu stopni na dziesięć, później na pięć, na jeden, i wreszcie do zera.

Siedzący w fotelu 34D John Higgins rozluźnił dłonie, które kurczowo zaciskał na poręczach. Nie lubił latać. Najbardziej nie lubił startu, ale nie okazywał strachu przy rodzinie. Rozejrzał się. Zauważył, że hipis siedzi zaledwie cztery rzędy przed nim, na 30C, po drugiej stronie przejścia. Długi korytarz wiódł do niewielkiej sieni, oddzielającej klasę biznesową od klasy turystycznej. Tam był przedział kuchenny i cztery toalety. Higgins widział trzy albo cztery stewardesy, krzątające się przy spóźnionym posiłku. Był głodny. Ostatnią kanapkę zjadł sześć godzin temu, w hotelu. Odwrócił się i pomógł Julie nałożyć słuchawki i wyszukać kanał z kreskówkami. Wszystkie samoloty startujące z Bangkoku kierowały się najpierw na północ. Fallon łagodnie położył maszynę na lewą burtę i spojrzał w dół. Noc była pogodna. Za nimi leżała Zatoka Tajlandzka, a nad nią Bangkok, przed nimi - po drugiej stronie - Morze Andamańskie. Między morzami, w samej Tajlandii, w świetle księżyca połyskiwały zalane pola ryżowe. Ktoś mógłby pomyśleć, że kraj stoi pod wodą. Speedbird one zero wspiął się na wysokość trzydziestu jeden tysięcy stóp i wyrównał kurs. Skierował się w stronę Londynu. Miał lecieć nad Kalkutą, Delhi, Kabulem, Teheranem, wschodnią Turcją, Bałkanami i Niemcami. To była tylko jedna z wielu możliwości. Fallon włączył autopilota i przeciągnął się. Dokładnie w tej samej chwili stewardesa podała kawę. Hipis w fotelu 30C czytał dzisiejsze menu wydrukowane na niewielkiej kartce. Nie chciało mu się jeść; wolałby zapalić. Trzydzieści godzin bez fajki w ustach, a potem jeszcze jakiś czas na Heathrow, przy karuzeli z bagażami. Dopiero potem można wyjść na zewnątrz i złapać dym w płuca. Trzeba wypalić ze dwa całe przed jakimś mocniejszym skrętem.

- Befszyk - powiedział do stojącej obok uśmiechniętej stewardesy. Mówił z amerykańskim akcentem, ale miał kanadyjski paszport, wystawiony na Donovana. W pewnym biurze, w zachodniej dzielnicy Londynu - w biurze, którego adres jest ścisłą tajemnicą - zadzwonił telefon. Człowiek za biurkiem spojrzał na zegarek. Dopiero wpół do szóstej, a już, cholera, ciemno.

- Słucham?

- Szefie, BA zero-jeden-zero wystartował z Bangkoku.

- Dzięki.

Odłożył słuchawkę. William „Bill” Butler nie lubił długich rozmów przez telefon. W ogóle nie lubił mówić. Był z tego znany. Krążyła opinia, że dobrze z nim współpracować, ale źle się narażać. Podwładni nie wiedzieli jednak, że miał kiedyś ukochaną córkę, dumę całego życia. Poszła na studia i wkrótce zmarła. Przedawkowała heroinę. Bill Butler nie lubił heroiny. A jeszcze bardziej nie cierpiał przemytników. Był ich zaciętym wrogiem, tym

groźniejszym, że pracował w tajnym wydziale Królewskiego Urzędu Ceł i Akcyzy, prowadzącym odwieczną wojnę z dealerami. Wydział potocznie określano nazwą „Kołatka”. Bill Butler kołatał w nim najmocniej.

Minęło pięć godzin. Rozdano setki zapakowanych i odgrzanych dań obiadowych. Część z nich zniknęła w żołądkach pasażerów (a część została na tacach). Zebrano plastikowe naczynia. Rozdano tanie wino w ćwierćlitrowych butelkach. Część z tego wypito, a część schowano do kieszeni w oparciach foteli. Wreszcie ludzka tłuszczka w przedziale turystycznym zaczęła się z wolna uspokajać.

W elektronicznej dziupli pod kabiną pierwszej klasy elektronicznie mamrotały do siebie dwa komputery kontroli lotu. Oba pobierały strumień informacji z trzech bezwładnościowych systemów nawigacyjnych, ściągały dane z radiostacji i satelitów, obliczały pozycję samolotu i mówiły autopilotowi, jak dokonać maleńkiej korekty lotu, żeby speedbird one zero nie zboczył z przewidzianej trasy.

Gdzieś w dole leżała połać postrzępionej ziemi między Kabulem i Kandaharem. Na północy, w górach Pansziru, fanatyczni talibowie toczyli walkę z Szahem Masudem, ostatnim komendantem armii, który stawiał jakikolwiek opór. A do pasażerów zamkniętych w huczącym kokonie, lecącym nad Afganistanem, nie docierała ciemność ani zabójczy ziąb, ani ryk silników, ani odgłosy brutalnej wojny.

Zasłonięto iluminatory, przygaszono światło i rozdano cienkie koce. Większość osób usiłowała zasnąć. Kilka oglądało film, kilka słuchało koncertu.

Pani Higgins szybko zasnęła na fotelu 34G. Kocem nakryła się pod brodę i oddychała cicho przez wpółotwarte usta. Po podniesieniu środkowej poręczy fotele E i F zmieniły się w leżankę. Spała tam Julie, ciepło opatulona, z lalką przyciśniętą do piersi.

John Higgins nie mógł zasnąć. Nigdy nie sypiał w samolotach. Zmęczony jak pies, wrócił myślami do wakacji na Dalekim Wschodzie. W zasadzie była to zwykła wycieczka zbiorowa. W żaden inny sposób agent ubezpieczeniowy nie wyjechałby do Tajlandii. I tak musiał pożyczać i oszczędzać. Ale warto było.

Zamieszkali w hotelu Pansea na wyspie Phuket, z dala od nieprzystojnych uciech, z których słynęła Pattaya. Specjalnie to sprawdził w biurze turystycznym, żeby, broń Boże, nie narażać rodziny. Wyspa była magiczna - tak wszyscy stwierdzili. Pożyczyli rowery i jeździli po plantacjach kauczuku i po tajskich wioskach, ukrytych w głębi łądu.

Zatrzymywali się przy czerwono malowanych buddyjskich świątyniach, krytych złotymi dachami, i podziwiali mnichów w szafranowych szatach.

W hotelu John wypożyczył maski, fajki i płetwy dla siebie i dla Julie. Pani Higgins nie umiała pływać. Trochę tylko tapląca się w basenie. John z córką pływał wśród raf koralowych - ona w gumowych skrzydełkach, on w pasie ratunkowym. Pod wodą zobaczyli stada ryb barwnych jak motyle, langusty i mięczaki.

Julie wpadła w taki zachwyty, że uniosła głowę, aby zawołać „Patrz!” do ojca, w razie gdyby nic nie widział. Ale on widział, więc dał jej znak, żeby zagryzła fajkę, zanim się nałyka wody. Za późno. Zaczęła pluć i kaszleć, więc musiał wyciągnąć ją na plażę.

Hotel oferował dzieciom krótki kurs nurkowania w basenie, lecz John się na to nie zgodził. Przeczytał, że w okolicznych wodach trafiają się rekiny. Pani Higgins aż jęknęła ze zgrozy. Szukali przygód, ale bez przesady.

W hotelowym sklepiku Julie znalazła lalkę o wyglądzie tajskiej dziewczynki. Tato kupił ją jej w prezencie. Po dziesięciu dniach pobytu w Pansea, tuż obok nieziemsko drogiej Amanpuri, na ostatnie trzy dni wybrali się do Bangkoku. Tam, z przewodnikiem, pojechali zobaczyć Nefrytowego Buddę i ogromnego Śpiącego Buddę. Nosy im odpadały od smrodu bijącego z rzeki Chao Praya i wciąż się krztusili spalinami. Lecz było warto. Spędzili tam najlepsze wakacje w życiu.

Przed nim, w oparciu fotela, widniał mały ekran, na którym wyświetlano pozycję samolotu. John patrzył na to obojętnie. Wciąż liczby: czas podróży, przebyta odległość od Bangkoku, pozostała odległość do Londynu, przewidywany czas całego lotu, temperatura na zewnątrz (upiorne sześćdziesiąt stopni poniżej zera), prędkość wiatru. Potem mignął nowy obraz: mapa tej części świata z białą sylwetką samolotu sunącą z wolna na północny zachód, do Europy i do domu. John zastanawiał się, czy to da podobny efekt jak liczenie owiec? Może uśnie, obserwując maleńki ruchomy punkcik? W tej samej chwili jumbo wpadł w krótką turbulencję. John oprzytomniał od razu i obie dłonie zacisnął na poręczach fotela. Żeby się uspokoić, musiał czymś zająć umysł. Okazja nadarzyła się od razu.

Hipis też nie spał. Spojrzał na zegarek, wysupłał się spod koca i wstał.

Rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy nikt go nie obserwuje. Potem poszedł w stronę toalety. Zastłona wisząca w przejściu była zaciągnięta tylko do połowy i smuga jasnego światła padała z kuchni na dwoje drzwi i miękką wykładzinę. Hipis stanął przed toaletą. Nie wszedł do środka. Pewnie była zajęta, choć John nie pamiętał, żeby ktoś do niej wchodził. Hipis oparł się o ścianę i czekał.

Pół minuty później ktoś podszedł do niego. Stanowili zupełne przeciwieństwo. Nowo przybyły aż tchnął elegancją i bogactwem. Nadszedł od przodu, z klasy biznesowej lub nawet z pierwszej klasy. Ale dlaczego?

W świetle widać było jego jasne spodnie, jedwabną koszulę i luźno zawiązany, także jedwabny krawat. Tak, to na pewno pasażer pierwszej klasy, pomyślał Higgins. Szedł taki kawał drogi, żeby się załatwić?

Potem zaczęli rozmawiać: Hipis i pan Elegancik. Szeptali coś z podnieceniem. Elegancik pochylił się w stronę Hipisa, a ten kilkakrotnie skinął głową. Wyglądało na to, że dostał jakieś polecenie i że zgodził się je wykonać.

John Higgins należał do tego typu ludzi, którzy ogromnie lubią podglądać sąsiadów. Zaciekawiała go ta scena. W swoim przedziale pan Elegancik miał pięć albo sześć toalet. Przecież wszystkie nie mogły być zajęte o tak nieprzyzwoitej porze. Nie, to spotkanie na pewno było umówione. W ogóle nie przypominało zdawkowej pogawędki dwóch przypadkowych ludzi stojących w kolejce.

Skończyli. Człowiek w jedwabniach zniknął z pola widzenia. Zapewne poszedł do siebie. Hipis nawet nie zajrzał do kibla, tylko wrócił na fotel. John Higgins miał zamęt w głowie. Wiedział, że był świadkiem czegoś bardzo ważnego, ale nie miał pojęcia czego.

Przymknął oczy i udawał, że śpi. Hipis znowu się rozejrzał po mrocznym pokładzie. Dziesięć minut później John miał już gotową odpowiedź. Tak jak przypuszczał, spotkanie było z góry zaplanowane i umówione. Ale jak weszli w układ? Nie przypominał sobie, żeby w poczekalni dla pasażerów klasy turystycznej siedział jakiś biznesmen w jasnym

garniturze. Byłby widoczny jak rodzynek w cieście. Hipis nie ruszał się z miejsca od momentu startu. Mógł co prawda przesłać wiadomość przez stewardesę, ale na to po prostu brakowało dowodów.

Istniało zatem tylko jedno logiczne wyjaśnienie. Nocne spotkanie na granicy dwóch klas - żeby nie rzec: dwóch światów - zostało ustalone w Tajlandii. Po co? Ot, tak sobie? Dla zwykłej wymiany informacji? Po to, żeby elegant mógł wydać ostatnie polecenia? A może hipis był prywatnym asystentem biznesmena? Nie... Niemożliwe. Tak ubrany? Różnili się jak dzień od nocy. Higgins zaczął się martwić. Co gorsza, stał się podejrzliwy.

W Londynie dochodziła jedenasta wieczór. Bill Butler popatrzył na śpiącą żonę, westchnął i zgasił światło. Budzik nastawił na wpół do piątej. Miał dużo czasu. O tej porze zdąży się umyć, ubrać i dojechać na Heathrow przed piątą piętnaście. Dobrą godzinę przed lądowaniem. Potem mógł liczyć tylko na łut szczęścia.

To był męczący dzień. Jak zwykle. Bili czuł się podle, a jednak nie mógł zasnąć. W natłoku myśli uparcie powracało pytanie: Co mógł naprawdę zrobić? Coś innego? Dostał cynk od kumpla po drugiej stronie oceanu, z amerykańskiej agencji do spraw narkotyków. Ze słynnej DE A. Wiadomość była krótka - wznowiono polowanie.

Dziewięćdziesiąt procent heroiny sprzedawanej na Wyspach Brytyjskich i w Europie Zachodniej pochodziło z Turcji. Zaliczano ją do tak zwanej brązowej heroiny. Handlem w bezwzględny sposób kierowała turecka mafia, jedna z naj-brutalniej szych grup przestępczych we współczesnym świecie, lecz działająca cicho i prawie bez rozgłosu. Ich towar pochodził z pól makowych w Anatolii. Na pozór przypominał cukier wyrabiany z trzciny. Wdychano go najczęściej po spaleniu w kawałku folii trzymanej nad świecą. W Anglii nie cieszył się zbytnim powodzeniem, w odróżnieniu od Ameryki.

W „Złotym Trójkącie” na Dalekim Wschodzie działo się całkiem inaczej. Biała heroina z Tajlandii wyglądała jak proszek do pieczenia i była „ciężta”, czyli mieszana z innym białym proszkiem, by zredukować jej zawartość dwadzieścia do jednego. Tak chcieli Amerykanie.

Gdyby zatem brytyjscy gangsterzy korzystali z regularnych dostaw, mogliby wejść w porozumienie z amerykańską *cosa nostra*. Zwykły handel wymienny. Wartość najlepszej kolumbijskiej kokainy wynosiła trzy do jednego. Za sześć kilogramów koki dwa kilogramy tajskiej białej.

Cynk nadszedł z biura DEA w Miami. Była w nim mowa o tym, że przez ostatnie pół roku rodzina Trafficante trzy razy wysyłała „muła”, czyli kuriera, do Anglii z sześcioma kęsami koki. Wracał z dwoma tajlandzkiej heroiny.

Interes może niezbyt okazały, ale stabilny. Angielski łącznik zarabiał jakieś dwieście tysięcy funtów na każdym przerzucie. Takiej ilości proszku, zdaniem Butlera, nie przemycano statkiem ani ciężarówką. Pozostawał samolot. Bagaż pasażerski. Bili rzucał się i przewracał z boku na bok, żeby zasnąć na cztery godziny.

John Higgins także nie spał. Słyszał o ciemnej stronie urlopowego raj, jakim była Tajlandia. Przypomniawszy sobie, że niedawno czytał artykuł o „Złotym Trójkącie”. O wzgórzach, które porastał papaver somniferum, mak opiumowy. Głęboko w dżungli, przy granicy, w miejscach niedostępnych dla wojska, stały laboratoria. Tam z opium najpierw robiono morfinę, a z niej białą pylistą heroinę.

Pasażerowie spali, Higginsem zaś miały sprzeczne myśli. Przecież mogło być jakieś niewinne wyjaśnienie osobliwego spotkania pod drzwiami ubikacji. Sęk w tym, że żadne nie przychodziło mu do głowy.

Na ekranie maleńki biały samolocik sunął nad Anatolią we wschodniej Turcji. John Higgins odpiął pas, wstał i wyjął teczkę ze schowka nad głową. Nikt się nie ruszył. Nawet hipis.

John usiadł. Szukał w teczce długopisu i czystej kartki. Długopis znalazł, z kartką było gorzej. Wreszcie wyciągnął cztery nieduże arkusze papieru listowego, zabrane z hotelu Pansea. Oderwał nagłówek z godłem i adresem hotelu. Teraz mógł zabrać się do pracy. Pisał na teczce, powoli, drukowanymi kulfonami. Zabrało mu to pół godziny.

Kiedy skończył, samolot był już nad Ankarą. John włożył kartkę do koperty ze znaczkiem UNICEF-u, jednej z tych, które zawsze rozprawdzały linie British Airways, i nagryzmołił na wierzchu: DO KAPITANA. PILNE.

Wstał, cicho podszedł do zasłony odgradzającej go od toalet i zajrzał do kuchni. Młody steward stał do niego tyłem, przyrządzając śniadanie. Higgins wycofał się bez słowa. Zabuczał brzęczyk. Steward poszedł gdzieś na przód samolotu. Higgins odsunął zasłonę i postawił kopertę na sztorc między dwiema filiżankami kawy. Potem wrócił na swoje miejsce.

Minęło pół godziny, zanim steward zobaczył kopertę. W pierwszej chwili sądził, że to datek na rzecz UNICEF-u, później jednak zerknął na napis. Zmarszczył czoło, pomyślał chwilę, wreszcie poszedł do szefa personelu.

- Harry? Znalazłem to na tacy z kawą. Pomyślałem sobie, że lepiej przyjść do ciebie zamiast od razu wkurzać kapitana.

Harry Palfrey zamrugnął oczami.

- Bardzo dobrze, Simon. Masz łeb. To pewnie jakaś bzdura. Sam się tym zajmę. A teraz, w związku ze śniadaniem...

Odprowadził spojrzeniem odchodzącego stewarda. Patrzył na jędrne pośladki, zarysowane pod spodniami munduru. Widział wielu, sypiał z wieloma, ale ten to prawdziwy rarytas. Może na Heathrow... Zerknął na kopertę, nastroszył brwi, myślał przez chwilę, czyby jej nie otworzyć, wreszcie wspiął się po schodach i zapukał do kabiny pilotów.

Była to czysta formalność. Szef personelu mógł zawsze i o każdej porze nieproszony wejść do kokpitu. Harry pchnął drzwi. Drugi pilot siedział w fotelu po lewej stronie i patrzył na światła wybrzeża. Kapitan Fallon gdzieś zniknął. Harry zapukał do drzwi alkowy. Tym razem czekał na odzew.

Pół minuty później ukazał się Adrian Fallon. Palcami przeczesał siwiejące włosy.

- Harry?

- Troszeczkę dziwna sprawa, szefie. Ktoś to zostawił na tacy z kawą, między filiżankami. Nawet się nie pokazał. Jakiś anonim.

Fallon popatrzył na kopertę.

Żołądek podszedł mu do gardła. Przez trzydzieści lat służby nie miał do czynienia ani z porywaczami, ani z bombą na pokładzie. Znał jednak takich, którzy doświadczyli

podobnych nieprzyjemnych przeżyć. Istny koszmar. Teraz przyszła kolej na niego. Rozerwał kopertę, oparł się o koję i zaczął czytać. List zaczynał się w ten sposób: „Kapitanie, przepraszam, że nie ujawnię swojego nazwiska, ale nie chcę, żeby w żaden sposób łączono mnie z tą sprawą. Z drugiej strony, jako porządny obywatel, uważam za swój obowiązek poinformować Pana o moich spostrzeżeniach. Dwaj Pańscy pasażerowie zachowywali się w nader dziwny sposób, urągający wszelkim próbom wytłumaczenia”.

Tu autor listu opisał szczegółowo przebieg nocnego spotkania i pokrótce przedstawił swoje wątpliwości. Dalej:

„Pierwszy z dwóch wspomnianych pasażerów wyglądem przypomina hipisa. Brudny, podejrzany i na pewno uzależniony od tak zwanych środków odurzających. Siedzi na fotelu 30C. Drugi z nich przyszedł z przedziału klasy pierwszej lub biznesowej”.

Potem następował rysopis eleganta i zakończenie:

„Mam szczerą nadzieję, że nie sprawiam Panu kłopotu, ale moim zdaniem obu wspomnianych osobników łączyły wspólne interesy. Wydaje mi się, że powinien pan zawiadomić odpowiednie władze”.

Wścibski drań, pomyślał Fallon. Jakie władze? Królewski Urząd Ceł i Akcyzy? Nie lubił szpiegowania swoich pasażerów. Podał list Harry'emu. Ten przeczytał go i wydał usta.

- Nocna schadzka? - bąknął.

Fallon wiedział o jego upodobaniach, a Palfrey z kolei wiedział, że kapitan wie. Trzeba było bardzo uważać na słowa.

- Nic na to nie wskazuje. Przecież musieli już się wcześniej spotkać, na przykład w Bangkoku. Mogli się umówić od razu na Heathrow. Po co im nocna narada pod drzwiami toalety? Szlag by trafił. Bądź tak miły i daj mi listę pasażerów, Harry.

Szef personelu odszedł. Fallon uczesał się, wygładził koszulę i zwrócił się do drugiego pilota:

- Gdzie jesteśmy?

- Przed nami wybrzeże Grecji. Coś się stało?

- Mam nadzieję, że nie.

Wrócił Palfrey ze spisem. Miejsce 30C zajmował niejaki Kevin Donovan.

- A co z tym drugim? Tym elegantem?

- Myślę, że wiem, o kogo chodzi - powiedział Palfrey. - Pierwsza klasa, fotel 2K.

Przebiegł palcem po spisie.

- Figuruje jako pan Hugo Seymour.

- Sprawdźmy to, zanim podejmiemy jakieś działania - odparł kapitan. - Przejdź się po cichu po pierwszej i po drugiej klasie. Szukaj jasnych jedwabnych spodni wystających spod koca. Zjrzyj do szafy, czy nie znajdziesz podobnej marynarki.

Palfrey skinął głową i zszedł po schodkach. Fallon zamówił mocną czarną kawę i zajął się tablicą rozdzielczą.

Zaprogramowany przed startem, dziewięć godzin temu, system kontroli lotu wskazywał, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Samolot przelatywał nad Grecją. Cztery godziny do lądowania. W Londynie mijała właśnie druga dwadzieścia w nocy, a w Grecji

trzecia dwadzieścia, więc na zewnątrz wciąż było ciemno. W oddali wisiała postrzępiona chmura, w której od czasu do czasu coś błyskało. W górze świeciły gwiazdy.

Adrian Fallon był takim samym dobrym obywatelem jak każdy, tylko może mniej wścibskim niż anonim z klasy turystycznej. Miał jednak niełatwy orzech do zgryzienia. List nie wspominał o żadnym zagrożeniu, więc w pierwszej chwili chciał go zlekceważyć. Kłopot z tym, że w Stowarzyszeniu Pilotów Brytyjskich Linii Lotniczych, BALPA, istniała odrębna komisja bezpieczeństwa, w której Adrian Fallon piastował funkcję wiceprezesa. Gdyby na Heathrow coś się wydarzyło, gdyby pasażerowie Seymour lub Donovan za najdrobniejsze przewinienie wpadli w ręce policji lub celników, poszłaby fama, że on o tym wiedział i nic nie zrobił. Czekająby go trudne wyjaśnienia. Ciężka sprawa... Nad Bałkanami podjął decyzję. Harry Palfrey widział list - nie mówiąc o „uczciwym autorze” - więc na Heathrow żaden nie będzie milczał, choćby w trosce o własną skórę. Lepiej wykazać nadgorliwość, niż potem gorzko żałować. Fallon postanowił, że wyśle zdawkowe ostrzeżenie, ale nie do celników, tylko do dyżurnego BA, pewnie ziewającego teraz na nudnej nocnej zmianie.

Informację nadaną otwartym kanałem usłyszeliby wszyscy piloci zmierzający w tej chwili na Heathrow, więc równie dobrze mógłby dać ogłoszenie w „Timesie”. Lecz na pokładach samolotów British Airways była jeszcze sprytna maszynka zwana ACARS.

Satelitarny system łączności, wywołania i raportu pozwalał przesłać wiadomość do biura operacyjnego BA na Heathrow z zachowaniem pewnej dyskrecji. Potem kapitan Fallon miałby już czyste ręce.

Wrócił szef personelu. Tak, to na pewno Hugo Seymour. Dobrze, pomyślał Fallon i nadał krótką wiadomość. Przelatywali nad Belgradem.

Bill Butler nie doczekał się pisku budzika nastawionego na wpół do piątej. Za dziesięć czwarta zadzwonił telefon. Odezwał się dyżurny z czwartego terminalu na Heathrow. Bill, ze słuchawką przy uchu, wysunął nogi spod kołdry. Obudził się natychmiast.

Dwadzieścia minut później był już w samochodzie, myśląc o niedawnej rozmowie.

Znał takie oszustwa i anonimowe informacje. To jedna z najstarszych sztuczek świata.

Choćby telefon z publicznej budki gdzieś w mieście z opisem potencjalnego kuriera.

Celnicy nie lekceważyli takiego zgłoszenia, nawet gdy byli pewni na dziewięćdziesiąt procent, że „kurierem” jest zwykły niewinny turysta, wybrany przed odlotem, i że wiadomość o nim pochodzi od członków londyńskiego gangu.

Potencjalna ofiara trafiała do rewizji, a prawdziwy kurier z miną niewiniątka przemyczał się w tłumie podróżnych.

Ale ostrzeżenie od kapitana samolotu? To już zupełnie coś nowego. List od pasażera?

Dwaj podejrzani? Czuło się, że ktoś za tym stoi. Aby wygrać tę partię, Bill Butler musiał wyżyć cały swój intelekt. Z drugiej strony zawsze była pewna możliwość, że aferę wywołał jakiś nadgorliwiec.

Zaparkował przed terminalem i wszedł do niemal pustej hali. Wpół do piątej. Tuzin ogromnych odrzutowców należących do British Airways - niemal monopolisty w czwartym terminalu - nadlatywało z Afryki, ze Wschodu i z obu Ameryk. Za dwie godziny to miejsce zacznie przypominać jarmark.



O szóstej samoloty z Nowego Jorku, Waszyngtonu, Bostonu i Miami, po siedmiu godzinach podróży, plus pięć godzin różnicy czasu, spotkają się z samolotami nadlatującymi ze Wschodu, po trzynastu godzinach podróży, minus siedem różnicy czasu. Między szóstą a wpół do siódmej halę zaleje tłum pasażerów. Pozostali członkowie Kołatki zmierzali już w stronę lotniska, mknąc po wciąż ciemnych drogach ojczyzny.

Potrzebni byli Butlerowi na każdym etapie działań: przy rozładunku samolotów, kontroli paszportowej, kontroli celnej i tak dalej. Musieli działać dyskretnie. Nie chciał się natknąć na „tchórza”.

Bywały takie przypadki. Przemytnik, który przecież doskonale wiedział, co wiezie, w ostatniej chwili tchórzył i nie odbierał bagażu. Samotna walizka krążyła na transporterze pod czujnym okiem agentów. Nikt się po nią nie zgłaszał. Jak potem przebiegało spotkanie kuriera z zawiedzionym i wściekłym szefem gangu, to już zupełnie inna sprawa. Zdarzało się, że niektórzy nie przeżyli takiej rozmowy. Butler chciał czegoś więcej niż porzuconej walizki - co najmniej listonosza z przesyłką.

W myśl poleceń przekazanych z West Drayton speedbird one zero leciał nad kanałem La Manche w stronę wybrzeży Suffolk. Miał się pojawić nad północnym krańcem lotniska, a potem długim łagodnym łukiem skrócić nad pas i wylądować od zachodu.

Adrian Fallon już siedział na swoim zwykłym miejscu i cierpliwie słuchał instrukcji.

Przyleciał zgodnie z locją i według rozkładu. Boeing zniżył się na wysokość piętnastu tysięcy stóp. Fallon widział zbliżające się światła Ipswich.

Pierwszy oficer przekazał mu wiadomość nadesłaną ACARS-em. Zawierała uprzejmą prośbę, aby wspomniany wcześniej anonimowy list został jak najszybciej dostarczony do wyjścia przez szefa personelu. Fallon mruknął coś na zgodę, z górnej kieszeni koszuli wyjął dwie złożone kartki i podał je oficerowi, który z kolei miał je przekazać Harry'emu Palfreyowi. Minęli linię brzegu. Szósta pięć.

W trzech przedziałach, jak zwykle przed lądowaniem, panował nastrój wyczekiwania. Już dawno zapalono światła, zebrano tace po śniadaniu i wyłączono magnetowid. Personel pokładowy był w pełnym umundurowaniu i rozdawał wierzchnie okrycia pasażerom droższych klas. Ci, którzy siedzieli przy oknach, wlepiali wzrok w jasne punkciki przesuwające się pod nimi.

Pan Hugo Seymour wyszedł z łazienki, czysty, ogolony i pachnący kosztownym płynem po goleniu Lichfielda. Usiadł na fotelu, podciągnął krawat i zapiał kamizelkę. Marynarkę położył na kolanach. Neseser z krokodylowej skóry trzymał między nogami.

Siedzący w klasie turystycznej Kanadyjczyk przeciągnął się. Marzył o papierosie. Miał miejsce przy samym przejściu, więc nic nie widział na zewnątrz. Nawet nie próbował.

Cztery rzędy za nim w pełni rozbudzeni Higginsowie oczekiwali na lądowanie. Julie opowiadała lalce o cudach, które zobaczy w swojej nowej ojczyźnie. Pani Higgins chowała do torebki ostatnie utensylia. Zawsze schludny pan Higgins trzymał ręce na leżącym na kolanach plastikowym neseserze. Spełnił swój obowiązek i czuł się o wiele lepiej.

Na monitorze maleńki biały samolocik zakończył okrążenie i celował nosem wprost w Heathrow. Około dwudziestu mil do lądowania. Była szósta dwanaście.

Z kabiny pilotów widać było wciąż ciemne pola Berkshire i reflektory wokół zamku Windsor. Wysunięto podwozie. Klapy opadły stopniowo do wymaganych dwudziestu pięciu stopni. Patrzącemu z ziemi mogłoby się wydawać, że speedbird one zero niemal stanął w miejscu, ze ślimaczą prędkością sunąc w stronę lotniska. W rzeczywistości robił sto siedemdziesiąt węzłów, ale wciąż zwalniał i opadał.

Adrian Fallon znów sprawdził wszystkie instrumenty. Z wieży kontrolnej dostał zgodę na lądowanie. Tuż przed nim zjechał z pasa boeing z Miami, a dziesięć mil z tyłu nadlatywał samolot z Bostonu. Tamci pasażerowie udawali się do trzeciego terminalu. Czwartym, przeznaczonym dla samolotów British Airways, był pusty. Kiedy pod skrzydłami mignął zbiornik Welsh Harp, samolot zniżył się na tysiąc stóp i zredukował szybkość do stu trzydziestu ośmiu węzłów. O szóstej osiemnaście dotknął płyty lotniska.

Dziesięć minut później kapitan Fallon podprowadził olbrzymią maszynę do ruchomego rękawa, zaciągnął hamulec i pozwolił pierwszemu oficerowi wyłączyć silniki. System zasilania został przełączony na APU, co spowodowało krótkie mignięcie świateł na pokładzie. Po sekundzie znów zajaśniały pełnym blaskiem. Personel pokładowy stanął przy drzwiach, obserwując skradającą się coraz bliżej szeroką paszczę rękawa. Kiedy paszcza dotknęła burty samolotu, odblokowano wyjścia.

Na zewnątrz czekał młody człowiek w kombinezonie technicznej obsługi lotniska. Zerknął na Harry'ego Palfreya i uniósł brwi.

- Sześć personelu?

- List?

Młodzieniec skinął głową. Wziął kartki od Palfreya i odszedł. Sześć z rutynowym uśmiechem odwrócił się do stojących za nim pasażerów pierwszej klasy.

- Żegnam państwa. Dziękuję za miły lot i zapraszam ponownie.

Patrzył na wychodzących. Jako ósmy minął go nieskazitelny pan Hugo Seymour. Aż świecił elegancją mimo tak wczesnej pory. Harry Palfrey życzył mu w duchu, by nie zaznał żadnych kłopotów przez wścibstwo jakiegoś głupiego turysty.

Potem przyszła kolej na pasażerów drugiej klasy. Jedni nadciągali z tylnej części kadłuba, inni schodzili po schodkach z górnego przedziału. Dalej kłębił się tłum podróżników z klasy turystycznej. Stali już w przejściach, chociaż musieli czekać całe dziesięć minut, niespokojni jak stado krów przed wypuszczeniem z zagrody.

Sala odprawy paszportowej przypominała mroczną pieczarę. Kilku urzędników czekało na pierwszą falę ludzkiego morza. Nad nimi sporą część ściany zajmowało weneckie lustro, z ukrytym z tyłu pokojem. W pokoju stał Bill Butler.

Widział dziesięć stanowisk, dwa dla pasażerów z brytyjskim paszportem i obywateli Unii Europejskiej, osiem dla reszty świata. Jego asystent już powiadomił o wszystkim urzędników. Od lat istniała współpraca między Urzędem Celnym i służbą graniczną.

Dzisiejsze wieści wprowadzały element podniecenia w nudny tok zajęć. Wśród pasażerów pierwszej klasy było zaledwie czterech Brytyjczyków, a oprócz nich Tajowie albo Australijczycy. Odprawa szczęśliwej czwórki trwała zaledwie kilka sekund. Przy trzecim urzędniczka zerknęła w lustro i nieznacznie skinęła głową. Bill Butler trzymał list w ręku. Jasny garnitur. Tylko jeden. Hugo Seymour. Podniósł do ust małą krótkofalówkę.

- Wychodzi. Kremowy garnitur. Neseser z krokodylowej skóry.

Ranjit Gul Singh był sikhem. Miał także tytuł magistra, uzyskany na uniwersytecie w Manchesterze i pracował w Urzędzie Cel i Akcyzy, z przydziałem do Kołatki. Postronny obserwator bez trudu zauważyłby jego smagłą cerę, ale o pozostałych sprawach nie miałby pojęcia. Singh stał bowiem w korytarzu za halą odpraw, z plastikowym workiem i szczotką na długim kiju. Słowa Butlera usłyszał w maleńkiej słuchawce ukrytej w prawym uchu. Chwilę później minął go pasażer w jasnym garniturze. Singh pochylił głowę. Kątem oka zobaczył, że pan Seymour wszedł do toalety w połowie korytarza. Przysunął do ust lewą rękę i wymamrotał do rękawa:

- Poszedł prosto do męskiego kibla.

- Idź za nim, zobacz, co robi.

Sikh wszedł do toalety i przesywał śmieci z kubła do plastikowej torby. Pasażer w jasnym garniturze nie skorzystał z kabiny, lecz chciał umyć ręce. Gul Singh wyciągnął ścierkę i zaczął przecierać zlewy. Pasażer nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Singh pracował bez pośpiechu, sprawdzając przy okazji, czy kabiny są zupełnie puste. Może tu wyznaczono spotkanie i transakcję? Biznesmen wytarł dłonie, wziął neseser i wyszedł. Brak kontaktu. Singh powiadomił Butlera.

W tej samej chwili jeden z urzędników sprawdzających paszporty podróżnych z innych części świata dyskretnie wskazał odchodzącego oberwańca o wyglądzie hipisa. Butler zobaczył sygnał i znów sięgnął po nadajnik. W przejściu prowadzącym do hali odprawy celnej przystanąła młoda dziewczyna, żeby poprawić pantofelek. Wyglądała na pasażerkę, choć wcale nią nie była. Wyprostowała się, zobaczyła przed sobą wytarte džinsy i niebieską koszulę i poszła dalej.

Hugo Seymour wyłonił się z korytarza. Nie był już sam, lecz wśród pasażerów klasy turystycznej. Próbuje się zgubić w tłumie? - rozmyślał Bill Butler. To po co się tak wystroił? Zamigotało światło połączenia. Butler odebrał wiadomość z centrali.

- Przed chwilą dostaliśmy anonimowy telefon. Facet mówił z amerykańskim akcentem - powiedział operator. - Opisał kanadyjskiego hipisa w džinsach i koszuli, z długimi włosami i niechlujną brodą. Dodał, że ma towar w plecaku. Potem odłożył słuchawkę.

- Śledzimy go - odparł Butler.

- Błyskawiczna robota, szefie - z zachwytem westchnął operator. Butler przeszedł ukrytym przejściem do następnego weneckiego lustra, tym razem nad halą celną, nad zieloną bramką z napisem „Nic do oclenia”. Zdziwiłby się, gdyby ktoś z podejrzanych podszedł do czerwonej bramki.

Cieszyło go, że zadzwonił jakiś „informator”. To pasowało do schematu. Hipis był podstawiony. Towar spoczywał w rzeczach szacownego z wyglądu biznesmena. Niezła sztuczka, ale tym razem, dzięki bystrym oczom i czujnym zmysłom porządnego, choć cierpiącego na bezsenność, obywatela, nie miała szans powodzenia.

Bagaż z Bangkoku wyjechał szóstym transporterem. Zgromadziło się tam ponad dwieście osób. Wiele z nich przyciągnęło wózki z drugiego końca hali. Wśród pasażerów stał pan Seymour. Jego skórzana walizka pojawiła się jako jedna z pierwszych. Nie wziął jej. Reszta podróżnych pierwszej klasy już dawno opuściła halę. Walizka zrobiła dwudzieste okrążenie, a Seymour zamiast na nią, patrzył na wylot tunelu, z którego wciąż wyjeżdżały różne pakunki i torby.

Dziesięć jardów dalej Donovan czekał na czarny plecak. Do transportera z dwoma wózkami podszedł pan Higgins, z żoną i córką. Julie pierwszy raz wracała z zagranicy i uparła się, że chce oddzielny wózek na swoją walizkę i Pooky.

Raz po raz jakiś bagaż trafiał do właściciela, znikał z taśmy i lądował na wózku. Przez zieloną bramkę sunął długi sznur ludzi, uzupełniony pasażerami z dwóch innych jumbo jetów. Przeważali wśród nich Amerykanie i Anglicy powracający przez Miami z wakacji na Karaibach. Dwunastu celników w mundurach znudzonym wzrokiem obserwowało tę paradę.

- Tam jest, tatku!

Kilku pasażerów z uśmiechem spojrzało na dziewczynkę. Od razu było widać, że kolejna walizka należy do Julie Higgins. Średniej wielkości samsonite, udekorowany naklejkami z filmów rysunkowych; był tam i Scooby-doo, i Kudłaty, i Wile E. Coyote, i Struś Pędziwiatr. W tym samym czasie na taśmę wjechały bagaże rodziców i schludny jak zwykle pan Higgins ostrożnie przeniósł je na wózek, pilnując, żeby nie spadły.

Hipis znalazł plecak, zarzucił go na ramię i poszedł do zielonej bramki. Pan Seymour także wreszcie zabrał swoją walizkę, przełożył ją na wózek i ruszył do wyjścia. Bili Butler stał za lustrem. Przed nim pomału przesuwiał się zmęczony i niewyspany wąż ludzkich istot.

W hali jakiś bagażowy rzucił kilka słów do rękawa.

- Hipis pierwszy, wychodzi, garnitur dziesięć jardów z tyłu.

Kanadyjczyk nie zaszedł daleko. Był mniej więcej w połowie drogi do drzwi wiodących na wolność, kiedy na swojej drodze napotkał dwóch celników. Oczywiście uprzejmych.

Zabójczo uprzejmych.

- Pan wybaczy, możemy prosić na chwilę?

Hipis zakipiał ze złości.

- Co to znaczy, do diabła?

- Prosimy z nami.

- Momencik, kurwa! - krzyknął hipis. - Trzyście pięćdziesiąt godzin w samolocie i jeszcze jakieś numery?

Kolejka z tyłu stanęła jak wryta. Potem, jak to bywa w zwyczaju Brytyjczyków, będących świadkiem niestosownej sceny, każdy odwrócił głowę i udawał, że przecież nic się nie stało. Poszli dalej. Seymour wraz z nimi.

Kanadyjczyk, którego uwolniono od obu bagaży - dużego i małego - wciąż pieklił się i protestował, ale wyszedł bocznymi drzwiami do salki rewizyjnej. Kolejka pomału kroczyła w stronę wyjścia. Biznesmen w jasnym garniturze nie dotarł do upragnionego celu. Przechwycono go tuż przed progiem. Dwóch celników stanęło przed nim, a dwóch innych z tyłu.

W pierwszej chwili wyraźnie nie wiedział, co się dzieje. Potem, mimo opalenizny, poszarzał jak popiół.

- O co chodzi? Nic nie rozumiem..

- Możemy pana prosić z nami?

Wyprowadzono go. Bill Butler westchnął za lustrem. A teraz do roboty. Pogoń skończona. Pozostaje zajrzeć do bagaży.

Rewizja trwała trzy godziny, w dwóch oddzielnych pokojach. Butler biegał pomiędzy nimi, w coraz gorszym nastroju. Kiedy celnicy biorą się za bagaż, to na pewno coś znajdą. O ile, oczywiście, jest coś do znalezienia. Opróżnili oba plecaki hipisa i przeszukali wszystkie szwy i stelaż. Nie trafili na nic, poza kilkoma paczkami lucky strike'ów. Bill Butler nie był tym zdziwiony. Turyści podstawieni na wabia nigdy niczego nie szmuglują. To Hugo Seymour wprowadził go w zdumienie. Walizkę prześwietlono mu co najmniej tuzin razy. Pomiary nie wykazały żadnych ukrytych schowków. To samo było z neseserem. Znaleziono jedynie fiolkę tabletek na niestrawność. Dwie z nich zostały pokruszone i poddane chemicznej analizie. Okazały się tabletkami na niestrawność. Seymoura rozebrano, odziano w papierowy płaszcz i prześwietlono wszystkie części garderoby. Nagiego też zaprowadzono na oddzielne prześwietlenie, żeby zobaczyć, co ma w żołądku. Nic. Żadnej paczki.

Koło dziesiątej obu podejrzanych zwolniono, w odstępie piętnastu minut. Seymour głośno groził, że podejmie odpowiednie kroki. Na Butlerze nie robiło to najmniejszego wrażenia. Przeżył już parę takich sytuacji. Grozili, bo nie zdawali sobie sprawy z prawdziwej władzy Urzędu Cel i Akcyzy.

- Mamy ich śledzić? - ponuro zapytał zastępca.

Butler pomyślał chwilę i pokręcił głową.

- Przegrana sprawa. Jeśli są niewinni, to po co ich śledzić? A jeśli nie są, to i tak nikt się z nimi nie skontaktuje, dopóki nie wycofamy agentów. Następnym razem będzie lepiej. Kanadyjczyk wyszedł pierwszy. Wsiadł do autobusu jadącego do centrum Londynu i zameldował się na taniej stacji w pobliżu Paddington. Pan Hugo Seymour odjechał taksówką do dużo lepszego hotelu.

Tuż po drugiej po południu w czterech miejscach Londynu zadzwonił telefon. Cztery ludzie odebrali go, zgodnie z wcześniejszym poleceniem, w ulicznych budkach na czterech różnych ulicach. Każdy został powiadomiony, że ma się stawić pod wskazanym adresem. Jeden z nich po chwili sam zadzwonił, a potem poszedł na spotkanie.

O czwartej Bill Butler siedział sam w samochodzie przed blokiem z mieszkaniami do wynajęcia. Tu można było mieszkać przez tydzień albo choćby tylko przez kilka godzin. Pięć po czwartej podjechał mikrobus bez żadnych oznaczeń, wiozący dziesięciu agentów Kołatki. Nie było czasu na odprawę. Gang mógł wystawić czujki, chociaż przez pół godziny Butler nie widział nic podejrzanego. Skinął głową i wprowadził do środka swoich ludzi. W recepcji nie zastali nikogo. Dwaj agenci niechętnie zostali przy windzie. Ośmiu pozostałych weszło po schodach. Wskazane mieszkanie było na trzecim piętrze. Kołatka nie bawiła się w zbędne uprzejmości. Drzwi wypadły po pierwszym uderzeniu. Młodzi ludzie wpadli do środka; szybcy, sprawni, oddani robocie i napakowani adrenaliną. Żadnej broni.

Pięciu podejrzanych poddało się bez walki. Nawet nie wstali z miejsc, zaskoczeni tak gwałtowną i nagłą interwencją. Jak przystało na wodza, Butler wszedł ostatni. Agenci już zdążyli odebrać dowody i paszporty aresztowanym. Na pierwszy ogień poszedł wyraźnie zły Amerykanin.

Analiza głosu wykazała potem, że to właśnie on zadzwonił do centrali z donosem na hipisa. Znalaziono przy nim sześć kilogramów czegoś, co się okazało czystą kolumbijską kokainą.

- Salvatore Bono. Aresztuję pana pod zarzutem zorganizowanego przemytu substancji zakazanych w tym kraju...

Kiedy formalnościom stało się już zadość, człowiek z Miami w kajdankach zniknął na korytarzu. Następny był hipis. Zanim go wyprowadzono, Butler warknął przez ramię:

- Do mojego wozu. Chcę z nim sam pogadać.

Pan Hugo Seymour zmienił jedwabny garnitur na marynarkę i spodnie o wiele lepiej pasujące do pogody panującej pod koniec stycznia w Londynie. Druga przynęta.

Odebrano mu dziesięć tysięcy funtów w pięćdziesięciofuntowych banknotach, które zarobił za swój udział w całej operacji, i też spokojnie wyszedł. Butler popatrzył na dwóch pozostałych.

Przesyłka ciągle jeszcze leżała na stole, zapakowana w ten sam sposób jak na lotnisku.

Ktoś oderwał jedynie dno walizeczki i odsłonił schowek, a w nim kilka foliowych torebek, zawierających - po sprawdzeniu - dwa kilogramy białej tajlandzkiej heroiny. A na wierzchu wciąż świeciły kolorowe naklejki z postaciami Scooby-doo i Kudłatego.

- John Higgins. Aresztuję pana pod zarzutem przemytu zakazanych substancji i współdziałania z innymi przemytnikami w organizacji...

Praworządnego obywatela odprowadzono najpierw do łazienki, gdzie zwymiotował.

Kiedy wyszedł, w pokoju został już tylko jeden człowiek, szef grupy przemytniczej, ten, który nadzorował przerzuty z Bangkoku. Siedział spokojnie w fotelu i patrzył przez okno na niebo nad Londynem. Wiedział, że przez najbliższe lata zatęskni za tym widokiem.

- Od dawna cię szukam, kolego - mruknął Butler.

Nie doczekał się odpowiedzi.

- Niezły plan. Zamiast jednej, aż dwie przynęty. A z tyłu, z dala od awantury przy zielonej bramce, niewinny pan Higgins, z przysadzistą żoną i czarującą córeczką.

- Skończmy już z tym - uciał tamten.

- Proszę bardzo. Harry Palfrey. Aresztuję pana...

Dwaj pozostali agenci przetrzasnęli mieszkanie w poszukiwaniu jakichś dodatkowych dowodów rzeczowych, które mogły być wyrzucone w chwili, gdy wyważali drzwi. Butler zszedł do samochodu. Czekał go pracowity wieczór, ale on lubił taką pracę. Zastępca siedział za kierownicą. Butler usiadł obok Kanadyjczyka.

Samochód ruszył.

- Ustalmy coś jeszcze - powiedział Butler. - Kiedy się dowiedziałeś, że Seymour razem z tobą pracował na wabia?

- Dopiero tu, na piętrze - odparł hipis.

Butler spojrzał na niego z osłupieniem.

- A ta rozmowa w samolocie, w środku nocy, pod drzwiami toalety?

- Jaka rozmowa? Jakiej toalety? W życiu przedtem go nie widziałem.

Butler wybuchnął śmiechem. Zdarzało mu się to rzadko.

- Oczywiście. Przepraszam za to, co przeszedłeś na Heathrow, ale znasz zasady. Nawet wtedy nie mogłem ujawnić twojej tożsamości. W każdym razie dzięki za telefon. Dobra robota, Sean. Masz u mnie duże piwo.

DZIEŁO SZTUKI

Listopad

Spadł deszcz. Mokra ściana sunęła powoli aż do Hyde Parku, a potem, uniesiona lekkim powiewem zachodniego wiatru, przetoczyła się szarym strumieniem przez Park Lane, ponad wąskim szpalerem drzew dzielących część północną i część południową. Pod nagim drzewem stał przemoknięty i ponury człowiek. Patrzył.

Wejście do sali balowej hotelu Grosvenor House skrzyło się światłami licznych reflektorów. Migotały flesze. W środku było przytulnie, ciepło i sucho. Pod markizą przed drzwiami widniała na chodniku ciemna wilgotna plama. Wokół niej stało kilku portierów z parasolami, czujnie obstawiających przybyłe limuzyny.

Kiedy skąpany w deszczu samochód zatrzymywał się na wprost wejścia, portier podbiegał i osłaniał wysiadającą gwiazdę lub gwiazdora. Gość, z głową w dół, przemykał przez dwa jarde otwartej przestrzeni, dzielącej go od bezpiecznego schronienia pod markizą. Tam mógł się wyprostować, przykleić wyćwiczony uśmiech i spojrzeć w obiektywy.

Paparazzi okupowali resztę chodnika. Przemoknięci do nitki, troskliwie osłaniaли cenne aparaty. Ich okrzyki słyhać było aż po drugiej stronie ulicy, tam gdzie pod drzewem stał mokry obserwator.

- Tutaj, Michael! Roger, w tę stronę! Cudowny uśmiech, Shakiro. Ekstra.

Wielcy i wspaniali filmowego świata łaskawie kiwali głowami, uśmiechali się do zdjęć i do odległych fanów, wcale nie patrząc na kilku łowców autografów, dziwnych postaci o błagalnym spojrzeniu, zakutanych w kurtki z kapturami. Niespiesznie znikali za drzwiami. Tam zaś szli do stolików, przystając co chwila w pół kroku, żeby kogoś pozdrowić albo z kimś się przywitać. Wszystko było gotowe do wielkiej ceremonii wręczenia nagród Brytyjskiej Akademii Sztuki Filmowej i Telewizyjnej.

Drobny człowieczek pod drzewem obserwował tę galę z dziwną tęsknotą w oczach. Kiedyś marzył, że też tam się znajdzie, w roli gwiazdora lub przynajmniej znanego globtrotera. Teraz był pewien, że to nie dla niego. Już za późno. Trzydzieści pięć lat z górą parał się aktorstwem. Zagrał w ponad stu filmach, począwszy od statystowania, jeszcze bez dialogów, a skończywszy na epizodach. Nigdy w życiu nie dostał jakiejś porządniejszej roli.

Grał portiera w hotelu, z którego wychodził Peter Sellers. Był na ekranie przez całe siedem sekund. Grał szofera wojskowej ciężarówki, którą Peter O'Toole jechał do Kairu. Stał wyprężony na baczność, z rzymską włócznią w dłoni, kilka jardów od Michaela Palina. Był mechanikiem, który pomagał Christopherowi Plummerowi zasiać za sterami spitfire'a. Był kelnerem, odźwiernym i żołnierzem w niemal każdej armii, od czasów biblijnych do bitwy nad rzeką Plate. Grywał kierowców, policjantów, gości hotelowych, przechodniów, wózkarzy i kogo tylko dusza zapagnie. Ale zawsze było tak samo - parę dni zdjęciowych, dziesięć sekund na ekranie i żegnaj, kochany. Stał o krok od

największych gwiazd filmowego firmamentu, znał dżentelmenów i łajdaków, damy i primadonny. Wiedział, że mógłby zagrać z werwą i przekonaniem dosłownie każdą rolę. Był ludzkim kameleonem, ale jak dotąd nikt się nie domyślał drzemiącego w nim talentu. Patrzył w deszczu na swoich ulubieńców, którzy sunęli teraz skapani w blasku sławy, aby po zakończeniu fety zniknąć gdzieś w pokojach i apartamentach. Kiedy wszedł ostatni z gości i światła zaczęły przygasać, człowieczek podreptał mokrymi ulicami na przystanek autobusowy przy Marble Arch. Jechał jak zwykle na stojąco, w przejściu, ociekając wodą. Wysiadł nie dalej niż pół mili od swojego domu, a właściwie taniego mieszkania gdzieś na tyłach miasta, między White City i Shepherd's Bush.

Po powrocie zdjął przemoczone ubranie i owinął się starym szlafrokiem, zwędzonym kiedyś w hotelu w Hiszpanii (był koniuszym w „Człowieku z La Manczy”, filmie, w którym główną rolę grał Peter O'Toole). Rozpalił w piecu. Mokre łachy przeschną przez noc i rano będą zaledwie wilgotne. On natomiast był załamany. Od miesięcy nie znalazł żadnego zatrudnienia. Świat filmu cierpiał na nadmiar niskich facetów w średnim wieku. Żadnych perspektyw. Wyłączyli mu nawet telefon, więc na rozmowę z agentem musiał iść osobiście. Postanowił, że zrobi to z samego rana.

Usiadł i czekał. Zawsze siedział i czekał. To wypełniało mu większą część życia.

Wreszcie w drzwiach biura stanęła znajoma postać. Poderwał się z miejsca.

- Cześć, Robert! Pamiętasz mnie? Trumpy.

Robert Powell miał całkowicie zaskoczoną minę. Nie przypominał sobie jego twarzy.

- „Skok alia Italiana”. Turyn. Prowadziłem samochód. Ty siedziałeś z tyłu.

Niepoprawnie dobry humor Powella uratował sytuację.

- Jasne! Turyn. Kawał czasu. Co słyhać, Trumpy? Jak leci?

- Nieźle, nieźle. Nie narzekam. Tylko wpadłem zobaczyć, czy nasz milusiński przypadkiem nie ma czegoś dla mnie.

Powell zerknął na jego pomiętą koszulę i wygnieciony płaszcz.

- Na pewno coś znajdzie. Miło mi było znów cię spotkać. Powodzenia, Trumpy.

- Dzięki, stary. Głowa do góry, co?

Uścisnęli sobie dłonie. Agent był cholernie miły, ale nie miał żadnej oferty. Wprawdzie w Shepperton zaczynano zdjęcia do filmu kostiumowego, lecz cała obsada była już zajęta. Zafłoczona profesja, napędzana jedynie wiecznym optymizmem i szansami na wspaniałą rolę.

Trumpy wrócił do domu i zgnębiony przeliczył oszczędności. Dostawał kilka funtów tygodniowo z socjalu, ale w Londynie było drogo. Przed chwilą miał kolejną niemiłą rozmowę ze swoim gospodarzem, panem Koutzakisem, który wciąż domagał się zaległego czynszu i powtarzał, że jego cierpliwość wcale nie jest tak wieczna jak słońce nad rodzinnym Cyprzem.

Źle, się działo. Prawdę powiedziawszy, działo się jak najgorzej. Załzawione słońce zniknęło za domami po drugiej stronie podwórka. Podstarzały aktor podszedł do szafy i wyjął paczkę owiniętą w grube szorstkie płótno. Od dawna zastanawiał się, po co wciąż to trzyma. Wcale nie pasowało do jego upodobań. Przez sentyment, pomyślał.

Trzydzieści pięć lat temu, kiedy był dwudziestolatkiem przybyłym z prowincji, braki w



aktorskim doświadczeniu nadrabiał energią i zapałem, przekonany, że czeka go podróż na wyżyny sławy. Dostał to wtedy od swojej ciotecznej babki Millie. Odwinął płótno. Obraz był niezbyt duży, jakieś dwanaście na dwanaście cali, oprawny w złoconą ramę. Przez wszystkie lata leżał zawinięty, ale od początku lepiał się od brudu i tak poczerniał, że postacie straciły kontury i bardziej przypominały cienie. A jednak babka Millie zawsze uważała, że można na nim zarobić chociaż parę funtów. Romantyczne marzenia staruchy. Trumpy nie znał historii obrazu, a miał on zajmujące dzieje.

W 1870 roku pewien trzydziestoletni Anglik, w pogoni za fortuną, ufnął w swoją wążkę znajomość włoskiego, wybrał się do Florencji. Zabrał przy tym niewielki spadek po ojcu. W latach świetności Imperium Brytyjskiego złote suwereny JKM Wiktorii były kluczem do wielu drzwi. Dla odmiany we Włoszech panował zwykły chaos.

Przez pięć lat wytężonych działań pan Adrian Forbisher zrobił cztery rzeczy. Przede wszystkim odkrył wspaniałe wina ze wzgórz Chianti i zaczął je w dużych ilościach eksportować do rodzinnej Anglii, skutecznie konkurując z tradycyjnymi dostawami win francuskich. Zbił na tym małą fortunę. Kupił kamienicę z własnym odźwiernym i służbą. Poślubił córkę drobnego miejscowego notabla i nabył, wśród wielu innych rzeczy przeznaczonych do dekoracji wnętrza, niewielki obraz w złoconej ramie. Znalazł go w antykwariacie w pobliżu Ponte Vecchio. Nie wybrał go dlatego, że było to jakieś znane lub wyjątkowo piękne dzieło. Prawdę mówiąc, obraz, pokryty kurzem, spoczywał w głębi sklepu. Kupił go tylko dlatego, że mu się spodobał.

W ciągu trzydziestu lat pan Adrian stał się brytyjskim wicekonsulem we Florencji i sir Adrianem, komandorem Orderu Imperium Brytyjskiego. Przez trzydzieści lat co wieczór siadał w bibliotece, by w spokoju wypalić poobiednie cygaro.

W 1900 roku przez Florencję przeszła epidemia cholery. Śmierć nie ominęła lady Forbisher. Po pogrzebie sześćdziesięcioletni wdowiec postanowił wrócić do ojczyzny. Sprzedał dom i przyjechał do Anglii. Tutaj kupił piękną posiadłość w Surrey i zatrudnił dziewięćosobową służbę. Najmłodszą pokojówką była dziewczyna z pobliskiej wioski, niejaka Millicent Gore.

Sir Adrian nigdy nie ożenił się powtórnie i zmarł w wieku dziewięćdziesięciu lat, w 1930 roku. Z Włoch przywiózł niemal sto skrzyń z różnymi pamiątkami. W jednej z nich leżał mały i poczerniały obraz w złoconej ramie.

A ponieważ był to pierwszy prezent od sir Adriana dla żony i lady Lucia zawsze go lubiła, obraz na powrót zawisł w bibliotece i z wolna pokrywał się patyną osadu i kurzu. Żywe niegdyś kolory tak bardzo ściemniały, że nie można było rozróżnić postaci.

Pierwsza wojna światowa zmieniła oblicze świata. Majątek sir Adriana trochę się pomniejszył, a inwestycje poczynione w carskiej kolei żelaznej całkiem przepadły po 1917 roku. Rok później uległ modyfikacji społeczny wizerunek Anglii. Służba odeszła, ale Millicent Gore została. Z pokojówki awansowała na drugą gospodynię, a w 1921 roku już na gospodynię i jedyną służącą na stałe zatrudnioną w Surrey. Przez ostatnie siedem lat niczym pielęgniarka doglądała słabnącego sir Adriana. Nie zapomniał o niej przed śmiercią w 1930 roku.

Zostawił jej dożywotnią dzierżawę przybudówki i pewną sumę w banku, z której procentów pobierała skromną pensję. Reszta dóbr poszła pod młotek - z jednym małym

wyjątkiem w postaci obrazu. Panna Gore była z niego bardzo dumna, bo pochodził z dziwnego miejsca zwanego Zagranicą. Zawiesiła go więc w dużym pokoju swojej małej przybudówki, niedaleko otwartego pieca. Tam wciąż czerniał i czerniał.

Panna Gore nigdy nie wyszła za mąż. Pomagała w wiosce, na plebani i zmarła w 1965 roku, w wieku osiemdziesięciu pięciu lat. Jej brat się ożenił się i spłodził syna, a ten z kolei też miał syna, jedyne go małego krewnego starej ciotki.

Ona zaś przed śmiercią nie miała mu co zostawić, bo przybudówka i pieniądze wracały do majątku dawnego pryncypała. Podarowała mu więc obraz. Dalsze trzydzieści pięć lat minęło, zanim brudne, poplamione i zaśniedziałe stare malowidło znowu ujrzalo światło dzienne w smętym pokoju, w zaułku przy Shepherd's Bush.

Następnego ranka właściciel obrazu pojawił się w recepcji znanego domu aukcyjnego House of Darcy. Do piersi przyciskał paczkę owiniętą w płótno.

- Z tego, co wiem, mógłbym tutaj dokonać wyceny dzieła sztuki, co do którego zachodzi podejrzenie, że przedstawia istotną wartość - powiedział do młodej kobiety za biurkiem. Popatrzyła na jego pomiętą koszulę i wygnieciony płaszcz. Wskazała mu drzwi z napisem „Wycena”.

Pokój okazał się skromniejszy. Stało tam biurko, za którym siedziała inna dziewczyna. Aktor powtórzył swoją kwestię. Wzięła do ręki formularz.

- Pana godność?

- Nazywam się Trumpington Gore. Jeśli chodzi o obraz...

- Adres?

Podał jej.

- Numer telefonu?

- Eeee... Nie mam telefonu.

Spojrzała na niego, jakby był bez głowy.

- Co to za dzieło sztuki, proszę pana?

- Obraz.

Powoli wyszły na jaw wszystkie szczegóły - a raczej brak szczegółów. Dziewczyna pisała z coraz bardziej znudzoną miną: wiek nieznany, szkoła nieznana, okres nieznany, autor nieznany, kraj - prawdopodobnie Włochy.

Dziewczynie bardzo się podobał pewien przystojny młodzieniec z działu win, a właśnie dochodziła pora wczesnej kawy w Caffè Uno, tuż za rogiem. Gdyby więc ten człowieczek ze swoim bohodem dał już jej święty spokój, mogłaby się wymknąć na chwilę z koleżanką i przypadkowo zająć stolik obok Adonisa.

- Ostatnie pytanie, proszę pana. Na ile pan ocenia ten obraz?

- Nie mam pojęcia. Przecież po to go właśnie przyniosłem.

- Musimy mieć jakąś wartość określoną przez właściciela. To na potrzeby ubezpieczenia.

Powiedzmy... sto funtów?

- Proszę bardzo. A kiedy mogę się spodziewać pełnej ekspertyzy?

- Wszystko w swoim czasie, proszę pana. Mamy ogromną liczbę dzieł czekających na wycenę. To trochę potrwa.

Dla niej wystarczyłoby po prostu rzut oka. Boże, jakież śmieci ludzie przynosili, myśląc, że w klozecie odkryli wazon z epoki Ming.

Pięć minut później pan Trumpington Gore podpisał formularz, zabrał kopię, zostawił pakunek i wyszedł na ulice Knightsbridge. W dalszym ciągu nie miał pieniędzy. Wrócił do domu.

Zawinięty w płótno obraz powędrował do piwnicznego magazynu, opatrzony nalepką z numerem identyfikacyjnym D 1601.

Grudzień

Minęło dwadzieścia dni i obiekt D 1601, zawinięty w płótno, stał oparty o ścianę magazynu, a Trumpington Gore wciąż czekał na jakąś odpowiedź. Istniało proste wyjaśnienie: wystąpił zator.

Tak jak w każdym wielkim domu aukcyjnym, specjalizującym się w sprzedaży dzieł sztuki, również w House of Darcy dziewięćdziesiąt procent obrazów, porcelany, biżuterii, wina, broni sportowej i mebli pochodziło ze znanych i łatwo sprawdzalnych źródeł. Pewne sugestie na temat „pochodzenia” zwykle pojawiały się w katalogach. Często padały słowa „własność dżentelmena”, dotyczące szczególnie cennych przedmiotów, na przemian ze sformułowaniem „przekazane przez spadkobierców zmarłego...”.

Wiele osób mocno krytykowało zwyczaj darmowej i powszechnie dostępnej wyceny dzieł sztuki, wychodząc z założenia, że to pochłania mnóstwo czasu, a efekty są raczej mizerne. Mało rzeczy zdobywanych w ten sposób budziło choćby wątpliwe zainteresowanie aukcjonariuszy. Zasadę wprowadził jednak założyciel firmy, sir George Darcy, i przetrwała ona jako część tradycji. Czasami jakiś szczęściarz, przybyły dosłownie znikąd, dowiadywał się, że srebrna tabakierka dziadka to prawdziwy skarb z czasów króla Jerzego. Ale to były nader rzadkie przypadki.

W dziale dawnego malarstwa trwała wieczorna sesja komisji ekspertów, którą prowadził sam dyrektor działu Sebastian Mortlake, jak zwykle w smokingu i pod muszką, w towarzystwie dwóch asystentów. Do świąt zostało dziesięć dni, więc postanowiono za jednym zamachem pozbyć się zaległości. „Sprzątanie” trwało już piąty dzień bez przerwy. Pan Mortlake i jego asystenci byli mocno zmęczeni.

Pan Mortlake przejrzał grubą stertę formularzy wypełnionych w chwili przekazania dzieła w depozyt do magazynu. Na pierwszy ogień poszły te obrazy, których autora bez trudu dawało się zidentyfikować. Pozwalało to na ewentualne umieszczenie nazwiska w katalogu i podanie przybliżonej daty, bo treść można było określić na pierwszy rzut oka. Te, które mogły trafić do sprzedaży, odkładano na bok. Sekretarka pisała list do właściciela z pytaniem, czy jest gotów odstąpić swoją własność, z uwzględnieniem ceny podanej w formularzu. Jeśli odpowiedź brzmiała „tak”, wtedy w odpowiedniej rubryce pojawiał się dopisek, że obrazu nie wolno przekazać gdzie indziej.

Jeśli odpowiedź brzmiała „nie”, właściciel musiał bezzwłocznie zabrać dzieło. Koszty magazynowania były zbyt wysokie. Po końcowej selekcji i zgodzie właścicieli Mortlake mógł na własną rękę przygotować aukcję i sporządzić katalog. Słabsze płótna, namalowane przez mniej znanych artystów, Sebastian Mortlake ledwie muskał wodnistym spojrzeniem i bąkał coś pod nosem w stylu „czarujące”, co znaczyło: „jeśli ktoś lubi ten typ rzeczy”, lub „niezwykłe”, co znaczyło: „pewnie to malował po sutym obiedzie”.

Po przejrzaniu bez mała trzech setek obrazów Mortlake i jego dwaj pomagierzy zwrócili uwagę na dzieła „wprost z ulicy”. Wybrali tylko dziesięć, a wśród nich zaskakująco dobre malowidło z holenderskiej szkoły van Ostadego. Wprawdzie nie wyszło spod pędzla samego Adriaena, lecz nadawało się na sprzedaż.

Sebastian Mortlake rzadko wybierał na aukcję w House of Darcy coś o wartości niższej niż pięć tysięcy funtów. Nieruchomości w Knightsbridge nie były wcale tanie, a prowizją od mniejszej sumy nie dałoby się załatać żadnej dziury w budżecie. Inne domy aukcyjne przyjmowały obrazy nawet za tysiąc funtów, ale nie House of Darcy. Tym bardziej że najbliższa aukcja, zaplanowana na koniec stycznia, zapowiadana była jako wydarzenie. Piątego dnia w porze lunchu Sebastian Mortlake przeciągnął się i przetarł oczy. Przejrzał dwieście dziewięćdziesiąt tandetnych bohomazów, z nadzieją że odnajdzie prawdziwe arcydzieło. Dziesięć „całkiem znośnych” wyczerpywało możliwości. Jak to mawiał do młodszych kolegów: „Wiem, że każdy z nas kocha swoją pracę, ale z drugiej strony nie jesteśmy przecież fundacją dobroczynną”.

- Ile zostało, Benny? - zawołał przez ramię do stojącego za nim pracownika.

- Czterdzieści cztery, Seb - odkrzyknął młodzieniec. Mówił mu po imieniu, bo Sebastian Mortlake chciał w ten sposób wprowadzić cieplejsze stosunki w „zespolu”. Nawet sekretarki robiły to samo. Tylko portierzy, choć sami wołani po imieniu, z uporem maniaka tytułowali go szefem.

- Coś ciekawego?

- Raczej nie. Autorstwo, okres, wiek, szkoła i pochodzenie na ogół nieznanne.

- Innymi słowy, familijna szmira. Przyjdiesz jutro?

- Tak, Seb. Chyba muszę. Ogarnę tu trochę.

- Dobry chłopak. Idę teraz na lunch z zarządem, a potem wyjeżdżam na wieś. Zajmij się resztą, dobrze? Znasz moje preferencje. Miły list, pierwotna wartość i tak dalej. Niech Deirdre wystuka to na komputerze i wyśle ostatnią pocztą.

Chwilę później wyszedł z sali z radosnym zawołaniem na ustach: „Wesołych Świąt, chłopcy i dziewczynki”. Parę minut później to samo zrobili jego dwaj asystenci. Benny dopilnował, żeby ostatnia partia przejrzanych (i odrzuconych) obrazów trafiła z powrotem do magazynu. Czterdzieści cztery pozostały w lepiej oświetlonym pomieszczeniu na górze. Część z nich chciał obejrzeć jeszcze dziś po południu, a resztę następnego dnia, przed wyjazdem na świąteczny urlop. Wyjął z kieszeni płaszcz parę kuponów na lunch i udał się do stołówki.

Do wieczora przejrział trzydzieści malowideł z grupy „uliczników”, a potem wrócił do domu w północnej - czyli tańszej - części Landbroke Grove.

To, że Benny Evans, lat dwadzieścia pięć, pracował w House of Darcy, było tryumfem uporczywości nad możliwościami. Obsługa, która snuła się po galeriach i rozmawiała z klientami, musiała mieć nienaganny wygląd i równie dobre maniery. Do prac biurowych zatrudniano wyłącznie młode i piękne dziewczęta.

Wśród tej śmietanki przemykali portierzy w liberjach, gońcy i tragarze, którzy ciągle coś podnosili, nieśli, przestawiali i przesuwali, dostarczali i zabierali.

Za arrasem kryli się eksperci, a wśród nich prawdziwa arystokracja zawodu - rzeczoznawcy. Bez nich to całe przedsięwzięcie skończyłoby się fiaskiem. To ich bystre

spojrzenie i niezawodna pamięć pozwalała odróżnić w krótkim błysku oka co dobre, co przeciętne, gdzie prawda, gdzie fałsz, gdzie pusta dziura i gdzie złota żyła.

W tejże hierarchii ktoś taki jak Sebastian Mortlake był małym cezarem, więc mu pozwalano na drobne dziwactwa, mając na względzie wiedzę zgromadzoną przez trzydzieści lat działalności na rynku dzieł sztuki. Benny Evans od razu przyciągnął uwagę chytrusa i tym tłumaczono jego zatrudnienie.

Z pozoru zupełnie nie przystawał do reszty, chociaż to w Londynie było najważniejsze i nierozłącznie związane z zawodem. Nie miał oglądy ani wykształcenia. Włosy na ogół nosił w dziwnych strąkach, których nie rozczesalby nawet najzręczniejszy fryzjer z Jermyn Street. Zresztą Benny nie chadzał w tamte okolice.

Kiedy przybył do Knightsbridge, złamaną przegrodę w tanich okularach w plastikowej oprawce miał zlepioną taśmą. Nie przebierał się w piątki; łąził w tym samym ubraniu. Mówił z wyraźnym akcentem z Lancashire. Podczas wstępnej rozmowy Sebastian Mortlake patrzył na niego z wyraźną fascynacją. Sprawdzał wiedzę Benny'ego na temat renesansu i przyjął go, nie zwracając uwagi na zrozczone miny i poszturchiwania kolegów.

Benny Evans był synem młynarza i dorastał w bardzo trudnych warunkach, gdzieś na przedmieściach Bootle. Nie błyszczał w szkole podstawowej, skończył jedynie zawodówkę i nigdy nie zrobił matury. Już jak miał siedem lat, okazało się, że to mu całkiem niepotrzebne. Nauczyciel plastyki pokazał mu pewną książkę.

W książce były obrazki i z jakiegoś powodu malec przyglądał im się niemal z osłupieniem. Widział młodą kobietę, dziesiątki młodych kobiet, każdą z dzieckiem na ręku, a z tyłu skrzydlate anioły. Mały chłopiec z Bootle oglądał portrety Madonny z Dzieciątkiem pędzla florenckich mistrzów. Od tej pory nic już nie mogło zaspokoić jego apetytów.

Całymi dniami przesiadywał w miejskiej bibliotece, wpatrzony w obrazy Giotta, Rafaela, Tycjana, Boticellego, Tintoretta i Tiepola. Arcydzieła Michała Anioła i Leonarda da Vinci pochłaniał równie prędko, jak jego koledzy tanie hamburgery.

Jako nastolatek mył samochody, roznosił gazety i wyprowadzał psy na spacer. Za oszczędności wybrał się autostopem na przejazd przez Europę, żeby zwiedzić galerie Ufizzi i Pitti. Po Włochach zaczął studiować Hiszpanów, więc w ten sam sposób pojechał do Toledo i przez dwa dni stał w katedrze, patrząc na Velasqueza, Zurburana, Murilla. Potem poznał szkołę niemiecką, flamandzką i holenderską. W dwudziestym drugim roku życia był ubogą, chodzącą encyklopedią sztuki. Właśnie to w nim zobaczył Sebastian Mortlake, gdy go przyjął do pracy w galerii House of Darcy. Ale nawet on, obdarzony chytrą przenikliwością, coś przeoczył - ów wewnętrzny instynkt, z którym trzeba się urodzić. Oberwaniec z Bootle nosił w sobie dar boży, ale nikt, z nim włącznie, wcale o tym nie wiedział.

Wrócił do firmy następnego ranka, żeby przejrzeć ostatnie czternaście obrazów. Gmach Darcy, niby formalnie otwarty, był opustoszały. Portier przed drzwiami przywitał niewielu pracowników.

Benny Evans wszedł do sali i zaczął oglądać obrazy. Były różnej wielkości, różnie zapakowane. Trzeci od końca stał zawinięty w grube i szorstkie płótno. Miał nalepkę z

numerem D 1601. Benny rozwinął go i ze zdumieniem popatrzył na grubą warstwę brudu. Trudno było określić, co jest naprawdę pod spodem.

Odwrócił obraz. Drewniany panel. Dziwne. A co dziwniejsze, to nie dąb. W północnej Europie, jak ktoś już korzystał z deski, malował na dębie. Co innego włoscy pejzażyści. Zatem to może topola?

Położył obraz na stole i skierował nań silny promień światła, żeby choć trochę zobaczyć, co jest pod lepkiem brudem, osiadającym przez wiek cały wraz z dymem z cygar i kominka. Jakaś kobieta, ale bez dzieciątka... Ktoś się nad nią pochylał; patrzyła na niego. Małe, nawet maleńkie usteczka w kształcie róży i krągłe bombę czoła.

Oczy bolały go od światła. Przesunął lampę i uważnie obejrzał mężczyznę. Coś drgnęło w jego pamięci. Postawa, ułożenie ciała... Ten ktoś coś mówił, pokazywał, a kobieta słuchała go z natężeniem.

Kto tak zginał palce? Gdzie mógł to kiedyś widzieć? O wiele wyraźniejszy ślad rysował się na twarzy. Te same małe wydęte usta i trzy wąskie linie zmarszczek nad oczami. Skąd znał właśnie takie trzy pionowe, a nie poziome zmarszczki na czyimś czole? Na pewno już gdzieś je widział, nie pamiętał tylko, gdzie to było i kiedy. Spojrzał na formularz. Pan T. Gore. Bez telefonu. Cholera. Dwa ostatnie obrazy określił jako śmieci, zabrał wszystkie papiery i poszedł do Deirdre, jedynej sekretarki, która dziś pracowała. Podyktował jej ogólny list i wręczył formularze. Na każdym z nich było imię, nazwisko i adres właściciela i zadeklarowana przezeń wartość odrzuconego dzieła.

Choć listów było aż czterdzieści trzy, komputer umiał w każdym z nich wpisać właściwe dane, a całą treść pozostawić bez najmniejszej zmiany. Benny z zachwytem patrzył na pracę sekretarki. On sam miał wyjątkowo mgliste pojęcie o komputerach. Potrafił włączyć taką maszynkę i wystukać ze dwa, trzy zdania, ale reszta mu umykała. Po dziesięciu minutach Deirdre pisała już adresy na kopertach. Palce migotały jej po klawiaturze. Benny złożył świąteczne życzenia i wyszedł. Jak zwykle pojechał autobusem do końca Ladbrooke Grove. W powietrzu czaiła się zapowiedź śniegu.

Gdy się obudził i spojrział na zegarek przy łóżku, stwierdził, że jest druga rano. Czuł rozkoszne ciepło śpiącej obok Julie. Kochali się przed zaśnięciem, a to zawsze było gwarancją zdrowego i twardego snu. A jednak się obudził, w dodatku z zamętem w głowie, jakby uparta myśl przerwała mu wypoczynek. O czym jeszcze mógł marzyć przed trzema godzinami? Chyba tylko o Julie. Przypomniał sobie obraz zawinięty w siermiężne płótno.

Zerwał się jak oparzony. Julie zamruczała coś gniewnie przez sen. Usiadł i rzucił w ciemność trzy krótkie słowa.

- Szlag, kurna, trafił.

Następnego ranka, dwudziestego trzeciego grudnia, znów poszedł do House of Darcy. Dom aukcyjny tym razem był naprawdę zamknięty. Benny miał na szczęście klucz do tylnego wejścia.

Chciał zajrzeć do biblioteki działu dawnego malarstwa. Drzwi były chronione elektronicznym zamkiem, ale Benny pamiętał liczby szyfru. Przesiedział tam godzinę i zabrał trzy leksykony. Poszedł do sali ekspertyz. Obraz na desce wciąż leżał tam, gdzie go zostawił, na górnej półce regału.

Wziął silną lampę i szkło powiększające, pożyczone z prywatnej szuflady Sebastiana Mortlake'a. Ze szkłem w ręku porównywał twarz pochylonego mężczyzny na obrazie z twarzami na reprodukcjach. Na jednej z nich widniał mnich lub święty: brązowa szata, głowa z tonsurą, wypukłe czoło i trzy cienkie pionowe zmarszczki gniewu lub zatroskania, tuż nad oczami.

Benny, zatopiony w myślach, odchylił się w fotelu. Czuł się jak ktoś, kto potknął się o kamień i przypadkiem wpadł do kopalni króla Salomona. Zastanawiał się, co ma zrobić. Niczego jeszcze nie udowodnił. Mógł się przecież pomylić. Wszystko przez tę ohydną warstwę brudu i sadzy. Ale chyba powinien zawiadomić zwierzchników.

Zawinał obraz z powrotem i zostawił go na biurku Mortlake'a. Poszedł do sekretariatu, włączył komputer Deirdre i próbował sobie przypomnieć, jak to działa. Mniej więcej godzinę później zaczął mozolnie, litera po literze, pisać list.

Gdy skończył, bardzo grzecznie poprosił komputer o dwa wydruki. Maszyna spełniła tę prośbę. W szufladzie znalazł koperty i jedną z nich zaadresował ręcznie do Sebastiana Mortlake'a, drugą zaś do wiceprezesa i szefa zarządu, Jaśnie Wielmożnego Peregrine'a Slade'a. Pierwszą położył obok obrazu na biurku swojego szefa, a drugą wsunął przez szparę pod zamkniętymi drzwiami gabinetu Slade'a. Potem wrócił do domu.

To, że mimo świąt pan Peregrine Slade pojawił się w biurze, było może niezwykle, lecz całkiem zrozumiałe. Mieszkał tuż za rogiem. Jego żona, lady Eleanor, większość czasu spędzała w rezydencji w Hampshire, w otoczeniu nieznośnych kuzynów i kuzynek.

Wspomniał jej, że przyjedzie dopiero na Wigilię. Wolał unikać czyścica, jakim była dla niego rola gospodarza wszystkich JEJ gości.

Poza tym chciał powęszyć w papierach kolegów, a to samo przez się wymagało chwili prywatności. Wszedł w ten sam sposób i tą samą drogą, którą Benny Evans pokonał zaledwie przed godziną.

Wewnątrz było przyjemnie ciepło - nikt nie zaproponował nawet, żeby wyłączyć ogrzewanie na czas świątecznych ferii - i w większości pomieszczeń, z uwzględnieniem jego gabinetu, uruchomiono system alarmowy. Slade rozbroił ochronę w swoim własnym sektorze, minął prywatny sekretariat, w którym zazwyczaj królowała panna Priscilla Bates, i wszedł do sanktuarium.

Zdjął płaszcz, otworzył neseser, wyjął laptop i podłączył go do głównej sieci. Zobaczył, że czekają na niego dwa listy, ale tym mógł się zająć później. Na początek, napiłby się herbaty. Zwykle robiła mu ją panna Bates, ale teraz, gdy jej nie było, sam musiał się pofatygować. Przetrzęsnał szafkę, poszukując czajnika, paczki earl grey, kubka z porcelany i plasterka cytryny. Znalazł całą cytrynę i nóż. Kiedy szukał kontaktu, żeby włączyć czajnik, zobaczył list leżący na dywanie pod drzwiami. Zanim czajnik zaszumił, rzucił list na biurko.

Z kubkiem herbaty w ręku wrócił wreszcie do siebie i przeczytał dwa listy przesłane Internetem. Nic ważnego. Nic, co by nie mogło poczekać do Nowego Roku. Przebił się przez gąszcz firmowych i prywatnych haseł i zaczął przeglądać dane dotyczące wszystkich członków zarządu i kolegów po fachu.

Gdy się już zmęczył, pomyślał o własnych problemach. Mimo znacznej pensji Peregrine Slade nie był zamożnym człowiekiem. Jako młodszy syn earla nie dziedziczył niczego, z wyjątkiem nazwiska.

Poślubił córkę diuka, jak się okazało wyjątkowo wredną i niewdzięczną niewiastę, przekonaną o swoich prawach do posiadłości w Hampshire, wraz z całym otoczeniem i stadniną doborowych koni. Drogo go kosztowała, dzięki niej jednak wkroczył w wyższe sfery, co czasami było korzystne dla interesów.

Mógł do tego dodać jeszcze garsonierę w Knightsbridge, chociaż twierdził, że to konieczne podczas urzędowania w Darcy. Wpływy teścia zapewniły mu całkiem dobrą pracę i awans na wiceprezesa. Fotel prezesa zajmował sztywny i zgryźliwy książę Gateshead.

Stosowne lokaty dałyby mu majątek, ale Slade wolał działać wyłącznie na własną rękę, a to było najgorsze, czego mógłby doświadczyć. Nie bacząc, że są eksperci od rynków zagranicznych, zainwestował w euro i przez dwa lata stracił trzydzieści procent. Co gorsza, przy okazji narobił sobie długów, a wierzyciele cicho coś przebąkaliwali o „pozbawieniu go prawa do wykupu”. Jednym słowem, tkwił w kłopotach po uszy.

A poza tym miał jeszcze kochankę w Londynie, prywatne peccadillo, obsesję, z którą nie potrafił zerwać, a która kosztowała niesłychane krocie. Spojrzał na list. Koperta Darcy, a zatem miejscowa, zaadresowana ręcznie, nieznanym mu charakterem pisma. Co za dureń nie umiał korzystać z komputera? Przynajmniej mógłby to zlecić sekretarce. List podrzucono dzisiaj, bo wczoraj panna Bates pracowała aż do wieczora. Ciekawe. Kto tu siedział nocą? Kto przyszedł przed nim? Rozerwał kopertę.

Autor listu wyraźnie nie radził sobie z komputerem. Akapity fruwały po kartce. Słowa Szanowny Panie Slade skreślono ręcznie, u dołu zaś widniał podpis: Benjamin Evans. Slade nie znał nikogo takiego. Zerknął na nagłówek. Dział dawnego malarstwa. Bez wątpienia skarga od jakiegoś obwiesia, pomyślał. Zaczął czytać. Dopiero trzeci akapit przyciągnął jego uwagę.

Moim zdaniem nie może to być fragment odłamany na przykład z większego ołtarza, choćby ze względu na kształt i całkowity brak widocznych śladów zniszczenia na brzegach.

Mógłby to być zatem pojedynczy obraz religijny, zamówiony przez bogatego kupca. Pomimo warstwy brudu, zgromadzonej wiekami, dają się tu rozpoznać pewne podobieństwa ze znanymi dziełami...

Na widok nazwiska Peregrine Slade zakrztusił się i bryznął herbatą na swój jedwabny krawat.

Zatem uważam, że bez względu na koszty, warto dokonać oczyszczenia i renowacji wspomnianego dzieła w celu uwidocznienia wspomnianych podobieństw. Sugerowałbym także, aby profesor Colenso dokonał dokładnej ekspertyzy.

Slade przeczytał list jeszcze trzy razy. W zapadającym zmroku, w gmachu przy Knightsbridge, paliło się światło tylko w jego gabinecie. Zastanawiał się, co ma zrobić. Sprawdził w komputerze, kto przyniósł obraz. T. Gore. Człowiek bez telefonu, bez faksu i bez dostępu do Internetu, za to z adresem w ponurej dzielnicy tanich domków. Ergo: na pewno ignorant i żebrak. Zostawał zatem jeszcze niejaki Benjamin Evans. Hmmm... Na



końcu listu, pod sygnaturą, widniały słowa: do wiadomości: Sebastian Mortlake.

Peregrine Slade wstał z fotela.

Po dziesięciu minutach wrócił z działu malarstwa, niosąc pakunek zawinięty w płótno oraz kopię listu. Zamierzał ją spalić. To była sprawa dla wiceprezesa. W tej samej chwili zadzwonił telefon komórkowy.

- Perry?

Znał ten głos, skromny, lecz gardłowy. Zaszło mu w ustach.

- Tak.

- Wiesz, kto mówi, prawda?

- Tak, Marino.

- Co powiedziałaś?

- Przepraszam. Tak, panno Marino.

- Tak już lepiej, Perry. Nie lubię, kiedy ze mną ktoś się spoufala. Będziesz musiał zapłacić.

- Bardzo mi przykro, panno Marino.

- Nie byłeś u mnie ponad tydzień. Mmmmm?

- To przez ten przedświąteczny pośpiech.

- I pewnie przez ten czas sporo narozrabiałaś. Prawda, Perry?

- Tak, panno Marino.

Miał mokre dłonie, a żołądek wyprawiał mu dziwne harce.

- Musimy na to coś zaradzić. Prawda, Perry?

- Jak pani sobie tyczy, panno Marino.

- Ależ życzę sobie, Perry! Punktualnie o siódmej, chłopcze. Nie spóźnij się. Wiesz przecież, że nie lubię czekać z wysuniętymi pazurkami.

W słuchawce zapanowała cisza. Slade drżącą ręką odłożył telefon. Zawsze czuł przed nią obłądne przerażenie, nawet gdy tylko rozmawiali jak teraz, na odległość. Ale to oraz to, co potem nastąpiło w klasie, to już inna historia.

Styczeń

- Intrygujesz mnie, drogi Perry. Skąd pomysł na tak wystawny lunch, w dodatku tuż po Nowym Roku? Nie pomyśl tylko, że narzekam...

Siedzieli w klubie Slade'a, przy St. James Street. Był czwarty stycznia i przepity i przejezdny kraj z wolna telepał się do pracy. Slade pełnił funkcję gospodarza. Reggie Fanshawe, właściciel Galerii Fanshawe przy Pont Street, z uznaniem spojrzął na zamówione beychevelle.

Slade uśmiechnął się, pokręcił głową i dał znak, że pozostali goście są stanowczo zbyt blisko, by mógł mówić absolutnie szczerze. Fanshawe zrozumiał go bez trudu.

- Jeszcze bardziej mnie to zadziwia. Muszę zatem, trawiony ciekawością, zaczekać aż do kawy?

Kawę wypili całkiem sami, na górce, w bibliotece. Slade wyjaśnił, że niecałe półtora miesiąca temu jakiś nieznany człowiek wszedł prosto z ulicy i zostawił potwornie brudny obraz do wyceny. Przez przypadek, spowodowany głównie przedświątecznym nawałem pracy dla ekspertów, dzieło trafiło w ręce młodego, lecz bystrego pracownika.

Wręczył marszandowi skromny raport Evansa. Fanshawe przeczytał i z trzaskiem odstawił szklanekę wybornej whisky, mało jej nie rozlewając.

- Dobry Boże... - jęknął i zaraz to powtórzył, na wypadek gdyby Wszechpotężny nie zdołał go usłyszeć.

- Poszedłeś za jego radą?

- Niezupełnie - odparł Slade. Ostrożnie wyluszczył swój pomysł.

Fanshawe siedział nad zimną kawą i nietkniętą szklaneczką trunku.

- Przecież jest kopia listu. Co na to Seb Mortlake?

- Spaliłem kopię. Seb dzień wcześniej wyjechał do siebie na wieś.

- Zostaną dane w komputerze.

- Już nie. Wczoraj przyszedł magik od programów. Ta część bazy została usunięta.

- Gdzie jest teraz obraz?

- Bezpieczny w moim biurze. Pod kluczem.

- Możesz mi przypomnieć datę następnej aukcji?

- Dwudziestego czwartego.

- A ten młodzieniec? Jak coś zauważy, pójdzie do Mortlake'a. Może go przekona?

- Nie, bo wyjedzie na północ, do Szkocji. Mam tam kogoś, kto winien mi jest przysługę.

- Skoro jednak obraz nie wrócił do właściciela, powinien być ślad w papierach i wasza wycena.

- Jest.

Slade wyjął z kieszeni jeszcze jeden papier i wyciągnął rękę do Fanshawe'a. Marszand przeczytał miałki tekst, określający obraz jako dzieło nieznanego wczesnego florenckiego twórcy, o nieznanym tytule, nieznanym pochodzeniu i nieznanym nazwisku malarza.

Wartość od pięciu do siedmiu tysięcy funtów. Odchylił się w fotelu, wzniósł toast szklaneką whisky i powiedział:

- Coś ci wtłukłem do głowy za szkolnych lat, przyjacielu. Zmierzasz prosto do mety, jak kliper pod żaglami. Wchodzę w to.

Dwa dni później Trumpington Gore dostał list z House of Darcy, na firmowym papierze, bez podpisu, ale z pieczętką działu dawnego malarstwa. W liście proszono go, aby złożył podpis na załączonym formularzu i tym samym udzielił zezwolenia na licytację obrazu, wycenionego na pięć do siedmiu tysięcy funtów. Do listu dołączona była koperta zwrotna ze znaczkiem. Trampy nie wiedział, bo niby skąd mógłby wiedzieć, że jego odpowiedź trafi nietknięta na biurko Peregrine'a Slade'a.

Mało nie oszalał ze szczęścia. Za pięć tysięcy funtów mógł przeżyć co najmniej pół roku, a przez ten czas na pewno wróci do pracy. Lato było najlepszą porą dla filmowców na kręcenie plenerów. Czym prędzej podpisał i odesłał formularz.

Dwudziestego stycznia Peregrine Slade zatelefonował do szefa działu malarstwa.

- Mam pewien kłopot, Seb. Zrobiłbyś coś dla mnie?

- Jeżeli tylko zdołam, Perry. A o co chodzi?

- Jeden z moich starych przyjaciół mieszka na północy Szkocji. Czasami bywa mocno roztargniony. Ostatnio zapomniał, że kończy mu się termin ubezpieczenia kolekcji obrazów. Do końca miesiąca musi odnowić polisę. Tymczasem te gnojki z urzędu próbują mu podłożyć świnię. Nie wystawią nowej polisy bez aktualnej wyceny.

Wycenę dzieł sztuki - nawet tych pochodzących z mniej znanych kolekcji - do celów ubezpieczeniowych prowadziły wszystkie znane domy aukcyjne w Londynie. Pobierały za to stosowną opłatę, ale zwykle zlecenie przychodziło wcześniej.

- Perry, Perry... Za cztery dni mamy ogromną aukcję! Urabiamy się tutaj po łokcie. Nie może to trochę poczekać?

- Nie bardzo. A co z tym młodym chłopakiem, którego zatrudniłeś jakieś dwa lata temu?

- Mówisz o Bennym? Co to ma z nim wspólnego?

- Może jego byś posłał? To niewielka kolekcja. Głównie portrety jakobinów. Weźmie starą wycenę, podciągnie trochę i po sprawie. Przecież to tylko sprawa ubezpieczenia.

- No, dobrze.

I tak dwudziestego drugiego stycznia Benny Evans wyjechał nocnym pociągiem do Caithness na dalekiej północy Szkocji. Miało go nie być przez tydzień.

Rankiem, w dniu aukcji, którą miał poprowadzić Slade, Mortlake dowiedział się ze zdumieniem, że do licytowanych dzieł sztuki doszedł jeden obraz, nie uwzględniony w katalogu. Tak na dokładkę.

Ze zgrozą popatrzył na Slade'a.

- Jaki obraz?!

- Niewielka tempera, prawdopodobnie z Florencji. Jeden z tych „uliczników” wycenionych przez naszego młodego mistrza Evansa. Zrobił to już po twoim wyjeździe na święta.

- Nic o tym mi nie wspomniał. Sądziłem, że cała reszta wróciła do właścicieli.

- Moja wina. Zupełnie o tym zapomniałem. On pewnie też. Spotkaliśmy się tutaj, w korytarzu, kiedy wróciłem, żeby załatwić jakąś zaległą sprawę. Spytałem go, co robi. Odpowiedział, że na twoją prośbę przegląda partię obrazów. Czterdzieści czy coś koło tego.

- To prawda, sam mu kazałem - przytaknął Mortlake.

- Był wśród nich jeden, na który zwrócił mi uwagę. Zabrałem go do siebie, żeby lepiej obejrzeć, potem zająłem się czymś innym i tak to się skończyło.

Slade dał mu do przeczytania skromną wycenę, podpisaną na pewno przez Evansa, i zabrał papier z powrotem.

- A mamy chociaż zezwolenie?

- Ależ tak. Wczoraj, gdy tylko zobaczyłem ten obraz w gabinecie, zadzwoniłem do właściciela. Był uszczęśliwiony. Wieczorem przefaksował zgodę na licytację.

Seb Mortlake miał tego ranka ważniejsze sprawy na głowie niż anonimowy obraz z pokątnego źródła, o wartości niebezpiecznie zbliżonej do ustalonej przez niego granicy pięciu tysięcy funtów. Na sprzedaż szedł prawdziwy Veronese, do tego Di Rodolfo i Sano di Piętro. Mruknął coś szybko na zgodę i popędził na salę aukcyjną, żeby dopilnować ostatnich przygotowań. O dziesiątej Peregrine Slade wkroczył na ambonę, ujął młotek i rozpoczął aukcję.

Z rozkoszą brał na siebie rolę licytatora. Przywileje, rozkazy, władza i zdawkowe skinienia głową w stronę znanych klientów, marszandów i przedstawicieli artystycznych kręgów Londynu sprawiały mu niezwykłą radość. Rozpoznawał agentów przysyłanych tutaj przez megagraczy na rynku dzieł sztuki, z których żaden na aukcjach nie był osobieście.

Dzień był wspaniały. Ceny niebotyczne. Veronese trafił do wielkiej amerykańskiej galerii za kwotę ponad dwukrotnie wyższą od oczekiwanej. Di Rodolfo wywołał stłumione westchnienia, zwłaszcza po czwartym przebicciu.

Dwadzieścia minut przed końcem licytacji, zgodnie z umową, na salę wśliznął się Reggie Fanshawe. Usiadł w ostatnim rzędzie, nieco z boku. Kiedy ostatni przedmiot z katalogu znalazł nowego właściciela, Slade oznajmił przerzedzonym widzom:

- Jest jeszcze dodatkowy obraz, nieuwzględniony w katalogu. Dotarł do nas zbyt późno, już w momencie druku.

Woźny z powagą ustawił na sztalugach brudne malowidło w obdrapanej pozłacanej ramie. Kilka osób wyciągnęło szyje, by choć trochę zobaczyć, co kryje się pod spodem.

- Niewielka tajemnica. Prawdopodobnie z Florencji, tempera na desce, scena religijna.

Artysta nieznany. Czy ktoś da tysiąc funtów?

Cisza. Fanshawe wzruszył ramionami i skinął głową.

- Mam tysiąc funtów. Kto da więcej?

Przesunął wzrokiem po sali i dostrzegł jakiś znak z dala od Fanshawe'a, widoczny najwyraźniej wyłącznie dla niego. Znaku co prawda nie było, ale wśród uczestników aukcji, przywykłych do tego, że zmruczenie oka może być sygnałem, zachowanie Slade'a nie wzbudziło żadnego zdziwienia.

- Tysiąc pięćset od pana z lewej.

Fanshawe ponownie skinął głową.

- Dwa tysiące funtów. Czy usłyszę... mam dwa tysiące pięćset... trzy tysiące...

Fanshawe licytował z niewidzialnym rywalem aż do wysokości sześciu tysięcy funtów.

Był znany, więc miał otwarty kredyt i wyszedł z obrazem pod pachą. Trzy dni później, o wiele szybciej niż zwykle, pan Trumpington Gore otrzymał czek na nieco ponad pięć tysięcy funtów, czyli cenę sprzedaży minus prowizja i VAT. Cieszył się jak dziecko. Pod koniec miesiąca Benny Evans wrócił do Londynu, szczęśliwy, że nareszcie wyrwał się z zimnego i ponurego w styczniu zamczyska w Caithness. Nie pytał Seba Mortlake'a o zaśnieżony obraz, a z jego milczenia wysnuł prosty wniosek, że szef odrzucił jego ekspertyzę i najzwyczajniej w świecie nie chciał o tym gadać.

Kwiecień

W pierwszych dniach miesiąca nie lada sensacja wstrząsnęła artystycznym światkiem. Witryna Galerii Fanshawe została w całości udekorowana czarnym aksamitem. Za szybą, na małych sztalugach, w delikatnym, lecz jasnym świetle dwóch małych reflektorów, dzień i noc strzeżony przez dwóch ogromnych i muskularnych strażników z Group Four, stał samotnie niewielki obraz. Stracił swoją złoconą i poobijaną ramkę. Malowidło - tempera na topolowej desce - wyglądało, jakby przed chwilą wyszło z pracowni malarza. Kolory miało tak żywe, jak przed pięciuset laty.

Maria Dziewica siedziała, z wzrokiem utkwionym w górę, a archanioł Gabriel niósł jej zwiastowanie, że wkrótce w swoim łonie utuli Dziecię Boże. Dziesięć dni temu czołowy autorytet świata w sprawach Sieny, profesor Guido Colenso, bez wahania potwierdził autentyczność dzieła. Taki wyrok był nie do podważenia.

Krótki napis pod malowidłem głosił po prostu: SASSETTA 1400-1450. Stefano di Giovanni di Consolo, znany jako Sassetta, był jednym z pierwszych tytanów wczesnego włoskiego renesansu. Stworzył szkołę sienneńską i wywarł wielki wpływ na dwa pokolenia sienneńskich i florenckich mistrzów, którzy przyszli po nim.

Do naszych czasów przetrwało kilka z jego obrazów, głównie paneli z dużo większych ołtarzy. Ich wartość grubo przekracza rynkową cenę brylantów. W jednej chwili Galeria Fanshawe weszła do pierwszej ligi, przedstawiając jedyną znaną wersję „Zwiastowania”, która wyszła spod ręki Mistrza.

Dziesięć dni temu Reggie Fanshawe przyjął ofertę kupna od prywatnego kolekcjonera, opiewającą na ponad dwa miliony funtów. Podział łupu nastąpił dyskretnie w Zurychu i finansowa kondycja każdego ze współników uległa wyraźnej poprawie.

Świat oniemiał po tym odkryciu. Benny Evans także. Przejrzał katalog z aukcji z dwudziestego czwartego stycznia i nie znalazł tam nawet wzmianki o wspomnianym obrazie. Zaczął się rozpytywać i powiedziano mu, że w ostatniej chwili ktoś „zrobił dostawkę”. Atmosfera w House of Darcy stała się jadowita. Ten i ów karcącym wzrokiem zerkał na Benny'ego. Plotka zataczała coraz szersze kręgi.

- Dlaczego nie przyszedłeś z tym do mnie? - syknął zgnębiony Mortlake. - Jaki list? Nie było żadnego listu. Nie wymiguj się. Wiceprezes pokazał mi twoje sprawozdanie i wycenę.

- Razem z sugestią, żeby zasięgnąć opinii profesora Colensa?

- Colensa? Nawet go nie wymieniaj. Ta szuja Fanshawe popędził wprost do niego. Posłuchaj, chłopcze, ostro spieprzyłeś tę sprawę. Obraz tu był. Fanshawe okazał się lepszym ekspertem od ciebie.

Na górze zwołano nadzwyczajne posiedzenie zarządu. Zgryźliwy książę Gateshead zasiadł u szczytu stołu, ale uwagę wszystkich przyciągał Peregrine Slade. Ośmiu dyrektorów siedziało na swoich miejscach, w skupieniu spozierając na czubki palców. Nikt nie miał nawet najmniejszej wątpliwości, że potężny House of Darcy nie tylko stracił ćwierć miliona funtów prowizji, ale w dodatku wypuścił z ręki prawdziwego Sassetę, który za marne sześć tysięcy trafił do kogoś bystrzejszego.

- Ja dowodzę tym statkiem, zatem cała odpowiedzialność spada wyłącznie na mnie - cicho oznajmił Peregrine Slade.

- Wszyscy to wiemy, Perry. Zanim jednak dojdziemy do jakichś dalszych wniosków, bądź tak łaskaw i powiedz nam, jak to dokładnie się stało.

Slade wziął głęboki oddech. Wiedział, że przemawia w obronie swojego zawodowego życia. Potrzebny im kozioł ofiarny, a on nie chciał przyjąć tej roli. Wiedział także, że prośby lub wykręty przyniosą jak najgorszy skutek.

- Dla nikogo nie jest tajemnicą, że od lat prowadzimy darmową i powszechną wycenę dzieł sztuki. Zawsze to robiliśmy. To tradycja House of Darcy. Niektórzy się z nią zgadzają, niektórzy nie. Ich sprawa. Faktem jest, że nasze ekspertyzy pochłaniają ogromną ilość czasu. Czasami się zdarza, że jakieś arcydzieło wypływa na światło dzienne, podlega identyfikacji, dalszej wycenie i sprzedaży za niemałą sumę, z oczywistą korzyścią dla nas. Jednak przeważająca część obrazów, trafiająca tu wprost z ulicy, to najzwyczajniejsze śmieci. Gros pracy związanej z selekcją tych obrazów, zwłaszcza w

gorączkowym okresie przed świętami, spada na barki młodszych pracowników, którym brak wieloletniego doświadczenia w tym zakresie. Coś takiego stało się właśnie u nas. Wspomniany obraz był anonimowy. Jego właściciel po prostu nie wiedział, co ma, bo w przeciwnym przypadku nigdy by go nie przyniósł. Malowidło dotarło tutaj w strasznym stanie, tak brudne, że niemal nieczytelne. A oglądał je jeden z naszych najmniej wyrobionych ludzi. Tutaj mam jego sprawozdanie.

Slade rozdał zebrany kopie wyceny, ustalającej wartość dzieła na pięć do sześciu tysięcy funtów. Sam ją sporządził, ślęcząc w środku nocy nad klawiaturą komputera. Dziewięciu członków zarządu w milczeniu przejrzało sprawozdanie.

- Jak widać, pan Benny Evans sądził, że to obraz powstały we Florencji, gdzieś około tysiąc pięćset pięćdziesiątego roku, namalowany przez nieznanego twórcę, o przeciętnej wartości. Pomylił się. Dzieło pochodzi ze Sieny, z połowy piętnastego wieku i wyszło z pracowni Mistrza. Pod warstwą brudu tego po prostu nie zauważył. To wykazawszy, wypada dodać, że ekspertyzy dokonano pobieżnie, by nie rzec - niechlujnie. To jednak ja oddaję się pod ocenę zarządu.

Dwóch dyrektorów z namaszczaniem patrzyło w sufit. Sześciu pokręciło głowami.

- To nam nie wystarczy, Perry. I sam załatw sprawę z tym młodym człowiekiem.

Po południu Peregrine Slade wezwał do siebie Benny'ego Evansa. Nie zaproponował mu, żeby usiadł. Mówił wyniosłym tonem:

- Chyba nie muszę ci wyjaśniać przyczyn ani rozmiarów katastrofy, która ostatnio spadła na House of Darcy. Wszystko jest w papierach. Mówią same za siebie.

- Nie rozumiem! - zaprotestował Benny. - Przecież dostał pan mój raport. Wsunąłem go pod drzwi. Napisałem, że to naprawdę może być Sassetta. Wspomniałem o czyszczeniu i o konserwacji, a także o ekspertyzie profesora Colensa. Wszystko tam było!

Slade z zimną krwią podał mu arkusz papieru firmowego. Evans przebiegł list zdumionym spojrzeniem.

- To nie moje. Nie ja to napisałem!

Wiceprezes pobrał z wściekłości.

- Zachowałeś się wyjątkowo głupio, Evans. Ale nie zniosę chamstwa! Kto próbuje takim nędznym kłamstwem ratować swoją skórę, nie zagraje miejsca w tej firmie! Idź teraz do panny Bates. Odda ci twoje dokumenty. Opróżnij biurko i za godzinę mam cię tu nie widzieć. To wszystko.

Benny szukał ratunku u Sebastiana Mortlake'a. Dyrektor słuchał go uprzejmie przez kilka minut, a potem zabrał do sekretariatu.

- Znajdź sprawozdania i wycenę obrazów z dwudziestego drugiego i dwudziestego trzeciego grudnia - powiedział do Deirdre.

Komputer posłusznie wypluł stos raportów, a wśród nich ten, który dotyczył obiektu D 1601. Taki sam dokument Benny widział przed chwilą u Slade'a.

- Komputery nie kłamią - westchnął Mortlake. - Znikaj już, chłopcze.

Wprawdzie Benny Evans nie zrobił matury i miał nikłe pojęcie o pracy komputerów, ale na pewno nie był głupcem. Zanim znalazł się na ulicy, już dokładnie wiedział, co i jak się

stało. Wiedział też, że wszyscy są przeciwko niemu i że już nigdy nie dostanie pracy na rynku dzieł sztuki.

Miał jednak jedną bratnią duszę. Julie Day co prawda była cockneyem, nie miała klasycznej urody, a jej sterczące włosy i zielone paznokcie gdzieś budziły niechęć, ale Benny ją kochał, a ona kochała jego. Przez godzinę słuchała opowieści o tym, co zaszło i jak przeprowadzono tę całą intrygę. Jej wiedza z zakresu historii sztuki dałaby się zapisać na znaczku pocztowym, lecz miała inne talenty, zupełnie odwrotne niż Benny. Była typowym dzieckiem wieku komputerów. Wszyscy wiedzą, że noworodek w wodzie odruchowo zaczyna pływać. Julie po raz pierwszy zamoczyła palec w cyberprzestrzeni gier wideo, gdy chodziła do szkoły. Od razu znalazła swoje powołanie. Teraz miała dwadzieścia dwa lata i potrafiła wycisnąć z komputera tyle, ile Menuhin wyciskał ze stradivariusa. Pracowała w niewielkiej firmie, prowadzonej przez nawróconego byłego hakera. Pisała programy ochrony baz danych przed nielegalnym dostępem. A któż lepiej od ślusarza otworzy zatrzaśniętą kłódkę? Któż lepiej od strażnika włamie się do komputera? Julie Day była takim właśnie strażnikiem.

- I co chcesz zrobić, Benny? - zapytała, gdy skończył.

Mógłby wrócić w zaułki Bootle, lecz jego prapradziadek należał do Chłopaków z Bootle, którzy zgłosili się do punktów poborowych w 1914 roku. Trafili do oddziału fizylierów z Lancashire i we Flandrii walczyli jak tygrysy i ginęli jak bohaterowie. Z dwustu, którzy tam poszli, wrócił prapradziadek z sześcioma kolegami. Dawna krew nie stygnie tak szybko.

- Chcę dorwać tego drania Slade'a. Chcę go utopić - warknął.

Wieczorem, w łóżku, Julie wpadła na pewien pomysł.

- Ktoś jeszcze jest na pewno równie wściekły na niego.

- Kto taki?

- Dawny właściciel obrazu.

Benny usiadł.

- Faktycznie, mała. Wyrolowano go na dwa miliony. Może o tym nie wiedzieć.

- Kto to jest?

Namyślał się przez chwilę.

- Tylko zerknąłem na formularz. Jakiś T. Gore.

- Numer telefonu?

- Nie było.

- Adres?

- Nie pamiętam.

- Gdzie to jest zapisane?

- W bazie danych. Lista sprzedaży lub spis magazynowy.

- Masz tam dostęp? Własne hasło?

- Jasne, że nie.

- A kto ma?

- Na pewno każdy z dyrektorów.

- Mortlake?

- Oczywiście. Dają mu wszystko, czego żąda.

- Wstawaj, Benny, miłości moja. Idziemy do roboty.

W dziesięć minut załogowała się do bazy danych domu aukcyjnego. Zadała pytanie. Komputer zażądał identyfikacji.

Julie spojrzała na leżącą obok niej listę. Co wpisywał Sebastian Mortlake? Samo „S”, czy „Seb”, czy całe „Sebastian”? Duże czy małe litery? A może takie i takie? Kropka czy pauza między imieniem i nazwiskiem? A może nic?

Po każdej próbie komputer meldował o błędzie. Modliła się w duchu, żeby nie miał limitu niewłaściwych zgłoszeń i nie wszczął alarmu, przerywając kontakt. Na szczęście programista ustawiający system obawiał się, że czciciele sztuki od Darcy'ego są tak roztrzępani, że mogą zapominać haseł. Zostawił więc link otwarty.

Po piętnastej próbie wreszcie jej się udało. Dyrektor działu malarstwa figurował jako seb-mort: małe litery, imię skrócone, pauza, nazwisko obcięte w połowie. Komputer wreszcie uwierzył, że seb-mort jest na łączach, i poprosił o hasło.

- Większość ludzi ma hasło związane z czymś bliskim - powiedziała. - Imię żony lub psa, nazwę rodzinnego miasta lub słynną postać, którą podziwiają.

- Seb jest kawalerem, mieszka sam, bez psa. Żyje wyłącznie sztuką.

Zaczęli od włoskiego renesansu, potem przeszli do szkoły flamandzko-holenderskiej, a później do hiszpańskich mistrzów. Wreszcie, dziesięć po czwartej słonecznego wiosennego poranka, Julie dopięła swego. Mortlake to seb-mort i GOYA. Baza danych spytała, o co chodzi. Julie zażądała nazwiska właściciela obiektu D 1601.

Komputer w Knightsbridge przeszukał swoją pamięć i podał odpowiedź. Pan T. Gore, Chestnuts Gardens 32, White City, W. 12. Julie zatarła za sobą wszystkie ślady i przerwała połączenie. Potem zdrzemnęli się na trzy godziny.

Od domu Gore'a dzieliło ich zaledwie trzy mile, więc pojechali przez budzące się miasto na skuterze Benny'ego. Pod wskazanym adresem mieścił się ponury blok z wynajętymi mieszkaniami. Pan T. Gore mieszkał w suterenie. Otworzył drzwi w starym hiszpańskim szlafroku.

- Pan Gore?

- Owszem, proszę pana.

- Nazywam się Benny Evans. A to moja przyjaciółka Julie Day. Jestem... to znaczy byłem pracownikiem House of Darcy. Czy pan jest tym dżentelmenem, który w zeszłym roku przyniósł na sprzedaż mały obraz w złoconej obitej ramce?

Trumpington Gore miał mocno wystraszoną minę.

- Tak, to ja. Czy coś się stało? Obraz sprzedano w styczniu, na aukcji. Mam nadzieję, że nie okazał się fałszywy.

- Och nie, panie Gore. Wprost przeciwnie. Trochę tu chłodno. Wpuści nas pan do środka? Mam coś do pokazania.

Gościnny Trumpy poczęstował ich swoją poranną herbatą. Ponieważ trzy miesiące temu zarobił ponad pięć tysięcy funtów, nie parzył już dwukrotnie tej samej torebki. Młodzi, z kubkami w dłoniach, przyglądali mu się, gdy czytał długi na całą stronę artykuł z „Sunday Timesa”, wręczony mu przez Benny'ego. Trumpy rozdziawił usta.

- To jest to? - wskazał na barwną reprodukcję malowidła Sassetty.



- Tak, panie Gore. Pański stary obraz w brązowym grubym płótnie. Oczyszczony, zakonserwowany i określony jako autentyczny i rzadki Sassetta. Siena, mniej więcej z tysiąc czterysta dwudziestego piątego roku.

- Dwa miliony funtów - jęknął aktor. - Co za katastrofa! Och, gdybym wiedział! Gdyby wiedzieli u Darcy'ego!

- Wiedzieli - sprostował Benny. - A przynajmniej podejrzewali. Sam robiłem wstępną wycenę. Zawiadomiłem ich. Oszukali pana i zniszczyli moją karierę. A zrobił to ten człowiek, który zawarł pokątną umowę z właścicielem galerii.

Zaczął od początku, od obrazów i dyrektora spieszącego na świąteczne ferie. Kiedy skończył, aktor bez słowa patrzył na reprodukcję „Zwiastowania” w gazecie.

- Dwa miliony funtów - powtórzył cicho. - Mógłbym za to wygodnie żyć do samej śmierci. Rzecz jasna, prawo...

- To głupota - przerwała mu Julie. - Dokumenty wskażą, że u Darcy'ego popełniono błąd, zwykłą pomyłkę w ekspertyzie i że Fanshawe działał z własnej woli i wygrał licytację. To się zdarza. Z takiego powodu prawo nie daje żadnych rekompensat.

- Niech mi pan coś powie - odezwał się Benny. - W formularzu, który pan wypełnił, w rubryce zawód, widnieje słowo „aktor”. Naprawdę jest pan aktorem?

- Trzydzieści pięć lat w tym fachu, mój młody człowieku. Grałem role w ponad stu filmach.

Nie dodał, że większość ze wspomnianych „ról” trwała zaledwie kilka sekund.

- To znaczy, że umie pan udawać kogoś zupełnie innego?

Trumpington Gore wyprostował się na krześle, z dumą, na jaką mu pozwalał jego spłowiwały przyodziewek.

- Mogę, mój drogi, uchodzić za każdego, w dowolnym miejscu i dowolnym towarzystwie. To potrafię. Zresztą to wszystko, co potrafię.

- Bo widzi pan - zaczął Benny - mam pewien pomysł.

Rozmawiali przez dwadzieścia minut. Kiedy skończyli, zubożały aktor przedstawił swoją decyzję.

- Zemsta - mruknął. - Danie najlepsze na zimno. Tak, ślad już ostygł. Slade nie będzie się nas spodziewał. Sądzę, mój młody Benny, jeśli tak mogę powiedzieć, że znalazłeś współnika.

Wyciągnął rękę. Benny uściśnął ją, a Julie przyklepała z wierzchu.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

- O, to mi się podoba! - zawołał Benny.

- D'Artagnan - wyjaśnił Trampy.

Benny pokręcił głową.

- Nigdy nie byłem mocny z francuskich impresjonistów.

Resztę kwietnia spędzili bardzo pracowicie. Połączyli fundusze i dokończyli poszukiwań. Benny chciał zerknąć do prywatnej korespondencji Slade'a, przez dostęp do jego konta na Internecie.

Julie włamała się do sieci przez osobistą sekretarkę Slade'a, pannę Priscillę Bates. Jej podpis był bardzo łatwy, brzmiał po prostu P-Bates. Pozostawało tylko hasło.

Maj

Trumpington Gore jak cień chodził za panną Bates, ale używał tak wielu przebrań, że niczego nie podejrzewała. Gdy ustalili już jej adres w Cheam, Benny dokonał nocnego napadu na śmietnik i wrócił z workiem pełnym różnych rzeczy. Nic to im nie pomogło. Panna Bates prowadziła nieprzyzwoicie porządne życie. Była starą panną i mieszkała sama. Jej małe mieszkanie aż lśniło czystością. Do pracy jeździła metrem, do stacji Knightsbridge, i ostatnie pięćset jardów wędrowała piechotą. Czytała „Guardiana” - próbowali wpisać „Guardian” w miejsce hasła, ale nie zadziało - a wakacje spędzała u siostry i szwagra w Frinton.

Dowiedzieli się tego ze starej koperty znalezionej wśród śmieci. „Frinton” także nie pasowało. Poza tym znaleźli sześć pustych puszek po whiskas.

- Ma kota - zakonkludowała Julie. - Jak mu na imię?

Trampy westchnął. Dla niego oznaczało to kolejną wyprawę do Cheam. Wybrał się tam w sobotę, bo wiedział, że panna Bates na pewno będzie w domu. Wystąpił w roli domokrażcy sprzedającego przeróżne zabawki dla kudłatych domowych pieszczołów. Ucieszył się, gdy panna Bates z wyraźnym zainteresowaniem spojrzała na „pazurodrom”, czyli deseczkę, na której znudzone koty mogły ostrzyć pazury, nie niszcząc firanek. Stał w progu, szczyrzył fałszywe żółte zęby i mrugał oczami przez grube szkła okularów. W pewnej chwili z salonu wychynął graby kocur i obrzucił go nieprzychylnym wzrokiem. Trampy zapał z zachwytu nad urodą zwierzęcia i nazwał go „kiciem”.

- Chodź tu, Alamein. Chodź do mamusi - zaszczebiotała panna Bates.

Alamein. Pole bitwy w północnej Afryce, gdzie w 1942 roku zginął jej ojciec, gdy ona sama była zaledwie jednorocznym dzieckiem. Julia, przy Ladbroke Grove, podłączyła się do komputera i wpisała nowe hasło. W sieci Darcy’ego panna Priscilla Bates, osobista i zaufana sekretarka Peregrine’a Slade’a, znana była jako P-Bates ALAMEIN. I miała pełny dostęp do prywatnej poczty szefa. Julie w jej imieniu ściągnęła chyba setkę listów. Minał tydzień, zanim Benny skończył je przeglądać.

- Ma jakiegoś kumpla w dziale sztuki „Observera”. Są od niego trzy listy. Charlie Dawson. Czasami zbiera wieści, co się dzieje w Christie’s lub Sotheby’s i podrzuca je do Slade’a. Przyda nam się.

Julie wykorzystała swoje cyberzdolności i sporządziła nowy list od Dawsona do Slade’a. Miał im się przydać później. Benny tymczasem dokładnie przepatrzył katalog najbliższej wielkiej aukcji u Darcy’ego. Dawne malarstwo flamandzkie i holenderskie, z datą dwudziestego maja. Po chwili puknął palcem w reprodukcję niewielkiego olejnego obrazu na papierze przyklejonym do płótna.

- Ten - oznajmił.

Julie i Trampy popatrzyli na ilustrację. Martwa natura z miską malin - biało-niebieska miska, a obok garść muszelek. Dziwaczna kompozycja. Miska stała na brzegu starego i podrapanego stołu.

- Kto to, do licha, jest Coorte? - zagadnął Trumpington Gore. - Nigdy o nim nie słyszałem.

- Nie ty jeden, Trampy. Artysta średniego formatu. Szkoła middleburska, Holandia, połowa siedemnastego wieku. Pozostawił po sobie niewiele, nie więcej niż sześćdziesiąt obrazów, rozsianych po całym świecie. Jest... rzadki. Zawsze malował to samo.

Poziomki, maliny, szparagi i czasem muszelki. Nudny jak diabli, ale ma grono wielbicieli. Spójrz na proponowaną cenę.

Wartość obrazu oceniano na sto dwadzieścia do stu pięćdziesięciu funtów.

- Dlaczego Coorte? - zapytała Julie.

- Bo jest pewien Holender, browarnik i miliarder, który ma obsesję na punkcie tych obrazów. Od lat próbuje przejąć wszystko, co trafia na rynek. Sam nie przyjdzie na aukcję, ale na pewno kogoś przyśle. Z czekiem in blanco.

Rankiem dwudziestego maja w House of Darcy panował ruch. Peregrine Slade znów osobiście miał prowadzić aukcję. Właśnie poszedł w kierunku sali, kiedy panna Bates otrzymała nową pocztę. Była dziewiąta. Początek aukcji wyznaczono na dziesiątą. Panna Bates przeczytała list w imieniu szefa i - podejrzewając, że to ważna sprawa - wydrukowała go na laserówce. Z kartką w ręku zamknęła drzwi gabinetu i pobiegła w głąb korytarza.

Slade właśnie sprawdzał ustawienie i dźwięk mikrofonu. Mruknął „dziękuję” do sekretarki i przebiegł wzrokiem pismo. List, przysłany przez Charliego Dawsona, rzeczywiście mógł być pomocny.

Drogi Perry, wczoraj przy kolacji przypadkiem usłyszałem, że do naszego miasta zawitał niejaki Martin Getty. Zatrzymał się u przyjaciół, całkiem incognito.

Słyszałeś pewnie, że jest właścicielem jednej z najlepszych stadnin w Kentucky. Ma też zupełnie własną, nigdy nie pokazywaną, kolekcję dzieł sztuki. Podejrzewam, że to właśnie główny powód jego obecnego przyjazdu.

Ukłony, Charlie

Slade schował list do kieszeni i wyszedł do holu. Podeszedł do stolika, przy którym trzy dziewczyny rozdawały klientom paletki do licytacji. Co prawda licytator znał większość klientów, lecz pozostali musieli wypełnić formularz i wziąć ze sobą wspomnianą „paletkę” w postaci niewielkiej plastikowej karty z numerem.

Można ją było podnosić, podbijając stawkę, ale przede wszystkim służyła do identyfikacji zwycięzcy. Trzymał ją w górze, a sekretarz skrzętnie notował numer. Dom aukcyjny znał w ten sposób nazwisko i adres gracza oraz nazwę banku.

Było jeszcze dość wcześnie, dziewiąta piętnaście. Jak dotąd, stosowny formularz złożyło dziesięć osób. Na żadnym z nich nie widniało nazwisko Martina Getty’ego, ale ślinianki Slade’a funkcjonowały jak szalone. Szybko porozmawiał z pięknymi dziewczynami i wrócił na salę.

Za kwadrans dziesiąta jakiś niski mężczyzna o nieco gapiowatym wyglądzie stanął przed stolikiem.

- Chciałby pan wziąć udział w aukcji? - spytała jedna z dziewcząt, podając mu formularz.

- Pewnie, że tak, młoda damo - odparł z rozwlekłym jak melasa akcentem południowca.

- Pana godność?

- Martin Getty.

- Adres?

- Tu, czy w domu?

- Pełny adres zamieszkania, jeśli byłby pan łaskaw.

- Beecham Stud, Louisville, Kentucky.

Po zakończeniu wszystkich formalności Amerykanin wziął paletkę i poszedł na salę. Peregrine Slade zamierzał już wejść na podium. Ledwie jednak postawił nogę na stopniu, ktoś ukradkowo pociągnął go za rękaw. Zerknął w dół. Jej jasne oczy błyszczały podnieceniem.

- Martin Getty. Niski, szpakowaty, z kozią bródką. Pomięty płaszcz, garnitur. - Rozejrzała się. - Trzeci rząd od tyłu, w samym środku, proszę pana.

Slade podziękował jej promiennym uśmiechem i powoli wstąpił na Olimp. Zaczął aukcję. Obiekt 18, czyli Klaes Molenaer, poszedł za przyzwoitą sumę. Sekretarz pilnie notował. Woźni wnosili dzieła sztuki, jedno po drugim, mniejsze i większe, mniej lub bardziej znane, i stawiali je na sztalugach. Jak dotąd Amerykanin nie brał udziału w licytacji. Pod młotek trafiły dwa obrazy Thomasa Heeremansa. Wiele emocji wzbudził Cornelis de Heem, ostatecznie sprzedany za dwukrotnie wyższą cenę, niż się spodziewano. Amerykanin wciąż się ociągał. Slade znał przynajmniej dwie trzecie z osób obecnych na sali, między innymi młodego kupca z Amsterdamu, Jana de Hoofa. Ale po co tu przybył ten amerykański krezus? Rzeczywiście fatalnie ubrany. Chciał oszukać największego asa, wspaniałego Peregrine'a Slade'a? Obiekt 102; Adriaen Coorte. Jedenasta piętnaście.

Na początku było siedmiu chętnych. Pięciu odpadło przy stu tysiącach. Wtedy Holender podniósł rękę. Slade promieniał. Dokładnie wiedział, kto stoi za de Hoofem. Kto lub co - setki milionów zarobionych na jasnym piwie z pianką. Przy stu dwudziestu tysiącach wycofał się następny klient. Ostatni z nich, z Londynu, przez chwilę toczył walkę z niewzruszonym Holendrem. De Hooft go przebił. Miał grubszą książeczkę czekową.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy. Kto da więcej?

Amerykanin uniósł głowę i paletkę. Slade popatrzył na niego. Czyżby Coorte miał trafić do kolekcji w Kentucky...? O, radości! O, nieposkromiona żądzo! Getty kontra van den Bosch. Odwrócił się w stronę Holendra.

- Pana kolej. Mam sto sześćdziesiąt tysięcy funtów.

De Hooft nawet nie mrugnął. Zachowywał się z lekkim znużeniem. Musnął wzrokiem rywala siedzącego z tyłu i skinął głową. Slade nie posiadał się ze szczęścia.

Moja ty holenderska krówko, pomyślał. Nawet nie masz pojęcia, z kim bierzesz się za bary.

- Sto siedemdziesiąt tysięcy. Kto...

Amerykanin mignął paletką i pokiwał głową. Aukcja trwała dalej. De Hooft zaczął zdradzać objawy zdenerwowania. Spiał się i zmarszczył brwi. Usłyszał od pryncypała „Kup to”, ale przecież są jakieś granice. Przy pół miliona wyjął z kieszeni telefon komórkowy, wystukał dwanaście cyfr i coś cicho powiedział po holendersku. Slade czekał cierpliwie. Nie chciał przeszkadzać w trudnych chwilach. De Hooft skinął głową.

Przy ośmiuset tysiącach w sali panowała cisza jak w kościele. Slade podbijał stawkę o dwadzieścia tysięcy. De Hooft, blady, kiedy wchodził na salę, teraz był biały jak kreda.

Czasami mrucał coś do telefonu i licytował dalej. Przy milionie skończyła się szczodrość Amsterdamu. Amerykanin skinął głową. De Hooft pokręcił swoją.

- Sprzedano za milion funtów panu z numerem dwadzieścia osiem - ogłosił Slade.

Rozległo się powszechne westchnienie ulgi. De Hoofft schował telefon, popatrzył wilkiem na Amerykanina i opuścił salę.

- Obiekt sto trzy - beznamyślnie powiedział Slade, choć szumiało mu w głowie. - Anthonie Palamedes. Krajobraz.

Amerykanin, pozornie obojętny na spojrzenia, też wstał i wyszedł. Pospieszyła za nim młoda ładna blondynka.

- W imieniu firmy gratuluję panu udanej licytacji - bąknęła.

- Miałem dziś dobry dzień - odparł człowiek z Kentucky. - Mogłabyś mi powiedzieć, jeśli będziesz tak miła, gdzie tu eee... może być łazienka?

- Ach, toaleta. Proszę bardzo. Prosto, drugie drzwi po prawej.

Patrzyła, jak wchodził, z torbą w rękę. Nie rozstawał się z tą torbą od początku aukcji. Potem wróciła na swoje stanowisko. Czekala, aż wyjdzie, żeby zaprowadzić go do księgowości i pomóc w wypełnieniu nudnych dokumentów.

W toalecie Trumpington Gore wyjął z torby elegancki skórzany neseser i czarne błyszczące buty na obcasie. W pięć minut pozbył się brody i siwej peruki. Zniknęły brązowe spodnie i stary płaszcz. Wszystko razem, zamknięte w torbie, poszło za okno, na dziedziniec, wprost w ręce Benny'ego. A Benny po prostu odszedł.

Dwie minuty później w korytarzu pojawił się elegancki angielski biznesmen. Miał gładko zaczesane czarne włosy i okulary w złotej oprawce. Był w dobrze skrojonym, chociaż wypożyczonym, garniturze w prążki, koszuli thomas pink i pod krawatem. Odwrócił się i podszedł prosto do dziewczyny.

- Cholernie dobra aukcja, prawda? - Nie mógł się powstrzymać. - Widzę, że Amerykanin zgarnął ten malunek. - Ruchem głowy wskazał na drzwi toalety i poszedł dalej.

Dziewczyna nawet się nie obejrzała.

Minał tydzień, zanim buchnęło smrodem, ale jak już buchnęło, to we wszystkie kąty. Wielokrotnie sprawdzono, że w dynastii Gettych, licznej jak cholera, nie było żadnego Martina i nikt z nich nie miał stadniny w Kentucky. Na wieść o tym cały House of Darcy, ze szczególnym uwzględnieniem Slade'a, stał się publicznym pośmiewiskiem.

Nieszczęsny wiceprezes usiłował przekonać drugiego z klientów, Jana de Hooffta, plenipotenta Starego van den Boscha, do wypłaty miliona. Bezskutecznie.

- Miałbym ten obraz za sto pięćdziesiąt, gdyby nie pański oszust - powiedział mu Holender przez telefon. - Na tyle się mogę zgodzić.

- Skontaktuję się z właścicielem - obiecał Slade.

Obraz był w rękach spadkobierców niedawno zmarłego niemieckiego arystokraty, który w czasie wojny pełnił służbę w Holandii jako oficer SS przydzielony do brygady czołgów.

Ów nieszczęśliwy zbieg okoliczności rzucał cień na pochodzenie jego cennej kolekcji dzieł holenderskich mistrzów. Stary graf upierał się jednak, że wszystkie malowidła kupił jeszcze przed wojną, i na poparcie swoich słów mógł przedstawić pięknie sfalszowane rachunki i faktury. W świecie sztuki niezbędna jest pewna elastyczność.

Niestety interesy spadkobierców grafa reprezentowali prawnicy ze Stuttgartu i to właśnie z nimi musiał się układać całkiem już zgnębiony Peregrine Slade. Wściekły niemiecki prawnik stanowi nie najmiły widok. Bernd Schliemann, ponad sześć stóp i pięć cali wzrostu, bywał najładniejszy, kiedy był szczęśliwy. Tego ranka dowiedział się ze

szczegółami, co wydarzyło się w Londynie, i oferta sprzedaży obrazu za marne sto pięćdziesiąt tysięcy funtów wprawiła go w zły humor.

- Nein! - ryknął w słuchawkę do kolegi przybyłego na negocjacje. - Nein. Vollig ausgeschlossen. Wycofać.

Peregrine Slade był ciemny jak tabaka w rogu. Pusta toaleta, przeszukana przez pracownika firmy dopiero po półgodzinie, wzbudziła pierwsze podejrzenia. Dziewczyna dobrze opisała jedynego człowieka, który stamtąd wyszedł. Ale to dawało już dwa rysopisy, do tego całkowicie różne.

Charlie Dawson oniemiał, kiedy się dowiedział o swoim udziale. Nie wysłał żadnego listu i nie słyszał o żadnym Martinie Gettym. Pokazano mu tamtą wiadomość. Na pozór rzeczywiście wyszła z jego komputera, ale programista stwierdził, że hakerzy robią nie takie rzeczy. W tym momencie Slade zrozumiał, że został wykiwany. Ale przez kogo i dlaczego?

Właśnie wydał decyzję, żeby całą sieć Darcy przekształcić w swoistą miniaturę Fort Knox, kiedy wezwano go do prywatnego gabinetu księcia Gateshead.

Jego Książęca Wysokość nie był tak hałaśliwy jak herr Schliemann, ale też się wyraźnie wściekał. Stojąc tyłem do drzwi, warknął „wejść” na pukanie Slade’a. Nawet się nie odwrócił. Patrzył przez okno na odległy o pięćset jardów dach Harrodsa.

- Ktoś tu jest niezadowolony, mój drogi Perry - powiedział. - Bardzo niezadowolony. W życiu bywają takie rzeczy, których po prostu się nie lubi. A jedną z nich jest śmieszność. - Oderwał się od okna i podszedł do biurka. Wsparł koniuszki palców na mahoniowym blacie, pochylił się lekko i wbił w swego zastępcę złowrogie spojrzenie niebieskich oczu. - Prostak wdarł się do klubu i prostak się z nas śmieje. Otwarcie, nie rozumiesz, mój stary przyjacielu?

Czułe słówka cięły jak ostrza sztyletów.

- A na mnie spada zarzut niekompetencji? - zapytał Slade.

- A cóż innego?

- To był sabotaż - oświadczył Slade i przedstawił pięć dokumentów. Książę zdumiał się lekko, lecz wyjął okulary z górnej kieszeni marynarki i zaczął czytać.

Pierwszym był sfalszowany list od Charliego Dawsona. Drugim zaprzysiężone oświadczenie, że wyżej wymieniony Dawson nigdy nie wysłał wspomnianej wiadomości. Trzecim - opinia znanego specjalisty od sieci komputerowych, głosząca, że każdy człowiek o genialnych zdolnościach krążenia w cyberprzestrzeni mógł sprokurować takie pismo i wysłać je do prywatnej skrzynki odbiorczej Slade’a. W czwartym i piątym dokumencie zawarte były zeznania dziewcząt z obsługi aukcji. Pierwsza ze szczegółami opisała przebieg spotkania z domniemanym bogaczem z Kentucky, a druga - chwilę, gdy zniknął.

- Domyślasz się, kim był ten łajdak? - zapytał książę.

- Jeszcze nie, ale mam zamiar wkrótce to ustalić.

- O, tak. Zrób to, Perry. Zrób to jak najszybciej. A kiedy już go złapiesz, postaraj się, żeby długo posiedział za kratkami. I niech się trzyma od nas z dala co najmniej na pół mili.

Spróbuję uspokoić zarząd. Znowu.

Slade już zamierzał wyjść, ale Jego Książęca Wysokość dodał po namyśle:

- Po sprawie Sassetty i tej drugiej wpadce potrzebny nam spektakularny sukces, żeby podreperować wizerunek. Miej oczy i uszy otwarte na każdą ewentualność. Jeśli zawiedziesz i nie znajdziesz dobrego rozwiązania, skład zarządu może zostać... poddany rewizji. To wszystko, mój drogi Perry.

Slade opuścił pokój, a nerwowy tik lewego oka, który dawał o sobie znać w momentach największego stresu lub bardzo silnych emocji, migotał teraz jak zwariowana lampa Aldissa.

Czerwiec

Peregrine Slade wcale nie gubił się w domysłach tak mocno, jak udawał. Ktoś działał na szkodę House of Darcy. Gdzie motyw? Zarobek? Jak dotąd żaden, poza tym że Coorte trafił do innego domu aukcyjnego. Konkurencja tak nie postępowała.

Jeśli nie zysk, to zemsta. Kto miałby do niego żal i do tego wystarczającą wiedzę, żeby przewidzieć obecność na aukcji agenta van den Boscha, z grubą książeczką czekową podpisaną przez szefa?

Slade od razu pomyślał o młodym Evansie. Pasowało jedno i drugie. Ale „Martin Getty”, na którego patrzył, w niczym nie był podobny do Benny’ego Evansa. Mimo to coś wiedział. Siedział cichutko, zanim właściwy obraz nie poszedł pod młotek... A zatem - wspólnik. Zwykły najemnik, czy bratnia pokrzywdzona dusza?

Drugiego czerwca Slade zjawiał się w foyer Lincoln’s Inn na spotkanie z jednym z najwybitniejszych prawników w całej Anglii. Sir Sidney A very odłożył teczkę z papierami i potarł koniuszek nosa.

- Pytanie brzmi: Czy ten człowiek popełnił przestępstwo w obliczu prawa?

- Właśnie.

- Przebrał się za kogoś, kto wcale nie istnieje?

- Tak.

- W takim razie, nie popełnił żadnego wykroczenia, chyba że swoim dalszym postępowaniem w nieuczciwy sposób osiągnął korzyść majątkową.

- Cała ta maskarada została poprzedzona wyraźnie sfałszowanym listem polecającym.

- To nie był list, ale informacja, lecz zgadzam się, że sfałszowana.

W głębi ducha sir Sidney uważał całą sprawę po prostu za śmieszna. Takie anegdoty krążyły latami podczas przyjęć w palestrze. Teraz miał jednak minę, jakby rozważał kwestię ludobójstwa.

- Czy ten człowiek choć raz wyraźnie powiedział, że należy do znanej i bogatej rodziny Gettych?

- Niezupełnie.

- Wniosek opierał się na przypuszczeniach?

- Raczej tak.

- Czy próbował zabrać holenderski obraz lub jakiegokolwiek inne dzieło sztuki?

- Nie.

- Czy są jakieś podejrzenia co do jego tożsamości?

- Nie.

- Czy przychodzi panu na myśl ktoś z byłych pracowników, kto mógłby się dopuścić rzeczonoego czynu?

- Tylko jeden, ale nie było go wtedy na aukcji.

- Zwolnił pan pracownika?

- Tak.

- Na jakiej podstawie?

Slade za nic w świecie nie chciał nawet wspominać o szwindlu z Sassetą.

- Niekompetencji.

- Czy był to tak zwany „geniusz komputerowy”?

- Nie. Ledwo sobie radził z klawiaturą. Ale wiedział wszystko o dawnym malarstwie.

Chodząca encyklopedia.

Sir Sidney westchnął.

- Pan wybaczy, lecz nie sądzę, aby chłopcy w mundurach chcieli się zająć tą sprawą. Podobnie Prokuratura Jej Królewskiej Mości. Brak dowodów. Pański aktor mógł w jednej chwili być siwym brodaczem z Kentucky, mówić z amerykańskim akcentem i chodzić w starym płaszczu, a po minucie - żwawym eks-oficerem gwardii w prążkowanym garniturze. Kogo więc mamy łapać? Ma pan jakieś dowody? Zostawił odciski palców? Wyraźny podpis?

- Nieczytelny bazgroł.

- No, proszę. Zaprzeczy wszystkiemu, a policja będzie bezradna. Pańska encyklopedia powie, że o niczym nie wie i... to samo. Ani cienia dowodów. Gdzieś tam z tyłu mający jakiś magik od komputerów. Przykro mi.

Wstał i wyciągnął rękę.

- Na pańskim miejscu raczej bym zrezygnował.

Ale Peregrine Slade wcale nie miał zamiaru z niczego zrezygnować. Wyszedł na kamienny dziedziniec jednej z czterech londyńskich Izb Sądowych i wciąż słyszał w uszach słowo, którego użył sir Sidney Avery. Kto już wcześniej mówił o „aktorze”?

Po powrocie do biura zażądał danych o dawnym właścicielu Sassetty. Stało jak byk - zawód: aktor. Zatrudnił zespół detektywów z najdyskretniejszej w Londynie prywatnej agencji śledczej. W skład ekipy wchodziło dwóch byłych inspektorów policji metropolitalnej. Pracowali za podwójną gażę, w trybie ekspresowym. Wrócili po tygodniu, z prawie pustymi rękami.

- Przez pięć dni śledziliśmy podejrzanego Evansa. Wiedzie ciche, ustatkowane życie. Szuka pracy w charakterze służącego. Jeden z naszych młodszych kolegów wyciągnął go na zwierzenia w pubie. Evans najwyraźniej nic nie wie o aferze z holenderskim obrazem. Mieszka pod starym adresem ze swoją dziewczyną, punkową, z włosami na sztorc i szpikowaną metalem po uszy. Nie wygląda na taką, co zna się na komputerach. Aktor po prostu wyparował.

- Mamy rok dwutysięczny - zaprotestował Slade. - Ludzie już nie znikają.

- Też tak myślałem - odparł detektyw. - Możemy sprawdzić konto w banku, kartę kredytową, prawo jazdy, dowód rejestracyjny, polisę ubezpieczeniową, rentę - cokolwiek, i tym tropem trafić do właściciela. Ale nie do tego. Był tak biedny, że nie miał żadnej z tych rzeczy.



- Żadnej?

- Brał zasiłek z funduszu dla bezrobotnych, ale przestał. Adres, który dostaliśmy z zakładu ubezpieczeniowego, był taki sam jak ten od pana. Miał swoją fiszkę w Związku Aktorów - z identycznym adresem. Wszyscy dzisiaj tkwią w jakimś komputerze. Wszyscy, z wyjątkiem Trumpingtona Gore'a. Prześliznął się przez szparę w systemie i zniknął.

- A sprawdziliście pod adresem, który wam podałem?

- Oczywiście, proszę pana. Już na samym wstępie. Podaliśmy się za członków komisji sąsiedzkiej, dopytujących się o uchybienia w prawie podatkowym. Gore wyprowadził się z mieszkania. Jego lokum wynajmuje teraz Pakistańczyk, szofer.

Dla Slade'a był to koniec kosztownych poszukiwań. Doszedł do wniosku, że aktor zgarnął do kieszeni pięć tysięcy i wybył za granicę. To nawet pasowało do wszystkich informacji - a raczej ich braku - dostarczonych mu przez detektywów.

W rzeczywistości Trumpington Gore siedział teraz o milę dalej, w małej kafejce przy Portobello Road, w towarzystwie Julie i Benny'ego. Cała trójka była podenerwowana. Po raz pierwszy zdali sobie sprawę, jaką siłą może dysponować gniewny i bogaty Świat Wielkich Interesów.

- Slade nas szuka - powiedział Benny przy kieliszku taniego stołowego wina. - Kilka dni temu pewien facet wdał się ze mną w rozmowę w pubie. Był w moim wieku, ale na tysiąc jardów poczułem w nim tajniaka. Zagadywał o wielką aferę u Darcy'ego. Udałem głupka. Raczej podziałało.

- Aż dwóch za mną łąziło - dodała Julie. - Na zmianę. Przez dwa dni nie byłam w pracy. Ale chyba już odpuścili.

- Skąd wiesz? - zapytał Trumpy.

- Przydybałam tego młodszego i powiedziałam, że mu zrobię laskę za dwadzieścia funciaków. Zwiął za róg jak łasica na łyżwach. To na pewno ich przekonało, że nie znam się na komputerach. Komputerowcy są mało kontaktowi.

- Boję się, że mnie też śledzono - mruknął Trumpington Gore. - Dwóch szpicli (dziwnie to zabrzmiało, wypowiedziane głosem sir Johna Gielguda) zjawilo się z nienacka w moim nędznym schronieniu. Mówili, że są z komisji. Na szczęście grałem wówczas rolę Pakistańczyka. Chyba jednak muszę się przeprowadzić.

- Mniejsza z tym, kończy nam się forsa, Trumpy. Moje oszczędności już poszły, zalegam z komornym, a od ciebie więcej nie będę pożyczał.

- Drogi chłopcze, zabawiliśmy się i poczuliśmy słodki smak zemsty, więc pora zwijać żagle.

- Tak? - westchnął Benny. - A ta świnią Slade ciągle blokuje mi karierę i siedzi na twoim milionie. Posłuchaj, wiem, że o dużo proszę, ale mam pewien pomysł...

Lipiec

Pierwszego lipca dyrektor działu brytyjskiej sztuki współczesnej i wiktoriańskiej w House of Darcy otrzymał miły list, prawdopodobnie od jakiegoś ucznia, mniej więcej czternastoletniego. Uczeń wyjaśniał, że pisze pracę semestralną na temat historii sztuki i że najbardziej go interesują dzieła prerafaelitów. Chciałby wiedzieć, gdzie mógłby obejrzeć najlepsze obrazy Rossettiego, Millaisa i Holmana Hunta.

Pan Alan Leigh-Travers był uprzejmym człowiekiem i podyktował poważną odpowiedź, w której udzielił wszelkich wyjaśnień młodemu miłośnikowi sztuki. Kiedy list wyszedł z drukarki, podpisał go własnoręcznie: Z poważaniem, Alan Leigh-Travers.

Najbardziej prestiżową instytucją w Londynie, zajmującą się oględzinami, identyfikacją i autoryzacją dzieł sztuki, był bez wątpienia Instytut Colberta. W swoich głębokich lochach mieścił laboratorium z najnowocześniejszą aparaturą badawczą. Funkcję szefa zespołu naukowców pełnił tutaj profesor Stephen Carpenter. On także otrzymał list. Od studentki przygotowującej pracę magisterską.

Autorka listu wspominała, że za temat pracy wybrała największe fałszerstwa popełnione w dwudziestym stuleciu i znaczącą rolę nauki w ujawnieniu tych oszustw.

Pan Carpenter był szczęśliwy, że może jej w czymś pomóc, i zaproponował, żeby na początek przeczytała jego własną książkę o fałszerzach, dostępną w księgarni, w holu Instytutu. Też podpisał się osobiście.

Siódmego lipca Benny Evans miał dwa autentyczne podpisy, wraz z próbkami pisma.

Julie Day dobrze wiedziała, że jej szef był przed laty jednym z najzręczniejszych hakerów w tym kraju, zanim spędził lata w więzieniu, zanim wrócił na dobrą drogę i zanim zaczął pisać programy chroniące sieć komputerową przed włamaniami.

Pewnego dnia, podczas lunchu, spytała go niewinnym tonem, czy w czasie gdy chwilowo pozostawał na utrzymaniu rządu Jej Królewskiej Mości, nie poznał przypadkowo jakiegoś fałszerza. Wzruszył ramionami i udał, że nie pamięta. Miał jednak specyficzne poczucie humoru i całkiem dobrą pamięć.

Trzy dni później Julie znalazła kartkę wetkniętą w klawiaturę jej firmowego komputera.

Widniały na niej dwa słowa: Peter Długopis - i numer telefonu. To wszystko.

Dziesiątego lipca Trumpington Gore wszedł tylną bramą na teren House of Darcy, a dokładniej, na tylny dziedziniec z rampą. Brama była zatrzaskowa, z zamkiem szyfrowym, ale Benny na szczęście wciąż pamiętał numer kodu. Często tędy wychodził na lunch do taniej kafejki.

Aktor miał na sobie zakurzony fartuch z rękawami i z herbem Darcy na piersi, taki sam jak reszta tragarzy, i niósł obraz. Zjawił się w porze lunchu.

W domu aukcyjnym zakurzony tragarz z obrazem jest tak widoczny jak kropla deszczu w czasie szalejącej burzy.

Po dziesięciu minutach i kilku przeprosinach znalazł wreszcie zupełnie pusty pokój, wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i przetrząsnął szuflady biurka. Kiedy wychodził, w ten sam sposób co przyszedł, miał ze sobą dwa czyste arkusze papieru listowego i dwie koperty z emblematem firmy.

Potem na krótko, jako turysta, pojawił się u Colberta, żeby sobie obejrzyć tamtejszych tragarzy. Cztery dni później przyszedł w odpowiednim stroju i powtórzył wyczyn z Darcy. Nikt nawet nie spojrzał w jego stronę.

Pod koniec lipca Peter Długopis za marne sto funtów sprokurował dwa piękne listy i opinię wystawioną przez laboratorium.

Benny prawie przez cały miesiąc poszukiwał człowieka, o którym słyszał już przed laty i którego nazwisko wymawiano szeptem i z największą zgrozą w całym artystycznym

świecie. Na szczęście żył jeszcze i mieszkał w skrajnej nędzy w Golders Green. W annałach fałszerstw dzieł sztuki Colley Burnside był swoistą legendą.

Dużo wcześniej znano go jako młodego, dobrego malarza. Obracał się w kręgach powojennej cyganerii, w Muriel Belcher's Colony Club, wokół Queensway i w pracowniach Bayswater. Znał wszystkich w ich szczytujących latach: Freuda, Bacona, Spencera, nawet małego Hockneya. Oni zdobyli sławę, on nie. Potem odkrył w sobie zakazany talent. Skoro nikt nie chciał kupować jego własnych obrazów, sprzedawał malowane pozornie przez innych.

Uczył się dawnych technik, składu farb i pigmentów, wiedział, ile jest żółtek w temperze oraz to, że efekt starzenia można uzyskać z pomocą herbaty i wina. Niestety, choć herbatę zostawił w spokoju, miał silne ciągoty do wina.

W swoim czasie sprzedawał zachłannym i chciwym ponad sto malowideł, na drewnie i płótnie, od Veronesego do van Dycka. Zanim go złapano, krążyło powiedzenie, że do południa potrafi stworzyć całkiem znośnego Matisse'a.

Po południu pojawiał się pewien drobny problem w postaci „małej przyjaciółki”. Bel amour Colleya miała rubinową barwę, była płynna i zwykle dojrzewała na wzgórzach Bordeaux. Złapano go, bo chciał sprzedać obraz namalowany właśnie po południu.

Zhańbiony i poniżony świat sztuki domagał się surowej kary i Colley powędrował do wielkiego gmachu z kratami w oknach, w którym „świrusy” i „twardziele” traktowali go jak ukochanego wujka.

Latami trwało, zanim ustalono, ile Burnside'ów zawisło na ścianach wielkich galerii. On sam wydatnie skrócił swój wyrok, zwracając się ze wszystkiego. Kiedy opuścił celę, popadł w zapomnienie i ledwo wiązał koniec z końcem, robiąc rysunki dla turystów. Na spotkanie ze starcem Benny zabrał Trumpy'ego, bo przypuszczał, że ci dwaj łatwiej się dogadają. Miał rację. Dwa zniszczone talenty. Colley Burnside słuchał i z wdzięcznością popijał wino marki Haut Medoc, prezent od Benny'ego. Przyjemna odmiana po chilijskim merlocie, kupowanym w Tesco.

- Potworne, drogi chłopcze. Po prostu potworne - zachrypiał, kiedy Benny skończył, a Trumpy potwierdził uwagę o dwóch straconych milionach. - I pomyśleć, że to mnie nazywano zbrodniarzem. Nie dorosłem do pięć panom biznesmenom. Ale to stare dzieje. Wypadłem z tego fachu. Zbyt długo na poboczu, zbyt długo bez praktyki.

- Dostanie pan honorarium - odezwał się Trumpy.

- Honorarium?

- Pięć procent - powiedział Benny.

- Pięć procent czego?

Benny pochylił się i szepnął mu coś do ucha. W zaropiałych oczach Colleya Burnside'a błysnęły dwie iskielki. Widział chateau lafitte płonące niczym granat w jasnym blasku ognia.

- Za taką sumę, chłopcze, dam ci arcydzieło. Nie, dwa. Ostatni cios Colleya. Panowie, do diabła z nimi!

Jest trochę malowideł, które - chociaż stare i malowane na wiekowej desce - są tak zniszczone, że zostały z nich tylko fragmenty, nie mające już żadnej rynkowej wartości.

Jedynie deska ma jakąś cenę i taką właśnie deskę kupił Benny po przekopaniu około stu sklepów mieniących się antykwariatami, w istocie zaś handlujących zwyczajną starzyzną. W podobnym przybytku nabył za całe dziesięć funtów wiktoriański olej wyjątkowej brzydoty. Dwie martwe przepiórki zwiślały na haku, a obok stała oparta o ścianę dwururka. Tytuł brzmiał: „Dobre łowy”. Colley Burnside skopiowałby to bez trudu. Najwięcej wysiłku musiałyby włożyć w to, żeby jego obraz zdradzał ten sam brak talentu, co kiepski oryginał.

Ostatniego dnia lipca rudy Szkot, z sutymi bokobrodami i nieprzystępnym akcentem, wszedł do biura oddziału House of Darcy w Bury St. Edmunds, w hrabstwie Suffolk. Nie było to duże biuro, ale obsługiwało aż trzy hrabstwa we wschodniej Anglii.

- Mam tutaj, moja panno - powiedział do dziewczyny siedzącej za kontuarem - dzieło wielkiej wartości. Namalowane sto lat temu przez mojego pradziadka.

Tryumfalnie zaprezentował jej „Dobre łowy”. Nie znała się na sztuce, ale nawet dla niej oba ptaki wyglądały jak przejechane przez samochód.

- Chce pan to oddać do wyceny?

- Otóż to. O, właśnie.

Biuro w Bury nie miało własnych ekspertów, więc wysyłało wszystko do Londynu.

Dziewczyna wzięła obraz i spisała dane właściciela. Pan Hamish McFee oznajmił, że mieszka w Sudbury. Nie miała powodów, żeby mu nie wierzyć. W rzeczywistości był to adres kiosku, którego najemca zgodził się przyjmować listy do pana McFee za skromną miesięczną opłatą dziesięciu funtów wolnych od podatku. Następnym transportem wiktoriański obraz pomknął do Londynu.

Pan McFee przed wyjściem z biura rzucił okiem na papiery i zobaczył, że dzieło stworzone przez pradziadka otrzymało numer F 608.

Sierpień

Sierpień zmył londyński West End jak struga chloroformu. Turyści przejęli władzę i kto żyw, kto pracował w mieście, starał się z niego uciec. Dyrektorzy House of Darcy mieli w czym wybierać: wille w Toskanii, posiadłości nad Dordogne, szalasy w Szwajcarii, jachty na Karaibach.

Pan Alan Leigh-Travers był zapalonym żeglarzem-amatorem, a jego kecz poza sezonem dokował na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych, na przystani na Trellis Island. Pan Alan planował teraz długi, trzytygodniowy rejs na południe, aż na Grenadyny.

Peregrine Slade uważał pewnie, że komputery w Darcy chronione są niczym Fort Knox, ale się mylił. Ekspert, który je zabezpieczał, skorzystał z systemu wymyślonego i opracowanego przez szefa Julie Day. Ona sama pomagała w pracy nad szczegółami.

Twórca zapory bez trudu potrafi ją ominąć. Tak też zrobiła Julie. Benny potrzebował pełnego kalendarza urlopów na sierpień, łącznie z adresami i numerami telefonów kontaktowych. Wszystko dostał do ręki.

Dowiedział się, że Leigh-Travers płynie na Karaiby i że zostawił dwa namiary: numer telefonu komórkowego i frekwencję, na której pracowała radiostacja jachtu. Julie zmieniła jedną cyfrę w obu liczbach. Pan Leigh-Travers nawet się nie spodziewał, że ma przed sobą naprawdę spokojne wakacje. Szóstego sierpnia rudy Szkot wpadł do biura w

Londynie i zażądał zwrotu olejnego obrazu. Nikt mu się nie sprzeciwił. Był na tyle pomocny, że podał numer inwentarzowy. Po dziesięciu minutach woźny dostarczył dzieło z magazynu. Oddano je właścicielowi.

Wieczorem Julie zauważyła wzmiankę w banku danych, że obraz dostarczony trzydziestego pierwszego lipca do oddziału w Bury St. Edmunds szóstego sierpnia wrócił do właściciela.

Zmieniła ostatnią część. Nowy zapis głosił, że za porozumieniem dzieło przekazano do Instytutu Colberta. Dziesiątego sierpnia pan Leigh-Travers, który nigdy nie słyszał o „Dobrych łowach”, nie mówiąc o tym, by je widział, poleciał z Heathrow do Miami i tam przesiadł się na samolot lecący na St. Thomas and Beef Island, gdzie czekał już kecz z załogą.

Jaśnie Wielmożny Peregrine Slade nie lubił podróżować w sierpniu. Nie cierpiał koszmarnego tłoku na autostradach, na lotniskach i w kurortach. Nie znaczy to, że przez całe lato przesiadywał w Londynie. Wyjeżdżał do swojej posiadłości na wieś, do Hampshire. Lady Eleanor bawiła u przyjaciół w Porto Ercole, więc mógł być sam, z podgrzewanym basenem, hektarami wolnej przestrzeni i nieliczną, lecz sprawną służbą. A że zostawił wszystkie numery telefonów, Benny mógł go też śledzić.

Slade wyjechał do Hampshire ósmego sierpnia. Jedenastego dostał list, pisany ręcznie i nadany z Heathrow. Od razu rozpoznał charakter pisma. To od Alana Leigh-Traversa. Mój drogi Perry, pisze w pośpiechu, w hali odlotów. W całym tym urlopowym zamęcie i przygotowaniach, żeby na wrześniowej aukcji wszystko poszło jak z płatka, zapomniałem Ci powiedzieć o jednej bardzo ważnej rzeczy.

Dziesięć dni temu jakiś nieznany człowiek przyniósł do biura w Bury obraz z prośbą o wycenę. Rzuciłem okiem na to dzieło, kiedy przybyło do Londynu. Okropna szmira. Wiktoriański olej z dwoma przepiórkami i strzelbą. Twór beztalencia. Normalnie zaraz wróciłby do właściciela, ale coś mnie w nim zaintrygowało.

Wiesz przecież, że poddani królowej Wiktorii nie malowali na deskach. Zawsze na płótnie. Ten zaś był na desce, w dodatku bardzo starej, dużo starszej niż wiktoriańska. Widywałem już takie deski, zazwyczaj u Seba. Co ciekawsze, to wcale nie dąb. Chyba raczej topola. Przyszło mi do głowy, że może jakiś wandal po prostu zamalował o wiele wcześniejszy obraz.

Zdaję sobie sprawę ze związanych z tym kosztów i z tego, że będę musiał przeproszać, jeśli się wdałem w pogoń za jakąś zwykłą mrzonką, lecz wysłałem obraz do Colberta i poprosiłem Steve'a Carpentera, by go obejrzał i zbadał promieniami Roentgena. Prześle Ci pełne sprawozdanie prosto do Hampshire.

Do zobaczenia pod koniec miesiąca, Alan

Peregrine Slade przeczytał list dwukrotnie, leniwie wyciągnięty na leżaku przy basenie, z pierwszą szklaneczką różowego dżinu w ręku. Zaciekawiała go ta sprawa. Żaden angielski artysta nie malował na topoli. Dąb królował w północnej Europie. Topolę lubiono we Włoszech. Ogólnie rzecz biorąc, im grubsza deska, tym starszy obraz, bo ówczesne narzędzia nie pozwalały na odcięcie cienkiej warstwy drewna.

W historii sztuki często się zdarzało, że jakiś idiota, w dodatku bez talentu, tworzył własne „dzieło” na starszym obrazie i w ten sposób niweczył pracę dawnego mistrza.

Na szczęście, przy zdobyczach współczesnej techniki, można było dokładnie ustalić wiek i datowanie maleńkich fragmentów drewna, płótna i farby, a to dawało pojęcie nie tylko o kraju, z którego obraz pochodził, lecz czasami nawet o pracowni. Prześwietlenie pokazywało, co kryje się pod spodem.

Leigh-Travers postąpił słusznie. Slade zamierzał nazajutrz wybrać się do Londynu, na wyjątkowo bolesne spotkanie z Mariną. Pomyślał sobie, że przy okazji wstąpi do biura i przejrzy dokumenty.

Potwierdziło się wszystko, o czym pisał Alan. Niejaki Hamish McFee zjawił się w biurze w Bury i zdeponował wiktoriański obraz pod tytułem „Dobre łowy”. W rejestrze figurował jako F 608. Z dalszych zapisów wynikało, że pierwszego sierpnia obraz przyjechał do Londynu, a szóstego został odebrany przez pracowników Colberta. Slade wyłączył komputer. Wiedział już, że z niecierpliwością będzie czekał na opinię legendarnego Stephena Carpentera. Do tej pory się nie poznali.

Spojrzał na zegarek. Szósta po południu w Londynie, to pierwsza na Karaibach. Przez godzinę próbował połączyć się z Leigh-Traverssem przez telefon albo przez radio. Cały czas trafiał na kogoś innego. Wreszcie zrezygnował i poszedł do Mariny.

Osiemnastego sierpnia niski tragarz w fartuchu z emblematem Instytutu Colberta wkroczył głównym wejściem House of Darcy i stanął przed recepcją. Przyniósł niewielki obraz pieczołowicie owinięty w grubą folię z bąbelkami.

- Dobry, maleńka. Dostawa od Colberta. Wedle umowy.

Młoda kobieta za biurkiem spojrzała na niego ze zdumieniem.

Tragarz wyciągnął z kieszeni kwit przewozowy i przeczytał:

- Magazyn Darcy numer F 608.

Uśmiechnęła się z ulgą. Wpisała numer do stojącego za nią komputera.

- Chwileczkę - powiedziała, czekając na odpowiedź ze skarbnicy wszelkiej mądrości.

Wreszcie wyrocznia przemówiła. Obraz został wysłany do ekspertyzy przez przebywającego obecnie na urlopie dyrektora działu brytyjskiej sztuki współczesnej i wiktoriańskiej. Teraz wracał do magazynu. Zadzwoiła po woźnego.

Chwilę później podpisała protokół odbioru i zapakowany obraz powędrował do podziemi.

Jak jeszcze trochę pobędę w tym budynku, pomyślał Trumpington Gore po wyjściu na rozgrzaną słońcem ulicę, to będę im musiał płacić za wynajem.

Dwudziestego sierpnia sprawozdanie profesora Stephena Carpentera dotarło pocztą poleconą do wiejskiej posiadłości Slade'a w Hampshire. Odebrał je przy mocno spóźnionym śniadaniu, po poranku spędzonym przyjemnie na basenie. Gdy zaczął czytać, zapomniał o stygnącej jajecznicy i mętniejącej kawie. List głosił:

Szanowny Panie Slade,

Jak Panu zapewne wiadomo, Alan Leigh-Travers poprosił mnie przed swoim wyjazdem na urlop, żebym obejrzał mały obraz olejny namalowany w Anglii pod koniec epoki wiktoriańskiej.

Musze przyznać, że było to dla mnie niezwykle doświadczenie, ukoronowane jeszcze bardziej niezwykłym wynikiem.

Wspomniany obraz, noszący tytuł „Dobre łowy”, to dzieło wyjątkowej brzydoty i świadectwo złego gustu. Bohomaz namalowany sto lat temu przez jakiegoś pacy karzą.

Namalowany jednak został na desce, która zwróciła uwagę Alana i od której zacząłem swoje badania.

Wyjąłem deskę z wiktoriańskiej ramy i przyjrzałem jej się uważnie. Jest to bez wątpienia topola, do tego bardzo stara. Na jej krawędziach odkryłem ślady starego mastyksu lub kleju, świadczące, że jest to odłamany panel z dużo większego dzieła, na przykład z ołtarza.

Odciałem maleńki fragment drewna z tyłu obrazu i poddałem go testom w celu określenia dokładnej daty i miejsca pochodzenia. Wie Pan zapewne, że dendrochronologia nie znajduje zastosowania w przypadku topoli, gdyż to drzewo, w odróżnieniu od dębu, nie ma wykształconych słoików umożliwiających datowanie. Ale współczesna technika tak łatwo się nie poddaje.

Udało mi się ustalić, że ten kawałek drewna prawie z pewnością pochodzi z terenów między Sieną i Florencją i że drzewo zostało zрубane i pocięte około 1425 roku. Dalsze badania, z użyciem spektromikroskopu, ujawniły obecność niewielkich rys i zadrapań, pochodzących od piły. Pewna minimalna nierówność ostrza pozostawiła identyczne znaki jak na innych deskach ze wspomnianego wyżej obszaru, co stanowi dowód, że badana deska pochodzi z tego samego tartaku w starej Toskanii, z którego korzystali mistrzowie dawnego malarstwa.

Wiktoriański wizerunek dwóch martwych przepiórek i strzelby ponad wszelką wątpliwość został namalowany na dużo starszej pracy. Usunąłem maleńki fragment farby, zbyt mały, aby skaza była dostrzegalna gołym okiem, i ustaliłem, że druga warstwa obrazu nie jest namalowana farbami olejnymi, ale temperą.

Wyciąłem jeszcze mniejszy fragment tempery i poddałem go analizie widmowej. Zawierał tę samą kombinację składników, jakiej używali najwięksi mistrzowie epoki. Na koniec prześwietliłem obraz promieniami Roentgena, żeby zobaczyć, co jest pod spodem.

Drugi obraz, malowany temperą, jest słabo widoczny ze względu na grubą warstwę farby olejnej, nałożonej przez wiktoriańskiego wandalę.

W tle widać wiejski krajobraz ze wspomnianego okresu, kilka wzgórz i dzwonnice. Przez środek wije się droga wychodząca z cienistej doliny.

Na pierwszym planie stoi pojedyncza postać, wyraźnie zaczerpnięta z Biblii, patrząca wprost na widza.

Nie jestem w stanie dokładnie podać nazwiska artysty, ale wydaje mi się, że może to być ukryte arcydzieło, pochodzące z miejsca i czasu, w którym działali Cimabue, Duccio i Giotto.

Z wyrazami szacunku, Stephen Carpenter

Peregrine Slade siedział jak skamieniały, ze wzrokiem utkwionym w list leżący przed nim na stole. Cimabue... O Boże. Duccio... Jezu słodki. Giotto... Szlag by trafił. Znów dał o sobie znać nerwowy tik w lewym oku. Slade przytknął palec do policzka, żeby powstrzymać mruganie. Zastanawiał się, co ma zrobić.

Pomyślał o dwóch najnowszych odkryciach, dokonanych (ku jego najwyższej frustracji) w Sotheby's. Ktoś od nich, w starej zbrojowni, w posiadłości w Suffolk, wyszperał właśnie

taką starą deskę i poznał dłoń mistrza. Cimabue, najrzadszy z nich wszystkich, sprzedany potem za miliony.

Całkiem niedawno inny ich człowiek wycenił zbiory zamku Howard. W teczce pełnej zapomnianych i pozornie bezwartościowych szkiców znalazł portret płaczącej kobiety, łapiącej się za głowę. Przekazał go do ekspertyzy. Rysunek, omijany przez ponad trzysta lat, był dziełem Michała Anioła. Cena? Osiem milionów funtów. A teraz wszystko wskazywało na to, że on, Slade, miał w zasięgu ręki kolejne arcydzieło, schowane za plecami dwóch martwych przepiórek.

Kolejny szwindel przy pomocy Reggiego Fanshawe'a nie wchodził w rachubę. Łatwo było się pozbyć młodego Evansa, ale Alan Leigh-Travers to całkiem inna sprawa. Zarząd by mu uwierzył, choćby nawet nie miał duplikatu listu napisanego na lotnisku. Zresztą Fanshawe i tak nie nadawał się do współpracy. Świat sztuki nie jest aż tak elastyczny. Slade mógł przecież za jednym zamachem odzyskać dobre imię i przywrócić prestiż słynnego House of Darcy. Za to - i tylko za to - zgarnąłby sześciocyfrową premię na gwiazdkę. Nie minęła godzina, a już wykąpany i starannie ubrany siedział za kierownicą bentleya azure i mknął do Londynu.

Magazyn był nieczynny, więc mógł tam swobodnie buszować na własną rękę, aż znalazł obiekt o numerze F 608. Przez grubą folię zobaczył zarysy przepiórek na haku. Zabrał obraz do biura, by go lepiej obejrzeć.

Boże... pomyślał, gdy go rozpakował. Co za szkaradzieństwo. Ale pod spodem... Obraz bez wątpienia musiał trafić na aukcję. Należało go kupić do zbiorów House of Darcy, a potem „przypadkowo” dokonać odkrycia.

Był jednak pewien kłopot. Profesor Carpenter. Człowiek ogromnej prawości. Człowiek, który na pewno sporządził kopię swojego sprawozdania. Człowiek, który z pewnością wyrazi ostry protest, kiedy biedny plebejusz, właściciel obrazu, zostanie wykiwany przez Peregrine'a Slade'a.

Z drugiej strony, szacowny profesor wcale nie powiedział, że ukryte dzieło z pewnością powstało w pracowni jakiegoś mistrza. Wyraził tylko takie przypuszczenie. Dom aukcyjny mógł podjąć dopuszczalne ryzyko. Wóz albo przewóz. Slade nie wątpił, że właściciel zgodzi się odstąpić obraz za rozsądną cenę, a wówczas, bazując na wahaniach profesora...

Stuknął w klawisze komputera i odszukał nazwisko pana Hamisha McFee z Sudbury, Suffolk. Znalazł adres. Napisał, ofrankował i wysłał uprzejmy list, w którym oferował biednemu panu McFee pięćdziesiąt tysięcy funtów za „niezwykle interesującą kompozycję” pradziadka. Żeby mieć wszystkie sprawy w swoim ręku, dopisał na koniec numer telefonu komórkowego, z prośbą o szybki kontakt. Był przekonany, że wieśniak przyjmie tę propozycję, i miał zamiar osobiście dostarczyć czek do Sudbury.

Dwa dni później ktoś zadzwonił. W słuchawce zabrzmiał wyraźnie rozgniewany głos, z grubym szkockim akcentem.

- Mój pradziadek był wielkim artystą, szanowny panie Slade. Nie doceniano go za życia, tak samo jak van Gogha. Teraz wierzę, że świat rozpozna jego niezaprzeczalny talent. Nie mogę przyjąć pańskiej oferty, ale mam inną propozycję. Niech pan w przyszłym



miesiącu wystawi to na aukcję wiktoriańskich dzieł sztuki. A jak nie, to zabieram obraz od pana i idę do Christie's.

Slade trząsał się cały, gdy odkładał słuchawkę. Van Gogh? Co ten idiota sobie myśli? Nie miał jednak wyboru. Wiktoriańską aukcję zaplanowano na ósmego września. Za późno, żeby obraz umieścić w katalogu, bo ten jest już drukarni i za dwa dni ma być gotowy. Zdechłe przepiórki pójda na dokładkę. Zdarza się. Zachował jednak kopię listu i nagrany rozmowę z Hamishem McFee. Oferta w wysokości pięćdziesięciu tysięcy funtów miała mu pomóc przy rozmowach z profesorem Carpenterem. Wiedział, że w tym wypadku zarząd go na pewno poprze.

Musiał kupić obraz „dla domu”, a to oznaczało, że na licytacji powinien być ktoś taki, kto by spełnił wszystkie wcześniejsze polecenia, a jednocześnie nie wyglądał na kogoś z dykcji House of Darcy. Najlepszy byłby Bertram, główny portier, u progu emerytury, niezachwianie lojalny przez czterdzieści lat służby i z wyobraźnią skórka. Ale gotów na każdy rozkaz.

Trumpington Gore też odłożył słuchawkę i z troską popatrzył na Benny'ego.

- Drogi chłopcze, naprawdę wiesz, co robisz? Pięćdziesiąt patyków to kupa forsy.

- Zaufaj mi - powiedział Benny. W głębi serca wcale jednak nie był pewien swoich racji. Godzinami zanosił modły do cynicznego boga dawnych mistrzów malarstwa, żeby Slade, wiedziony chciwością, nie zdradził swoich intencji kryształowo uczciwemu profesorowi Carpenterowi.

Pod koniec miesiąca wszyscy dyrektorzy wrócili już z urlopów i poszły w ruch przygotowania do pierwszej wielkiej jesiennej aukcji, zaplanowanej na ósmego września. Aukcji wiktoriańskich dzieł sztuki.

Peregrine Slade nie wspominał ani słowem o tym, co zamierzał, i był rad, że Alan Leigh-Travers również się okazał wcieleniem dyskrecji. Nie rozmawiali na wspomniany temat. Slade jednak za każdym razem znacząco mrugał powieką, kiedy mijał Alana.

Martwiło to Leigh-Traversa. Nigdy nie był dobrego zdania o gustach wiceprezesa i słyszał skądinąd, że ludzie w średnim wieku, w nieudanym małżeństwie, czasem mają ochotę na małą odmianę. Będąc ojcem czworga dzieci, za nic w świecie nie chciał, żeby Slade zaczął go adorować.

Rankiem ósmego września zapanowała aura podniecenia. W artystycznym świecie zastrzyk adrenaliny dawał lepszy odjazd niż prochy i patrzenie na innych przez dno szklanki.

Slade wezwał do siebie szacownego szefa portierów Bertrama i wyluszczył mu wszystko po kolei. Bertram już od czterdziestu lat pracował w House of Darcy i widział już pięć zmian na stołku prezesa. Jako młody człowiek, właśnie zwolniony z wojska, poszedł w ślady ojca. Brał udział w przyjęciu pożegnalnym starego pana Darcy, ostatniego z rodu. To był prawdziwy dżentelmen, zaprosił nawet portierów. Teraz już takich nie ma.

Bertram jako jedyny z pracowników ciągle przychodził w meloniku. Przez całe lata nosił arcydzieła, których łączna wartość szła w miliardy i na żadne nigdy nie nadeptał.

Teraz najczęściej przesiadywał w swojej małej kanciapie, podkręcał sumiastego węża i ciągle pił herbatę. Jego rozkazy były proste. Miał siedzieć z tyłu, w niebieskim surducie, zbrojny w paletkę, gotów do licytacji tylko jednego dzieła. Żeby przypadkiem się nie

nadział na inną martwą naturę, Slade pokazał mu dwie przepiórki zwisające z haka. Miał zapamiętać tytuł „Dobre łowy”, który pan Slade wypowie głośno podczas aukcji.

Na sam koniec, dla bezpieczeństwa, miał pilnie patrzeć na twarz Slade’a. Szybkie mrugnięcie lewym okiem to znak, żeby podbił stawkę. Paletka w górę. Bertram odszedł, by napić się herbaty i opróżnić pęcherz, chyba po raz czwarty. Slade nie chciał, żeby w kluczowej chwili zwał mu do toalety.

Alan Leigh-Travers wybrał imponujący zestaw dzieł sztuki. Gwiazdami przedstawienia byli dwaj prerafaelici: Millais, ze zbiorów niedawno zmarłego kolekcjonera, i Holman Hunt, od lat ukryty przed wzrokiem ogółu. Tuż za nimi plasowały się dwa końskie portrety Johna Fredericka Herringa i żaglowiec walczący z burzą, pędzla Jamesa Carmichaela. Aukcja rozpoczęła się punkt dziesiąta. Szła sprawnie, przy pełnej sali. Część widzów nawet stała pod ścianami. Były jeszcze trzy obrazy z polowania, ze strzelbami, więc Slade dołączył szkockie malowidło do tej grupy, jako czwarte, dodatkowe. Nikt się nie powinien dziwić, a po chwili będzie już po sprawie. Z niesłychaną werwą i humorem pozdrowił zgromadzenie.

Wszystko przebiegało jak z płatka. Bertram siedział z tyłu, z paletką w dłoni i ze wzrokiem utkwionym w Slade’a. Do tej pory nie usłyszał magicznego hasła „Dobre łowy”. A na podium Peregrine Slade wciąż był w dobrym humorze i promieniował dowcipem. Wiele dzieł poszło po spodziewanej lub nawet wyższej cenie. Znał większość uczestników, chociaż zauważył kilka nowych twarzy. Światło lamp błyskało czasem w grubych okularach jegomościa w ciemnym ubraniu, siedzącego w trzecim rzędzie od końca.

Podczas krótkiej przerwy na zmianę obrazów na sztalugach Slade wezwał do siebie jedną z asystentek. Nachylił się z podestu i szepnął:

- Kim jest ten Japończyk w trzecim rzędzie od końca, po lewej stronie?

Wyśliznęła się z sali.

W czasie następnej przerwy podeszła i wręczyła mu małą kartkę. Podziękował jej skinieniem głowy. Rozwinął papier i przeczytał:

„Pan Yasuhiro Yamamoto, Galeria Osaka, Tokio i Osaka. Przedstawił list kredytowy, wystawiony przez Bank of Tokyo na kwotę miliarda jenów”.

Slade rozpromienił się. Około dwóch milionów funtów do wydania. Żaden kłopot. Był pewny, że już gdzieś słyszał nazwisko Yamamoto. To prawda. Tak bowiem brzmiało nazwisko admirała, który zarządził nalot na Pearl Harbor. Nowy Yamamoto pojawił się Knightsbridge z całkiem podobną misją, a list kredytowy z Bank of Tokyo w rzeczywistości powstał w komputerze Julie Day.

Pan Yamamoto kilkakrotnie przyłączał się do licytacji, lecz zawsze ustępował na rzecz innych klientów. Mimo to udowodnił, że nie jest tylko widzem. Jego oczy, ukryte za grubymi szklami okularów, nie zdradzały żadnych emocji. Wniesiono pierwszą martwą naturę. Wszystkie trzy wyszły spod ręki mniej znanych artystów i poszły za cenę od pięciu do dziesięciu tysięcy. Kiedy zabrano trzecią, Slade powiedział ze złośliwym humorem:

- Jest jeszcze czwarty obraz, nieuwzględniony w katalogu. Przybył zbyt późno. Czarujący olej szkockiego malarza Colluma McFee.

Colley Burnside nie oparł się pokusie i dodał pierwszy człon własnego imienia do imienia „malarza”. Tylko w taki sposób mógł zaznaczyć swój udział.

- Tytuł brzmi „Dobre łowy” - wyraźnie powiedział Slade. - Kto z państwa zacznie licytację? Czy usłyszę tysiąc funtów?

Bertram uniósł paletkę.

- Mam tysiąc funtów. Kto da więcej?

Jeszcze jedna paletka powędrowała w górę. Facet był chyba ślepy. Reszta sali: klienci, widzowie, marszandzi, kolekcjonerzy, agenci i pozostali spojrzeli po sobie z niemym niedowierzaniem.

- Dwa tysiące funtów. Pańska odpowiedź? - spytał Slade, patrząc na Bertrama. Lekko mrugnął lewym okiem. Bertram uniósł paletkę.

- Trzy tysiące funtów - oznajmił Slade. - Kto da cztery?

Odpowiedziała mu cisza. Nagle Japończyk skinął głową. Slade oniemiał. Widział gęste czarne włosy, gdzieś przetykane siwizną, ale nie widział migdałowych oczu za okularami.

- Chciałby pan podbić stawkę? - zapytał.

- Hai - zawołał pan Yamamoto i znów pokiwał głową. Mówił jak Toshiro Mifune w „Shogunie”.

- Niech pan z łaski swojej uniesie paletkę, Yamamoto-san - powiedział Slade. Był dumny, że wie, jak należy zwracać się do Japończyków.

Przybysz z Tokio odparł głośno Ach, so i uniósł paletkę.

- Cztery tysiące funtów - zakomunikował Slade. Udało mu się zachować niewzruszony wyraz twarzy, choć nie brał pod uwagę, że ktoś mógłby przebić ofertę Bertrama. Na dany znak Bertram podbił cenę.

Zdumienie sali nawet w połowie nie oddawało uczuć stojącego pod ścianą Alana Leigh-Traversa. Nigdy nie widział tego obrazu ani nie słyszał o żadnych „Dobrych łowach”, a gdyby nawet słyszał, to już dawno odesłałby je do Suffolk. Slade mógłby chociaż wspomnieć, że zamierza dorzucić jakiś obraz do aukcji. I kim był McFee? Kto o nim w ogóle słyszał? Pewnie to jakiś przodek któregoś z kumpi-myśliwych Slade’a. Jeden Bóg wie, dlaczego już jest wart pięć tysięcy. A niech tam sobie idzie. To niezła cena za przeciętny olej i cud za ten bohomasz. Prowizja winna uspokoić wątpliwości dyrektorów. Zanim minęło pół godziny, Leigh-Travers słał się na nogach. Pan Japończyk, którego widział tylko z tyłu, wciąż kiwał głową i powtarzał Hai, a ktoś ukryty za filarem nie dawał za wygraną. Co tu się, do diabła, działo? Przecież wszyscy widzą, że to straszna szmira. W sali panowało głucho milczenie. Cena doszła już do pięćdziesięciu tysięcy funtów. Leigh-Travers wił się i przesuwiał wzdłuż ściany, aż wreszcie dotarł do filara i wyjrzał ostrożnie. Omal nie dostał zawału. Na miłość boską, tajemniczym rywalem Japończyka był Bertram! To oznaczało, że prawdziwym nabywcą jest Slade. Dla domu.

Szary jak popiół Leigh-Travers przechwycił spojrzenie Slade’a przez całą szerokość sali. Slade z uśmiechem mrugnął do niego. Zatem to prawda. Wiceprezes zwariował. Leigh-Travers uciekł do holu, do dziewcząt z recepcji, i z wewnętrznego telefonu zadzwonił do biura prezesa. Poprosił Phyllis, żeby jak najszybciej połączyła go z księciem Gateshead.

Zanim wrócił, cena doszła już do stu tysięcy, a Yamamoto wciąż nie rezygnował. Slade zwiększył przebicie do dziesięciu tysięcy i zaczynał się martwić.

Wiedział, że za przepiórkami ukryte są miliony, ale jakie były motywy Japończyka? Ktoś puścił farbę? Niemożliwe, wszak obraz pochodził z Bury St. Edmunds. Może profesor Carpenter miał konszachty na Dalekim Wschodzie? Tak samo niemożliwe. A może Yamamoto po prostu chciał to kupić? Miał zły gust? Był przekonany, że z zyskiem sprzeda to paskudztwo rekinom finansjery z Tokio lub z Osaki?

Gdzieś tkwił błąd. Ale gdzie? Nie mógł przecież odrzucić oferty Japończyka. Nie przy tak pełnej sali. Z drugiej strony, znając całą prawdę, nie mógł także powstrzymać Bertrama i pozwolić, żeby obraz wyjechał do Japonii.

Wszyscy na sali dobrze zdawali sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego. Nikt wcześniej nie oglądał takiej licytacji. Obraz, który na dobrą sprawę mógłby kiedyś zawisnąć co najwyżej w garażu, i dwaj klienci szastający forszą. Stary przyk z sumiastym wąsem i nieugięty samuraj. Najwyczejniej w świecie obaj musieli „coś wiedzieć”. Handel obrazami nie był dla naiwnych, a przy niektórych sztuczkiach nawet nożownik z Korsyki wyglądał jak wikariusz. Każdy weteran pamiętał absolutnie prawdziwą opowieść o dwóch takich, którzy przybyli na mizerną wyprzedaż w jakimś starym domu i jeden z nich zauważył obraz - martwą naturę z zającem - wiszący nad schodami. Nawet nie był w ofercie. Złożyli się jednak i go kupili. Martwy zając okazał się ostatnim znanym dziełem namalowanym przez Rembrandta. Lecz przecież nawet stary Harmenszoon, na łożu śmierci, dotknięty paraliżem, nie nasmarowałby takich przepiórek! Tłum gapił się i gapił, szukając śladów talentu, i nie widział niczego. Aukcja zaś trwała dalej.

Przy dwustu tysiącach koło drzwi zapanowało jakieś zamieszanie i ludzie rozstąpili się przed wichrowym wzgórzem w postaci księcia Gateshead. Stał z tyłu jak kondor, gotów zaraz wyrwać płąt żywego mięsa.

Przy dwustu czterdziestu tysiącach Slade z wolna zaczął się rozklejać. Krople potu błyszczały mu na czole. Mówił wyższym o kilka oktaw głosem. Z całego serca pragnął już przerwać tę farsę, ale nie mógł. Starannie przygotowany plan wymknął się spod kontroli. Gdy cena osiągnęła ćwierć miliona, zadrgała mu lewa powieka. Po drugiej stronie sali stary Bertram widział serię mrugnięć, więc licytował dalej. Slade modlił się, żeby przestał, lecz Bertram znał rozkazy: mrugnięcie, paletka w górę.

- Pańska odpowiedź? - zakwiczał Slade do okularnika z Tokio.

Nastąpiła dłuższa przerwa. Slade miał nadzieję, że koszmar dobiegł końca. Pan Yamamoto czystym głosem powiedział:

- Hai.

Lewa powieka Slade'a migotała jak światła ambulansu, więc Bertram podniósł paletkę. Przy trzystu tysiącach Leigh-Travers zaszeptał coś gwałtownie księciu wprost do ucha i kondor sfrunął po ścianie w kierunku Bertrama. W zamartej sali wszystkie spojrzenia zwrócone były na Japończyka. Ten nagle wstał, odłożył paletkę na krzesło, złożył formalny ukłon w stronę Peregrine'a Slade'a i wyszedł. Tłum rozstępował się przed nim niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem.

- Po raz pierwszy - słabym głosem zaanonsował Slade - po raz drugi.

Stuknął młotkiem i sala eksplodowała gwarem. Jak zwykle, po wielkim napięciu, każdy chciał coś powiedzieć do swojego sąsiada. Slade uspokoił się trochę, otarł twarz, przekazał prowadzenie aukcji w ręce Leigh-Traversa i zszedł z podium.

Bertram, zwolniony z obowiązku, udał się do swojej kanciapy, by zaparzyć herbatę.

Książę nachylił się do wiceprezesa.

- W moim biurze. Za pięć minut, jeśli będziesz łaskaw - syknął.

- Peregrine - zaczął, kiedy już byli sami. Żadnego „Perry”, albo „mój stary przyjacielu”.

Wszelkie pozory zniknęły. - Mogę spytać, co, do diabła, robiłeś tam na dole?

- Prowadziłem aukcję.

- Nie tym tonem, mój panie. Te dwa zdechłe ptaki nie warte są nawet pensa.

- Na pierwszy rzut oka.

- Ty to kupiłeś. Dla nas. Po co?

Slade wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki list i sprawozdanie profesora Carpentera z Instytutu Colberta.

- Mam nadzieję, że to wyjaśni po co. I gdyby nie ten skośnooki wariat, mielibyśmy ten obraz najwyżej za pięć tysięcy funtów.

Książę Gateshead dokładnie przeczytał sprawozdanie w blasku słońca padającym z okna. Twarz mu pojaśniała. Jego przodkowie mordem i podstępem dochodzili do władzy. Tak samo jak w wypadku Benny’ego Evansa, stara krew łatwo nie stygła.

- To zmienia postać sprawy, mój stary przyjacielu. Zupełnie zmienia postać sprawy. Kto jeszcze wie o tym?

- Nikt. Sprawozdanie przyszło w zeszłym miesiącu, na mój prywatny adres. Z nikim nie rozmawiałem. Zostajemy my dwaj i Stephen Carpenter. To wszystko. Pomyślałem sobie, że im mniej, tym lepiej.

- A właściciel?

- Durny Szkot. Żeby nas zabezpieczyć, zaproponowałem mu, że kupimy obraz za pięćdziesiąt tysięcy. Odmówił. Mam kopię mojego listu i nagraną rozmowę, w której zażądał wystawienia malowidła na aukcji. Skąd miałem wiedzieć, że dziś właśnie pojawi się ten Japończyk? Łajdak prawie nas obrabował.

Książę namyślał się przez dłuższą chwilę. Mucha zabrzęczała w oknie, głośno jak piła mechaniczna.

- Cimabue - mruknął książę. - Duccio. Dobry Boże, od lat żadnego z nich nie mieliśmy. Siedem, osiem milionów? Bezzwłocznie spłać właściciela. Masz moją akceptację. Kogo chcesz do renowacji? Colberta?

- To duży instytut. Z liczną załogą. Ludzie zaczną gadać. Wolałbym raczej Edwarda Hargreavesa. Jeden z najlepszych w świecie, pracuje sam i milczy jak mogiła.

- Znakomity pomysł. Bierz się do roboty. Na własną rękę. Zawiadom mnie, jak renowacja w pełni dobiegnie końca.

Edward Hargreaves rzeczywiście pracował sam. Był zamkniętym w sobie, skrytym człowiekiem. Miał własną pracownię w Hammersmith i nikt mu nie mógł dorównać w pracach renowacyjnych przy zniszczonych albo zamalowanych dziełach dawnych mistrzów.

Przeczytał sprawozdanie Carpentera i zastanawiał się przez chwilę, czy nie zadzwonić do profesora z prośbą o konsultację. Doszedł jednak do wniosku, że konserwator od Colberta nie byłby człowiekiem, gdyby nie czuł się urażony, że tak intratne zlecenie wpadło w inne ręce. Dobrze znał papier listowy Instytutu i podpis Colberta, więc mógł bez zastrzeżeń wierzyć jego słowom. Slade osobiście przywiózł szkockie dzieło.

Hargreaves powiedział mu, że renowacja potrwa dwa tygodnie.

Postawił obraz na sztalugach przy północnym oknie i przez dwa dni tylko spoglądał na niego. Musiał niezwykle delikatnie zdjąć grubą warstwę wiktoriańskiej farby, żeby nie uszkodzić tempery pod spodem. Trzeciego dnia zabrał się do pracy.

Dwa tygodnie później zadzwonił do Slade'a. Wiceprezes był w szampańskim nastroju.

- Co słysząc, drogi Edwardzie?

- Skończyłem robotę. To, co było pod spodem, teraz jest na wierzchu.

- A kolory? Tak świeże, jak tuż po namalowaniu?

- Bez wątpienia - zabrzmiał głos w telefonie.

- Zaraz wyślę samochód - zaproponował Slade.

- Chciałbym też przyjechać - ostrożnie powiedział Hargreaves.

- Wyśmienicie - ucieszył się Slade. - Za pół godziny mój bentley będzie stał pod pracownią.

Zatelefonował do księcia Gateshead.

- Dobra robota - powiedział prezes. - Zrobimy odsłonięcie. U mnie, o dwunastej zero zero.

Był kiedyś gwardzistą w Coldstream i lubił karmić wojskową gwarą swoich podkomendnych.

Za pięć dwunasta woźny wstawił sztalugi do gabinetu i wyszedł. Punkt dwunasta wszedł Edward Hargreaves w towarzystwie Peregrine'a Slade'a. Niósł temperę na desce, zawiniętą w miękką tkaninę. Postawił ją na sztalugach.

Książę otworzył butelkę dom perignon. Poczęstował gości. Slade wziął kieliszek, Hargreaves odmówił.

- A zatem... - zagaił książę. - Kogo my tu mamy? To Duccio?

- Eee... Nie tym razem - odparł Hargreaves.

- Zaskakujesz mnie - odezwał się Slade. - Cimabue?

- Niezupełnie.

- Nie mogę się doczekać - oświadczył książę. - Dalej, odsłaniajmy.

Hargreaves zdjął tkaninę. Obraz rzeczywiście odpowiadał temu, co było napisane w rzekomym liście Carpentera. Cudownie wykonany, w stylu wczesnego renesansu mistrzów z Florencji i Sieny.

W tle majaczył średniowieczny pejzaż z łagodnymi wzgórzami i starą dzwonnica. Na pierwszym planie stała samotna postać. Był to osioł, albo biblijny asinus, patrzący smętnie wprost na widzów. Kutas osła zwieszał się aż do ziemi, jakby go ktoś wyciągnął. Na drugim planie naprawdę była płytka dolina, przecięta pylistą drogą. Na drodze, u wyjścia z doliny, stał mały, ale dobrze widoczny mercedes.

Hargreaves utkwiał wzrok gdzieś w przestrzeni. Slade myślał, że za chwilę padnie na zawał. Potem miał nadzieję, że tak się stanie, a końcu wpadł w przerażenie, że jednak przeżyje.

W duszy księcia Gateshead walczyło o lepsze pięć wieków oglady. Ogląda zwyciężyła i książkę wyszedł bez słowa.

Godzinę później wielmożny Peregrine Slade opuścił budynek w bardziej definitywny sposób.

Zakończenie

Koniec września obfitował w różne wydarzenia.

W odpowiedzi na codzienne pytania kioskarcz z Sudbury potwierdził wreszcie, że przyszedł drugi list do pana Hamisha McFee. Trumpy w przebraniu Szkota pojechał pociągiem go odebrać. W kopercie był czek wystawiony przez House of Darcy na sumę dwustu sześćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów.

Z pomocą e-dokumentów, zręcznie sporządzonych przez Julie, McFee otworzył konto w Barclays Bank, w St. Peter Port na wyspie Guernsey, na kanale La Manche, w niemal ostatnim brytyjskim azylu podatkowym. Po autoryzacji czeku i uzyskaniu kredytu otworzył drugie konto - już jako Trumpington Gore - w Royal Bank of Canada, przy tej samej ulicy. Potem wrócił do Barclays i przelał pieniądze z konta pana McFee, na konto pana Gore'a. Następnie zlikwidował konto pana McFee. Zastępca kierownika w Barclays Bank był nieco zdumiony szybkością operacji Szkota, ale powstrzymał się od komentarzy.

Od Kanadyjczyków, którzy mieli w nosie brytyjskie prawo podatkowe, Trumpy otrzymał dwa nowe cheki.

Jeden, na sumę trzynastu tysięcy dwustu pięćdziesięciu funtów, trafił do Colleya Burnside'a, który zmierzch swego życia mógł osłodzić kąpielą w najprzedniejszym winie. Trumpy podjął tysiąc siedemset pięćdziesiąt funtów gotówką, jako „kieszonkowe”. Drugi czek był wspólnie dla Benny'ego Evansa i Julie Day, na sumę stu pięćdziesięciu tysięcy. Na koncie pozostało zatem sto tysięcy, a usłudni Kanadyjczycy przyjęli to jako wkład długoterminowy z takim oprocentowaniem, że Trumpington Gore mógł do końca życia lekką ręką pobierać tysiąc funtów miesięcznie.

Benny i Julie pobrali się i wyjechali w rodzinne strony Benny'ego, do Lancashire, gdzie on otworzył małą galerię, a ona pracowała jako programistka. Po roku wyrosła z wieku szczenięcego, zdjęła cekiny i agrafki z twarzy i powiła bliźnięta.

Trumpy po powrocie z Wysp Normandzkich otrzymał list z wytwórni Eon. Zawiadamiano go, że Pierce Brosnan, z którym wystąpił w „Goldeneye”, chciałby go widzieć w większej roli w następnym Bondzie.

Ktoś dał cynk Charliemu Dawsonowi, a ten z kolei, z wdzięczną pomocą ubawionego profesora Carpentera, opisał w prasie artystyczny skandal dekady.

Policja wciąż poszukiwała Hamisha McFee i pana Yamamoto, ale nastroje w Scotland Yardzie nie były zbyt budujące.

Marina sprzedała swoje pamiętniki do „News of the World”. Lady Eleanor Slade przeprowadziła długą konferencję z londyńską wyrocznią w sprawach rozwodowych,

Fioną Shackleton. Zawarto porozumienie, w myśl którego wielmożny Peregrine zachował spinki do mankietów.

Wyjechał z Londynu i ostatnio słyszano, że prowadzi bar na Antylach. A książkę Gateshead w dalszym ciągu sam płaci za drinki u White'a.

SZEPCZĄCY WIATR

Prolog

Legenda głosi, że z masakry sił generała Custer, do której doszło 25 czerwca 1876 roku nad rzeką Little Big Horn, nie uszedł z życiem żaden biały. To nie do końca prawda; jeden przeżył. Był zwiadowcą, miał dwadzieścia cztery lata i nazywał się Ben Craig. Oto jego historia.

Ulotny zapach dymu z ogniska, rozplywający się nad prerią, pierwszy zwiertzył zwiadowca; on miał najbardziej wyczulony nos.

Jechał na szpicy, wyprzedzając o dwadzieścia jardów dziesięciu kawalerzystów z patrolu posuwającego się przed główną kolumną zachodnim brzegiem rzeki Rosebud.

Zwiadowca, nie oglądając się, uniósł prawą rękę, a lewą ściągnął cugle. Sierżant z dziewięcioma żołnierzami, idąc za jego przykładem, wstrzymali konie. Zwiadowca zsunął się z wierzchowca i puściwszy go luzem, żeby popaść się w spokoju, podbiegł schylony do niskiej fałdy terenu oddzielającego jeźdźców od rzeki. Tam przypadł do ziemi, podpełził pod górę i rozgarnął ostrożnie źdźbła wysokiej trawy na szczycie.

Obozowali nad samym brzegiem rzeki. Był to mały obóz, wszystkiego pięć wigwamów, jedna duża rodzina. Z kształtu wigwamów wynikało, że to Czejenowie Północni.

Zwiadowca dobrze je znał. Tipi Siuksów były wysokie i wąskie, a Czejenów szersze u podstawy, bardziej przysadziste. Piktogramy scen myśliwskich na ścianach namiotów również wskazywały na Czejenów.

Zwiadowca oszacował liczbę osób w obozie na dwadzieścia do dwudziestu pięciu, ale z tego około dziesięciu mężczyzn było w tej chwili na polowaniu. Poznał to po koniach.

Tylko siedem skubało trawę przy namiotach. Do swobodnego przemieszczania się z takim obozem - mężczyźni wierzchem, kobiety i dzieci, zwinięte tipi oraz reszta bagażu na travois - powinno ich tu być mniej więcej dwadzieścia.

Usłyszał sierżanta wpelzającego za nim po stoku i dał mu ręką znak, żeby trzymał głowę nisko. Po chwili, kątem oka, dostrzegł obok siebie granatowy rękaw munduru z trzema szewronami.

- Co tam widzisz? - rozległ się schrypnięty szept.

Dochodziła dopiero dziewiąta, a słońce już prażyło. Od trzech godzin byli w drodze.

Generał Custer miał zwyczaj związać obóz skoro świt. Od leżącego obok sierżanta zalatywało nieprzetrawioną whisky. Smrodliwe wyziewy tego podłego trunku, pędzonego na pograniczu, zabijały zapach dzikich śliw, wiśni i krzewów róż, które pieniły się nad brzegami w takiej obfitości, że rzekę nazwano Rosebud, Pączek Róży.

- Pięć namiotów. Czejenowie. W obozie zostały tylko kobiety z dziećmi i starcy.

Mężczyźni polują za rzeką.

Sierżant Braddock nie zapytał, skąd zwiadowca wie to wszystko. Wierzył mu na słowo.

Odchrząknął, strzyknął strużką śliny zabarwionej na brązowo przeżutym tytoniem i



wyszczerył w uśmiechu żółte zęby. Zwiadowca zsunął się na brzuchu ze stoku i wstał.

- Zostawmy ich w spokoju. Nie tego szukamy.

Ale Braddock już trzeci rok spędzał z Siódmym Pułkiem Kawalerii na równinach i dotkliwie doskwierał mu brak rozrywek. Długa nudna zima w Fort Lincoln zaowocowała co prawda bękartem zmajstrowanym z praczką dającą komu popadnie, lecz on przybył na równiny, żeby zabijać Indian i ani myślał odmawiać sobie tej przyjemności.

Rzeź nie trwała więcej niż pięć minut. Dziesięciu kawalerzystów wspięło się cwałem na szczyt wzniesienia i runęło w dół pełnym galopem. Zniesmaczony zwiadowca przyglądał się temu z góry.

Jeden z żołnierzy, świeżo upieczony rekrut, był tak kiepskim jeźdźcem, że zleciał podczas szarży z konia. Reszta dokonała pogromu. Kawaleryjskie szable pułk zostawił w Fort Lincoln, posługiwali się więc rewolwerami marki Colt i nowiutkimi karabinami Springfield model '73.

Squaw pichące coś w kociołku zawieszonym nad ogniskiem, słysząc tętent kopyt, pozbierały w panice baraszki w pobliżu dzieci i pobiegły w stronę rzeki. Nie zdążyły. Jeźdźcy wybili je do nogi, zanim dotarły do wody, potem zawrócili i przypuścili szarżę na namioty, strzelając do wszystkiego, co się jeszcze ruszało. Dokończywszy dzieła, zeskoczyli z koni i zaczęli plądrować tipi, szukając tam ciekawych trofeów, którymi można by się potem pochwalić w domu. Huknęło kilka pojedynczych wystrzałów; świadczyło to zapewne, że w namiotach natrafiono na niemowlęta albo znieoężniałych starców.

Widząc, że żołnierze zabierają się do podpalania tipi, zwiadowca zjechał powoli ze wzniesienia i skierował konia ku odległemu o czterysta jardów obozowi, by obejrzeć z bliska pobojuwisko. Wyglądało na to, że nikt nie pozostał przy życiu. Młody kawalerzysta, prawie jeszcze chłopiec, opierając się o siodło, żeby nie obrzygać sobie munduru, zwracał zjedzone na śniadanie suchary i fasolę. Sierżant Braddock tryumfował. Odniósł swoje zwycięstwo. Znalazł gdzieś wojenny pióropuszc i przytroczył go sobie do siodła obok bukłaka, który powinien zawierać źródlaną wodę.

Zwiadowca naliczył czternaście trupów leżących jak porzucone szmaciane lalki, tam gdzie dopadła ich śmierć. Pokręcił odmownie głową, kiedy jeden z żołnierzy chciał mu sprezentować trofeum, i podjechał klusem na brzeg rzeki, żeby napić konia.

Kryła się w przybrzeżnych szuwarach. Karabinowy pocisk ugodził ją w udo i z rany po nagiej nodze spływała krew. Gdyby wykazał się odrobinę większym refleksem, odwróciłby szybko wzrok i ruszył, jak gdyby nigdy nic, z powrotem ku płonącym tipi. Za długo jednak patrzył w to miejsce, co nie uszło uwagi Braddocka.

- Coś tam zobaczył, chłopcze? - zapytał sierżant, podjeżdżając do zwiadowcy. - A... jeszcze jedna gnida... i to żywa.

Sięgnął po colta i wycelował. Dziewczyna patrzyła na nich z trzcin błędnymi z przerażenia oczyma. Zwiadowca chwycił Irlandczyka za nadgarstek ręki, w której ten trzymał rewolwer, i pchnął ją w górę. Pospolita, sina od whisky gęba Braddocka pociemniała z gniewu.

- Nie zabijaj jej, może coś wiedzieć - powiedział zwiadowca.

Był to jedyny sposób. Braddock zawahał się i po chwili zastanowienia kiwnął głową.

- Dobrze kombinujesz, chłopcze. Zawieziemy ją generałowi w prezencie.

Wsunął rewolwer do kabury i odjechał do swoich ludzi. Zwiadowca zeskoczył z konia i wszedł w szuwały, żeby zająć się dziewczyną. Na szczęście rana była czysta.

Wystrzelony z bliska pocisk przeszył udo na wskroś, kiedy biegła. Widać było wyraźnie rany - wlotową i wylotową - obie małe i okrągłe. Zwiadowca przemył je zmoczoną w czystym strumieniu chustą, a następnie mocno ścisnął tą samą chustą udo, by zatamować krwawienie.

Uporawszy się z tym, spojrzął na dziewczynę. Nie spuszczała z niego wzroku.

Kruczoczarne zmierzwione włosy opadały jej na ramiona, w rozwartych szeroko czarnych oczach malował się ból i strach. Nie wszystkie indiańskie squaw miały typ urody preferowany przez białych mężczyzn, w każdym razie za najładniejsze z nich uchodziły Czejenki. Dziewczyna w szuwarach wyglądała na jakieś szesnaście lat i miała zachwycającą, eterycznie piękną twarz. Zwiadowca liczył sobie dwadzieścia cztery lata, był wychowany na Biblii i nie zaznał jeszcze kobiety w rozumieniu Starego Testamentu. Serce zabiło mu żywiej i musiał odwrócić wzrok. Zarzucił sobie dziewczynę na ramię i ruszył do zniszczonego obozu.

- Daj ją na konia! - krzyknął sierżant, pociągając znowu z manierki.

Zwiadowca pokręcił głową.

- Na travois - powiedział. - Inaczej nie wyżyje.

Na ziemi, nieopodal dymiących zgliszczy tipi, leżało kilka travois. Był to rodzaj sań sporządzonych z dwóch długich, sprężystych żerdzi, które krzyżowały się z jednego końca nad końskim grzbietem, a z drugiego, tego, którym sunęły po ziemi, rozwierały się szeroko, napinając zamocowany między nimi płät bizoniej skóry. Travois stanowiły zadziwiająco wygodny środek transportu, lepiej nadający się do przewożenia rannych niż wozy białych, które podskakiwały gwałtownie na każdym wykrocie.

Zwiadowca schwytał jednego z dwóch błakających się w pobliżu indiańskich koni.

Pozostałych pięć uciekło w panice. Zwierzę stanęło dęba i zakwiczało, kiedy brał je za uzdę. Spłoszył je zapach białego człowieka. Było też na odwrót; konie kawalerii Stanów Zjednoczonych wpadały w popłoch, zwiertżywszy zapach ciał Indian Równinnych.

Zwiadowca jął chuchać łagodnie w nozdrza konia i ten w końcu się uspokoił. Dziesięć minut później był już zaprzężony do travois, a dziewczyna spoczywała na bizoniej skórze. Patrol wrócił na szlak, by odszukać Custer'a i główne siły Siódmego Pułku Kawalerii. Był 24 czerwca. Anno Domini 1876.

Nasiona kampanii prowadzonej tego lata na równinach południowej Montany posiane zostały kilka lat wcześniej. W świętych górach Black Hills odkryto wreszcie złoto i na Dakotę Południową runęła fala poszukiwaczy. Ale Black Hills oddano już wcześniej w wieczyste użytkowanie ludowi Siuksów. Wzburzeni Indianie Równinni, uznając ów najazd nieproszonych gości za złamanie traktatu, zaczęli napadać na poszukiwaczy i karawany wozów.

To z kolei rozwścieczyło białych; oliwy do ognia dolały - często wyssane z palca albo mocno przesadzone - opowieści o bezprzykładnym okrucieństwie Indian; społeczności

białych zwrócić się z apelem o pomoc do Waszyngtonu. W odpowiedzi władze anulowały traktat z Laramie i zamknęły Indian Równinnych w kilku niewielkich rezerwach, których łączna powierzchnia była zaledwie ułamkiem tego, co im uroczyście przyrzeczone. Rezerwy te znajdowały się na terytoriach Dakoty Północnej i Południowej.

Waszyngton zezwolił jednak na utworzenie tak zwanego bloku Terytoriów Niescedowanych. Obejmował on tradycyjne tereny łowieckie Siuksów, obfitujące wciąż w bawoły i zwierzynę płową. Wschodnia granica tego bloku pokrywała się z zachodnimi granicami Dakoty Północnej i Południowej. Jego zachodnią granicę stanowiła wymagowana linia północ-południe, leżąca sto czterdzieści pięć mil dalej na zachód. Linii tej Indianie nigdy nie widzieli ani nie potrafili sobie nawet wyobrazić. Od północy blok Terytoriów Niescedowanych ograniczała rzeka Yellowstone, przepływająca przez krainę zwaną Montana oraz przez obie Dakoty; granicę południową stanowiła rzeka North Platte, przecinająca Wyoming. Tutaj Indianom wolno było z początku polować. Ale marsz białego człowieka na zachód wciąż trwał.

W roku 1875 Siuksowie zaczęli opuszczać rezerwy w Dakocie i migrować na zachód, na niescedowane tereny łowieckie. Jeszcze tego samego roku Biuro do spraw Indian nakazało im powrót do rezerwatów, w nieprzekraczalnym terminie do 1 stycznia. Siuksowie oraz ich sprzymierzeńcy nie kwestionowali tego ultimatum; po prostu je zlekceważyli. Większość nawet o nim nie słyszała. Polowali, a kiedy zima ustąpiła wiosną, ruszyli tradycyjnie za wielkimi stadami bawołów oraz łagodnych jeleni i antylop. Wczesną wiosną Biuro do spraw Indian przekazało sprawę armii. Zadanie: odnaleźć Indian, otoczyć ich i odprowadzić pod eskortą z powrotem do rezerwatów w Dakocie. Armia nie wiedziała, ilu dokładnie Indian znajduje się poza rezerwatami, nie wiedziała też, gdzie ich szukać. W pierwszej kwestii armię zwyczajnie okłamano. Rezerwatami zarządzali agenci do spraw Indian. Byli to biali, z których wielu nie grzeszyło uczciwością.

Waszyngton słał im kontyngenty bydła, zboża, mąki, koców oraz pieniądze do podziału między podopiecznych. Agenci bez skrupułów okradali Indian i tych drugich głód zmuszał do powrotu na tereny łowieckie.

Zarządcy rezerwatów mieli więc powód, by mijać się z prawdą. Jeśli deklarowali, że w rezerwacie nikogo nie brakuje, to otrzymywali pełny kontyngent. Wraz z wykuszaniem się podopiecznych malał kontyngent, a co za tym idzie, osobiste dochody agentów. Wiosną 1876 roku agenci poinformowali armię, że rezerwy opuściła zaledwie garstka wojowników. Łgali. Uciekinierów były tysiące. Wszyscy powędrowali przez granicę na zachód, polować na Terenach Niescedowanych.

Co zaś do ustalenia miejsca ich pobytu, to istniał na to tylko jeden sposób. Do południowej Montany trzeba było wysłać wojsko. I tak powstał plan ekspedycji podzielonej na trzy mieszane kolumny piechoty i kawalerii.

Generał Alfred Terry miał wyruszyć z Fort Lincoln w Dakocie Północnej i maszerować na zachód brzegiem rzeki Yellowstone, wyznaczającej północną granicę terenów łowieckich. Generał John Gibbon, stacjonujący w Fort Shaw w Montanie, miał pomaszerować na

południe do Fort Ellis, a dotarłszy tam, skręcić na wschód i posuwając się dalej brzegiem rzeki Yellowstone, spotkać się z nadciągającą z przeciwnej strony kolumną Terry'ego. Generał George Crook dostał rozkaz wymarszu z Fort Fetterman na dalekim południu Wyoming i posuwania się na północ. Przeprowadzając się po drodze przez dopływy rzeki Crazy Women i rzekę Tongue, miał dotrzeć do doliny Big Horn i spotkać się tam z kolumnami Terry'ego i Gibbona. Plan zakładał, że któryś z tej trójki musi się gdzieś natknąć na główne siły Siuksów. Wyruszyli w marcu.

Gibbon i Terry spotkali się na początku czerwca, tam gdzie płynąca na północ rzeka Tongue wpada do Yellowstone. Żaden z nich nie napotkał na swej drodze ani jednego Indianina pomalowanego w barwy wojenne. Ale teraz wiedzieli przynajmniej, że Indianie Równinni muszą się znajdować gdzieś na południe od nich. Uradzili, że pomaszczą razem na zachód. Tak też zrobili.

20 czerwca połączone kolumny dotarły do ujścia rzeki Rosebud do Yellowstone. Tutaj postanowiono, że Siódmy Pułk Kawalerii, wchodzący w skład sił Terry'ego, odłączy się od kolumny i skieruje w górę rzeki Rosebud. Może natrafi tam na Indian, może spotka generała Crooka.

Nikt nie wiedział, że 17 czerwca Crook, natknąwszy się niespodziewanie na wielkie zgrupowanie Siuksów i Czejenów, został pobity, zawrócił na południe i do tej pory uciekał. Nawet nie zadał sobie trudu, by wysłać kogoś na północ, z ostrzeżeniem dla kolegów, i ci nie wiedzieli, że na posiłki z południa nie mają co liczyć. Że są zdani na siebie.

Czwartego dnia forsownego marszu doliną rzeki Rosebud jeden z patroli wrócił z wieścią o spacyfikowaniu małej wioski Czejenów, a także z jeńcem.

Generał George Armstrong Custer, prowadzący z dumą swoją kolumnę kawalerii, spieszył się. Ani myślał zatrzymać całego pułku dla jednego jeńca. Wysłuchawszy relacji sierżanta Braddocka, skinął tylko głową i kazał mu się zameldować u dowódcy swojego szwadronu. Jeśli ta squaw w ogóle coś wiedziała, to z przesłuchaniem jej można się wstrzymać do wieczora, kiedy rozbiją obóz.

Zwiadowca zczekał na tabory posuwające się za kolumną wojska i przywiązał konia ciągnącego travois z Czejenką do jednego z wozów. Ponieważ nie było na razie zapotrzebowania na jego usługi, pozostał przy saniach. Zwiadowcą przy Siódmym Pułku był od niedawna, a już zdążyła mu obrzydzieć ta robota. Nie podobał mu się ani dowódca szwadronu, do którego został przydzielony, ani sierżant; sławnego generała Custera uważał za bufonowatego dupka. Miał zbyt ograniczony zasób słów, by w ten sposób zwerbalizować swoją opinię, ale i tak nie zamierzał się nią z nikim dzielić. Nazywał się Ben Craig.

Jego ojciec, John Knox Craig, był imigrantem. Przybył do Stanów Zjednoczonych na początku lat czterdziestych dziewiętnastego wieku ze Szkocji, gdzie zachłanny dziedzic wyrugował go z małego gospodarstwa. Gdzieś na wschodzie poznał i poślubił szkocką dziewczynę, tak jak on prezbiteriankę, a nie znajdując dla siebie zajęcia w miastach, powędrował na zachód, na pogranicze. Około roku 1850 dotarł do południowej Montany i postanowił spróbować szczęścia przy płukaniu złota na dzikim podgórzu Pryor Range.

Należał wtedy do pierwszych osadników. Zamieszkali w drewnianej chacie pod lasem, nad samym strumieniem. Życie w tej głuszy było szare i trudne, kiedy jednak przetrwało się już mroźną zimą, nastawała wiosenno-letnia idylla; lasy roiły się od zwierzyny, w strumieniu pluskały pstragi, a preria zmieniała się w kobierzec dzikich kwiatów. W roku 1852 Jennie Craig powiła pierwszego i jedyne, jak się potem okazało, syna. Dwa lata później urodziła córeczkę, która wkrótce po przyjściu na świat zmarła.

Ben Craig, dziecko lasu i pogranicza, miał dziesięć lat, kiedy rodziców zamordowała banda Indian z plemienia Kruków. Dwa dni później głodnego i rozpaczającego chłopca znalazł w zgliszczach spalonej chaty górski traper nazwiskiem Donaldson. We dwójkę pogrzebali Johna i Jennie Craigów nad strumieniem i zaznaczyli mogiły prowizorycznymi krzyżami. Nie wiadomo, czy Craigowi seniorowi udało się wyplukać trochę złotego pyłu, bo wojownicy Kruków, jeśli nawet znaleźli w chacie żółty proszek, to rozsypali go na cztery wiatry, myśląc, że to piasek.

Donaldson był niemłodym już człowiekiem gór, trudnił się polowaniem na wilki, bobry, niedźwiedzie i lisy, a zgromadzone w sezonie skóry odstawał raz do roku do najbliższej faktorii. Temu staremu kawalerowi żal się zrobiło sieroty, przygarnął więc chłopca i wychowywał jak własnego syna.

W dzieciństwie Ben zetknął się z jedną tylko książką, z Biblią, której obszerne fragmenty czytywała mu matka. Chociaż daleko mu było do biegłości w czytaniu i pisaniu, to jednak zachował w pamięci nauki zawarte w tej Dobrej Księdze, jak nazywała ją matka. Ojciec wyszkolił go w płukaniu złota, ale dopiero od Donaldsona nauczył się sztuki przetrwania w dziczy, rozpoznawania ptaków po śpiewie, zwierząt po tropach, jeżdżenia konno i strzelania.

To właśnie przez tego trapera Ben poznał Czejenów, również myśliwych, którym Donaldson sprzedawał towary kupowane za skóry w faktorii. Czejenowie ci nauczyli go swoich zwyczajów oraz języka.

Dwa lata przed letnią kampanią 1876 roku o starego upomniała się dzicz, w której spędził większą część życia. Strzelając do starego cynamonowego niedźwiedzia, chybił, a rozjuszona zwierzę rozszarpało go i zamęczyło na śmierć. Ben pochował przybranego ojca obok chaty, wziął z niej, co mu było potrzeba, a resztę spalił.

Stary Donaldson mawiał zawsze: „Kiedy odejdę, chłopcze, bierz, co chcesz. To wszystko będzie twoje”. Wziął więc ostry jak brzytwa nóż Bowie, z pochwą ozdobioną na modłę Czejenów, oraz karabin Sharp z 1852 roku; dwa konie, siodła, koce, parę pasków pemmikanu i suchary na drogę. Więcej nie potrzebował. Potem zjechał z gór na równinę i skierował się na północ, do Fort Ellis.

Przebywał tam, trudniąc się myślistwem, traperstwem i ujeżdżaniem koni, do kwietnia 1876 roku, kiedy to do fortu zawitał generał Gibbon. Generał potrzebował zwiadowców znających kraj na południe od rzeki Yellowstone. Oferował godziwą zapłatę, tak więc Ben Craig, niewiele myśląc, zaciągnął się pod jego sztandar.

Był obecny przy spotkaniu z generałem Terrym u ujścia rzeki Tongue i wrócił z połączonymi kolumnami Gibbona i Terry'ego do ujścia rzeki Rosebud. Tutaj zapadła decyzja, że Siódmy Pułk Kawalerii pod dowództwem Custera ruszy w górę rzeki, i zaczęto szukać ludzi, którzy znają język Czejenów.

Custer miał już co najmniej dwóch zwiadowców mówiących językiem Siuksów. Jednym z nich był jedyny w Siódmym Pułku czarnoskóry żołnierz Isaiah Dorman, który żył jakiś czas wśród Siuksów, a drugim dowódca zwiadowców Mitch Bouyer, mieszaniec, w połowie Francuz, w połowie Siuks. Ale chociaż Czejenów uważano za najbliższych kuzynów i tradycyjnych sprzymierzeńców Siuksów, to języki tych plemion znacznie się różniły. Craig podniósł rękę i generał Gibbon odkomenderował go do służby w Siódmym Pułku.

Gibbon proponował też Custerowi trzy dodatkowe szwadrony kawalerii pod majorem Brisbinem, ale oferta ta została odrzucona. Terry chciał mu dać działa Gatlinga, lecz Custer i za nie podziękował. Siódmy Pułk ruszał w górę Rosebud, w sile dwunastu szwadronów kawalerii plus sześciu białych zwiadowców, ponad trzydziestu zwiadowców z plemienia Kruków i Gołębi oraz taboru wozów i trzech cywili, w sumie sześciuset siedemdziesięciu pięciu ludzi, wliczając w to weterynarzy, kowali i woźniców.

Custer z ciężkim sercem zostawiał z Terrym swoją pułkową orkiestrę, bo oznaczało to, że tym razem nie ruszy do decydującej szarży przy dźwiękach marsza „Garryowen”, który tak bardzo sobie upodobał. Ale czajniki, garnki, kotły i chochle, zawieszane na burtach wozów aprowizacyjnych, obijając się o siebie, czyniły taki harmider, że Craig wątpił, by Custerowi udało się zaskoczyć Indian. Tę kocią muzykę oraz tumany kurzu, wzbijane przez trzy tysiące kopyt, słychać było i widać z odległości paru mil.

Przemarsz od Tongue do Resebud zajął dwa tygodnie, Craig miał więc sporo czasu, by przyjrzeć się słynnemu Siódmemu Pułkowi i jego legendarnemu dowódcy, a im dłużej się przyglądał, tym większe ogarniało go przygnębienie. Miał nadzieję, że nie natkną się na jakieś większe zgrupowanie gotowych do podjęcia walki Siuksów i Czejenów, obawiał się jednak, że to płonna nadzieja.

Kolumna posuwała się przez resztę dnia brzegiem Rosebud na południe, ale żadnych Indian już nie napotkano. Kilka razy jednak, kiedy od rozciągającej się na zachodzie prerii powiał wietrzyk, kawaleryjskie konie płoszyły się i Craig był pewien, że coś wyczuwają. Płonące tipi prędeż czy później ktoś zauważy. Bijącą w niebo kolumnę dymu widać było na prerii z odległości wielu mil. Czynniki zaskoczenia diabli wzięli.

O czwartej po południu generał Custer zarządził postój i kazał rozbić obóz. Słońce zaczynało się już opuszczać po nieboskłonie ku odległym i niewidocznym Góróm Skalistym. Szybko rozstawiono namioty dla oficerów. Custer ze swoimi przyjaciółmi zajmował zawsze największy i najprzestronniejszy namiot ambulatoryjny. Rozstawiono składane obozowe krzeselka i stoliki, napojono nad strumieniem konie, rozpalono ogniska, przygotowano posiłek.

Czejenka leżała na travois, wpatrzona w ciemniejące niebo. Była gotowa na śmierć. Craig podał jej manierkę z czystą wodą ze strumyka. Spojrzała na niego ogromnymi, czarnymi oczami.

- Pij - powiedział po czejeńsku.

Nawet nie drgnęła. Połał jej usta strumyczkiem chłodnej wody. Rozchyliła nieco wargi. Przełknęła. Położył manierkę obok niej.

O zmierzchu odnalazł go żołnierz ze Szwadronu B. Dziesięć minut później nadjechał kapitan Acton w towarzystwie sierżanta Braddocka, kaprała i dwóch żołnierzy. Zsiedli z koni i otoczyli travois.

Zwiadowcy przydzieleni do Siódmego Pułku - sześciu białych, mała grupka Kruków i około trzydziestu Arikarasów, zwanych również Gołębiami - trzymali się razem. Wszyscy dobrze znali pogrnicze i panujące na nim warunki.

Wieczorami, przed udaniem się na spoczynek, mieli zwyczaj gawędzić przy ognisku. Często obgadywali oficerów, z generałem Custerem i dowódcami szwadronów na czele. Craig dowiadywał się z zaskoczeniem, jak niepopularny jest generał wśród własnych ludzi. O wiele bardziej lubiano jego brata, Toma Custera, który dowodził Szwadronem C, a najbardziej znienawidzony był kapitan Acton. Craig podzielał tę antypatię. Acton był zawodowym żołnierzem, pochodził z zamożnej rodziny ze wschodu, do Siódmego Pułku zaś wstąpił zaraz po zakończeniu Wojny Domowej, czyli służył już w nim od dziesięciu lat, pozostając w cieniu Custera. Był to chudy mężczyzna o rzeźbionych rysach twarzy i wąskich ustach okrutnika.

- No, sierżancie - powiedział Acton - to wasz jeniec. Przekonajmy się, co wie.

- Ty znasz mowę tych dzikusów, tak? - zwrócił się sierżant Braddock do Craiga.

Zwiadowca kiwnął głową. - Spytaj ją, jak się nazywa, z jakiego jest plemienia i gdzie są główne siły Siuksów. Dalej!

Craig pochylił się nad dziewczyną leżącą na skórze bizona. Przemówił do niej w języku Czejenów, pomagając sobie gestami dłoni, dialekty Indian Równinnych mają bowiem ograniczony zasób słów i wszelkie braki trzeba nadrabiać gestykulacją.

- Powiedz, jak się nazywasz, dziewczyno. Nie obawiaj się, nic ci nie grozi.

- Mam na imię Wiatr Który Przemawia Cicho - odparła.

Padły kolejne pytania. Przysłuchujący się temu kawalerzyści nie rozumieli ani słowa. W końcu Craig się wyprostował.

- Mówi, że nazywa się Szepczący Wiatr, kapitanie. Jest z Czejenów Północnych, z rodziny Wysokiego Łosia. To jego namioty spalił dzisiaj rano sierżant. W wiosce było dziesięciu mężczyzn, wliczając w to jej ojca, ale w czasie ataku polowali na wschód od Rosebud na jelenie i antylopy.

- A główne zgrupowanie Siuksów?

- Ona mówi, że nie widziała Siuksów. Jej rodzina przybyła z południa, znad rzeki Tongue. Było z nimi więcej Czejenów, ale przed tygodniem się rozdzielili. Wysoki Łoś wolał polować sam.

Kapitan Acton schylił się i ścisnął mocno dziewczynę za obandażowane udo. Wciągnęła głośno powietrze przez zaciśnięte zęby, ale nie krzyknęła.

- Może trochę zachęty - powiedział Acton.

Sierżant się uśmiechnął. Craig ujął kapitana za nadgarstek i odciągnął jego rękę od nogi Indianki.

- To nic nie da, kapitanie - rzekł. - Powiedziała mi wszystko, co wie. Skoro orientujemy się, że Siuksów nie ma na północy, bo stamtąd przyszliśmy, i że nie ma ich na południu ani na wschodzie, to znaczy, że muszą być na zachodzie. Może pan tak powiedzieć generałowi.

Kapitan Acton oderwał dłoń zwiadowcy od swojego nadgarstka z taką odrazą, jakby miał do czynienia z trędowatym. Wyprostował się i wydobył z kieszonki zegarek w srebrnej kopercie.

- Zaraz kolacja w namiocie generała - powiedział. - Na mnie już pora. - Najwyraźniej stracił całe zainteresowanie pojmaną Indianką. - Sierzancie, kiedy się całkiem ściemni, wywieźcie ją w prerię i wykończcie.

- A możemy się z nią wpierw trochę zabawić, kapitanie? - spytał sierżant Braddock. Jego ludzie parsknęli śmiechem. Kapitan dosiadł konia.

- Prawdę powiedziawszy, sierzancie, gównu mnie obchodzi, co z nią zrobicie.

Dźgnął wierzchowca ostrogą i popędził w kierunku namiotu generała Custer. Reszta kawalerzystów też wskoczyła na konie. Sierżant Braddock nachylił się do Craiga.

- Dobrze jej pilnuj, chłopcze - wymruczał z wrednym uśmiechem. - Jeszcze tu wrócimy. Craig podszedł do najbliższego wozu aprowizacyjnego, wyfasował sobie talerz solonej wieprzowiny, sucharów i fasoli, poprosił o pudełko amunicji, usiadł na ziemi i zaczął się posilać. Wspominał matkę czytającą mu przed piętnastu laty Biblię w migotliwym blasku świecy. Wspominał ojca, cierpliwie, całymi godzinami, próbującego wypłukiwać drobinki żółtego metalu ze strumieni spływających z Pryor. I wspominał Donaldsona, który tylko jeden jedyny raz, kiedy przydybał go na okrutnym potraktowaniu schwytanego w sidła zwierzęcia, spuścił mu lanie pasem.

Tuż przed ósmą, kiedy ciemności nad obozem zgęstniały, wstał, odniósł metalowy talerz i łyżkę do wozu, po czym wrócił do travois. Bez słowa zdjął skrzyżowane żerdzie z końskiego grzbietu i opuścił sanie na ziemię.

Następnie wziął dziewczynę na rękę, bez wysiłku wsadził ją na konia, wcisnął w dłonie cugle i wskazał otwartą prerię.

- Jedź - burknął, a kiedy popatrzyła na niego zdziwiona, klepnął konia po zadzie i ten ruszył z kopyta. Po chwili rozplynął się w ciemnościach.

Te silne, wytrzymałe, niepodkute indiańskie konie potrafiły przemierzać niezmordowanie całe mile otwartej prerii, dopóki nie zwietrzyły zapachu swoich. Kilku zwiadowców z plemienia Gołębi przyglądało się ciekawie jego poczynaniom z odległości kilkunastu kroków.

Kawalerzyści wrócili o dziewiątej i dali upust swej wściekłości. Dwóch trzymało Craiga, sierżant Braddock okładał go pięściami, gdzie popadnie. Kiedy miał już dosyć, powlekił go przez obóz przed oblicze generała Custer, który siedział przed swoim namiotem w blasku paru lamp naftowych, w otoczeniu grupy oficerów.

George Armstrong Custer zawsze był enigmą. Ale nie ulega wątpliwości, że człowiek ten miał dwie strony - dobrą i złą, jasną i ciemną.

Od jasnej strony był pogodny, skory do śmiechu, lubował się w żartach i dobrym towarzystwie. Tryskał niewyczerpaną energią i witalnością, wciąż coś go absorbowало, czymś się pasjonował; to zbieraniem okazów dzikiej przyrody, które przesyłał do ogrodów zoologicznych na wschodzie, to znów zgłębianiem tajników sztuki wypychania zwierząt. Pomimo długich, idących w lata, rozłąk z ukochaną żoną Elizabeth, pozostawał jej niezłomnie wierny.



Zrażony do alkoholu jakimś młodzieńczym doświadczeniem, zachowywał całkowitą abstynencję, nie wypił nawet kieliszka wina do kolacji. Nigdy też nie przeklinał i nie tolerował w swojej obecności wulgarnego języka.

Przed laty, podczas Wojny Domowej, wykazał się tak niebywałą odwagą - tak kompletną pogardą dla śmierci - że szybko awansował z porucznika na generała majora Ochotniczych Wojsk Stanów Zjednoczonych. Po wojnie, przystając na obniżenie rangi do podpułkownika, przeszedł do mniejszej regularnej już armii. Nieraz szarżował na czele swych ludzi pod gradem kul, nigdy jednak nie został nawet draśnięty. Był bohaterem rzesz cywili, ale nie cieszył się zaufaniem ani sympatią własnych podkomendnych, nie licząc oficerów z najbliższego otoczenia.

Działo się tak dlatego, że potrafił być pamiętliwy i okrutny wobec tych, którzy mu się narazili. I choć sam wychodził z każdej opresji bez szwanku, to tylu co on ludzi, rannych i zabitych, nie wytracił żaden inny dowódca kawalerii w tej wojnie. Taka była cena jego graniczącej z szaleństwem brawury. Żołnierze nie przepadają za dowódcą, który szafuje bez troski ich życiem.

Podczas wojny na równinach stosował często karę chłosty; żaden inny dowódca na Zachodzie nie odnotował tak dużej liczby dezertujących. Stan osobowy Siódmego Pułku był regularnie uszczuplany przez opuszczające go pod osłoną nocy zięby, jak nazywano dezertorów. Jednostka wymagała ciągłego uzupełniania rekrutami, ale Custer nie zadawał sobie trudu, by szkolić tych ludzi i zrobić z nich karnych kawalerzystów z prawdziwego zdarzenia. Pomimo spędzenia jesieni i zimy w Fort Lincoln, w czerwcu 1876 roku Siódmy Pułk znajdował się w pożałowania godnej kondycji.

Custera cechowała próżność, a także wygórowane ambicje - wychodził z siebie, by przy każdej okazji promować swoją osobę na łamach gazet. Temu właśnie celowi podporządkowywał wiele ze swoich manieri zmów, takich jak strój z garbowanej bawolej skóry, długie płowe włosy powiewające na wietrze, a teraz należał do nich również dziennikarz Mark Kellogg, który towarzyszył idącemu w bój Siódmemu Pułkowi Kawalerii. Jako dowódca, generał miał dwie wady, które za kilka godzin miały kosztować życie i jego, i ludzi, którymi dowodził. Przede wszystkim notorycznie lekcewał przeciwnika. Miał opinię pogromcy Indian i sam się za takiego uważał. Prawda była taka, że osiem lat wcześniej, nad rzeką Washita w Kansas, zmiotł z powierzchni ziemi wioskę Czejenów, gdzie wodzem był Black Kettle, otaczając w nocy pogrążonych we śnie Indian i wyrzynając o świcie większość mężczyzn, kobiet i dzieci. Dodać należy, że Czejenowie podpisali właśnie nowy traktat pokojowy z białymi i byli pewni, że nic im nie grozi.

W następnych latach Custer stoczył jeszcze cztery drobne potyczki ze znajdującymi się na wojennej ścieżce grupkami Indian. Łączne straty przeciwnika nie przekraczały tuzina ludzi. W porównaniu z hekatombą Wojny Domowej, te lokalne utarczki z Indianami niewarte były nawet wzmianki. Ale czytelnicy na wschodzie byli spragnieni nowego bohatera, a w wymalowanym dzikusie z pogranicza widzieli demonicznego potwora.

Utrzymane w sensacyjnym tonie doniesienia gazet i jego własna książka, „My Life on the Plains”, przyniosły Custerowi sławę i uczyniły z niego postać legendarną.

Drugą jego wadą było to, że nikogo nie słuchał. W ekspedycji w górę rzeki Resebud towarzyszyło mu sporo doświadczonych zwiadowców, ale ignorował ich ostrzeżenia,

jedno po drugim. Tak prezentował się człowiek, przed którego oblicze, wieczorem 24 czerwca, przywleczono Bena Craiga.

Sierżant Braddock, powołując się na świadków, opowiedział, co się stało. Custer, siedzący w otoczeniu sześciu swoich oficerów, słuchał, przyglądając się winowajcy. Widział młodszego od siebie o dwanaście lat, rosnącego, odzianego w skóry mężczyznę o gęsto owłosionym torsie i oczach koloru indygo. W odróżnieniu od większości zwiadowców człowiek ten nie był ani czerwonoskórym, ani nawet mieszzańcem, ale na nogach, zamiast ciężkich kawaleryjskich butów z cholewami, miał miękkie skórzane mokasyny, a z opadającego mu na plecy warkoczyka, splecionego z paru pasm włosów, zwisało orle pióro z białym końcem.

- Bardzo, poważny zarzut - zwrócił się Custer do zwiadowcy, kiedy sierżant skończył. - Czy to prawda?

- Tak, generale.

- I czemuś to zrobił?

Craig opowiedział o przebiegu przesłuchania dziewczyny i o planach, jakie na tę noc mieli wobec niej kawalerzyści. Twarz Custer a ściągnęła się w wyrazie dezaprobaty.

- Nie pozwolę, żeby w moim pułku dochodziło do takich bezceństw, nawet ze squaw.

Czy to prawda, sierżancie?

Tu wtrącił się kapitan Acton, siedzący obok Custer a. Mówił gładko, bez zająknięcia.

Osobiście prowadził przesłuchanie. Ograniczał się tylko do pytań zadawanych za pośrednictwem tłumacza. Nie tknął nawet dziewczyny. Odjeżdżając, kazał jej pilnować przez całą noc, ale już nie maglować. Rano chciał poprosić generała, żeby zdecydował, co z nią zrobić.

- Mój sierżant może to potwierdzić - zakończył.

- Tak jest, tak właśnie było - przytaknął skwapliwie Braddock.

- Czyli wina udowodniona - orzekł Custer. - Ścisły areszt do czasu postawienia przed sądem wojennym. Poślijcie po sierżanta żandarmerii. Wypuściliście jeńca, Craig, i ona ostrzeże teraz główne siły nieprzyjaciela. To zdrada karana strykiem.

- Nie skierowała się na zachód - powiedział Craig. - Pojechała na wschód, szukać niedobitków swojej rodziny.

- Całkiem możliwe, że już w tej chwili zdradza wrogowi, gdzie jesteśmy - warknął Custer, jakby wcale go nie słuchał.

- Oni dawno wiedzą, gdzie jesteście, generale.

- Niby skąd?

- Jechali za wami przez cały dzień.

Na dziesięć sekund zapadła pełna konsternacji cisza. Nadszedł sierżant żandarmerii, wielki, rubaszny weteran nazwiskiem Lewis.

- Zabierzcie tego człowieka, sierżancie. Ścisły areszt. Jutro o wschodzie słońca zbierze się sąd wojenny. Wyrok zostanie wykonany natychmiast. To wszystko.

- Jutro dzień boży - zauważył Craig.

Custer się zastanowił.

- Masz rację. Nie powieszę człowieka w niedzielę. Odłożymy to do poniedziałku.

Siedzący obok Custera pułkowy adiutant, Kanadyjczyk, kapitan Cooke, protokołował skrętnie każde słowo. Wsunie później swoje notatki do torby przy siodle.

W tym momencie do namiotu podjechał jeden ze zwiadowców, Bob Jackson.

Towarzyszyło mu czterech Gołębi i jeszcze jeden zwiadowca z plemienia Kruków.

Dopiero teraz wracali z rekonesansu, na który wyruszyli wczesnym rankiem. Jackson był w połowie białym, w połowie Czarną Stopą z grupy Piegan. Jego meldunek poderwał Custera na nogi.

Tuż przed zachodem słońca indiańscy zwiadowcy Jack-sona znaleźli na prerii ślady po wielkim obozowisku - mnóstwo kolistych odcisków w trawie, gdzie stały tipi. Tropy prowadziły z obozu na zachód, czyli oddalały się od doliny Rosebud.

Podniecenie Custera miało dwie przyczyny. Generał Terry kazał mu w zasadzie podążać cały czas w górę rzeki Rosebud, ale zdawał się na jego ocenę bieżącej sytuacji i dopuszczał możliwość zmiany marszruty, gdyby po drodze zaistniały jakieś ważne, przemawiające za tym okoliczności. To było to. Custer, nie oglądając się na rozkazy, mógł teraz obmyślać i wprowadzać w życie własną strategię i taktykę, własny plan bitwy. Poza tym wszystko wskazywało na to, że wpadł wreszcie na trop głównych sił nieuchwytnych dotąd Siuksów. Dwadzieścia mil na zachód, inną doliną, płynęła na północ inna rzeka - Little Big Horn, wpadająca do Big Horn, a następnie, wraz z tą ostatnią, do Yellowstone.

Za dwa do trzech dni połączone siły Gibbona i Terry'ego dotrą do tego zlewiska, skręcając na południe i podążą w górę rzeki Big Horn. Siuksowie znaleźli się między młotem a kowadłem.

- Zwiąć obóz! - krzyknął Custer i oficerowie rozbiegli się do swoich oddziałów. - Będziemy maszerowali w nocy. - Zwracając się do sierżanta żandarmerii, dodał: - Odpowiadacie za więźnia, sierżancie Lewis. Przy wiążcie go do konia. I trzymajcie się blisko mnie. Niech widzi, jaki los spotka jego przyjaciół.

Maszerowali całą noc. Przez pofałdowany, dziki kraj, zostawiając za sobą dolinę Rosebud, wciąż pod górę, w kierunku zlewiska. Ludzie i konie coraz bardziej opadali z sił. Do zbiegu dwóch dolin dotarli w niedzielę, 25 czerwca nad ranem. Ciemności były smoliste, ale gwiazdy świeciły jasno. Zaraz za zlewiskiem natknęli się na strumień, który Mitch Bouyer zidentyfikował jako Dense Ashwood Creek. Spływał w dolinę, by wpaść tam do Little Big Horn. Kolumna ruszyła z jego biegiem.

Tuż przed świtem Custer zarządził postój, ale obozu nie kazał rozbijać. Zmęczeni ludzie pokładli się na gołej ziemi i próbowali złapać parę chwil snu.

Craig i sierżant żandarmerii jechali z oddziałem sztabowym zaledwie pięćdziesiąt jardów za Custerem. Craigowi pozwolono zatrzymać konia, ale sierżant Lewis zabrał mu karabin Sharp i nóż Bowie. Więzień miał ręce skrępowane rzemieniem na plecach, a kostki nóg przywiązane do popręgu siodła.

Lewis, który okazał się służbistą o ludzkich cechach, na postoju rozwiązał Craigowi nogi i pozwolił mu zejść z konia. Ręk mu nie rozwiązał, lecz dał pociągnąć parę łyków wody ze swojej manierki. Dzień znowu zapowiadał się skwarny.

Na tym właśnie postoju Custer podjął decyzję, pierwszą z wielu głupich decyzji, które powziął tego dnia. Wezwał do siebie swojego drugiego zastępcę kapitana Fredericka

Benteena, kazał mu wziąć trzy szwadrony - H, D i K - i udać się z nimi na południe, celem przeprowadzenia rekonesansu. Siedzący kilka jardów od nich Craig słyszał, jak Benteen, którego uważał za najbardziej doświadczonego żołnierza w pułku, protestuje przeciwko temu rozkazowi. Czy rozsądnie jest rozpraszać siły, skoro istnieje podejrzenie, że przed sobą, nad brzegami Little Big Horn, mają duże zgrupowanie wroga?

- Proszę wykonać rozkaz! - warknął Custer i odwrócił się. Benteen wzruszył ramionami i zrobił, co mu kazano. Z około sześciuset żołnierzy Custer a stu pięćdziesięciu pojechało uganiać się po wzgórzach i dolinach nie wiadomo za czym.

Craig i sierżant Lewis nigdy nie mieli się o tym dowiedzieć, ale Benteen wrócił kilka godzin później ze swoimi zmęczonymi ludźmi na zmęczonych koniach w dolinę rzeki, za późno jednak, by pomóc, lecz również za późno, by podzielić tragiczny los towarzyszy. Po wydaniu tego rozkazu Custer zarządził wymarsz i Siódmy Pułk ruszył dalej brzegiem strumienia w kierunku rzeki.

Na godzinę przed świtem wrócili wysłani przodem zwiadowcy z plemion Kruków i Gołębi. Niedaleko miejsca, gdzie strumień Dense Ashwood Creek wpadał do rzeki, znaleźli porośnięte sosnami wzgórze. Z drzew tych rozciągał się widok na całą dolinę.

Dwaj Gołębie, którzy się na nie wspięli i rozejrzeli po okolicy, słysząc, że Custer zamierza kontynuować marsz, usiedli i zaintonowali pieśni śmierci.

Wzeszło słońce. Robiło się coraz upalniej. Generał Custer, jadący przed Craigiem w kremowym stroju z bawolej skóry, ściągnął kurtkę, zrolował ją i przytroczył za sobą do siodła. Został w granatowej bawełnianej koszuli, oczy ocieniał mu szerokoskrzydły kremowy kapelusz. Kolumna dotarła do wzgórza.

Custer wjechał do połowy stoku i uniósł do oka lunetę. Znajdowali się nad strumieniem, trzy mile od jego ujścia do rzeki. Kiedy generał, zjechawszy ze wzgórza, naradzał się ze swoimi oficerami, po kolumnie rozeszła się plotka, że widział fragment wioski Siuksów i unoszące się nad nią dymy z ognisk. Był już późny ranek. Po drugiej stronie strumienia, a na wschód od rzeki, rozciągały się niskie wzgórza zasłaniające wszystko, co znajdowało się za nimi na poziomie gruntu. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Custer znalazł Siuksów. Nie wiedział dokładnie, ilu ich jest, ale nie chciał nawet słuchać ostrzeżeń swoich zwiadowców. Podjął już decyzję o ataku. Był to jedyny manewr w jego osobistym leksykonie.

W swoim planie bitwy zakładał wzięcie nieprzyjaciela w kleszcze. Zamiast zabezpieczyć południową flankę i zaczekać na idących od północy Terry'ego i Gibbona, postanowił utworzyć dwie połówki tych kleszczy z tego, co mu zostało z Siódmego Pułku Kawalerii. Ben Craig, przywiązany do konia i czekający na sąd wojenny, przed którym miał stanąć po bitwie, słyszał, jak generał każe swojemu zastępcy majorowi Marcusowi Reno wziąć kolejne trzy szwadrony - A, M i B - i maszerować z nimi dalej na zachód. Mieli dotrzeć do rzeki, przepłynąć się przez nią, skręcić w prawo i przypuścić szarżę na wioskę od południa.

Custer zostawiał jeden szwadron do ochrony taboru. Z pozostałymi pięcioma zamierzał pogalopować na północ, okrążyć wzgórze, pojechać kawałek z biegiem rzeki, przepłynąć się przez nią i spaść na Siuksów od północy. Indianie wzięci w dwa ognie między trzy

szwadrony Reno i pięć jego szwadronów znajdują się w potrzasku i zostaną wybici do nogi.

Craig nie miał pojęcia, co kryją przed wzrokiem niskie wzgórza, ale widział zachowanie indiańskich zwiadowców. Oni wiedzieli, co tam jest, i gotowali się na śmierć. Ujrzeni największe zgromadzenie Siuksów i Czejenów, do jakiego kiedykolwiek doszło i już nigdy nie miało dojść. Ściągnęło tutaj, by w zgodzie polować, sześć wielkich plemion.

Obozowały teraz na zachodnim brzegu rzeki Little Big Horn. Było tam od dziesięciu do piętnastu tysięcy Indian ze wszystkich koczujących na równinach plemion.

Poza tym Craig wiedział, że wszyscy mężczyźni ze społeczności Indian Równinnych są między piętnastym a czterdziestym rokiem życia wojownikami. Wojownicy stanowili zatem jedną szóstą populacji każdego Równinnego plemienia. Wynikało z tego, że za rzeką jest ich ze dwa tysiące, i nie było się co łudzić, że dadzą się potulnie odprowadzić do jakiegokolwiek rezerwatu, skoro dotarła do nich właśnie wieść, że równiny na północnym zachodzie roją się od jeleni i antylop.

Co gorsza, o czym nikt jeszcze nie wiedział, tydzień wcześniej starli się z generałem Crookiem i pokonali go. Podbudowani tym zwycięstwem, nie czuli już teraz takiego respektu przed odzianymi w granatowe kurtki żołnierzami. Nie wyruszyli też rankiem na łowy, jak uczynili to poprzedniego dnia mężczyźni z obozu Wysokiego Łosia. 24 czerwca wieczorem świętowali zwycięstwo odniesione siedem dni wcześniej nad Crookiem.

A świętowali je dopiero teraz, bo przez cały tydzień oplakiwali swoich poległych w tamtej bitwie. I rankiem 25 czerwca wojownicy zmęczeni tańcami, które przeciągnęły się do późnej nocy, nie pojechali na polowanie. Mało tego, nie zmyli jeszcze z ciał barw wojennych.

Craig podejrzewał również, że wioska nie śpi i jej mieszkańców nie da się zaskoczyć, tak jak przed ośmioma laty Black Kettle'a nad rzeką Washita. W południe Custer po raz kolejny i ostatni w życiu rozdzielił swe siły.

Zwiadowca odprowadzał wzrokiem kawalerzystów majora Reno, zdążających brzegiem strumienia ku jego ujściu do rzeki. Kapitan Acton, na czele szwadronu B, mijając człowieka, którego skazał praktycznie na śmierć, zerknął nań i uśmiechnął się pod wąsem. Jadący za nim sierżant Braddock rzucił Craigowi mściwe spojrzenie. Za dwie godziny obu nie będzie już wśród żywych, a niedobitki trzech szwadronów Reno, broniąc się rozpaczliwie na szczycie wzgórza, wypatrywać będą daremnie nadciągającego z odsieczą Custera. Ale Custer nie przyjdzie im w sukurs, i dopiero dwa dni później wybawi ich z opresji generał Terry.

Craig patrzył za stu pięćdziesięcioma ludźmi, którzy, oddalając się brzegiem strumienia, uszczuplali jeszcze bardziej główne siły. Nie był żołnierzem, ale nawet jemu ta zbieranina nie wyglądała na wojsko z prawdziwego zdarzenia. Trzydzieści procent pułku Custera stanowili nieprzeszkoleni rekruci. Byli wśród nich i tacy, którzy z ledwością radzili sobie ze spokojnym koniem, a już na pewno stracą nad nim panowanie w ogniu walki. Inni nie zdążyli jeszcze przyswoić sobie tajników posługiwania się karabinami Springfield, w które byli wyposażeni.

Kolejne czterdzieści procent, choć służyło od dawna, nie strzelało jeszcze nigdy w bitewnym ferworze do Indian, nie brało nigdy udziału w potyczce z nimi, a niejeden

widział ich do tej pory tylko w rezerwach, gdzie byli posłuszni i ulegli. Craig był ciekaw, jak się zachowają, kiedy runie na nich wyjąca, wymalowana horda broniąca swoich kobiet i dzieci. Miał jak najgorsze przeczucia i wkrótce okazało się, że uzasadnione. Lecz wtedy było już o wiele za późno.

Wiedział też, że Custer jeszcze jednego czynnika nie wziął pod uwagę. Wbrew rozpowszechnionej opinii, Indianie cenili sobie życie. Nawet na wojennej ścieżce starali się minimalizować straty własne i zazwyczaj rezygnowali z dalszej walki, kiedy padał drugi albo trzeci z ich najlepszych i najmężniejszych ludzi. Ale dzisiaj Custer atakował ich rodziców, ich żony i dzieci. Honor nie pozwoli wojownikom zaprzestać walki, dopóki nie padnie martwy ostatni wasichu, biała twarz. Tu nie będzie litości.

Kiedy opadł kurz po idących w bój szwadronach Reno, Custer zostawił jeden szwadron przy taborach, a sam, na czele pięciu pozostałych - E, C, L, I oraz F - ruszył na północ pod osłoną wzgórz, które czyniły go niewidocznym dla Indian, ale również Indian niewidocznych dla niego.

- Zabierz więźnia! - krzyknął jeszcze do sierżanta żandarmerii. - Niech popatrzy, jak Siódmy rozprawia się z jego przyjaciółmi.

Potem odwrócił się i pokłusował na północ, a za nim pięć szwadronów, w sumie około dwustu ludzi. Najwyraźniej generał nie był świadomy grożącego mu niebezpieczeństwa, bo zabierał ze sobą trzech cywili, którym chciał pokazać, jak rozprawia się z dzikusami - dziennikarza, wątłej postury okularnika Marka Kellogga, swojego najmłodszego, dwiętnastoletniego brata Bostona Custer a oraz szesnastoletniego siostrzeńca Autiego Reeda. I podczas gdy obecność tego pierwszego dało się jeszcze jakoś zrozumieć, to narażanie krewnych, za których powinien przecież czuć się odpowiedzialny, była co najmniej dziwna.

Pułk posuwał się dwójkami, kolumną rozciągniętą na blisko pół mili. Za Custerem jechał jego adiutant, kapitan Cooke, a za nim ordynans generała, żołnierz John Martin, który pełnił również obowiązki pułkowego trębacza. Naprawdę nazywał się Giuseppe Martino, był włoskim imigrantem, swego czasu trębaczem Garibaldi a, i słabo władał językiem angielskim. Sierżant Lewis i skrępowany Ben Craig kłusowali kilkanaście jardów za Custerem.

W pewnej chwili generał odwrócił się w siodle i spojrzał za siebie. Major Reno przeprowadzał się właśnie ze swoimi ludźmi przez Little Big Horn, by zaatakować od południa. Wzrok Custer a przyciągnęły posępne miny zwiadowców z plemion Gołębi i Kruków. Zaproponował im, żeby zawrócili. Nie kazali sobie tego drugi raz powtarzać. Przeżyli.

Trzy mile dalej pułk wspiał się na wzgórze po lewej i mogli wreszcie spojrzeć w dolinę. Craig usłyszał, jak wielki sierżant prowadzący za uzdę jego konia, wciąga z sykiem powietrze i mruczy: „Słodki Jezu”. Za rzeką rozciągało się ogromne morze tipi. Craig nawet z tej odległości rozpoznawał kształty namiotów i charakterystyczne dla poszczególnych plemion barwy, jakimi je ozdobiono. Z tego, co widział, wynikało, że Równinni Indianie podróżowali na północ kolumną, plemię za plemieniem, i zatrzymawszy się tutaj przed kilkoma dniami, rozbili sześć oddzielnych obozów. Tak więc całe obozowisko było długie i wąskie i składało się z sześciu kręgów tipi. Zaszczyt

przecierania szlaku przypadł w udziale Czejenom Północnym, w związku z czym ich wioska wysunięta była najdalej na północ. Po sąsiedzku obozowali najbliżsi sprzymierzeńcy tego plemienia: Siuksowie Oglala, za nimi Siuksowie Sans Arc, a dalej Czarne Stopy. Przedostatnia wioska należała do Minneconjou, a ostatnia, wysunięta najdalej na południe, atakowana już przez majora Reno, do Hunkpapa, których wodzem był wielki szaman Siuksów, weteran Sitting Bull, Siedzący Byk.

Oprócz tych sześciu wielkich plemion byli tam również przedstawiciele Siuksów Santee, Brule i Assiniboin. Ci obozowali razem z najbliższymi krewnymi. Siódmy Pułk nie mógł tego zobaczyć, bo widok przesłaniały wzgórza, ale atak majora Reno na południowy skraj wioski Sitting Bulla skończył się katastrofą. Hunkpapa, chwyciwszy za broń, wysypali się tłumnie z namiotów, dosiedli koni i rzucili do kontrataku.

Dochodziła druga po południu. Konni wojownicy bez trudu i umiejętności oskrzydłili od lewej ludzi Reno i zepchnęli ich między topole rosnące nad brzegiem rzeki, którą ci niedawno sforsowali.

Część kawalerzystów zeskoczyła tam z koni, inni, tracąc panowanie nad swoimi wierzchowcami, pospadali z nich. Niektórzy pogubili karabiny, które Hunkpapa skwapliwie wy zbierali. Za parę minut niedobitki zmuszone zostaną do wycofania się na drugi brzeg, gdzie schronią się na wzgórzu i oblężeni, będą się bronić przez całe trzydzieści sześć godzin.

Craig obserwował z odległości kilku jardów generała Custer a lustrującego widoczny fragment przedpola. W obozach roilo się od squaw i dzieci, ale wojowników nie było tam widać. Pogromca Indian uznał to za miłą niespodziankę.

- Zjeżdżamy, przeprawiamy się przez rzekę i zajmujemy wioskę - powiedział do dowódców szwadronów, którzy się wokół niego zbrali.

Potem przywołał kapitana Cooke'a i podyktował mu wezwanie adresowane nie do kogo innego, tylko do kapitana Benteena, którego dawno temu sam wysłał na poszukiwanie wiatru w polu. Wezwanie zapisane naprędce przez Cooke'a brzmiało: „Wracaj. Duża wioska. Pospiesz się. Weź pakunki”. Generał miał na myśli dodatkową amunicję. Z rozkazem tym pchnął trębacz a Martina, który dzięki temu przeżył i opowiedział potem, jak było.

Włoch dotarł jakimś cudem do Benteena, bo ten inteligentny oficer sam zrezygnował z bezsensownego uganiania się po wertepach, wrócił nad strumień i ostatecznie dołączył do obleganych na wzgórzu ludzi Reno. Ale wtedy nie było już mowy o przebiciu się do zgubionego Custer a.

Craig odwrócił się w siodle, by popatrzeć za odjeżdżającym Martinem, i zauważył, że dwudziestu czterech ludzi ze szwadronu F kapitana Yates a też zawraca konie i samowolnie odłącza się od pułku. Nikt nie próbował ich zatrzymać. Craig zerknął znowu na Custer a. Czy już nic nie było w stanie się przebić do tego zakutego łba? Generał stanął w strzemionach, zerwał z głowy kremowy kapelusz i zawołał do swoich żołnierzy:

- Hurr a, chłopcy, mamy ich!

Były to ostatnie słowa, jakie słyszał z jego ust oddalający się Włoch. Powtórzył je potem przed komisją wojskową. Craig zauważył, że jak wielu jasnych blondynów,

trzydziestosześcioletni Custer ma już na czubku głowy zaczątki łysiny. Indianie nazywali generała „Długie Włosy”, ale on na tę letnią kampanię ostrzygł się na krótko. Może właśnie dlatego squaw z plemienia Oglala krążące później po pobojowisku nie rozpoznały jego trupa, a wojownicy nie uznali go za wartego oskalpowania.

Wykrzyczawszy tę złotą myśl, Custer spiął konia ostrogami i ruszył z kopyta, a za nim podążyło posłusznie dwustu dziesięciu kawalerzystów, bo tylko tylu mu jeszcze zostało. Nieco dalej na północ teren trochę łagodniej opadał ku brzegowi rzeki i lepiej nadawał się do przeprowadzenia szarży. Pokonawszy pół mili, kolumna, szwadron za szwadronem, wykręciła w lewo i zaczęła zjeżdżać w dolinę, by przeprowić się tam przez rzekę i z marszu przejść do natarcia. I wtedy w wiosce Czejenów zawrzało.

Między namiotami w jednej chwili zaroilo się od wojowników. Pomalowani w wojenne barwy, w większości nadzy do pasa, niczym rój szerszeni, z charakterystycznym dla siebie, ogłuszającym, świdrującym w uszach jodłowaniem, dopadli do rzeki i w rozbryzgach wody błyskawicznie ją sforsowali. Pięć zjeżdżających ze stoku szwadronów zatrzymało się na ten widok raptownie.

Jadący obok Craiga sierżant Lewis ściągnął cugle i znowu wymruczał: „Słodki Jezu”. Znalazszy się na wschodnim brzegu, Czejenowie zeskakiwali z koni i spieszeni gnali dalej pod górę skokami, przypadając co kilka kroków do ziemi i znikając w wysokiej trawie. Na kawalerię zaczęły spadać pierwsze strzały. Koń ugodzony jedną z nich w bok zakwiczął z bólu i stanął dęba, zrzucając jeźdźca.

- Z koni! Konie do tyłu! - wrzasnął Custer.

Posłuchano go w okamgnieniu. Craig zauważył, że co roztrośniejsi żołnierze wyszarpują z kabur colty.45, strzelają swoim wierzchowcom w głowę i kryją się za padłymi zwierzętami.

Wzgórze było kompletnie łyse. Nie uświadczyło się na nim ani jednego większego kamienia, nie mówiąc już o głazie, za którym można by znaleźć schronienie. Żołnierze wyznaczeni przez dowódcę każdego szwadronu do odprowadzenia na tyły koni chwytali za uzdy po kilka i wracali biegiem na szczyt wzgórza. Sierżant Lewis też zawrócił i pociągając za sobą Craiga, pokłusował w ślad za nimi. Wmieszali się w kłębowisko spłoszonych kawaleryjskich wierzchowców, z którymi szamotała się grupka żołnierzy. Zwierzęta zaczynały już wietrzyć zapach Indian. Parskały zaniepokojone, rzucały łbami, stawały dęba, podrywając w powietrze tych, którzy je trzymali. Lewis i Craig spojrzeli z siodła na pole bitwy. Po pierwszym zamieszaniu zapanował tam względny spokój. Ale Indianie bynajmniej nie zrezygnowali; przeprowadzali po prostu manewr oskrzydający. Mówiono później, że tego dnia Custer został pokonany przez Siuksów. Nieprawda. Większość frontalnych ataków przeprowadzili Czejenowie. Ich kuzyni, Siuksowie Oglala, odstąpili im przywilej obrony własnej wioski, bo to ona leżała na kierunku natarcia Custer, i wspierali ich tylko, zachodząc nieprzyjaciela z flank, by odciąć mu drogę odwrotu. Ze swojego punktu obserwacyjnego Craig widział Oglala przemykających wśród traw daleko z lewa i z prawa. Po niespełna dwudziestu minutach o odwrocie nie było już co marzyć. Świszczące pociski i bzykające strzały padały coraz bliżej. Jeden z opiekunów koni, charcząc i krztusząc się, runął na ziemię jak ścięty, z gardłem przeszytym strzałą.



Indianie mieli trochę karabinów, a nawet parę starych strzelb skałkowych, ale nie było tego wiele. Pod wieczór uzupełnił swój arsenał o nowiutkie springfieldy i colty. Używali głównie łuków, co z ich punktu widzenia miało swoje dwie dobre strony. Po pierwsze łuk jest bronią cichą i nie zdradza pozycji strzelającego. Wiele granatowych kurtek zginęło tego popołudnia ugodzonych w pierś strzałą, która nadleciała nie wiadomo skąd. Druga zaleta łuku polegała na tym, że wypuszczona w niebo chmura strzał po osiągnięciu apogeum spadała niemal pionowo śmiercionośnym deszczem na kawalerzystów. Ostrzał taki był szczególnie niebezpieczny dla koni. Spadające strzały w ciągu niespełna godziny zraniły ich kilkanaście. Trafione zwierzęta wyrwały się trzymającym je za uzdy opiekunom i przerażone pędziły na oślep w prerię. Inne, choć nietknięte, szły za ich przykładem. Na długo przed śmiercią ostatniego kawalerzysty uciekły wszystkie konie, a wraz z nimi nadzieja na wydostanie się z okrążenia. Wśród żołnierzy zaczął się szerzyć pożar paniki. Garstka weteranów i zawodowych podoficerów po prostu nie była w stanie utrzymać ich w ryzach.

Wioska Czejenów należała do Małego Wilka, ale jego od paru dni nie było. Kiedy wrócił godzinę po bitwie, lżono go za to, że nie wziął w niej udziału. Nie do końca słusznie, bo to on dowodził grupą zwiadowców, która szła śladem Custera posuwającego się w górę rzeki Rosebud, a potem przecinającego forsownym marszem rozwidlenie, by dotrzeć do Little Big Horn.

Pod jego nieobecność dowództwo przeszło na następnego pod względem starszeństwa wojownika, gościa z Czejenów Południowych, imieniem Kulawy Biały Człowiek. Liczył on sobie trzydzieści kilka lat i nie był ani kulawy, ani biały. Kiedy kilkudziesięciu żołnierzy z oficerem na czele podjęło próbę przebicia się do rzeki, samotnie zastąpił im drogę, łamiąc tym ich morale i ginąc bohaterską śmiercią. Nikt z tej grupy nie zdołał się już wycofać do pozycji obronnych na zboczach. Ich towarzysze, patrząc bezsilnie, jak umierają, stracili resztkę nadziei na ocalenie.

Lewis i Craig słyszeli ze szczytu wzgórza modlących się i płaczących w obliczu śmierci żołnierzy. Jeden, prawie jeszcze chłopiec, zawodząc jak dziecko, zerwał się z ziemi i pobiegł ku szczytowi, na którym pozostały dwa konie. Ubiegłszy kilka kroków, padł w przedśmiertnych drgawkach na ziemię, z czterema strzałami w plecach.

Siedzący wciąż na koniach Lewis i Craig znaleźli się teraz w zasięgu strzał; już kilka minęło ich ze świstem. Na stoku pozostało jeszcze przy życiu może pięćdziesięciu, może stu ludzi, ale z pewnością co najmniej połowa z nich odniosła już rany czy to od strzały, czy od kuli. Co rusz jakiś pragnący wykazać się męstwem wojownik wskakiwał na konia, przemykał między klęczącymi na ziemi żołnierzami, ściągając na siebie chaotyczny ogień, i oddalał się nawet nie draśnięty, za to w glorii chwały. I zawsze z tym świdrującym w uszach jodłowaniem.

Żołnierze brali to za okrzyk wojenny. Craig wiedział, że tak nie jest. Indianie szarżowali z okrzykiem śmierci na ustach. Powierzali swoją duszę opiece Wszechobecnego Ducha. Ale tym, co naprawdę doprowadziło tego dnia do zguby Siódmy Pułk Kawalerii, był strach przed dostaniem się do niewoli i torturami. Każdemu żołnierzowi kładziono do głowy przerażające opisy męczarni, w jakich konają jeńcy Indian. Niewiele było w tym prawdy.

Indianie Równinni nie mieli zwyczaju brać jeńców wojennych. Nie leżało to w ich tradycji. Ale przeciwnik mógł się poddać z honorem, jeśli stracił połowę swoich ludzi. Po siedemdziesięciu minutach Custer na pewno spełniał już ten warunek. Jeśli jednak przeciwnik nie składał broni, wybijano go zazwyczaj do nogi.

Wziętego żywcem jeńca torturowano tylko w dwóch wypadkach. Po pierwsze, jeżeli rozpoznano w nim człowieka, który złożył wcześniej formalną przysięgę, że nie będzie występował zbrojnie przeciwko Indianom tego plemienia, i nie dotrzymał słowa. Po drugie, jeśli walczył po tchórzowsku i zasłużył tym sobie na najwyższą pogardę. W obu wypadkach uznawany był za człowieka bez honoru.

W kulturze Siuksów i Czejenów honor ten mogło przywrócić znoszenie fizycznego bólu z podniesionym czołem i ze stoicyzmem. Kłamcom i tchórzom należało dać tę szansę, zadając im cierpienie. Custer przysiągł kiedyś Czejenom, że nigdy nie będzie przeciwko nim walczył. Dwie squaw z tego plemienia, rozpoznawszy go potem między poległymi, przebiły mu bębenki uszu stalowymi szydłami. Żeby lepiej słyszał. Następnym razem. W miarę jak zaciskał się pierścień Czejenów i Siuksów, coraz większa panika ogarniała pozostałych przy życiu. Bitwy w tamtych czasach nigdy nie były staczane przy dobrej widoczności; nie wynaleziono jeszcze bezdymnej amunicji. Po godzinie wzgórze spowijała już mgła prochowego dymu, a pod osłoną tej mgły nadchodzili dzicy. Wyobraźnia pracowała pełną parą. Po latach angielski poeta napisze:

Kiedy cię na afgańskich równinach porzucą rannego  
I przyjdą kobiety wnętrzości wypruć z brzucha twego,  
Po karabin swój sięgnij, w łeb se palnij z niego,  
I do Boga swego odejdz jak żołnierz.

Żaden z żołnierzy na stoku nie mógł słyszeć tych strof Kiplinga, bo jeszcze nie powstały, ale tak właśnie robili. Do uszu Craiga dobiegły pierwsze pojedyncze wystrzały z rewolwerów; to ranni odbierali sobie życie, by uniknąć tortur. Spojrzał na sierżanta Lewisa.

Ten twarz miał pobladłą, z trudem panował nad przestraszonym koniem. Drogę odwrotu mieli odcięta; u podnóża wzniesienia roilo się od Siuksów Oglala.

- Nie dacie mi chyba umrzeć spętanemu jak wieprz, sierżancie! - zawołał do niego zwiadowca. Lewis spojrział, pomyślał i machnął ręką na służbistość. Zeskoczył z konia, dobył noża i przeciął rzemienie, którymi kostki Craiga przywiązano do taśmy popręgu. I w tym momencie niemal równocześnie nastąpiły trzy zdarzenia. W piersi sierżanta utkwily dwie strzały wystrzelone z odległości nie większej niż sto stóp. Spojrzał na nie zdziwiony, potem kolana się pod nim ugięły i nie wypuszczając noża z ręki, osunął się na ziemię.

Z wysokiej trawy podniósł się wojownik Siuksów i z jeszcze mniejszej odległości wypalił do Craiga z zabytkowego skałkowego muszkietu. Najwyraźniej podsypał za dużo prochu, chcąc uzyskać większy zasięg rażenia. Co gorsza, zapomniał wyciągnąć wycior z lufy. Wyrwany ognistą eksplozją zamek strzaskał Indianinowi na krwawą miążgę prawą dłoń. Gdyby strzelał z ramienia, urwałoby mu chyba głowę, on jednak strzelał z biodra.

Wycior wyprysnął z lufy jak rozedrgany harpun, trafił konia Craiga w pierś i przebił mu serce. Craig usiłował zeskoczyć, ze skrępowanymi wciąż rękoma, z padającego zwierzęcia. Wylądował na plecach, uderzył potylicą o jakiś kamień i stracił przytomność. Dziesięć minut później na wzgórzu Custer a padł ostatni żołnierz. Nieprzytomny zwiadowca tego nie widział, ale koniec nadszedł błyskawicznie. Wojownicy Siuksów będą później opowiadali, jak to kilkudziesięciu niedobitków stawiało wciąż zacięty opór i nagle, w jednej chwili, Wszechobecny Duch po prostu zmiotł ich co do jednego. W rzeczywistości większość „sięgnęła po swój karabin” albo posłużyła się coltem. Jedni wyświadczyli tę przysługę rannym kolegom, inni sobie.

Ben Craig ocknął się, z szumem w uszach i zawrotami głowy. Uchylił powiekę. Leżał na boku z policzkiem przyciśniętym do ziemi i ze związanymi na plecach rękoma. Żdźbła trawy łaskotały go w twarz. Doszedłszy trochę do siebie, usłyszał dobiegające zewsząd stapanie miękko obutych stóp, podniecone rozmowy i rozlegające się raz po raz okrzyki tryumfu. Wzrok z wolna mu się wyostrzał.

Widział gołe nogi i stopy w mokasynach uwijające się po wzgórzu. To Siuksowie zbierali łupy i trofea. Jeden z nich zauważył, że zwiadowca otworzył oczy. Wrzasnął tryumfalnie, doskoczył do niego i poderwał do pozycji siedzącej.

W chwilę później Craiga otaczało już czterech wojowników o pomalowanych twarzach wykrzywionych wciąż w szale zabijania. Zobaczył nad sobą kamienną maczugę bojową, która za chwilę roztrzaska mu głowę. Siedział tak przez sekundę, czekając na śmierć i zastanawiając się beznamyślnie, co też zastanie po drugiej stronie życia. Ale cios nie spadł.

- Stać - warknął ktoś.

Craig podniósł wzrok. Ujrzał mężczyznę na koniu, przyglądającego się mu z odległości trzech kroków. Oślepiony blaskiem chylącego się ku zachodowi słońca, które stało tuż nad barkiem jeźdźcy, widział tylko jego sylwetkę.

Rozpuszczone włosy spływały nieznajomemu czarną kaskadą na ramiona i plecy. Nie miał włóczni ani nawet stalowego toporka, nie był więc Czejenem.

Koń mężczyzny przesunął się trochę w bok, słońce skryło się za ramieniem i przestało oślepieć. Cień jeźdźcy padł na twarz Craiga i ten mógł mu się nareszcie przyjrzeć.

W odróżnieniu od większości indiańskich wierzchowców, koń nie był ani srokaty, ani łaciaty. Był jasnopłowy; taką maść nazywano złotokozłową. Craig słyszał o tym koniu. Dosiadający go mężczyzna był nagi, jeśli nie liczyć krótkiej biodrowej przepaski i mokasynów. Odziany był więc jak zwyczajny wojownik, ale bił od niego autorytet wodza. Na lewym ramieniu nie nosił tarczy, tak jakby miał w pogardzie ochronę swojej osoby, ale u lewej dłoni zwiślała mu maczuga bojowa. A więc Siuks.

Maczuga bojowa była bronią straszliwą. Składała się z długiego na osiemnaście cali trzonka, z rozwidleniem na końcu. W to rozwidlenie wciskano gładki kamień wielkości dużego gęsiego jaja. Kamień mocowano do trzonka rzemieniami, które następnie zwilżano. Schnące na słońcu rzemienie kurczyły się i mocno zaciskały, zabezpieczając kamień przed wypadnięciem. Uderzenie taką maczugą miażdżyło ręce, barki albo żebra, rozłupywało ludzką czaszkę jak skorupę orzecha. Nadawała się tylko do walki na małą odległość, a więc posługiwanie się nią przynosiło wielki honor.

Mężczyzna odezwał się w języku Siuksów Oglala, najbardziej zbliżonym do języka Czejenów. Zwiadowca dosyć dobrze znał ten język.

- Dlaczego związaście w ten sposób wasichul

- To nie my, Wielki Wodzu. Znaleźliśmy go związanego przez swoich.

Spojrzenie czarnych oczu przesunęło się na rzemienie zwisające z kostek Craiga.

Indianin zauważył je, ale nic nie powiedział. Siedział na koniu zatopiony w myślach. Tors i ramiona wymalowane miał w kółka symbolizujące ziarenka gradu, a od linii włosów do zeszpeconego blizną po pocisku podbródka biegła czarna błyskawica. Żadnych innych ozdób nie nosił, lecz Craig już wiedział, kto to jest. Miał przed sobą legendarnego Crazy Horse'a, Szalonego Konia, od dwunastu lat niekwestionowanego wodza Siuksów Oglala, którym został, mając dwadzieścia sześć lat, człowieka czczonego za swoją nieustraszoną, mistycyzm i ascetyzm.

Znad rzeki powiała wieczorna bryza. Zmierzwiała wodzowi włosy i rozfalowała wysokie trawy, wydmuchnęła też zza głowy zwiadowcy koniec wpiętego w warkoczyk orlego pióra; spoczęło końcem na ramieniu skórzanej kurtki. To pióro Crazy Horse również zauważył. Było świadectwem uznania, wyrażanego w ten sposób przez Czejenów.

- Niech żyje - zdecydował. - Zaprowadźcie go do wodza Sitting Bulla. On postanowi, co z nim zrobić.

Wojownicy byli wyraźnie rozczarowani utratą tak znacznego łupu, ale posłuchali.

Podźwignęli Craiga z ziemi i pognali go w dół stoku, ku rzece. Uszedłszy z nimi pół mili, zobaczył pobojowisko.

Stok wzgórza usiany był leżącymi w nienaturalnych pozach śmierci trupami dwustu dziesięciu ludzi z pięciu szwadronów, minus zwiadowcy i dezercerzy. Indianie odzierali je ze wszystkiego, po czym dokonywali rytualnych okaleczeń, każde plemię innych.

Czejenowie cięli nożami nogi, żeby martwy nie mógł ich ścigać, Siuksowie rozbijali na miazgę czaszki i twarze kamiennymi maczugami. Inni odrąbywali zabitym ręce, nogi i głowy.

Pięćdziesiąt kroków dalej zwiadowca dostrzegł zwłoki George'a Armstronga Custer.

Generał leżał nagi, w samych tylko skarpetkach, posągowo biały w promieniach zachodzącego słońca. Nie okaleczono go, nie licząc przebitych bębenków, i tak zostanie znaleziony przez ludzi Terry'ego.

Opróżniano kieszenie i torby, zbierano karabiny i rewolwery wraz z obfitymi zapasami niewystrzelonej amunicji, woreczki z tytoniem, kopertowe zegarki, portfele z rodzinnymi fotografiami, wszystko, co mogło uchodzić za trofeum. Potem przyszła kolej na czapki, buty i mundury. Stok wzgórza roił się od wojowników i squaw.

Nad rzeką czekało stado koni. Craig, wsadzony na jednego z nich, przeprowił się ze swoją czteroosobową eskortą na zachodni brzeg. Kiedy przejeżdżali przez wioskę Czejenów, opadły ich kobiety, by łączyć wziętego do niewoli wasichu, zamilkły jednak na widok orlego pióra. Przyjaciół, czy zdrajcę? Minąwszy obozy plemion Sans Arc i Minneconjou, dotarli wreszcie do wioski Hunkpapa. Panowała tam gorączkowa krzątanina.

Ci wojownicy nie brali udziału w bitwie z Custerem; oni stawili czoło siłom majora Reno po tej stronie Little Big Horn i odparli atak. Niedobitki szwadronów Reno, do których

dołączył potem Benteen i tabor, bronili się teraz rozpaczliwie na szczycie wzniesienia za rzeką, zachodząc w głowę, czemu Custer nie wypada zza wzgórz z odsieczą.

Wojownicy Czarnych Stóp, Minneconjou i Hunkpapa galopowali po obozie wte i wewte, wymachując trofeami zdobytymi na zabitych żołnierzach majora Reno. Craig rozpoznawał wśród nich płowe i rude skalpy. Otoczeni przez rozwrzeszczane squaw podjechali do namiotu wielkiego szamana i sędziego, Sitting Bulla.

Tam eskortujący Craiga wojownicy Oglala oznajmili, że przybywają z rozkazu Crazy Horse'a, przekazali jeńca i odjechali szukać dalej łupów na pobojowisku. Craiga wepchnięto do tipi i zostawiono pod strażą dwóch starych squaw uzbrojonych w noże. Przysłano po niego dopiero po zmroku. Kilkunastu wojowników wywlokło go z namiotu.

Płonęły już ogniska i w ich blasku pomalowani wciąż w wojenne barwy mężowie wzbudzali grozę. Ale chociaż z ciemności za rzeką i topolami dobiegał jeszcze sporadycznie huk wystrzałów świadczących, że Siuksowie wciąż pną się na odległe o milę wzgórze, na którego szczycie bronił się Reno, emocje już opadły.

W całej bitwie, po obu stronach ogromnego obozowiska, poległo dotąd trzydziestu jeden Siuksów. I choć w sumie brało w niej udział tysiąc ośmiuset wojowników, a nieprzyjaciel wybity został niemal do nogi, ubolewano po stracie tych, co padli w boju. Z różnych części obozu dolatywało zawodzenie wdów i osieroconych matek, które opłakiwały swoich mężów i synów i przygotowywały ich do Wielkiej Podróży.

Pośrodku wioski Hunkpapa płonęło ognisko większe od innych. Siedziało przy nim kilkunastu wodzów, z których najznacniejszym był Sitting Bull. Liczył sobie dopiero czterdzieści lat, ale wyglądał na starszego. Jego mahoniowa twarz wydawała się w blasku ognia jeszcze ciemniejsza i głębiej poryta zmarszczkami. Czczono go, podobnie jak Crazy Horse'a, za to, że miał swego czasu wielką wizję przyszłości swego ludu i bizonów z równin. Była to ponura wizja; widział w niej ich wszystkich wytępionych przez białego człowieka i znany był ze swej nienawiści do wasichu. Craiga rzucono na ziemię dwadzieścia stóp od niego, po jego lewej ręce, tak żeby nie przedzielało ich ognisko. Przez dłuższą chwilę wodzowie przyglądali mu się w milczeniu. W końcu Sitting Bull wydał rozkaz, którego znaczenia Craig nie zrozumiał. Ale widząc, jak jeden z wojowników dobywa noża i zachodzi go od tyłu, przygotował się na śmiertelne pchnięcie. Nóż przeciął rzemienie, którymi miał skrępowane nadgarstki. Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin mógł wreszcie wyciągnąć ręce przed siebie. Uświadomił sobie, że nie czuje dłoni. Ale po chwili krew zaczęła do nich dopływać, wywołując wprawdzie piekące mrowienie, a potem nieludzki ból. Zachował jednak kamienną twarz.

Sitting Bull przemówił znowu, tym razem zwracając się do niego. Nie zrozumiał i powiedział to w języku Czejenów. Wokół ogniska rozszedł się pomruk zaskoczenia. Głos zabrał wódz Czejenów, Dwa Księżyce:

- Wielki Wódz pyta, dlaczego wasichu przywiązali cię do konia i skrępowali ręce na plecach.
- Za karę - odparł zwiadowca.
- Jak wielka była twoja przewina? - odezwał się znowu Sitting Bull i dalej już on prowadził przesłuchanie. Dwa Księżyce tylko tłumaczył.
- Taka, że wódz granatowych kurtek chciał mnie za nią powiesić. Jutro.

- Czym zasłużyłeś sobie na jego gniew?

Craig zebrał myśli. Nie chciało mu się wierzyć, że Braddock zrównał z ziemią wioskę Wysokiego Łosia zaledwie poprzedniego ranka. Zaczął od tego incydentu i skończył na przesłuchaniu, po którym Custer zdecydował, że postawi go przed sądem wojennym, zapowiadając z góry, że czeka go stryczek. Mówiąc o zniszczeniu wioski Wysokiego Łosia zauważył, że Dwa Księżycy kiwa potakująco głową. Już o tym wiedział. Po każdym zdaniu zawieszał głos i czekał, aż Dwa Księżycy przetłumaczy jego słowa na język Siuksów. Kiedy skończył, wodzowie odbyli przyciszonymi głosami krótką naradę. Potem Dwa Księżycy zawołał do jednego ze swoich ludzi:

- Jedź do naszej wioski. Sprowadź tu Wysokiego Łosia i jego córkę.

Wojownik wskoczył na konia i ruszył z kopyta. Sitting Bull podjął przesłuchanie.

- Dlaczego wyruszyłeś na wojnę przeciwko Czerwonemu Człowiekowi?

- Powiedzieli mi, że chcą tylko odprowadzić Siuksów z powrotem do rezerwatów w Dakocie. Nie było mowy o żadnym zabijaniu, dopóki Długie Włosy nie oszalał.

I znów wodzowie zaczęli się naradzać między sobą przyciszonymi głosami.

- Długie Włosy tu był? - spytał w końcu Dwa Księżycy.

Craig dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ci ludzie nawet nie wiedzieli, z kim walczą.

- Leży na stoku wzgórza za rzeką. Nie żyje.

Wodzowie poszeptali między sobą chwilę, a potem zaległa cisza. Przy takich poważnych naradach pośpiech nie był wskazany. Po półgodzinie milczenie przerwał Dwa Księżycy.

- Dlaczego nosisz białe orle pióro? - spytał.

Craig wyjaśnił, że przed dziesięcioma laty, czyli w wieku czternastu lat, wybrał się z grupą zaprzyjaźnionych czejeńskich rówieśników na polowanie w góry. Wszyscy byli uzbrojeni w łuki i strzały, tylko on miał strzelbę Sharpa, którą pożyczył od Donaldsona. Zaatakował ich stary grizzly, rozdrażniony weteran bez jednego zęba w pysku, za to z taką siłą w łapach, że jednym uderzeniem potrafiłby położyć trupem człowieka.

Niedźwiedź wyszedł z wściekłym rykiem z zarośli i rzucił się na nich.

W tym miejscu o głos poprosił jeden z wojowników siedzących za wodzem Dwa Księżycy.

- Słyszałem tę historię. To się wydarzyło w wiosce mojego kuzyna.

Nic nie mogło się równać z zajmującą opowieścią przy obozowym ognisku. Wojownika poproszono, by ją dokończył. Dwa Księżycy tłumaczył, a Siuksowie pilnie nastawiali ucha, by nie uronić ani słowa.

- Niedźwiedź był wielki jak góra i szybki jak błyskawica. Czejeńscy chłopcy pouciekali na drzewa. Ale mały wasichu złożył się do strzału i wypalił. Pocisk trafił niedźwiedzia w pierś. Bestia stanęła na zadnich łapach, a była wysoka jak sosna. Umierała, ale wciąż szła na śmiałka. Biały chłopiec wyrzucił z komory zużyty ładunek i załadował nowy. I znowu wypalił. Drugi pocisk wleciał w ryczącą paszczę, przebił niedźwiedziowi podniebienie i utkwiał w mózgu. Zwierz zrobił jeszcze jeden krok i padł martwy. Jego wielki łeb uderzył o ziemię tak blisko stóp wasichu, że ślina i krew opryskały mu kolana. Ale on ani drgnął. Jeden z naszych chłopców pobiegł do wioski i sprowadził wojowników z travois. Ściągnęli z potwora skórę i uszyli z niej śpiwór dla ojca mojego kuzyna. Potem urządzili ucztę na cześć białego chłopca i nadali mu nowe imię Zabija-Niedźwiedzia-Bez-

Strachu. I dali mu orle pióro męża, który poluje. Tak opowiadano w mojej wiosce sto księżyców temu, zanim jeszcze zapędzono nas do rezerwatów.

Wodzowie kiwnęli głowami. To była ciekawa opowieść. Do ogniska podjechała tymczasem grupka na koniach. Jedno ze zwierząt ciągnęło travois. W krąg światła rozsiewanego przez ognisko wkroczyli dwaj nieznani Craigowi mężczyźni, sądząc po ubiorach i zaplecionych w warkocze włosach, Czejenowie.

Jednym z nich był Mały Wilk. Opowiedział, jak polując na wschód od rzeki, zobaczył kłęby dymu unoszące się nad Rosebud. Zaciekawiony pojechał tam i znalazł spalony obóz, a w nim trupy kobiet i dzieci. Badając pogorzelsko, usłyszał wracających żołnierzy w granatowych kurtkach. Szedł za nimi cały dzień i całą noc, aż do tej doliny. Ale było już za późno, żeby wziąć udział w wielkiej bitwie.

Drugim mężczyzną był Wysoki Łoś. On wrócił z polowania już po przejściu głównej kolumny. Kiedy oplakiwał na zgliszczach obozu pomordowane kobiety i dzieci, wróciła jego córka. Była ranna, ale żyła. Przez całą noc i cały dzień szedł do obozu Czejenów. Nad Little Big Horn dotarł tuż przed bitwą, w której wziął czynny udział. Szukał na wzgórzu Custer a śmierci i zabił pięciu żołnierzy wasichu, ale jego samego Wszehobecny Duch nie zabrał.

Ostatnia odezwała się leżąca na travois dziewczyna. Była blada, zmęczona po długiej podróży z nad rzeki Rosebud i dokuczala jej rana, ale mówiła wyraźnie.

Opowiedziała o masakrze i o wielkim mężczyźnie z paskami na rękawie. Nie rozumiała jego języka, ale domyśliła się, co chciał z nią zrobić, zanim ją zabije. Opowiedziała, jak inny mężczyzna w skórzanej kurtce napoił ją wodą i podzielił się z nią swoim posiłkiem, a potem wsadził na konia i odesłał do swoich.

Wodzowie naradzali się przez chwilę. Decyzję ogłosił Sitting Bull, ale był to jednomyślny werdykt całej starszyny. Niech wasichu żyje, ale nie wolno mu wrócić do swoich. Albo musiałyby im zdradzić pozycję Siuksów, albo by go zabili. Oddany zostanie pod nadzór Wysokiego Łosia, który może go traktować jak jeńca albo jak gościa. Według uznania. Na wiosnę będzie mógł odejść albo pozostać z Czejenami. Rozległy się pomruki aprobaty. Wojownicy zgromadzeni przy ogniska uważali ten wyrok za sprawiedliwy. Craig odjechał z Wysokim Łosiem do obozu Czejenów. Tam przydzielono mu tipi, w którym spędził noc, pilnowany przez dwóch wojowników. Rano zwinięto wielkie obozowisko i plemiona przygotowały się do wymarszu. Zwiadowcy, którzy wrócili o świcie, przynieśli informację, że od północy nadciąga więcej granatowych kurtek, postanowili więc skierować się na południe, ku górcom Big Horn, i sprawdzić, czy wasichu pójdą za nimi. Przyjmując go do swojej rodziny, Wysoki Łoś okazał wielką wspaniałomyślność. Craig wybrał sobie jednego z czterech kawaleryjskich wierzchowców schwytanych na prerii. Indianie Równinni nie cenili sobie zbyt koni białego człowieka, woleli swoje, silniejsze ich zdaniem i wytrzymalsze. Opinia ta wypływała z faktu, że niewiele koni białych potrafiło się przystosować do ostrych zim na równinach. Potrzebowały siana, którego Indianie nigdy nie gromadzili, i rzadko udawało im się przetrwać do wiosny na porostach, mchu i wierzbowej korze, którymi żywiły się konie indiańskie. Craig wybrał sobie silną z wyglądu, długonogą kasztankę, która jego zdaniem miał szansę na przystosowanie, i

nazwał ją Rosebud, na pamiątkę miejsca, gdzie po raz pierwszy zobaczył Szepczący Wiatr.

Ze znalezieniem dobrego siodła nie było żadnego kłopotu, bo Indianie nigdy ich nie używali, za to karabin Sharp i nóż Bowie, które rozpoznał wśród łupów jako swoje, oddano mu z pewnym ociąganiem. Odszukał na wzgórzu swojego zabitego konia i z przytroczonej do siodła torby zabrał amunicję do sharpa. Indianie dokładnie oczyścili stok ze wszystkiego, co uznali za wartościowe. Kartkami papieru białego człowieka, rozrzuconymi w wysokiej trawie, wzgardzili. A były wśród nich notatki z pierwszego przesłuchania, sporządzone przez kapitana Williama Cooke'a.

Zwijanie obozu trwało cały ranek. Złożono tipi, spakowano naczynia i tuż po południu, po załadowaniu kobiet, dzieci i bagaży na liczne travois, nastąpił wymarsz.

Poległych, odzianych w odświętne stroje, z określającymi rangę pióropuszcami na głowach, zostawiono w ich tipi, pomalowanych na drogę do następnego świata. Ich dobytek zaś, zgodnie z tradycją, rozrzucono po okolicy.

Ludzie Terry'ego, którzy następnego dnia wjadą od północy w dolinę, wysnują z tego rozgardiaszu wniosek, że Siuksowie i Czejenowie odeszli stąd w pośpiechu. I będą w błędzie; rozrzucanie przedmiotów należących do zmarłych nakazywał zwyczaj. Zresztą i tak by je rozgrabiono.

Równinni Indianie mogli się zarzekać, że chcieli polować, nie walczyć, ale Craig dobrze wiedział, że armia szybko otrząśnie się z pierwszego szoku po poniesionej klęsce i zacznie szukać zemsty. Nie od razu, ale na pewno zacznie. Wielka rada Sitting Bulla też zdawała sobie z tego sprawę i po kilku dniach uznała, że plemiona powinny się rozdzielić i rozproszyć. Utrudni to zadanie ścigającym je żołnierzom w granatowych kurtkach i stworzy większą szansę na to, że zamiast wracać do rezerwatów w Dakocie i przymierać tam głodem, przezimują w dziczy.

Craig zabrał się z niedobitkami rodziny Wysokiego Łosia. Z dziesięciu myśliwych, którzy stracili swoje kobiety nad Rosebud, dwóch zginęło nad Little Big Horn, a dalszych dwóch odniosło tam rany. Z tych ostatnich jeden, choć kula rozorała mu bok, uparł się, że pojedzie konno. Drugi, którego pocisk ze springfielda wystrzelony z małej odległości trafił w ramię, podróżował na travois. Obaj nie byli w pełni sprawni i obowiązek znalezienia nowych kobiet spadał na Wysokiego Łosia i pozostałą piątkę. Żeby się z tego obowiązku wywiązać, dołączyli do dwóch innych dużych rodzin i tak powstała grupa składająca się z sześćdziesięciu mężczyzn, kobiet i dzieci.

Kiedy zapadła decyzja o rozproszeniu, zebrali się, by postanowić, co dalej. Większość była za skierowaniem się na południe, do Wyoming, i zaszcyciem w górach Big Horn. Zapytano o zdanie Craiga.

- Granatowe kurtki tam pójdą - orzekł. Wyrysował patykiem na piasku linię symbolizującą rzekę Big Horn. - Będą was szukać tutaj, na południu, i tutaj, na wschodzie. Ale ja znam pewne miejsce na zachodzie. Nazywa się Pryor Range. Wychowywałem się tam. I opowiedział im o górach Pryor.

- W niższych partiach roi się od zwierzyny. Lasy są tam gęste i gałęzie zasłonią dym z ognisk. Strumienie są pełne ryb, a wyżej znajdują się rybne jeziora. Wasichu nigdy tam nie przyjdą.



Grupa się zgodziła. Pierwszego lipca odłączyli się od głównej kolumny Czejenów i prowadzeni przez Craiga ruszyli na północny zachód do południowej Montany, unikając patroli, które generał Terry porzysłał z Big Horn na zachód. W połowie lipca dotarli do gór Pryor i było tam dokładnie tak, jak powiedział Craig.

Drzewa dobrze zasłaniały tipi. Z pobliskiej skały, zwanej teraz Crown Butte, wartownik sięgał wzrokiem na wiele mil, ale nikt nie nadchodził. Myśliwi polowali w lesie na jelenie i antylopy, dzieci łowiły w strumieniach tłuste pstrągi.

Szepczący Wiatr była młoda i zdrowa.

Rana szybko się goiła i wkrótce dziewczyna biegła już chyżo jak łania. Czasami, kiedy przynosiła mężczyznom posiłek, Craig przechwytywał jej ukradkowe spojrzenie, i wtedy serce zaczynało mu walić jak młotem. Ona starała się skrzętnie skrywać swoje uczucia i kiedy tylko spoczęły na niej chabrowe oczy wasichu, szybko spuszczała wzrok. Nie wiedział, że w takich chwilach kolana robią jej się dziwnie miękkie, a serce omal nie wyskoczy z piersi.

Gdy nadeszła jesień, byli już w sobie po uszy zakochani.

Kobiety to zauważyły. Chichotały domyślnie, kiedy wracała od mężczyzn sploniona, z falującą piersią. Wszystkie były z innych rodzin i niektóre miały nieżonatych synów do wzięcia. Nie dawało im spokoju, który z nich aż tak zawrócił w głowie pięknej dziewczynie. Żartowały, że powinna im się zwierzyć, kto jest jej wybrankiem, zanim inna jej go odbije, ale odpowiadała, że plotą bzdury.

We wrześniu opadły liście i obóz przeniesiono wyżej, pod osłonę drzew iglastych. W październiku noce zrobiły się chłodne. Ale zwierzyny było w bród. Konie wyskubały resztki trawy i zaczęły się żywić mchem, korą i porostami. Rosebud się przystosowała, ale Craig schodził czasami na prerię i wracał z workiem wypchanym świeżą, ściętą nożem trawą.

Gdyby Szepczący Wiatr miała matkę, ta porozmawiałaby może z Wysokim Łosiem i jakoś go przekonała, a tak dziewczyna musiała w końcu powiedzieć ojcu sama. Jego gniew był straszny.

Jak w ogóle mogła o czymś takim pomyśleć? Ten wasichu zniszczył całą jej rodzinę. Z czasem odejdzie do swoich, a tam nie ma dla niej miejsca. Co więcej, wojownik ranny w ramię nad Little Big Horn wracał już do zdrowia. Strzaskana kość w końcu się pozrastała. Niezbyt równo, ale mógł już ruszać ręką. Nazywał się Chodząca Sowa i był dobrym, dzielnym wojownikiem. Będzie jej narzeczonym. Zaręczyny ogłoszone zostaną nazajutrz. To już postanowione.

Wysoki Łoś był nie na żarty zaniepokojony. Czy to możliwe, że biały człowiek również czuje coś do jego córki? Nie można go odesłać do swoich; wie, gdzie obozują. Musi tu zostać na zimę, ale trzeba go mieć na oku. I na tym stanęło.

Craiga, ni z tego, ni z owego, przeniesiono do tipi innej rodziny. W tym samym namiocie mieszkało trzech nieżonatych wojowników i ci mieli uważać, żeby nie wymykał się nigdzie nocami.

Przyszła po niego pod koniec października. Nie spał. Leżał z otwartymi oczami i myślał o niej i wtem ostrze noża powoli, cicho przecięło jedną ze ścian tipi. Podniósł się

bezszelestnie z postania i wysunął przez powstałą szparę. Stała w blasku księżyca, patrzyła na niego. Objęli się pierwszy raz i ogarnął ich żar.

Wyswobodziła się z jego ramion, cofnęła i skinęła na niego. Poszedł za nią przez las do miejsca niewidocznego z obozu. Czekala tam osiodłana Rosebud. Na jej grzbiecie, za siodłem, spoczywał zrolowany śpiwór z bawolej skóry. W długiej kaburze po prawej stronie siodła tkwił jego karabin. Juki wypchane były po brzegi żywnością i amunicją. Obok stał indiański koń. Craig przyciągnął dziewczynę do siebie i pocałowali się. Świat zawirował.

- Zabierz mnie w góry, Benie Craigu - szepnęła mu do ucha - i uczyni swoją kobietą.  
- Teraz i na zawsze, Szepczący Wietrze.

Dosiedli koni i ruszyli powoli przez las. Oddalwszy się na bezpieczną odległość od obozu, przyspieszyli. O wschodzie słońca byli już na podgórzu. Wczesnym rankiem mała grupka Indian z plemienia Kruków, dostrzegłszy ich z daleka, skręciła na północ i pogalopowała Szlakiem Bozemana do Fort Ellis.

O świcie Czejenowie ruszyli w pogoń za uciekinierami; było ich sześciu. Zabrawszy tylko to, co najpotrzebniejsze - karabiny, które przewiesili sobie przez plecy, toporki zatknięte za przepaski biodrowe, derki zamiast siodła - gnali co koń wyskoczy. Kazano im sprowadzić narzeczoną Chodzącej Sowy żywą z powrotem do obozu. Wasichu miał umrzeć.

Grupka Kruków pędziła na północ. Jeden z nich był w lecie zwiadowcą przy armii i wiedział, że granatowe kurtki wyznaczyły za białego renegata nagrodę tak wysoką, że można było za nią kupić wiele koni i towarów.

Nie dojechali do końca Szlaku Bozemana. Dwadzieścia mil na południe od Yellowstone natknęli się na mały, dziesięcioosobowy patrol kawalerzystów pod dowództwem porucznika. Były zwiadowca wyjaśnił, co widzieli, używając głównie języka migowego, ale porucznik zrozumiał. Wziął Kruków na przewodników i patrol skierował się na południe, w stronę gór.

Tego lata wieść o masakrze Custer a i jego ludzi obiegła Amerykę niczym powiew mroźnego powietrza. Czwartego lipca 1876 roku, daleko na wschodzie, wielcy i potężni tego kraju zebrali się w Filadelfii, mieście braterskiej miłości, by uczcić setną rocznicę niepodległości. To, co wydarzyło się na zachodnim pograniczu, nie mieściło się w głowie. Zarządzono bezzwłocznie wszczęcie dochodzenia.

Żołnierze generała Terry'ego pogrzebali pospiesznie rozkładające się już ciała poległych w bitwie kolegów i przeczesali dokładnie fatalny stok wzgórz, szukając czegokolwiek, co mogłoby rzucić światło na okoliczności, w jakich doszło do tragedii. Siuksowie i Czejenowie wynieśli się stamtąd przed dwudziestoma czterema godzinami, ale Terry nie był w nastroju do pościgu. Ocalali z pogromu ludzie majora Reno nie potrafili wnieść do sprawy nic poza informacją, że ostatni raz widzieli Custer a znikającego ze swoimi szwadronami za pasmem wzgórz.

W dążeniu do wyjaśnienia przyczyn tak sromotnej klęski z pobojuwiska zebrano i zabezpieczono każdy najdrobniejszy dowód rzeczowy. Nie zlekceważono nawet kartek papieru, które utknęły w długiej trawie. Były wśród nich notatki sporządzone przez kapitana Cooke'a.

Przy życiu nie pozostał nikt ze świadków przesłuchiwania Bena Craiga przez Custer, ale szczegółowe zapiski adiutanta mówiły same za siebie. Armia szukała czegoś, co pozwoliłoby jej wyjść z tej kompromitującej porażki z twarzą. I znalazła; dzicy zostali ostrzeżeni i zdążyli się przygotować do konfrontacji. Nie podejrzewający niczego Custer wpadł w dokładnie zaplanowaną zasadzkę. Co więcej, armia miała kozła ofiarnego. Zdrada była wytłumaczeniem o wiele wygodniejszym od przyznania, że do tragedii doprowadziła niekompetencja dowódcy. Za pomoc w ujęciu zwiadowcy, czy to żywego, czy martwego, wyznaczono nagrodę w wysokości tysiąca dolarów.

Trop ostygł, ale pod koniec października grupka Kruków wypatrzyła zbiega zjeżdżającego w towarzystwie jakiejś Indianki z gór Pryor.

Konie wypoczęły przez noc, były nakarmione i napojone. Porucznik pędził na południe, narzucając mordercze tempo. Tu ważyły się losy jego kariery.

Tuż po wschodzie słońca Craig i Szepczący Wiatr dotarli do Pryor Gap, przełęczy oddzielającej główne górskie pasmo od pojedynczego szczytu West Pryor. Przecięli przełęcz, objechali podnóża West Pryor i znaleźli się na rozległych, ciągnących się przez pięćdziesiąt mil bezdrożach obfitujących w trawiaste pagórki i wąwozy.

Craig nie musiał kierować się słońcem. Widział w oddali cel, do którego zmierzał - Absaroka Wilderness skrzące się w promieniach porannego słońca, które wspinało się po błękitnym nieboskłonie. Polował tam jako chłopiec z Donaldsonem. Była to straszna kraina nieprzebytych lasów i skalnych płaskowyży, przechodzących w górskie pasmo Beartooth Range.

W dali majaczyły oblodzone szczyty gór Thunder, Sacred, Medicine i Beartooth, strażników tych niedostępnych okolic. Człowiek wyposażony w dobry karabin mógł stawić tam czoło całej armii. Zatrzymali się na chwilę nad strumieniem, żeby napić zdrożone konie, i popędzili dalej ku turniom przywodzącym na myśl gwoździe, którymi ziemia przybita jest do nieba.

Dwadzieścia mil za nimi, szybkim kłusem, którym konie, nie opadając z sił, mogły iść przez długi czas, posuwało się sześciu wojowników ze spuszczoneymi głowami.

Wypatrywali na ziemi charakterystycznych śladów podkutych stają kopyt.

Od południa zbliżał się co koń wyskoczy kawaleryjski patrol. Ich od uciekinierów dzieliło jeszcze trzydzieści mil. Na trop natrafili w południe, kawałek na zachód od West Pryor Range. Zwiadowcy z plemienia Kruków przyhamowali nagle konie i wpatrując się pilnie w ziemię, zaczęli krążyć wokół łachy stwardniałej w słońcu gleby. Odcisnęły się w niej podkowy, obok widniały ślady kopyt niepodkutego konia. Równolegle biegły tropy innych indiańskich koni. Tych ostatnich było sześć albo siedem.

- No to - mruknął porucznik - mamy konkurencję. Mniejsza z nią.

Chociaż konie wykazywały już pierwsze oznaki zmęczenia, ruszyli dalej, kierując się na zachód. Pół godziny później, wspiąwszy się na niewielkie wzniesienie, porucznik przyłożył do oka lunetę i przeczesał horyzont. Po zbiegach nie było śladu, ale zobaczył obłoczek kurzu ciągnący się za szóstką indiańskich koni kłusujących ku górom.

Konie Czejenów też już się zmęczyły, lecz dosiadający ich wojownicy wiedzieli, że tak samo zmęczone muszą być konie ściganych. Napoiili wierzchowce w strumieniu Bridger Creek, kawałek na południe od miejsca, w którym leży teraz wioska Bridger, i dali

zwierzętom pół godziny wytchnienia. Kiedy jeden z Indian, przyłożywszy ucho do ziemi, usłyszał zbliżający się ich śladem tętent kopyt, wskoczyli na konie i ruszyli dalej. Przejchawszy milę, skręcili za skałkę i przywódca wspiął się na nią, by rozejrzeć się po okolicy.

W odległości trzech mil dostrzegł podążających ich tropem kawalerzystów. Czejenowie nie wiedzieli o papierach znalezionych nad Little Big Horn ani o nagrodzie wyznaczonej za zbiegłego wasichu. Doszli do wniosku, że to na nich polują granatowe kurtki, żeby ich odprowadzić do rezerwatu. Tak więc przyczaili się i czekali.

Kawalerski patrol zatrzymał się na rozwidleniu tropów. Zwiadowcy z plemienia Kruków zeskoczyli z koni i zbadali ziemię. Ukryci za skałką Czejenowie widzieli, jak jeden z nich pokazuje palcem na zachód. Patrol ruszył dalej w tym kierunku.

Czejenowie podążyli w ślad za nimi, tak jak wcześniej, nad Rosebud, podążył za Custerem Mały Wilk. Ale przed wieczorem Kruki ich wypatrzyły.

- Czejenowie - mruknął Kruk zwiadowca.

Porucznik wzruszył ramionami.

- Mniejsza z nimi, niech sobie polują. Co innego mamy teraz na głowie.

Obie grupy pościgowe do zmięchu podążały za zbiegami. Kruki szły ich tropem, Czejenowie w ślad za patrolem. Kiedy słońce dotknęło górskich szczytów, obie grupy uznały, że pora dać odpocząć koniom. Zwierzęta goniły już ostatkiem sił. Poza tym teren stawał się coraz trudniejszy, a ślady coraz mniej widoczne. Po ciemku na pewno by je zgubili.

Wyprzedzający ich o dziesięć mil Ben Craig też się zatrzymał. Rosebud była rosłą, silną klaczą, ale miała już w nogach pięćdziesiąt mil biegu bezdrożami, z człowiekiem i jego dobytkiem na grzbiecie. Szepczący Wiatr nie należała do najlepszych jeźdźców i również była u kresu wytrzymałości. Zatrzymali się na nocleg nad strumieniem Bear Creek, na wschód od miejsca, gdzie leży obecnie miasteczko Red Lodge, ale ogniska nie rozpalili, z obawy, że zostaną zauważeni.

Z nadejściem nocy spadła temperatura. Zawinęli się w śpiwór z bawolej skóry i dziewczyna natychmiast zasnęła. Craig nie spał. Na to będzie miał czas później. Wypelzł ze śpiwora, opatulił się w czerwoną derkę i przez całą noc czuwał przy ukochanej.

Obudził ją przed wschodem słońca. Pożywili się naprędce suszonym mięsem antylopy i kukurydzianym chlebem z zapasów, które Szepczący Wiatr zabrała ze swojego tipi, obmyli się w strumieniu i ruszyli w dalszą drogę. Ich prześladowcy również wstali przed świtem i podjęli pościg, kiedy tylko się rozwidniło. Zbiegowie mieli nad nimi przewagę dziewięciu mil, ale ta odległość wciąż się kurczyła. Craig nie wątpił, że Czejenowie podążają jego tropem; dopuścił się rzeczy niewybaczalnej. Nie wiedział jednak, że ściga go również kawaleria.

Teren stawał się coraz trudniejszy i posuwali się teraz wolniej. Miał świadomość, że ścigający są coraz bliżej i że musi utrudnić im zadanie, podsuwając fałszywy trop. Po dwóch godzinach jazdy dotarli do zlewiska dwóch potoków. Po lewej splotywał się góry wartki, burzliwy, niemożliwy do przebycia Rock Creek. Przed sobą mieli płytszy, spokojniejszy West Creek, którego dno nie było takie kamieniste. Craig zeskoczył z Rosebud, przywiązał indiańskiego konia do swojego siodła i wziął klacz za uzdę.

Wprowadził tę małą karawanę do Rock Creek, po czym zawrócił po własnych śladach i ruszył korytem drugiego potoku. Stopy drętwiały mu w lodowatej wodzie, brodził jednak wytrwale po zwirowatym, usianym kamykami dnie. Dwie mile dalej wyprowadził wierzchowce z potoku w gęsty las, kierując się ku góróm, które miał po lewej ręce. Teren wznosił się stromo i było przenikliwie zimno, bo słońce tu nie docierało. Szepczący Wiatr, opatuliwszy się w derkę, jechała teraz na oklep.

Tymczasem patrol kawalerii dotarł już do zlewiska potoków i zatrzymał się. Kruki zauważyły trop urywający się nad brzegiem Rock Creek i porucznik, po krótkiej naradzie z sierżantem, poprowadził patrol w górę tego potoku. Niedługo po nich do dwóch potoków dotarli Czejenowie. Oni nie musieli wjeżdżać dla zatarcia śladów do wody. Pojechali brzegiem West Creek, wypatrując na ziemi śladów koni wychodzących z wody i kierujących się w stronę gór.

Dwie mile dalej zauważyli podejrzanе odciski na spłachetku miękkiej ziemi na drugim brzegu. Przeprawili się przez potok i wjechali w las.

W południe Craig dotarł do miejsca, które pamiętał jak przez mgłę z dawnych wypraw myśliwskich. Była to wielka, naga skalna płyta - płaskowyż Silver Run - ciągnąca się aż po góry. Nie wiedzieli o tym, ale znajdowali się już jedenaście tysięcy stóp ponad poziomem morza.

Ze skraju płaskowyżu widział potok, którego korytem niedawno podążał. W dole, po prawej, tam gdzie spotykały się dwa potoki, kręcili się jacyś ludzie. Nie miał lunety, ale w rozrzedzonym powietrzu widoczność jest nadzwyczajna. To nie byli Czejenowie, lecz dziesięciu żołnierzy, którym towarzyszyło czterech zwiadowców z plemienia Kruków. Patrol się zorientował, że podąża fałszywym tropem, i wracał z biegiem Rock Creek. Dopiero teraz Ben Craig zrozumiał, że wojsko ściga go wciąż za wypuszczenie dziewczyny.

Wyjął z kabury karabin Sharp, wsunął do komory nabój, oparł lufę o kamień, wyregulował celownik i mrużąc oko spojrzął przez szczerbinkę w dolinę.

„Strzelaj zawsze do konia - mawiał stary Donaldson. - W tym terenie człowiek pozbawiony wierzchowca musi zawrócić”.

Wziął na cel czoło konia oficera. Huk wystrzału przetoczył się po górach grzmącym echem. Pocisk otarł się o łeb zwierzęcia i utkwiał w prawej łopatce. Koń runął jak ścięty wraz z jeźdźcem. Oficer, padając, zwichnął sobie nogę w kostce.

Żołnierze rozpięchli się, szukając osłony między drzewami. Tylko sierżant doskoczył do leżącego wierzchowca, żeby pomóc wydostać się spod niego porucznikowi. Koń jeszcze żył. Sierżant skrócił mu męczarnie, strzelając z rewolweru w łeb. Potem zaciągnął oficera między drzewa. Ale więcej strzałów już nie padło.

Pnący się pod zalesione zbocze Czejenowie zeskoczyli z koni i przypadli do zasłanej sosnowymi igielkami ziemi. Czterech z nich miało springfieldy zdobyte na Siódmym Pułku Kawalerii, ale jak wszyscy Indianie z Równin, strzelcami byli kiepskimi. Wiedzieli, w co i z jakiego dystansu trafia ze swojego sharpa młody wasihu. Zaczęli pełznąć pod górę. Spowolniło ich to. Jeden szedł w pewnej odległości za nimi, prowadząc wszystkie konie.

Craig pociął derkę na cztery części i owinał nimi kopyta Rosebud. Materiał przydeptywany stalową podkową do kamienia nie wytrzyma długo, ale przynajmniej na odcinku jakichś pięciuset jardów zapobiegnie powstawaniu rys na skalnym podłożu. Kiedy się przetrze, pocwałują przez płaskowyż na południe, ku szczytom. Silver Run to pięć mil otwartej, nagiej przestrzeni. Ujechawszy dwie mile, Craig obejrzał się i zobaczył figurki ludzi na skraju płyty. Cwałował dalej. Z tej odległości nie mogli go trafić. Po kilku minutach pojawiły się następne figurki; to kawalerzyści przeprowadzili swoje konie przez las i też wychodzili na płytę, ale milę na wschód od Czejenów. I nagle drogę zagroził mu wąż. Nie zapuszczał się dotąd na tę wysokość; nie wiedział o nim. Lake Fork jest stromy i wąski, zbocza porastają sosny, dnem rwie lodowaty strumień. Craig ruszył skrajem, szukając miejsca, w którym można by się przeprawić na drugą stronę. Znalazł takie w cieniu góry Thunder, ale stracił na to pół godziny. Był u kresu sił, kiedy, sprowadziwszy konie na dno wąwozu i wciągnąwszy je pod górę na jego przeciwległą stronę, znalazł się wreszcie na drugiej i ostatniej przed górskim pasmem skalnej płycie - na płaskowyżu Hellroaring. Ledwie postawił na niej nogę, kula świsnęła mu koło ucha. Któryś z żołnierzy po tamtej stronie wąwozu zauważył poruszenie wśród drzew. Nie dość, że go dopędzili, to jeszcze pokazał im drogę na drugą stronę. Przed sobą miał kolejne trzy mile otwartej przestrzeni kończącej się u podnóża niebotycznej góry Rearguard. Byle tam dotrzeć, a w rozciągającym się dalej labiryncie jarów i jaskiń nikt go nigdy nie znajdzie. W rozrzedzonym powietrzu dwojgu ludziom i ich wierzchowcom brakowało tchu, ale Craig wytrwale parł naprzód. Wkrótce zapadnie zmrok, a on zniknie w żlebach i turniach między górami Rearguard, Sacred i Beartooth. Nikt go tam nie wytropi. Za górą Sacred jest dział wodny, a za nim już cały czas z górki do Wyoming. Zostawia za sobą wrogi świat, pobiorą się, zamieszkają pośród dziczy i żyć będą wiecznie. W miarę jak gasł dzień, Ben Craig i Szepczący Wiatr oddalali się coraz bardziej od swoich prześladowców i zbliżali do zboczy góry Rearguard. O zmierzchu byli już wysoko nad skalną równiną i mieli przed sobą linię śniegów, gdzie biel szczytów nigdy nie topnieje. Znaleźli płaską półkę pięćdziesiąt na dwadzieścia jardów, a w jej głębi obszerną jaskinię. Wylot zasłaniało kilka sosen. Craig spętał w zapadających ciemnościach konie i te zaczęły się pożywiać sosnowymi igielkami opadłymi z drzew. Chłód przenikał do szpiku kości, ale mieli śpiwór z bawolej skóry. Zwiadowca wniósł do jaskini swoje siodło i jedyną całą derkę, jaka im została, załadował karabin i położył go obok siebie, a na koniec rozpostarł nieopodal wylotu jaskini bawołą skórę. Położyli się na niej oboje i nakryli drugą połową. W tym kokonie ludzkie ciała szybko odzyskiwały swoją naturalną ciepłość. Dziewczyna przysunęła się do niego. - Ben - szepnęła. - Uczyń mnie swoją kobietą. Teraz. Podciągając jej tunikę z kozłej skóry, czuł pod dłonią płonące pożądaniem ciało. - Żle czynicie. Na tej wysokości panowała kompletna cisza i chociaż głos był starczy i słaby, to wypowiedziane w języku Czejenów słowa zabrzmiały głośno i wyraźnie. Craig, który zdążył już ściągnąć skózaną koszulę, w jednej chwili, nagi do pasa i dygoczący z zimna, znalazł się z karabinem w ręku u wylotu jaskini.

Nie rozumiał, jak mógł nie zauważyć wcześniej tego człowieka. Starzec siedział ze skrzyżowanymi nogami pod sosnami przed jaskinią. Tors miał obnażony, stalowosiwe włosy sięgały mu do pasa, pomarszczona, poryta bruzdami twarz przywodziła na myśl skorupę orzecha. Cała jego postać emanowała wiekowością i uduchowieniem. Musiał być plemiennym szamanem, łowcą wizji, który zaszywa się w odludnych miejscach, by tam pościć, medytować i czerpać natchnienie z nieskończoności.

- Co mówiłeś, święty mężu? - Craig bezwiednie nadał mu ten honorowy tytuł, zarezerwowany tylko dla tych, którzy wyróżniają się wiekiem i mądrością. Nie miał pojęcia, skąd starzec się tu wziął. Nie wiedział, jakim cudem wspiął się tak wysoko. Nie wyobrażał sobie, jak można wytrzymać na takiej zimnicy bez okrycia. Ale słyszał, że niektórzy łowcy wizji potrafią rzucać wyzwanie wszelkim znanym prawom. Wyczuł obok siebie Szepczący Wiatr. Ona też podeszła do wylotu jaskini.

- To złe w oczach Człowieka i Meh-y-yaha, Wszechobecnego Ducha - odparł starzec. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, lecz w mroźnym czystym powietrzu gwiazdy świeciły tak jasno, że szeroka skalna półka pławiła się w bladej poświacie. Craig widział jej odbicie w starych nieruchomych oczach, które wpatrywały się weń spod sosen.

- Dlaczego, święty mężu?

- Ona jest przyrzeczona innemu. Jej narzeczony walczył dzielnie z wasichu. Cieszy się poważaniem. Nie zasłużył sobie na takie potraktowanie.

- Przecież ona jest teraz moją kobietą.

- Będzie twoją kobietą, człowieku gór. Ale nie teraz. Tako rzecze Wszechobecnym Duch. Powinna wrócić do swoich i do swojego narzeczonego. Jeśli tak uczyni, to zejdziecie się pewnego dnia i wtedy ona będzie twoją kobietą, a ty jej mężczyzną. Na zawsze. Tako rzecze Mey-y-yah.

Starzec sięgnął po leżący obok kostur i wspierając się na nim, wstał. Skórę miał ciemną i starą, ściągniętą przez chłód. Był nagi, jeśli nie liczyć przepaski biodrowej i mokasynów. Odwrócił się powoli, przeszedł między sosnami i zaczął zstępować ścieżką w dół. Po chwili zniknął im z oczu.

Szepczący Wiatr spojrzała na Craiga. Łzy spływały jej po policzkach, ale nie skapywały na ziemię; zamarzały, nie docierając do brody.

- Muszę wracać do swoich. To mi przeznaczone.

Nie oponował. Nic by to nie dało. Przygotował jej konia, a ona wzięła tymczasem mokasyny i owinęła się derką. Wziął ją po raz ostatni w ramiona, podsadził na koński grzbiet i podał cugle. W milczeniu skierowała się ku prowadzącej w dół ścieżce.

- Wietrze Który Przemawia Cicho - zawołał. Obejrzała się i popatrzyła na niego w blasku gwiazd. - Zejdziemy się. Pewnego dnia. Tak zostało powiedziane. Będę na ciebie czekał, póki rośnie trawa, a rzeki płyną.

- A ja na ciebie, Benie Craigu.

I odjechała. Craig długo patrzył w niebo. Kiedy poczuł, że chłód wgryzł się już w niego zbyt głęboko, wprowadził Rosebud do jaskini i podsypał jej parę garści zeschniętych sosnowych igiełek. Potem odciągnął bawolą skórę w głębszą ciemność, owinął się w nią i zasnął.

Wszedł księżyc. Wojownicy wypatrzyli na kamiennej równinie zbliżającą się dziewczynę. Zobaczyła dwa ogniska płonące między sosnami, poniżej krawędzi wąwozu, i usłyszała cichy krzyk sowy, który dobiegł od tego po lewej. Tam się skierowała. Nic nie powiedzieli. Porozmawia z nią jej ojciec, Wysoki Łoś. Ale mieli tu coś jeszcze do załatwienia. Wasichu, który zbeczcześcił ich namioty, musi zginąć. Czekali na świt. O pierwszej nad ranem nad Beartooth Range nasunęły się brzuchate chmury i temperatura zaczęła spadać. Ludzie śpiący przy obu ogniskach dygotali z zimna i szczerzej owijali się kocami, lecz nic to nie pomagało. Wkrótce pobudzili się wszyscy i jęli dorzucać drewno do ognia, wciąż jednak robiło się coraz zimniej. Zarówno Indianie, jak i biali zimowali już w mroźnej Dakocie i wiedzieli, na co stać zimę w pełni jej rozkwitu, lecz teraz był dopiero koniec października. Za wcześnie na takie chłody. A temperatura ciągle spadała. O drugiej nad ranem zaczął sypać gęsty śnieg. Kruki w obozie kawalerzystów wstały.

- Odchodzimy - powiedzieli do oficera.

Porucznika bolała skręcona kostka, ale otuchy dodawała mu świadomość, że pojmanie zbiega odmieni całe jego życie, stanie się kluczem do kariery w armii.

- Wiem, zimno, lecz niedługo świt - wymruczał.

- To nie jest zwyczajny chłód - odparli. - To Chłód Długiego Snu. Żaden śpiwór przed nim nie uchroni. Wasichu, którego szukacie, już nie żyje. Albo umrze przed wschodem słońca.

- To idźcie - burknął oficer. Nie byli mu już potrzebni. Wiedział, że zbieg kryje się w górach, które widział przed sobą skrzące się w blasku księżyca, zanim zaczął padać śnieg.

Kruki dosiadły koni i odjechały ku skrajowi płaskowyżu Silver Run, by spuścić się tam stromymi zboczami w dolinę. Na odchodnym jeden z nich wydał z siebie ochryply krzyk nocnego ptaka.

Czejenowie usłyszeli go i popatrzyli po sobie. Był to krzyk ostrzegawczy. Oni też dosiedli koni, zasypali ognisko śniegiem i odjechali, zabierając dziewczynę. A temperatura wciąż spadała.

Okolo czwartej nad ranem ruszyła lawina. Schodziła z gór, powlekając płaskowyż grubym kobiercem śniegu. Jej czoło sunęło z sykiem ku Lake Fork, a dotarwszy tam, runęło w wąwóz, zmiatając wszystko po drodze. Ludzie, którzy tam jeszcze zostali, nie byli nawet w stanie uciekać; chłód przykuł ich do miejsc, w których leżeli bądź stali. Śnieg szybko wypełnił wąwóz i kiedy wszystko znowu znieruchomiało, wystawały spod niego tylko czubki sosen.

Rankiem niebo się przetało i wyjrzało słońce. Świat, jak okiem sięgnąć, tonął w jednolitej bieli. Zwierzęta gór i lasów, zamieszkujące miliony nor, wiedziały, że nadeszła zima i pora ułożyć się do snu, by w stanie hibernacji doczekać wiosny.

W wysokogórskiej jaskini, owinięty w śpiwór z bawolej skóry, spał zwiadowca.

W pierwszych chwilach po przebudzeniu nie mógł sobie skojarzyć, jak to czasami bywa, gdzie się znajduje. W wiosce Wysokiego Łosia? To dlaczego nie słyszy krzątający się przygotowujących poranny posiłek? Uchylił powieki i wyjrzał spod fałdów bawolej skóry.



Zobaczył chropawe ściany jaskini i w jednej chwili wróciła mu pamięć. Usiadł i potrząsnął głową, by odpędzić resztki sennego otumanienia.

Przyprószona śniegiem skalna półka przed jaskinią skrzyła się bielą w promieniach słońca. Nagi do pasa wygrzebał się ze śpiwora i wciągnął w płuca świeże poranne powietrze. Orzeźwiło go.

Kiedy spał, Rosebud wyszła z jaskini. Stała teraz na skalnej półce ze spętanymi wciąż przednimi nogami i skubała jakieś młode sosnowe igielki. Poranne słońce miał po prawej ręce; czyli zwrócony był twarzą ku północy i to, co widział w oddali, to równiny Montany. Podeszedł na skraj półki, przykucnął i wyjrzał ostrożnie na rozciągający się w dole płaskowyż Hellroaring. Nie dostrzegał dymu wznoszącego się nad Lake Fork. Wyglądało na to, że prześladowcy zrezygnowali z pościgu.

Wrócił do jaskini, wdział skórzaną koszulę, zapiął pas i dobywając noża, podeszedł znowu do Rosebud, by przeciąć postronek pętający klaczy przednie nogi. Zarżała cicho i musnęła mu chrapami ramię. I wtedy zauważył coś dziwnego.

Takie miękkie, zielone igielki jak te, które skubała Rosebud, rosły przecież wiosną. Rozejrzał się. Każda z kilku odpornych sosen, jakie zdołały wyrosnąć na tej wysokości, wypuszczała w słońcu bladozielone pączki. Wzdrygnął się, uświadamiając sobie, że musiał tu przespać, niczym dzikie zwierzę, całą mroźną zimę.

Słyszał o takim przypadku. Stary Donaldson opowiadał mu kiedyś o traperze, który przezimował w niedźwiedziej jaskini i nie umarł. Zapadł w letarg i spał razem z młodymi niedźwiadkami aż do wiosny.

Wygrzebał z torby przy siodle ostatnią porcję wysuszonego na wietrze mięsa. Było twarde, ale jakoś je przeżuł. Potem zaczerpnął garść śniegu i ogrzewając go w dłoniach, spijał przeciekającą między palcami wodę. Na koniec wylizał sobie dłonie do sucha. Wiedział, że samego śniegu nie należy jeść.

W jukach miał też okrągłą traperską czapkę z ciepłego lisiego futra. Wyciągnął ją i nałożył na głowę. Osiodławszy Rosebud, sprawdził karabin sharpa i dwadzieścia ładunków, jakie mu jeszcze zostały, po czym wsunął broń do kabury przy siodle i przygotował się do wymarszu. Z ciężkim sercem zwinął bawolą skórę, która ocaliła mu życie, i przytoczył ją do siodła. Kiedy w jaskini nic już nie zostało, wziął Rosebud za uzdę i zaczął schodzić ścieżką na płaskowyż.

Nie zdecydował jeszcze, co ze sobą pocznie, ale wiedział, że lasy w dolnych partiach gór roją się od zwierzyny. Zastawiając same tylko sidła, można się tam było spokojnie wyżywić.

Szedł wolnym krokiem przez pierwszy płaskowyż, pewien, że lada moment wypatrzy jakieś poruszenie na skraju wąwozu albo usłyszy huk oddanego stamtąd strzału. Nic takiego nie nastąpiło. Dotarł na skraj wąwozu; nic nie wskazywało na to, że prześladowcy wrócili, by dalej na niego polować. Nie wiedział, iż zwiadowcy z plemienia Kruków po zejściu z gór zameldowali, że wszystkie granatowe kurtki zginęły w burzy śnieżnej, a ścigany przez nie człowiek też pewnie umarł.

Zszedł po własnych śladach na dno Lake Fork i wspiał się na górę po drugiej stronie wąwozu. Ruszył przez Silver Run, a pnące się po nieboskłonie słońce coraz mocniej przygrzewało.

Dotarłszy do końca płaskowyżu, zszedł przez sosnowy las aż do pierwszych liściastych drzew i tam rozbił biwak. Było południe. Ze sprężystych gałązek i kawałka sznurka, który znalazł w torbie, sporządził sidła na króliki. Dopiero po godzinie pierwszy nieostrożny gryzoń wyszedł ze swojej norki. Zabił go i oprawił. Posługując się hubką i krzesiwem, rozpalili ognisko i zaspokoili głód pieczenia.

Obozował na skraju lasu przez cały tydzień, regenerując siły. Świeżego mięsa było tu w bród, pstragów w strumieniach tyle, że mógł je chwycić rękami, a do picia wystarczała mu woda.

Pod koniec tego tygodnia postanowił, że zejdzie na równiny i podróżując nocami, a ukrywając się za dnia, wróci w góry Pryor. Tam skleci sobie szałas i będzie w nim czekał, aż Szepczący Wiatr odzyska wolność. Ani przez chwilę nie wątpił, że do tego dojdzie, bo przecież tak zostało powiedziane.

Wieczorem ósmego dnia osiodłał Rosebud, opuścił las i kierując się gwiazdami, ruszył na północ. Był to okres wysokiego księżyca i ziemia pławiła się w bladej poświacie.

Wędrował całą noc, a o świcie znalazł sobie kryjówkę w korycie wyschniętego strumienia i spędził tam dzień. Nie rozpalili ogniska; pożywił się mięsem, które uwędził w lesie.

Następnej nocy skręcił na wschód, ku górą Pryor, i po przebyciu paru mil przeciął pas twardej czarnej skały, który ciągnął się w obie strony aż po horyzont. Tuż przed świtem przeciął drugi taki pas. Za nim zaczynały się bezdroża, kraina, przez którą trudno podróżować, ale gdzie łatwo się ukryć.

Raz zobaczył bydło stojące cicho w blasku księżyca i „nie mógł się nadziwić głupocie osadnika, który zostawił bez opieki swoje stado. Kruki tylko czekały na taką sposobność.

O poranku czwartej doby podróży zobaczył górę West Pryor, a u jej podnóży fort. Przed świtem rozbił obóz na pagórku i dostrzegł ten fort w pierwszych promieniach wstającego słońca. Obserwował go przez godzinę, wypatrując jakichś oznak życia, dymu bijącego z komina żołnierskiej stołówki, nasłuchując dźwięku trąbki. Bez skutku. Kiedy weszło słońce, wycofał się w kępę krzaków i zasnął.

Przy wieczornym posiłku rozmyślał, co powinien teraz zrobić. Był to wciąż dziki kraj i podróżujący samotnie człowiek wiele ryzykował. Fort musiano zbudować niedawno. Nie było go tu jesienią zeszłego roku. Wyglądało na to, że wojsko rozszerzyło kontrolowany przez siebie obszar na plemienne tereny ludu Kruków. Przed rokiem najbliższymi fortami były Fort Smith na wschodzie, nad rzeką Big Horn, oraz Fort Ellis na północnym zachodzie na Szlaku Bozemana. W tym ostatnim nie mógł się pokazać; rozpoznano by go tam.

Jeśli jednak ten nowy fort nie jest obsadzony Siódmym Pułkiem Kawalerii albo ludźmi Gibbona, to raczej nikt nie będzie go tu znał z widzenia, i gdyby podał fałszywe nazwisko... Osiodłał Rosebud z postanowieniem, że przyjrzy się z bliska nowemu fortowi pod osłoną nocy.

Podkraść się tam, kiedy wzeszedł księżyc. Na maszcie nie powiewała żadna flaga, ze środka nie przenikał ani jeden promyczek światła, nie dochodziły stamtąd charakterystyczne dla wszystkich ludzkich siedzib odgłosy. Ośmielony panującą ciszą, podjechał do głównej bramy. Zobaczył nad nią dwa słowa. Pierwsze - FORT - rozpoznał, bo widywał je już i pamiętał poszczególne litery. Drugiego nie mógł sobie przypomnieć.

Zaczynało się na literę utworzoną z dwóch pionowych słupków połączonych w połowie wysokości poprzeczką. Wysoka, dwuskrzydłowa brama zamknięta była od zewnątrz na łańcuch spięty kłódką.

Prowadząc Rosebud za uzdę, obszedł dookoła wysoką na dwanaście stóp palisadę. Po co armia budowała ten fort, skoro nie obsadziła go załogą? A może został zaatakowany i wszystkich wycięto w pień? Może w środku są same trupy? Ale w takim wypadku skąd ta kłódka? O północy wspiał się na Rosebud, stanął na siodle i uchwycił się wierzchołka palisady. Parę sekund później był już w środku, na pomoście przebiegającym pięć stóp poniżej szczytu palisady i siedem stóp nad ziemią. Spojrzał w dół.

W księżycowej poświacie odróżnił kwatery dla oficerów i żołnierzy, stajnię i kuchnię, zbrojownię i beczkę na wodę, skład i kuźnię. Było tu wszystko co trzeba, ale ani jednego człowieka.

Z gotowym do strzału karabinem zszedł po schodkach na dół i przystąpił do bliższych oględzin. Fort rzeczywiście wzniesiono niedawno. Świadczyła o tym stolarka i jasne końce świeżo przyciętych belek. Biuro dowódcy posterunku było zamknięte, ale wszystkie inne drzwi otwierały się bez oporu. Był tu barak noclegowy dla żołnierzy i drugi taki dla podróżnych. Wydało mu się dziwne, że nigdzie nie było latryn. Do palisady, naprzeciwko głównej bramy, przylegała mała kapliczka, a obok niej, w samej palisadzie, znajdowała się furtka zabezpieczona od wewnątrz drągiem.

Zdjął ten drąg, wyszedł na zewnątrz, wziął Rosebud za uzdę, wprowadził ją do środka i na powrót zabarykadował za sobą furtkę. Zdawał sobie sprawę, że nie obroniłby fortu w pojedynkę. Gdyby doszło do ataku, Indianie przeleźliby przez palisadę z taką samą łatwością, jak uczynił to on. Ale mógł tu sobie urządzić bazę wypadową do czasu, kiedy dowie się, dokąd odeszła grupa Wysokiego Łosia.

Kiedy się rozwidniło, zajrzał do stajni. Były tam boksy dla dwudziestu koni, całe potrzebne wyposażenie i zapasy paszy oraz świeża woda w korycie na zewnątrz. Rozsiodłał Rosebud, podsypał jej owsa i kiedy się pożywiła, wyczyścił ją sztywną szczotką.

W kuźni znalazł puszkę smaru i wypucował nim do połysku karabin. W składzie znajdowały się traperskie sidła i koce. Tymi ostatnimi wymościł sobie wygodne legowisko w kącie baru dla podróżnych. Brakowało mu tylko żywności. Ale po dokładniejszym przeszukaniu składu znalazł słoik cukierków i zjadł je na wieczorny posiłek.

Pierwszy tydzień zleciał jak z bicia trząśł. Rankami polował i zastawiał sidła, a popołudniami wyprawiał skóry schwytanych zwierząt, by je w przyszłości sprzedać. Świeżego mięsa miał pod dostatkiem i znał kilka roślin, na których liściach można gotować pożywne zupy.

Znalazł w składzie kostkę mydła i wykapał się nago w pobliskim strumieniu. Woda była lodowato zimna, ale dzięki temu orzeźwiająca. Trawy dla konia było w bród. W kuchni znalazł miski i cynowe talerze. Nazbierał w okolicy suchych gałęzi, rozpałił ognisko i zagotował sobie nad nim wodę do golenia. Wśród przedmiotów, które zabrał kiedyś z chaty Donaldsona, była stara brzytwa w stalowym pudełku. Aż się zdziwił, jakie to łatwe, kiedy ma się do dyspozycji mydło i gorącą wodę. Wędrując po dziczy albo maszerując z wojskiem, zmuszony był golić się bez mydła i zimną wodą.

Wiosna przeszła w lato, a w forcie w dalszym ciągu nikt się nie zjawiał. Zachodził w głowę, jak by tu się dowiedzieć, dokąd odeszli Czejenowie z Szepczącym Wiatrem. Bez tej informacji nie mógł ruszyć ich śladem. Na wschód, do Fort Smith, ani na północny zachód do Fort Ellis, gdzie już na pewno by go rozpoznało, nie miał odwagi się wybrać. Goście przybyli dopiero po miesiącu. Traf chciał, że on udał się akurat w góry, by sprawdzić zastawione tam sidła. Było ich ośmiu, przyjechali trzema długimi, stalowymi rurami, które, choć niezaprężone w konie, toczyły się na czarnych dyskach ze srebrnymi tarczami w środku.

Przewodnikiem grupy był profesor John Ingles, dziekan wydziału Historii Zachodu na Uniwersytecie Montany w Bozeman, a jego najważniejszym gościem młody senator stanu Montana, który pofatygował się aż z Waszyngtonu. W skład grupy wchodziło również trzech posłów parlamentu z Helena oraz trzech urzędników z Departamentu Edukacji. Profesor Ingles otworzył kłódkę i grupka, rozglądając się ciekawie, weszła na teren fortu.

- Panie senatorze, panowie, pozwólcie, że powitam was w Fort Heritage - zagaił profesor, uśmiechając się promiennie. Należał do tych szczęśliwców, którzy dysponują niewyczerpanymi pokładami humoru i są bez pamięci zakochani w tym, co robią w ramach pracy zarobkowej. Zajmował się zawodowo sprawami, które od dziecka było jego obsesją - badaniami nad Starym Zachodem i zgłębianiem jego historii. Wiedział wszystko o dawnej Montanie, o Wojnie o Równiny, o plemionach rdzennych Amerykanów, które prowadziły tutaj wojny i polowały. Fort Heritage był marzeniem, które hołubił od dziesięciu lat i forsował wytrwale na setkach posiedzeń. Dzisiejszy dzień był uwieńczeniem tej dekady.

- Ten fort i punkt handlowy jest wierną, w najdrobniejszych szczegółach, repliką tego rodzaju placówek z czasów nieśmiertelnego generała Custer. Nadzorowałem wszystkie prace osobiście i mogę ręczyć za każdy detal.

Oprowadzając grupę po drewnianych pomieszczeniach i zabudowaniach, opowiadał, jak to przed dziesięciu laty złożył w Montañskim Towarzystwie Historycznym wniosek o wzniesienie tej rekonstrukcji i jak po wielu zabiegach znalazły się wreszcie fundusze na budowę.

Opowiadał, że każdy szczegół odtworzony został z dokładnością do jednego cala, że do budowy wykorzystano drewno pozyskane z okolicznych lasów, tak jak działałoby się w rzeczywistości, i że w swoim dążeniu do perfekcji zastosował nawet gwoździe oryginalnego typu, surowo zabraniając zastępowania ich stalowymi śrubami.

Wprost zarażał gości swoim entuzjazmem.

- Fort Heritage - mówił - stanie się wciągającą i przemawiającą do wyobraźni pomocą naukową dla dzieci i młodzieży nie tylko z Montany, ale i z ościennych stanów. Mamy już zgłoszenia grup wycieczkowych z Wyoming i Dakoty Południowej. Znajdujemy się na samym skraju Rezerwatu Kruków. Za palisadą mamy dwudziestoakrowy wybieg dla koni. W sezonie specjaliści będą w tradycyjny sposób, kosami, kosili trawę na siano dla nich. Zwiedzający zobaczą na własne oczy, jak sto lat temu wyglądało życie na pograniczu. Zapewniam panów, że drugiego takiego obiektu nie znajdziecie w całej Ameryce.

- Podoba mi się, bardzo mi się podoba - powiedział senator. - Ale co z personelem?

- Właśnie do tego dochodzę, panie senatorze. To nie ma być muzeum, lecz funkcjonujący, pracujący fort z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Posiadane przez nas fundusze pozwalają na zatrudnienie na lato, na wszystkie najważniejsze święta narodowe, a przede wszystkim na okres wakacji szkolnych, do sześćdziesięciu osób. Personel będzie się składał głównie z ludzi młodych, zwerbowanych w rozmaitych szkołach teatralnych, które działają w większych miastach Montany. Odzew studentów pragnących pracować tu podczas letniej przerwy w zajęciach i łączyć przyjemne z pożytecznym jest imponujący. Mamy już sześćdziesięciu ochotników. Ja sam wcielę się w postać majora Inglesa z Drugiego Pułku Kawalerii, komendanta tej placówki. Będę miał pod sobą sierżanta, kaprała i ośmiu żołnierzy. Wszyscy są studentami i potrafią jeździć konno. Konie wypożyczają nam zaprzyjaźnieni ranczerzy. Będzie tu również kilka młodych kobiet udających kucharki i praczki. Obowiązują stroje z tamtej epoki. Inni studenci szkół teatralnych grać będą traperów, którzy zeszli tu z gór, zwiadowców z równin, zmierzających na zachód osadników, którzy zbierają tu siły przed przekroczeniem Gór Skalistych.

Zaangażowaliśmy nawet prawdziwego kowala, dzięki czemu zwiedzający zobaczą, jak podkuwa się konie. Na nabożeństwach odprawianych w fortowej kaplicy śpiewać będziemy psalmy z tamtych czasów. Dziewczęta zamieszkają naturalnie w osobnych pomieszczeniach i będą miały opiekunkę, żeby nie rzec przyzwoitkę, w osobie mojej asystentki Charlotte Bevin. Żołnierze zostaną zakwaterowani w jednym baraku, cywile w drugim. Zapewniam panów, że pomyśleliśmy o wszystkim.

- A co z tym, bez czego współcześni młodzi ludzie obejść się nie mogą? - spytał kongresman z Helena. - Mam tu na myśli higienę osobistą, świeże owoce, warzywa...

- Celne pytanie - rozpromienił się jeszcze bardziej profesor. - Otóż w trzech kwestiach odchodzimy nieco od autentyzmu. Po pierwsze, na terenie placówki nie może się znajdować ani jedna sztuka naładowanej, sprawnej broni palnej. Replikami są wszystkie strzelby i karabiny, z wyjątkiem kilku, z których można strzelać ślepą amunicją, ale wyłącznie pod ścisłym nadzorem. Co do higieny, to widzieli już panowie zbrojownię? Znajdują się tam stojaki z replikami springfieldów, ale za fałszywą ścianą ukryte są sanitariaty z prawdziwego zdarzenia - gorąca woda, toalety, umywalki, wanny i natryski. A ten gigantyczny zbiornik na deszczówkę? Woda doprowadzana jest podziemnymi rurociągami. Do tego zbiornika prowadzi sekretne wejście. Wewnątrz mieści się zasilana gazem chłodnia, w której przechowujemy mięso na steki i siekane kotlety, warzywa i owoce. Gaz pochodzi z butli. Lecz na tym kończy się współczesność. Żadnej elektryczności. Same świece i lampy naftowe.

Zatrzymali się przed drzwiami baraku dla podróżnych. Jeden z wizytatorów wsunął głowę do środka.

- Wygląda na to, że ma pan tu dzikiego lokatora - zauważył, oglądając się na profesora. Zajrzeli do baraku i zobaczyli wymoszczone kocami legowisko w kącie. Znaleźli też inne ślady. Końskie łajno w stajni, pozostałości po ognisku. Senator parsknął śmiechem.

- Widzę, że co poniektórzy nie mogą się już doczekać - powiedział. - Kto wie, czy nie zadomowił się tu jakiś prawdziwy człowiek pogramicza.

Roześmieli się wszyscy.

- Ale teraz poważnie, profesorze. To kawał wspaniałej roboty. Jestem pewien, że co do tego wszyscy jesteśmy zgodni. Muszę panu pogratulować. Ten obiekt ma szansę stać się wizytówką naszego stanu.

I odjechali. Zamykając za sobą frontową bramę, profesor wciąż zachodził w głowę, co może oznaczać to legowisko i końskie łajno w stajni. Trzy pojazdy dotoczyły się wertepami do długiego pasa czarnej skały - czyli Drogi 310 - i skręciły na północ, w kierunku Billings, gdzie znajdowało się lotnisko.

Ben Craig wrócił z gór dwie godziny po ich odjeździe. Pierwszym sygnałem, że jego samotność została zakłócona, była zabarykadowana od wewnątrz furka w palisadzie, obok kaplicy. On zabezpieczył ją od zewnątrz, klinem wepchniętym między drzwi a framugę. Intruz albo wyszedł już główną bramą, albo wciąż znajdował się w środku. Sprawdził główną bramę. Była zamknięta na łańcuch spięty kłódką. Widniały tu na ziemi dziwne ślady, których nie potrafił rozgryźć. Przypominały odciski kół wozu, lecz były szersze i miały zygzakowate szlaczki w środku.

Z gotowym do strzału karabinem przelazł przez palisadę. Przez godzinę penetrował wszystkie pomieszczenia, zanim upewnił się ostatecznie, że nikogo nie ma.

Odbarykadował furtkę, wprowadził do środka Rosebud, zostawił ją w stajni przy pełnym żłobie i jeszcze raz obejrzał ślady na głównym placu apelowym. Były tu odciski lekkich pantofli i ciężkich buciorów, ale zygzakowatych śladów ani odcisków kopyt nie znalazł. Uświadomił sobie, że za bramą też nie widział odcisków kopyt. Wszystko to było bardzo dziwne.

Dwa tygodnie później przybyła obsada zrekonstruowanego fortu. Tak się złożyło, że Craig znowu wybrał się w góry Pryor na obchód swoich sideł.

Była to spora kolumna. W jej skład wchodziły trzy autobusy, cztery samochody i dwadzieścia koni w wielkich, srebrnych przyczepach. Wyładowali się i samochody odjechały.

Ludzie jeszcze w Billings przebrali się we właściwe swoim rolom kostiumy z epoki. Każdy miał torbę z drugim kostiumem na zmianę i z rzeczami osobistymi. Profesor jeszcze raz skontrolował zawartość wszystkich bagaży, upewniając się, czy ktoś, wbrew zakazowi, nie przywiózł ze sobą czegoś „współczesnego”, zwłaszcza zasilanych bateriami urządzeń elektrycznych. Niektórzy z ciężkim sercem rozstawali się z radiem tranzystorowym, ale tego wymagał kontrakt. Zakazem posiadania objęte były nawet wydane współcześnie książki. Profesor Ingles dążył do stworzenia warunków, w których to cofnięcie się w czasie o całe stulecie będzie kompletne, zarówno pod względem pełnego autentyzmu, jak i z psychologicznego punktu widzenia.

- Z czasem naprawdę uwierzycie, że jesteście tymi, których gracie... ludźmi pogranicza, żyjącymi w przełomowym dla historii Montany okresie - powtarzał im.

Studenci szkół teatralnych, którzy zgłosili się do tej wakacyjnej chałtury na ochotnika, bo nie dość, że popłatnością biła na głowę kelnerowanie, to jeszcze zapewniała doświadczenie, które może się później przydać w pracy zawodowej, przez kilka godzin z rosnącym entuzjazmem zwiedzali nowe otoczenie.

Kawalerzyści wprowadzili do stajni swoje konie i rozlokowali się w kwaterach w wojskowym baraku sypialnym. Wytropiono i natychmiast skonfiskowano dwa plakaty,

jeden z Raquel Welch, drugi z Ursula Andrews. Humory dopisywały, uczucie podniecenia rosło.

Cywile - kowale, kupcy, kucharze, traperzy i osadnicy ze wschodu - zajęli drugi duży barak. Osiem dziewcząt udało się do swoich sypialni pod przewodem panny Bevin. Przyjechały dwa kryte białym płótnem wozy, tak zwane preriowe szkunery, zaprzężone w potężne perszerony. Ustawiono je w obrębie palisady, nieopodal głównej bramy. Miały się okazać najważniejszą atrakcją dla przyszłych zwiedzających. Było późne popołudnie, kiedy Ben Craig ściągnął Rosebud cugle i z rosnącym niepokojem przyglądał się z odległości pół mili fortowi. Brama stała otworem. Widział w środku dwa preriowe szkunery i ludzi krzątających się po placu apelowym. Na maszcie nad bramą powiewała flaga Unii. Mignęły mu dwa granatowe mundury. Od tygodni czekał na zjawienie się kogoś, kogo będzie mógł zapytać, dokąd odeszli albo zostali odprowadzeni Czejenowie, ale teraz zaczynały go ogarniać wątpliwości.

Przez pół godziny bił się z myślami, w końcu podjechał do fortu. Kiedy mijał bramę, dwaj żołnierze właśnie ją zamykali. Popatrzyli na niego z zaciekawieniem, ale nic nie powiedzieli. Zeskoczył na ziemię i biorąc Rosebud za uzdę, ruszył z nią do stajni. Nim zdążył ująć kilka kroków, zastąpiono mu drogę.

Panna Charlotte Bevin była miłą osobką, nastawioną życzliwie do świata, po amerykańsku szczerą i otwartą blondynką o usianym piegami nosku i szerokim uśmiechu. Obdarzyła tym ostatnim Bena Craiga.

- Dzień dobry.

Z braku nakrycia głowy, na noszenie którego było za gorąco, zwiadowca, zamiast uchylić czapki, kiwnął tylko głową.

- Pochwalony, pszepani.

- Pan z naszej grupy?

Jako asystentka profesora i doktorantka, była od samego początku zaangażowana w to przedsięwzięcie i uczestniczyła w rozmowach kwalifikacyjnych z wieloma kandydatami, zmierzających do wyłonienia finałowej sześćdziesiątki. Ale tego młodego człowieka sobie nie przypominała.

- Chyba tak, pszepani - bąknął nieznajomy.

- Mam przez to rozumieć, że chciałby się pan do nas przyłączyć?

- Może bym i chciał.

- Cóż, to trochę niezgodne z zasadami, nie należy pan do obsady. Ale robi się późno i musiałby pan spędzić noc na prerii. Przenocujemy pana. Proszę odprowadzić konia do stajni, a ja porozmawiam z majorem Inglesem. Niech pan wpadnie za pół godziny do biura komendanta.

Przebiegła plac apelowy i zapukała do drzwi biura komendanta. Profesor, ubrany w mundur majora Drugiego Pułku Kawalerii, siedział za biurkiem i przeglądał jakieś urzędowe dokumenty.

- Siadaj, Charlie - mruknął, nie podnosząc wzroku. - Młodzież już się zainstalowała?

- Tak, i mamy jeszcze jednego.

- Słucham?

- Młodego mężczyznę na koniu. Dwadzieścia parę lat. Wjechał tu przed chwilą prosto z prerii. Wygląda mi na spóźnionego miejscowego wolontariusza. Mówi, że chciałby do nas dołączyć.

- Nikogo nam już nie trzeba. Mamy komplet.

- Tak, ale on przyjechał z własnym wyposażeniem. Koń, spodnie i kurtka z koziej skóry, stosownie wyświechtane, siodło. Nawet kilka zwiniętych zwierzęcych skórek przytroczonych za siodłem. Widać, że zadał sobie sporo trudu.

- Gdzie teraz jest?

- Wstawia konia do stajni. Kazałam mu tu przyjść za parę minut. Pomyślałam, że mógłby go pan sobie przynajmniej obejrzeć.

- No, dobrze.

Craig nie miał zegarka i w upływie czasu orientował się, obserwując położenie słońca na niebie, ale zjawił się punktualnie co do pięciu minut. Zapukał.

- Wejść - dobiegło zza drzwi.

John Ingles, w pełnym umundurowaniu, zapięty po samą szyję, siedział za biurkiem. Charlie Bevin stała obok niego.

- Chciał mnie pan widzieć, panie majorze?

Profesora z miejsca uderzył autentyzm bijący od stojącego przed nim młodzieńca. Chłopak miał nerwowo w dłoniach okrągłą czapkę z lisiego futra. Z otwartej, szczerzej, ogorzałej twarzy patrzyły nieruchomo chabrowe oczy. Kasztanowe, nieprzycinane od tygodni włosy miał związane rzemieniem w koński ogon, z którego zwisało pojedyncze orle pióro. Ubranie z koziej skóry zszyte było ręcznie, nierównym ścięciem, takim samym, jaki widział, oglądając autentyczne ubiory z epoki.

- No więc, młody człowieku, Charlie mówi mi, że chcesz się do nas przyłączyć, pobyc tu jakiś czas?

- Tak, panie majorze, bardzo bym chciał.

Profesor podjął męską decyzję. Mieli w budżecie pewną rezerwę na „nieprzewidziane wydatki”. Podciągnie się tego młodzieńca pod taki nieprzewidziany wydatek. Sięgnął po długi formularz, wziął obsadkę ze stalówką i umoczył ją w kałamarzu.

- Dobrze, spiszmy teraz personalia. Nazwisko?

Craig się zawahał. Na razie nic nie wskazywało na to, że go rozpoznali, ale może im coś zaświtać, kiedy usłyszą nazwisko. Tyle że ten major taki zażywny i jakiś blady. Tak jakby dopiero co przybył na pogranicze. Może na wschodzie nie wiedzą jeszcze o wydarzeniach ubiegłego lata.

- Craig, panie majorze. Ben Craig.

Czekał w napięciu. Żadnych oznak, że to nazwisko coś im mówi. Pulchna ręka zapisała czytelnym urzędniczym pismem: Benjamin Craig.

- Adres?

- Że co?

- Gdzie mieszkasz, synu. Skąd jesteś?

- Stąd, panie majorze.

- Tu jest preria, a za nią dziki kraj.

- W samej rzeczy, pszepana. Urodziłem się i wychowałem w górach, panie majorze.



- Dobry Boże. - Profesor słyszał o rodzinach, które wegetują z dala od cywilizacji w szalonych skałach z papy, ale myślał, że przypadki takie są bardziej na porządku dziennym w lasach Gór Skalistych, w Utah, Wyoming i Idaho. Wykaligrafował: „Bez stałego miejsca zamieszkania”.

- Imiona rodziców?

- Nie żyją oboje, panie majorze.

- O, przykro mi to słyszeć.

- Będzie już z piętnaście lat.

- I kto cię wychowywał?

- Pan Donaldson, panie majorze.

- Aha, a on mieszka...?

- Też nie żyje. Niedźwiedź go ukatrupił.

Profesor odłożył pióro. Nie słyszał o żadnych śmiertelnych ofiarach ataku niedźwiedzia, chociaż niektórzy turyści potrafili być niewiarygodnie nieostrożni, jeśli chodzi o pozbywanie się odpadków po pikniku. Dawała tu o sobie znać nieznajomość dzikiej przyrody. Tak czy owak, ten przystojny młody człowiek najwyraźniej nie miał żadnej bliskiej rodziny.

- Jacyś dalsi krewni?

- Że co?

- Kogo mamy zawiadomić, gdyby... gdyby coś ci się przytrafiło?

- Nikogo, panie majorze. Nie ma kogo.

- Rozumiem. Data urodzenia?

- Pięćdziesiąty drugi. Gdzieś tak w końcu grudnia.

- Czyli miałbyś teraz dwadzieścia pięć lat?

- Tak, panie majorze.

- Dobrze. Numer ubezpieczenia społecznego?

Craig milczał.

- No, no - westchnął profesor - wygląda na to, że prześlizgnąłeś się przez sito. Bardzo dobrze. Podpisz tutaj.

Odwrócił formularz o sto osiemdziesiąt stopni, podsunął go Craigowi i podał mu pióro. Słów „podpis kandydata” Craig nie potrafił przeczytać, ale domyślił się, o które miejsce chodzi. Pochylił się i postawił tam swój znak. Profesor wziął formularz do ręki i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Oj, chłopcze, chłopcze... - Pokazał dokument Charlie. W miejscu na podpis widniał atramentowy krzyżyk.

- Coś mi się wydaje, Charlie, że jako pracownik dydaktyczny, będziesz miała tego lata jedno małe dodatkowe zadanko.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Tak jest, panie majorze, mnie się też tak wydaje.

Charlie liczyła sobie trzydzieści pięć lat, była kiedyś zamężna, ale niedługo, i nie miała dzieci. Ten młody człowiek z dziczy wydawał jej się chłopięco naiwny, niewinny i bezbronny. Zaopiekuje się nim.

- To by było wszystko - powiedział profesor Ingles. - Idź teraz, Ben, i poszukaj sobie jakiegoś kąta, o ile już go nie znalazłeś. Potem zjesz z nami wspólną kolację przy drewnianych stołach.

Posiłek był smaczny i obfity. Podano go na emaliowanych cynowych talerzach. Craig jadł, pomagając sobie nożem Bowie, łyżką i pajdą chleba. Niektórzy z biesiadników, obserwując go spod oka, uśmiechali się półgębkiem, lecz on tego nie widział.

Młodzi mężczyźni, z którymi przyszło mu dzielić barak, przyjęli go przyjaźnie. Pochodzili wszyscy z miast i miasteczek, o których nigdy nie słyszał, założył więc, że leżą gdzieś na wschodzie. Długo jednak nie rozmawiali, bo mieli za sobą męczący dzień. Szybko zdmuchnięto świece i wszyscy ułożyli się do snu.

Ben Craig nie miał zwyczaju wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale zauważył, że otaczający go młodzi ludzie są pod wieloma względami jacyś dziwni. Podawali się za zwiadowców, ujeżdżaczy koni i traperów, a tak mało wiedzieli o tym, czym się parali. Pamiętał jednak służących pod Custerem surowych rekrutów, którzy też niewiele wiedzieli o koniach, broni i Indianach z Wielkich Równin. Najwyraźniej nic się nie zmieniło przez ten rok, który spędził częściowo wśród Czejenów, częściowo w samotności.

Na aklimatyzację i próby przed przyjęciem pierwszych grup wycieczkowych przewidziano w harmonogramie dwa tygodnie. Czas ten miało wypełnić doprowadzenie fortu do idealnego stanu, ćwiczenie codziennych zajęć oraz wykłady majora Inglesa, prowadzone przeważnie na świeżym powietrzu.

Craig nic o tym nie wiedział i wybrał się znowu na polowanie. Kiedy jechał przez plac apelowy ku głównej bramie, która przez całe dni stała otworem, zaczepił go młody kowboj imieniem Brad.

- Co tam masz, Ben? - spytał, pokazując na kaburę z owczej skóry, przytroczoną do siodła przed lewym kolaniem Craiga.

- Karabin - odparł Craig.

- Mogę zobaczyć? Znam się na broni.

Craig wyciągnął z kabury sharpa i podał go chłopcu. Brad nie krył zachwyty.

- O, kurczę, coś pięknego. Prawdziwy antyk. Co to?

- Sharp z pięćdziesiątego drugiego.

- Nie do wiary. Nie wiedziałem, że robią jego repliki.

Brad złożył się do strzału, biorąc na cel dzwon wiszący w otworze nad główną bramą. W dzwon ten bito z zapamiętaniem w wypadku dostrzeżenia wroga albo nadejścia meldunku, że nadciąga; wzywano w ten sposób pracujące na zewnątrz fortu grupy do szybkiego powrotu za palisadę. Brad pociągnął za spust.

Chciał powiedzieć „Bum”, ale sharp zrobił to za niego. Odrzut cisnął chłopakiem o ziemię. Gdyby wielkokalibrowy pocisk trafił bezpośrednio w dzwon, ten rozprysłby się na kawałki. Na szczęście kula odbiła się od niego rykoszetem i śmignęła z wizgiem w niebo. Życie w forcie zamarło. Martwą ciszę, jaka zaległa, mąciło jedynie brzęczenie wprawionego w wibracje dzwonu. Profesor wyskoczył jak oparzony z biura.

- Co to, u diabła, było? - zawołał i dopiero teraz zauważył otumanionego Brada siedzącego na ziemi z wielkim karabinem w dłoniach. - Co ty wyprawiasz, Brad?

Brad pozbiierał się z ziemi i opowiedział, jak było. Ingles popatrzył z wyrzutem na Craiga.

- Może zapomniałem ci powiedzieć, Ben, ale broń palna jest tu zakazana. Taką mamy zasadę. Będę musiał zamknąć twój karabin w zbrojowni.

- Nie wolno mieć karabinu, panie majorze?

- Nie wolno. Przynajmniej prawdziwego.

- A Siuksowie?

- Siuksowie? O ile mi wiadomo, przebywają w rezerwatach w Dakocie Południowej i Północnej.

- Ale mogą wrócić, panie majorze.

Profesor uznał to za żart. Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Oczywiście, że mogą. Ale raczej nie tego lata. Natomiast ta pukawka postoi sobie za łańcuchem w zbrojowni.

Czwartego dnia była niedziela i personel zebrał się w kaplicy, by uczestniczyć w porannym nabożeństwie. Z braku kapelana odprawiał je major Ingles. Kiedy przyszła pora na odczytanie lekcji z Biblii, podszedł do mównicy i otworzył opasłe tomisko na stronie zaznaczonej zakładką.

- Nasze dzisiejsze czytanie pochodzi z Księgi Izajasza, rozdział jedenasty, poczynając od wersu szóstego. Prorok nawiązuje tu do czasów, kiedy na naszym ziemskim padole zapanuje zesłany przez Boga pokój.

„Wtedy wilk zamieszka wraz z barankiem, pantera z koźlęciem razem leżeć będą, cielę i lew paść się będą spodem i mały chłopiec będzie je poganiać. Krowa i niedźwiedzica przestawać będą przyjaźnie, młode ich razem będą legały. Lew też...”

W tym miejscu przewrócił stronicę, nie zauważając, że dwie kartki z papieru ryżowego skleiły się, i urwał, bo dalszy ciąg tekstu wydał mu się bez sensu. Kiedy zmieszany usiłował dociec, czemu tak mu się wydaje, młody głos ze środka trzeciego rzędu podjął: „Lew też jak wół będzie jadały słomę, niemowlę igrać będzie na norze kobry, dziecko włoży rękę do kryjówki żmii. Zła czynić nie będą ani zgubnie działać po całej świętej mej górze, bo kraj się napełni znajomością Pana na kształt wód, które przepelniają morze”

\*.[\* Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych. Opracował zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich. Wydanie IV, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań 1991.]

Zapadła cisza. Zebrani gapili się z otwartymi ustami na postać w sfatygowanym skórzanym odzieniu, z wpiętym we włosy orlim piórem zwisającym z potylicy. John Ingles znalazł wreszcie opuszczony fragment.

- Tak, właśnie tak. Tu się kończy się pierwsza lekcja.

- Doprawdy, nie mogę rozgryźć tego młodzieńca - zwierzył się po lunchu Charlie w swoim biurze. - Nie umie czytać ani pisać, a potrafi recytować z pamięci ustępy Biblii, które zasłyszał w dzieciństwie. Czy to z nim coś jest nie tak, czy ze mną?

- Niech pan się tak nie przejmuj, rozmawiałam z nim trochę i wydaje mi się, że już go rozgryzłam - odparła. - Jego rodzice rzeczywiście postanowili odciąć się od cywilizacji i zamieszkali na odludziu. Kiedy zmarli, został nieoficjalnie i prawdopodobnie z pominięciem wszelkich prawnych procedur zaadoptowany przez starszego wiekiem, samotnego włóczęgę, który wychowywał go jak własnego syna. W związku z tym

rzeczywiście nie chodził nigdy do szkoły. Ale ma ogromny zasób wiedzy z trzech dziedzin - Biblia, którą czytała mu w dzieciństwie matka, sztuka przetrwania w ekstremalnych warunkach i historia Starego Zachodu.

- Zna historię Zachodu? Skąd, skoro nie skończył nawet podstawówki?

- Przypuszczam, że dzięki staremu. Jeśli założymy, że umierając... a było to trzy lata temu... człowiek ten liczył sobie, powiedzmy, osiemdziesiąt lat, to musiał się urodzić pod koniec ubiegłego wieku. W tamtych czasach warunki życia na tych terenach były dosyć surowe. Opowiadał pewnie chłopcu, co zapamiętał z dzieciństwa, albo powtarzał, co jemu opowiadali wtedy o okresie osadnictwa uczestnicy tamtych wydarzeń.

- A nie odnosisz wrażenia, że chłopak trochę za poważnie traktuje tę zabawę? Nie jest czasem niebezpieczny? Wiesz, co mam na myśli.

- Skąd - zachnęła się Charlie - nic z tych rzeczy. Po prostu fantazjuje. Wyobraża sobie, że ma prawo do woli zastawiać sidła i polować, tak jak to robiono w dawnych czasach.

- Coś w rodzaju role-playing, no wiesz, gry fabularnej?

- Tak, ale czyż wszyscy po trosze w nią nie gramy?

Profesor ryknął śmiechem i klepnął się po udach.

- Masz rację, wszyscy to robimy. On jest w tym tylko genialnie dobry.

Charlie wstała.

- Bo naprawdę potrafi wczuć się w swoją rolę. Jest z nas wszystkich najlepszym aktorem. Proszę zdać się na mnie. Dopilnuję, żeby nie wynikała z tego jakaś bieda. A tak nawiasem mówiąc, dwie dziewczyny robią już do niego słodkie oczy.

Ben Craig nie mógł zrozumieć, dlaczego współlokatorzy z baraku, kładąc się do łóżek, rozbierają się do samych bawełnianych gaci. On wolał sypiać tak, jak to było ogólnie przyjęte - w kombinezonie okrywającym ciało od szyi po kostki nóg. Po tygodniu wynikł z tego pewien problem, o rozwiązanie którego kilku współlokatorów zwróciło się do Charlie.

Znalazła Craiga za kuchnią, rąbiącego siekierą drewno na opał.

- Ben, mogę cię o coś zapytać?

- Słucham, pszepani.

- Mów mi Charlie.

- Dobrze, pani Charlie.

- Ben, czy ty się w ogóle kąpiesz?

- Czy ja się kąpię?

- Mhm. Czy się rozbierasz do naga i myjesz całe ciało, a nie tylko ręce i twarz?

- Jasna rzecz, pszepani. Regularnie.

- Miło mi to słyszeć, Ben. A kiedy ostatnio to robiłeś?

Zastanowił się. Stary Donaldson wpajał mu, że kąpać trzeba się regularnie, ale moczenie się w lodowatych strumieniach do przyjemności nie należało i trudno się było w tym rozsmakować.

- No, ostatni raz to w zeszłym miesiącu.

- Tak podejrzewałam. A nie wykapałbyś się znowu? Teraz?

Dziesięć minut później zauważyła, jak wyprowadza ze stajni osiodłaną Rosebud.

- A ty dokąd, Ben?

- Wykąpać się, pani Charlie. Jak pani kazała.

- Gdzie?

- W strumieniu. A gdzieżby?

Charlie już wcześniej podejrziała, że Ben wychodzi codziennie daleko w prerię, żeby w długiej trawie załatwić potrzeby naturalne. Że twarz, ramiona i dłonie myje w korycie z wodą dla koni, a zęby czyści przyciętą ukośnie wierzbową gałązką.

- Przywiąż konia i chodź ze mną - powiedziała.

Wprowadziła go do zbrojowni. Podeszli do ściany, pod którą stały stojaki z zabezpieczonymi łańcuchem springfieldami, wdusiła przycisk zatrasku ukryty w dziurze po sęku i otworzyła zamaskowane drzwi. Za nimi znajdowało się pomieszczenie z umywalkami i wannami.

Craig widział już wanny do kąpieli, kiedy przez dwa lata mieszkał w Fort Ellis, ale tamte były wykonane z drewnianych klepek. Te zaś były z żelaza powleczonego białą emalią. Wiedział, że gorącą wodę do kąpieli trzeba przynosić wiadrami z kuchni. Jakież było jego zdumienie, kiedy Charlie przekręciła jakieś dziwne pokrętko i do wanny trysnęła struga parującej wody.

- Ben, wracam za dwie minuty i chcę znaleźć pod drzwiami wszystkie części twojej garderoby, z wyjątkiem skórzanych, bo te trzeba prać na sucho. Ty wejdiesz do wanny, namydliš się cały i wyszorujesz szczotką. Potem weźmiesz to i umyjesz sobie włosy. -

Wręczyła mu flaszkę z zielonym płynem, który pachniał sosnowymi szyszkami. - Na koniec ubierzesz się. Bielizna leży na tamtych półkach. Kiedy będziesz już gotowy, wyjdź. Zrozumiałeś?

Zrobił, jak mu kazano. Nigdy jeszcze nie brał gorącej kąpieli, ale sprawiła mu przyjemność. Miał tylko pewne trudności z zakręceniem kranu i omal nie załat podłogi. Potem umył szamponem włosy. Namacał na dnie wanny korek, wyciągnął go i patrzył, jak bura woda spływa do ścieków.

Z półek w kącie wybrał sobie bawełniane szorty, biały podkoszulek i ciepłą kraciastą koszulę. Ubrał się, wplótł we włosy orle pióro i wyszedł. Charlie czekała na niego z nożyczkami i grzebieniem przy ustawionym na słońcu krzesło.

- Nie jestem ekspertem, ale lepsze to niż nic - powiedziała. - Siadaj.

Przystrzygła mu kasztanowe włosy, nie ruszając tylko pasma z tyłu głowy, w które miał wpięte pióro.

- Od razu lepiej - orzekła, oceniając efekty swojej pracy. - A jak pięknie pachniesz.

Odniosła krzesło z powrotem do zbrojowni i zamknęła drzwi na klucz. Spodziewała się wdzięczności, ale Ben stał jakiś zgaszony, żeby nie powiedzieć zaszępony.

- Przejdzie się pani ze mną, pani Charlie?

- Chętnie, Ben. Coś cię gryzie?

W głębi duszy była zachwycona nadarzającą się okazją. Może wreszcie wyciągnie z tego enigmatycznego, dziwnego, wychowanego w dziczy człowieka coś, co pozwoli jej lepiej go zrozumieć. Wyszli przez bramę i ruszyli prerią w kierunku strumienia. Ben nie odzywał się, szedł zatopiony w myślach. Nie przerywała milczenia, choć miała na to wielką ochotę. Do strumienia była mila i droga zajęła im dwadzieścia minut.

Preria pachniała gotową do koszenia trawą. Ben co jakiś czas popatrywał na piętrzące się na południu góry Pryor.

- Przyjemnie tak iść przed siebie i patrzeć na góry - zagaiła w końcu.

- To mój dom - mruknął i znowu zamilkł.

Kiedy doszli do strumienia, przykucnął nad samą wodą. Zebrała fałdy bawełnianej sukni i usiadła naprzeciw niego.

- O co chodzi, Ben?

- Mogę o coś zapytać, pszepani?

- Charlie. Naturalnie, że możesz.

- I nie okłamię mnie pani?

- Czemu miałabym cię okłamywać, Ben?

- Który rok mamy?

Spojrzała na niego zdumiona. Nie spodziewała się takiego pytania. Patrzyła w te chabrowe oczy i ogarniało ją jakieś osobliwe przeczucie... jest o dziesięć lat od niego starsza, a przecież...

- Jak to, który? Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy, Ben.

Jeśli oczekiwała potakującego kiwnięcia głową, to się zawiodła. Chłopak zwiesił głowę między kolana i zakrył twarz dłońmi. Ramiona pod kurtką z koziej skóry zaczęły mu drżeć.

Tylko raz widziała płaczącego dorosłego mężczyznę. Przy rozbitym aucie na drodze z Bozeman do Billings. Uniosła się na klęczki i położyła mu dłonie na ramionach.

- W czym rzecz, Ben? O co chodzi z tym rokiem?

Ben Craig odczuwał już kiedyś strach. Stojąc oko w oko z niedźwiedziem grizzly nad brzegiem Little Big Horn. Ale to było nic, w porównaniu z przerażeniem, jakie go teraz ogarnęło.

- Urodziłem się - odezwał się po dłuższej chwili - w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym drugim.

Nie była wcale zaskoczona. Już od jakiegoś czasu przeczuwała, że coś tu jest nie tak. Objęła go, przytuliła i zaczęła gładzić po głowie.

Była nowoczesną młodą kobietą, dziewczyną swoich czasów. Czytała o takich przypadkach. Połowa młodzieży Zachodu pasjonowała się mistyczną filozofią Wschodu. Słyszała o teorii reinkarnacji, a w każdym razie o wierze w nią. Czytała o ludziach, którzy doświadczali uczucia deja vu, którzy byli przeświadczeni, że żyli już kiedyś, dawno temu, w innych wcieleniach.

Współczesna psychiatria radziła sobie z takimi przypadkami. O fachową pomoc, poradę, terapię nie było trudno.

- Już dobrze, Ben - wymruczała, kołysząc go jak dziecko. - Już dobrze. Wszystko się jakoś ułoży. Wierz sobie w to, jeśli chcesz. Spędzisz lato z nami, tutaj, w forcie.

Będziemy żyli jak przed stu laty. A jesienią zabiorę cię do Bozeman i znajdę ludzi, którzy ci pomogą. Wyjdiesz z tego, Ben. Zaufaj mi.

Ogarnięta współczuciem dla tego młodego człowieka z gór wyciągnęła z rękawa chusteczkę i osuszyła mu twarz. Do fortu wracali w milczeniu.

Wykłady „majora” Inglesa były obowiązkowe dla wszystkich. Korzystając z ładnej późnoczerwcowej pogody, prowadził je na placu apelowym, mając przed sobą audytorium siedzące na ustawionych rzędami ławkach, a obok siebie stojak, na którym rozwieszał materiały poglądowe. Opowiadał o dziejach Starego Zachodu ze swadą, czuł się w swoim żywiole.

Dziesiątego dnia doszedł do Wojny o Równiny. Za nim wisiały powiększone fotografie najważniejszych wodzów ludu Siuksów. Na jednej z nich Ben Craig rozpoznał Sitting Bulla, choć zdjęcie zrobiono pod koniec życia tego ostatniego. Szaman plemienia Hunkpapa schronił się w Kanadzie, ale po jakimś czasie wrócił i wraz ze swoim ludem oddał się w ręce amerykańskiej armii. Fotografia wisząca na stojaku zrobiona została na krótko przed jego zamordowaniem.

- Ale najoryginalniejszym z nich był wódz plemienia Oglala, Crazy Horse - ciągnął profesor. - Uparcie nie pozwalał się fotografować białemu człowiekowi. Wierzył, że aparat skradnie mu duszę. Nie ma więc ani jednej jego fotografii. I nigdy się nie dowiemy, jak wyglądał.

Craig otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

Na kolejnym wykładzie profesor omówił szczegółowo przebieg kampanii, która doprowadziła do bitwy nad Little Big Horn. Dopiero teraz Ben Craig dowiedział się, jak potoczyły się losy majora Reno i jego trzech szwadronów oraz kapitana Benteena, który wrócił z bezdroży i dołączył do nich na obleganym wzgórzu. Z ulgą przyjął wiadomość, że większość tych ludzi doczekała odsieczy, z którą nadszedł w końcu generał Terry. Na ostatnim wykładzie profesor opowiadał o wyłapaniu w roku 1877 wszystkich rozproszonych grup Siuksów i Cze-jenów i odprowadzeniu ich pod eskortą z powrotem do rezerwatów. Kiedy skończył i poprosił o pytania, rękę podniósł Craig.

- Słucham, Ben. - Profesor był ogromnie ciekaw, o co też chce zapytać słuchacz, który jako jedyny z obecnych nie przekroczył nigdy progu szkoły podstawowej.

- Panie majorze, czy słyszał pan o wodzu, którego zwano Wysoki Łoś, albo o wojowniku, który nosił imię Chodzący Wilk?

Profesor stropił się. Na wydziale miał ciężarówkę fachowej literatury, a w głowie treść większości z tych książek, ale spodziewał się łatwiejszego pytania. Wytężył pamięć.

- Nie, chyba o takich nie słyszałem, i nie wspominał o nich żaden z Indian Równinnych, których przesłuchiowano potem w charakterze naocznych świadków tamtych wydarzeń.

Czemu pytasz?

- Obiło mi się o uszy, że podobno Wysoki Łoś odłączył się od głównej grupy, zmylił patrole generała Terry'ego i przezimował tutaj, w górach Pryor.

- Cóż, mnie nic o tym nie wiadomo. Jeśli rzeczywiście tak było, to wiosną armia trafiła pewnie do jego obozu. Musiałbyś zapytać w Kulawym Jeleniu. To teraz centrum Rezerwatu Czejenów Południowych. Na ten temat może też coś wiedzieć ktoś z College'u imienia Tępego Noża.

Ben Craig zapamiętał sobie te nazwy. Jesienią pojedzie do Kulawego Jelenia, cokolwiek to było, i zapyta. W weekend zaczęły napływać pierwsze grupy zwiedzających. Potem nie było już dnia, żeby w forcie ktoś się nie zjawił.

Były to w większości wycieczki autokarowe, głównie szkolne pod opieką nauczycieli, ale zdarzały się też osoby prywatne, które przyjeżdżały własnymi samochodami. Wszystkie pojazdy zatrzymywały się na ustronnym, niewidocznym z fortu parkingu, a ich pasażerów dowożono do odległej jeszcze o milę głównej bramy krytymi wozami. Był to element opracowanej przez profesora Inglesa strategii „wprowadzania w nastrój”.

Sprawdzał się. Dla dzieci, bo to one stanowiły większość zwiedzających, jazda telepiącym się po wertepach wozem była jedynym w swoim rodzaju i niezapomnianym przeżyciem. Już na dwieście jardów przed bramą wyobrażały sobie, że naprawdę są osadnikami.

Wysypywały się z wozów podekscytowanymi gromadkami, a tu traper, którego odgrywał Craig, soląc i skrobiąc rozpostarte na słońcu zwierzęce skóry, przygotowuje je do zmiękczenia i garbowania; tam żołnierze ćwiczą musztrę; w kuźni kowal pompuje miechami; pod kuchnią dziewczęta w długich sukniach piorą pościel w drewnianych baliach. „Major” Ingles prowadził wycieczki od stanowiska do stanowiska, objaśniając każdą czynność i tłumacząc, dlaczego trzeba ją było wykonywać na Równinach.

Dwaj studenci indiańskiego pochodzenia grali pokojowo nastawionych Indian, którzy mieszkają w forcie i są wykorzystywani w charakterze tropicieli śladów i przewodników, w sytuacji gdy wojsko musi spieszyć na ratunek grupie osadników napadniętej przez wojowniczych, zbiegłych z rezerwatu Indian. Paradowali w bawełnianych spodniach, niebieskich płóciennych koszulach, przepaskach biodrowych, długich czarnych perukach i sfatygowanych cylindrach. Największą atrakcją byli jednak kowal i Ben Craig oprawiający swoje skóry.

- Sam je pan złapał? - spytał go kiedyś uczeń ze szkoły w Helena.

- Sam.

- A ma pan pozwolenie?

- Że co?

- Dlaczego nosi pan pióro we włosach, skoro nie jest pan Indianinem?

- Czejenowie mi je dali.

- Za co?

- Za zabicie grizzly.

- Cudowna historia - zachwycała się nauczycielka.

- E, tam - prychnął pogardliwie chłopiec. - To taki sam aktor jak cała reszta.

Ilekcję przed bramą zatrzymywał się wóz z kolejną partią zwiedzających, Craig przerywał pracę i wypatrywał wśród wysiadających z niego ludzi kaskady czarnych włosów, znajomego owalu twarzy, pary wielkich, ciemnych oczu. Ale minął lipiec, zaczął się sierpień, a ona nie przyjeżdżała.

Pewnego razu poprosił majora o trzy dni wolnego i wybrał się w góry. Ruszył o świcie.

Dotarłszy na miejsce, znalazł kępę morwowatych krzewów, dobył pożyczonej od kowala siekiery i zabrał się do pracy. Wyciął, oczyścił z gałązek i okorował długi pręt na łączysko łuku, za cięciwę, z braku zwierzęcych ścięgien, posłużył zabrany z fortu szpagat.

Drzewca strzał sporządził z twardych, prostych jesionowych gałązek, pierzyska do nich z piór nieostrożnego dzikiego indyka. Nad strumieniem znalazł bryłę krzemienia. Odłupał kilka kawałków i obrobiwszy, je uzyskał groty do strzał. Zarówno Czejenowie, jak i



Siuksowie stosowali zawsze groty krzemienne albo żelazne. Osadzali je w rozszczepieniu na końcu drzewca strzały, a następnie zabezpieczali przez wypadnięciem, obwiązując to miejsce ciasno cienutkim rzemykiem. Z tych dwóch grotów ludzie równin bardziej bali się krzemienego. Groty żelazne wychodziły z rany razem z drzewcem, krzemienne kruszyły się zazwyczaj przy wyciąganiu strzały i ich odłamki zostawały w ciele. Przeprowadzana bez znieczulenia operacja ich usuwania kończyła się najczęściej śmiercią delikwenta. Craig sporządził cztery takie. Rankiem trzeciego dnia ustrzelił z łuku jelenia.

Wrócił do fortu z przerzuconą przez łąk siodła zdobyczą, w której sercu tkwiła strzała. Na oczach zdumionych mieszkańców powiesił zwierzę na haku przed kuchnią, wypatroszył je, ściągnął skórę, rozebrał i wręczył kucharzowi sześćdziesiąt funtów świeżej dziczyzny.

- Nie odpowiada ci moja kuchnia? - spytał kucharz.

- Dlaczego? Dobrze gotujesz. Nawet mi smakuje ten podplomyk z serem posypany kolorowymi kawałkami czegoś.

- Nie podplomyk tylko pizza.

- Pomyślałem sobie, że dla odmiany moglibyśmy zjeść świeżego mięsa.

Kiedy zwiadowca mył ręce w korycie z wodą dla koni, kucharz chwycił zakrwawioną strzałę i pobiegł z nią do biura komendanta.

- Piękny egzemplarz - zachwycił się profesor Ingles. - Widziałem takie w muzeum.

Czejeńska robota. Świadczy o tym to pierzysko z indyckich piór. Skąd ją wziął?

- Mówi, że sam zrobił - odparł kucharz.

- Niemożliwe. Nikt już nie potrafi tak obrabiać krzemienia.

- Ma cztery takie - powiedział kucharz - a ta tkwiła w sercu jelenia. Dzisiaj świeża dziczyzna na kolację.

Wieczorny posiłek jedli przy ognisku rozpalonym za palisadą fortu.

Profesor obserwował Craiga odcinającego ostrym jak brzytwa nożem Bowie płyty mięsa z piekącego się nad ogniem udzca i rozpamiętywał zapewnienia Charlie, że ten człowiek jest zupełnie niegroźny. Być może, ale on miał jednak swoje wątpliwości. Z takimi nigdy nic nie wiadomo. Zauważył, że już cztery studentki próbują zwrócić na siebie uwagę tego młodego dzikusa, ale ten zdawał się błądzić myślami gdzieś daleko.

W połowie miesiąca czarny pies rozpaczy zaczął podgryzać Bena Craiga. Starał się, jak mógł, wmawiać sobie dalej, że Wszzechobecny Duch nie oszukał go, nie zdradził, ale coraz mniej w to wierzył. Czy dziewczyna, którą kochał, również obdarowana została przekleństwem życia? Nikt ze współmieszkańców fortu nie wiedział, że on podjął już decyzję. Jeśli do końca lata nie odnajdzie ukochanej, dla której posłuchał rady łowcy wizji, wróci w góry i z własnej ręki zada sobie śmierć, by połączyć się z nią w świecie duchów.

Tydzień później przez bramę znowu wtoczyły się dwa wozy. Woźnice ściągnęli lejce, spocone konie pociągowe zatrzymały się. Z pierwszego wozu wysypała się rozjazgotana gromadka podnieconej dzieciarni. Craig wsunął do pochwy nóż, który ostrzył właśnie na kamieniu, i podszedł bliżej. Jedna z nauczycielek stała tyłem do niego. Kruczoczarne włosy sphywały jej kaskadą do połowy pleców.

Odwróciła się. Amerykanka japońskiego pochodzenia, okrągła, dziecinna twarz. Zawrócił na pięcie, by się oddalić. Postąpił kilka kroków i przepelniająca go wściekłość znalazła w końcu ujście. Zatrzymał się jak wryty, wzniósł do nieba zaciśnięte pięści i wykrzyczał:  
- Okłamałeś mnie, Meh-y-yahu! Okłamałeś mnie, staruchu! Kazaleś czekać i zostawiłeś w tej dziczy, odrzuconego przez ludzi i Boga!

Cały plac apelowy zamarł, wszyscy gapili się na niego zdumieni. Przed nim szedł jeden z „oblaskawionych” Indian. On również się zatrzymał i odwrócił.

Spod zniszczonego cylindra spojrzały na niego nieskończenie smutne oczy, osadzone w starczej twarzy, pomarszczonej i brązowej jak skorupa orzecha, wiekowej jak skały Beartooth Range, obramowanej pasmami śnieżnobiałych włosów. Łowca wizji pokręcił powoli głową. Potem przeniósł wzrok na coś za jego plecami i dla odmiany kiwnął głową. Craig obejrzał się i nic tam nie zobaczył. Kiedy odwrócił się z powrotem, spod cylindra patrzył na niego jak na wariata Brian Heavysield, jego kolega z baraku sypialnego. Wrócił do bramy.

Dzieci, które wysiadły z drugiego wozu, kłębiły się teraz wokół swojej nauczycielki. Była w dżinsach, koszuli w kratę i baseballowej czapeczce. Rozdzieliła dwóch mocujących się smarkaczy, wyprostowała się i chciała otrzeć rękawem spocone czoło, ale przeszkodził jej w tym daszek czapki. Zdjęła ją, uwalniając kaskadę ciemnych, sięgających talii włosów. Chyba poczuła na sobie czyjś wzrok, bo spojrzała w jego stronę. Owalna twarz, dwoje ogromnych, czarnych oczu. Szepczący Wiatr.

Stał jak sparaliżowany. Nie mógł wykrztusić słowa. Wiedział, że powinien coś zrobić, powiedzieć coś, podejść do niej, cokolwiek. Zarumieniła się zakłopotana, odwróciła wzrok i zaczęła zbierać swoich podopiecznych, by rozpocząć zwiedzanie. Po godzinie, prowadzeni przez Charlie, która tego dnia pełniła obowiązki przewodnika, weszli do stajni. Ben Craig czyścił Rosebud. Wiedział, że tu zajrzą. Stajnia leżała na trasie wszystkich wycieczek.

- A tutaj trzymamy konie - mówiła Charlie. - Część z nich to wierzchowce kawalerzystów, reszta należy do ludzi pogranicza, którzy mieszkają w forcie albo bawią tu przejazdem. Ben oporządza właśnie swoją klacz Rosebud. Ben jest myśliwym, traperem, zwiadowcą i człowiekiem gór.

- A ja chcę zobaczyć wszystkie konie - wrzasnął któryś z malców.

- Dobrze, skarbie, obejrzymy wszystkie konie. Tylko nie podchodźcie za blisko, bo mogą kopnąć - z tymi słowami Charlie poprowadziła podnieconą gromadkę w głąb stajni. Dziewczyna została przy Craigu. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie i milczeli.

- Przepraszam, że tak się na panią gapilem, pszepani - odezwał się w końcu Ben. - Nazywam się Ben Craig.

- Miło mi. Linda Pickett. - Wyciągnęła rękę. Uścisnął jej dłoń. Była ciepła i drobna, dokładnie taka, jak ją zapamiętał.

- Mogę o coś zapytać, pszepani?

- Do wszystkich kobiet zwracasz się per „pszepani”?

- Tak jakby. Tak mnie nauczono. To źle?

- Trochę za formalnie. Jakoś staroświecko. Przejdźmy lepiej na ty. O co chciałeś zapytać?

- Pamiętasz mnie?

Ściągnęła brwi.

- Raczej nie. Spotkaliśmy się kiedyś?

- Bardzo dawno temu.

Roześmiała się. Ten sam śmiech rozbrzmiewał niegdyś przy ogniskach w wiosce Wysokiego Łosia.

- To musiałam być jeszcze malutka. Gdzie to było?

- Chodź. Pokażę ci.

Wyprowadził zaintrygowaną dziewczynę przed stajnię. Nad palisadą widać było szczyty wznoszących się na południu gór Pryor.

- Wiesz, co to za góry?

- Beartooth Range?

- Nie. To bardziej na zachód. Te nazywają się Pryor. Mieszkaliśmy tam jakiś czas.

- Ale ja nigdy nie byłam w górach Pryor. Bracia zabierali mnie w dzieciństwie na biwaki, ale nigdy tam.

Spojrzał na ukochaną twarz.

- Jesteś teraz nauczycielką?

- Mhm. W szkole podstawowej w Billings. A co?

- Wrócisz tu jeszcze?

- Nie wiem. W planach jest jeszcze kilka wycieczek. Może z którąś przyjadę. Czemu pytasz?

- Chcę, żebyś wróciła. Proszę. Muszę cię znowu zobaczyć. Obiecuj, że wrócisz.

Panna Pickett znowu się zarumieniła. Była piękna i nie mogła się uskarżać na brak powodzenia u chłopców. Zwykle spławiła adoratorów ze śmiechem, ale tak, żeby ich nie urazić. Ten młody mężczyzna był jakiś dziwny. Nie prawił komplementów, nie uśmiechał się znacząco. Sprawiał wrażenie poważnego, szczerego i naiwnego zarazem. Spojrzała w te kobaltowe oczy i coś ścisnęło ją za serce. Charlie wyszła z dziećmi ze stajni.

- No, nie wiem - powiedziała dziewczyna. - Zastanowię się.

Godzinę później odjechała ze swoją grupą.

Choć dopiero po tygodniu, ale wróciła. Jedna z koleżanek ze szkoły musiała posiedzieć przy łóżku chorego krewnego. Zabrakło opiekunki dla kolejnej grupy dzieci udających się na wycieczkę do Fort Heritage. Zgłosiła się na ochotnika. Dzień był upalny. Włożyła kretonową wzorzystą sukienkę.

Craig prosił codziennie Charlie, żeby sprawdzała w księdze rezerwacji, czy nie ma zgłoszenia ze szkoły podstawowej w Billings.

- Ktoś wpadł ci w oko, Ben? - zażartowała Charlie, unosząc brew. Nie miałyby nic przeciwko temu. Jej zdaniem związek z jakąś mądrą dziewczyną bardzo by mu pomógł w powrocie do realnego świata. Cieszyło ją, że Ben robi takie szybkie postępy w nauce pisania i czytania. Podsunęła mu dwie proste książki, które sylabizował teraz wytrwale słowo po słowie. Na jesieni zamierzała znaleźć mu jakieś mieszkanie w mieście, załatwić pracę sprzedawcy albo kelnera i podjąć starania o wyprostowanie jego psychiki.

Czekał cierpliwie przy bramie, aż dzieci i nauczyciele zsiądą z wozów.

- Pójdiesz ze mną na spacer, panno Lindo?

- Na spacer? Dokąd?

- Na prerię. Tam będziemy mogli porozmawiać.

Zaczęła się tłumaczyć, że musi opiekować się dziećmi, ale jedna ze starszych koleżanek uśmiechnęła się szeroko i szepnęła jej na ucho, że jeśli chce, może zająć się swoim nowym adoratorem.

Odeszli spory kawałek od fortu i usiedli w cieniu drzewa, pośród skalnego rumowiska.

Ben milczał. Wyraźnie nie wiedział, jak zagaić rozmowę.

- Skąd jesteś, Ben? - zapytała, widząc jego skrępowanie.

Wskazał ruchem głowy na odległe góry.

- Tam się wychowywałeś? W górach?

Kiwnął głową.

- To gdzie chodziłeś do szkoły?

- Nigdzie.

Starła się nie dać po sobie poznać, jak ją to poruszyło. A więc spędził całe dzieciństwo, polując i zastawiając sidła, i nigdy nie chodził do szkoły... Dziwne.

- W górach musi być bardzo cicho i spokojnie. Nie ma tam samochodów, nie ma radia ani telewizji.

Nie wiedział, o czym ona mówi, ale domyślał się, że o rzeczach czyniących hałas innego rodzaju niż szum drzew i śpiew ptaków.

- To brzmienie wolności - powiedział. - Panno Lindo, czy słyszałaś o Czejenach Północnych?

Pytanie zaskoczyło ją, ale rada była ze zmiany tematu.

- Oczywiście. Moja prababka ze strony matki była Czejenką.

Odwrócił głowę tak gwałtownie, że rozkołysało się orle pióro, które miał wpięte we włosy. Patrzył na nią błagalnie chabrowymi oczami.

- Opowiedz mi o niej. Proszę.

Linda Pickett pamiętała, że kiedy była jeszcze mała, babcia pokazała jej wyblakłą, czarno-białą fotografię swojej matki. Zdjęcie przedstawiało pomarszczoną staruszkę, ale wielkie oczy, mały nos i wysokie kości policzkowe świadczyły, że kobieta ta musiała być kiedyś piękna. Opowiedziała Benowi, co wiedziała, co usłyszała w dzieciństwie od nieżyjącej już babki.

Ta prababka Czejenka poślubiła jakiegoś wojownika i urodziła mu chłopca. Ale w 1880 roku w rezerwacie wybuchła epidemia cholery i dziecko oraz jego ojciec zmarli. Dwa lata później, nic sobie nie robiąc z dezaprobaty białej społeczności, młodą wdowę pojął za żonę pewien kaznodzieja z pogranicza, wysoki, dobrze zbudowany blondyn, Szwed z pochodzenia. Z tego związku przyszły na świat trzy dziewczynki, z których najmłodszą, urodzoną w roku 1890, była babka panny Pickett.

Ona, z kolei, wyszła za męża, naturalnie za białego, i urodziła syna oraz dwie córki, przy czym młodszą z dziewczynek w roku 1925. Ta druga córka, Mary, mając niespełna dwadzieścia lat, przyjechała do Billings w poszukiwaniu pracy i znalazła ją w nowo powstałym Banku Farmerskim.

W sąsiednim okienku pracował poważny i sumienny kasjer nazwiskiem Michael Pickett, który nie walczył na wojnie, bo nie wzięto go do wojska z powodu krótkowzroczności.

Pobrali się w roku 1945. I tak na świat przyszło kolejno czterech braci Lindy, wszystko rośli blondyni, a w 1959 roku ona sama. Miała teraz zaledwie osiemnaście lat.

- Nie wiem dlaczego, ale urodziłam się z kruczoczarnymi włosami i ciemnymi oczami. Nie mam ich ani po matce, ani po ojcu. To wszystko. Teraz twoja kolej.

Puścił jej zaproszenie do zwierzeń mimo uszu.

- Czy masz blizny na prawej nodze?

- Chodzi ci o znamiona? Skąd, u licha, o nich wiesz?

- Pokaż mi, proszę.

- Po co? To moja prywatna sprawa.

- Proszę cię.

Wahała się przez chwilę, ale w końcu podciągnęła sukienkę, odsłaniając smukłe, złociste udo. Były. Dwa pomarszczone dołeczki, ślady po ranach wlotowej i wylotowej, tam gdzie udo przeszył pocisk wystrzelony przez któregoś z kawalerzystów nad rzeką Rosebud.

Poirytowana opuściła z powrotem sukienkę.

- Coś jeszcze? - zapytała z sarkazmem.

- Tylko jedno. Czy wiesz, co w języku Czejenów znaczy Emos-est-se-haa'ei

- Nie mam pojęcia.

- Znaczący Wiatr-Który-Przemawia-Cicho. Szepczący Wiatr. Mogę cię tak nazywać?

- Czy ja wiem... Chyba tak. Jeśli ci to sprawi przyjemność. Ale dlaczego?

- Bo to było kiedyś twoje imię. Bo śniłem o tobie. Bo na ciebie czekałem. Bo cię kocham. Spłonęła rumieńcem i wstała.

- To szaleństwo. Nic o mnie nie wiesz ani ja o tobie. Zresztą i tak jestem już zaręczona i niedługo wychodzę za mąż.

Przez całą drogę powrotną do fortu już się do niego nie odezwała.

A jednak przyjechała znowu. Długo biła się z myślami, po tysiackroć zarzucała sobie, że oszalała, że jest głupia, że postradała rozum. Ale wciąż prześladowało ją wspomnienie tych wpatrzonych w nią chabrowych oczu. W końcu jednak górę wziął rozsądek.

Zadecydowała, że powie swojemu zaślepionemu miłością adoratorowi, że nie ma sensu, by się dalej spotykali.

Z tym postanowieniem w niedzielę, na tydzień przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego, wsiadła w centrum miasteczka do autobusu wycieczkowego, który kursował regularnie między Billings a Fort Heritage.

Zupełnie jakby wiedział, że przyjedzie. Czekał, jak co dzień, na placu apelowym, z osiodlaną Rosebud. Pomógł jej wspiąć się na klacz i wyjechali w prerię. Rosebud знаła drogę do strumienia.

Usiedli nad roziskrzoną wodą i opowiedział jej, jak zginęli jego rodzice, kiedy on był jeszcze chłopcem, i jak przygarnął go i wychował człowiek gór.

Zwierzył się jej, że zamiast chodzić do szkoły, czytać książki i studiować mapy, uczył się rozpoznawać tropy każdego dzikiego zwierzęcia, głos każdego ptaka, kształt i naturę każdego drzewa.

Powiedziała mu, że jej życie wygląda zupełnie inaczej, jest uporządkowane, zwyczajne, zaplanowane w każdym szczególe. Że ma narzeczonego, młodego mężczyznę z dobrej i bardzo bogatej rodziny, który, jak twierdzi jej matka, potrafi dać kobiecie wszystko, czego ta potrzebuje. Nie ma więc sensu...

I wtedy ją pocałował. Chciała go odepchnąć, ledwie jednak spotkały się ich usta, straciła zupełnie kontrolę nad własnymi rękami i te same z siebie otoczyły jego szyję.

Z ust nie cuchnęło mu alkoholem ani nikotyną, jak jej narzeczonemu, kiedy się z nim całowała. Nie obmacywał jej lubieżnie. Pachniał koźlą skórą, dymem z ogniska i sosnami.

Oderwała się od niego wzburzona i pomaszerowała pieszo w stronę fortu. Szedł za nią, ale już nie próbował jej dotykać. Skubiąca trawę Rosebud przerwała posiłek i ruszyła za nimi.

- Zostań ze mną, Szepczący Wietrze.

- Nie mogę.

- Jesteśmy sobie przeznaczeni. Tak zostało powiedziane, dawno temu.

- Nie mogę dać ci teraz odpowiedzi. Muszę się zastanowić. To szalone. Jestem już zaręczona.

- Powiedz mu, że będzie musiał poczekać.

- To niemożliwe.

Z bramy wyjeżdżał właśnie preriowy szkuner odwożący zwiedzających na niewidoczny z fortu parking dla autokarów. Podbiegła do niego i wskoczyła. Ben Craig dosiadł Rosebud i ruszył za wozem.

- Szepczący Wietrze - zawołał, kiedy na parkingu pasażerowie przesiadali się z wozu do autokaru - wrócisz?

- Nie mogę, wychodzę za mąż za innego.

Kilka kobiet spojrzało z niechęcią na młodego jeźdźcę o dzikiej powierzchowności, który najwyraźniej narzucał się przyzwoitej dziewczynie. Pneumatyczne drzwi zamknęły się z sykiem, kierowca zapuścił silnik.

Przestraszona Rosebud zarżała i stanęła dęba. Autokar ruszył i nabierając prędkości, potoczył się bitym traktem ku asfaltowej szosie. Craig ścisnąwszy lekko kolanami boki Rosebud, najpierw cwałem, a potem galopem puścił się w ślad za przyspieszającym autobusem.

Sunący przodem potwór przerażał klacz. Parskał na nią i porykiwał. Wiatr coraz głośniejszyszczał w uszach. Pasażerowie autokaru usłyszeli krzyk:

- Szepczący Wietrze, idź ze mną w góry i zostań moją żoną!

Kierowca zerknął we wsteczne lusterko, zobaczył w nim rozchylone chrapy i dzikie oczy konia i mocniej nacisnął pedał gazu. Autokar kołysał się i podskakiwał na wertepach.

Matki protestowały, tuląc do siebie swoje pulchne pociechy. Siedząca przy oknie Linda Pickett wstała i odsunęła szybę.

Galopująca Rosebud zostawała coraz bardziej w tyle. Była bliska paniki, ale ufała silnym kolanom, które napierały na jej żebra, i dłoniom dzierżącym pewnie cugle. Z okna autokaru wychyliła się czarnowłosa głowa. Wiatr przyniósł odpowiedź:

- Tak, Benie Craigu, pójdę z tobą!

Jeździec powstrzymał konia i po chwili przesłoniły go tumany kurzu.

Pisała list, starannie budując zdania i pieczołowicie dobierając słowa. Bała się jego gniewu, odczuła już na własnej skórze, do czego jest zdolny, kiedy wpada w szał.

Dopiero czwartą wersję podpisała i wysłała. Przez tydzień nic się nie działo. Spotkanie, kiedy w końcu do niego doszło, było krótkie i miało burzliwy przebieg.

Michael Pickett, prezes i główny księgowy Banku Farmerskiego w Billings, był filarem społeczności miasteczka. Zaczynał tuż przed Pearl Harbor jako skromny kasjer i pnał się po szczeblach kariery, doszedł w końcu do stanowiska zastępcy dyrektora. Jego pracowitość, uczciwość i sumienność zwróciła uwagę założyciela i właściciela banku, samotnego starego kawalera.

Przechodząc na zasłużoną emeryturę, dżentelmen ten zaproponował Michaelowi Pickettowi kupno banku. Pragnął, żeby ktoś rzetelny kontynuował zapoczątkowaną przez niego tradycję. Pickett zaciągnął kredyt i tak stał się właścicielem. Z czasem spłacił większą część pożyczonej sumy. Ale pod koniec lat sześćdziesiątych interes zaczął kuleć; opóźnienia spłat, wycofywanie lokat; złe kredyty. Pickett zmuszony był wejść na giełdę, by wypuszczając na rynek akcje, podnieść kapitał gwarancyjny. Kryzys został zażegnany, płynność finansowa przywrócona.

Tydzień po wysłaniu przez córkę listu pan Pickett został nie tyle zaproszony, co wezwany do domu ojca jej narzeczonego, właściciela imponującego rancza Bar-T nad brzegami rzeki Yellowstone na południowy zachód od Billings. Spotkali się już wcześniej, przy okazji zaręczyn, ale było to w sali bankietowej Klubu Hodowców Bydła.

Bankiera wprowadzono do ogromnego gabinetu - lśniący parkiet, kosztowna boazeria, na ścianach myśliwskie trofea, oprawione w ramki dyplomy i łby nagrodzonych medalami byków. Mężczyzna siedzący za wielkim biurkiem nie podniósł się, by powitać gościa. Niedbałym gestem wskazał mu tylko fotel naprzeciwko siebie. Obserwował bez słowa siadającego w nim bankiera. Pan Pickett czuł się skrępowany. Domyślał się, o co chodzi. Bogaty ranczer nie spieszył się z zagajeniem rozmowy. Powoli rozpakował z celofanu grube cygaro, przypalił je sobie i dopiero kiedy dobrze się rozjarzyło, pchnął po blacie biurka zapisany arkusik papieru. Pickett przebiegł wzrokiem treść; był to list skreślony ręką jego córki.

- Przykra sprawa - mruknął. - Mówiła mi, że napisała do twojego syna. Ale widzę ten list po raz pierwszy.

Ranczer wychylił się w przód, unosząc ostrzegawczo palec wskazujący. Spod runda stetsona, którego nie zdejmował nawet w gabinecie, patrzyły z wściekłością małe oczka osadzone w nalanej twarzy.

- Nic z tego - warknął. - Nic z tego, rozumiano? Żadna dziewczyna nie będzie tak traktowała mojego chłopca!

Bankier wzruszył ramionami.

- Jestem tak samo wzburzony jak ty - powiedział. - Ale młodzi ludzie... czasami coś im się odwidzi. Oboje są młodzi, może trochę za bardzo popędliwi...

- Pogadaj z nią. Wytłumacz, że popełnia wielki błąd.

- Już z nią rozmawiałem. Matka też. Chce zerwać zaręczyny.

Ranczer odchylił się na oparcie fotela i potoczył dumnym wzrokiem po gabinecie. Jakże daleko zaszedł od dnia, kiedy zaczynał jako prosty kowboj.

- Z moim chłopcem ten numer nie przejdzie - powiedział. Schował list do szuflady i pchnął w kierunku Picketta plik dokumentów. - Przeczytaj to sobie.

William „Wielki Bili” Braddock rzeczywiście przebył długą drogę. Jego dziadek, nieślubny syn kawalerzysty, który poległ na równinach, przyjechał do Billings z Bismarck w Dakocie Północnej. Zatrudnił się jako ekspedient w miejscowym sklepie i przepracował w nim całe życie, niczego się nie dorabiając. Syn kroczył pokornie wydeptaną przez niego ścieżką, lecz wnuk postanowił się wyłamać ze schematu i podjął pracę na ranchu specjalizującym się w hodowli bydła.

Chłopak był potężnie zbudowany, twardy - urodzony osiłek, skory do rozstrzygania pięściami wszelkich sporów, zwykle na swoją korzyść. Ale miał też głowę do interesów. Po zakończeniu wojny zorientował się szybko, jakie możliwości stwarza ciężarówka-chłodnia. Ciężarówką taką można by przewozić pierwszorzędną montańską wołowinę na odległość setek mil od miejsca jej wyprodukowania.

Postanowił przejść na swoje. Zaczął od ciężarówek, rozszerzył działalność na ubojnię i rzeźnię i wkrótce kontrolował już cały mięsny interes od bramy rancha poczynając, a na barbecue kończąc. Wypracował sobie markę - Wołowina Wielkiego Billa, soczysta, świeża, dostępna w twoim sklepie. Do hodowli, tego brakującego ogniwa w swoim wołowinowym łańcuchu, wrócił już jako szef.

Kupiona przed dziesięcioma laty i przebudowana Bar-T była najwspanialszą posiadłością nad Yellowstone. Żona, zahukana kobiecina niewidoczna niemal gołym okiem, urodziła Wielkiemu Billowi syna, który jednak w ojca się nie wdał. Dwudziestokilkuletni teraz Kevin był rozpieszczonym nicponiem i tylko ojca bał się jak ognia. Ale Wielki Bili poza swoją latoroślą świata nie widział; jedynie był jego oczkiem w głowie.

Michael Pickett skończył lekturę dokumentów.

- Nie rozumiem - wybąkał błąd i roztrzęsiony.

- Przecież to proste, Pickett. Poświęciłem cały tydzień na wykupienie wszystkich udziałowców, jakich masz w tym stanie. I jestem teraz w posiadaniu większościowego pakietu akcji. Bank należy do mnie. A wszystko przez twoją córunię. Ładna, przyznaję, ale głupia. Nie wiem, kim jest gość, z którym się teraz zadaje, i mam to gdzieś, ale każ jej z nim zerwać. Niech napisze do mojego chłopca jeszcze jeden list i przyzna w nim, że popełniła błąd i zaręczyny są ważne.

- A jeśli nie uda mi się jej przekonać?

- To powiedz jej, że będzie cię miała na sumieniu. Przejmę twój bank, przejmę dom, przejmę wszystko, co posiadasz. Powiedz jej, że nie stać cię będzie nawet na filiżankę kawy, a na kreskę nikt ci jej w tym okręgu nie da. Jasne?

Michael Pickett wracał do domu zdruzgotany. Wiedział, że Braddock nie żartuje.

Wykańczał już w podobny sposób ludzi, którzy nadepnęli mu na odcisk. Zażyczył sobie do tego, by ślub odbył się wcześniej, w połowie października, czyli już za miesiąc.

Rodzinną naradę była przygnębiająca. Matka to ją rugała, to roztaczała przed nią świetlane perspektywy. Za kogo się ma? Czy zdaje sobie w ogóle sprawę, co zrobiła? Zawierając małżeństwo z Kevinem Braddockiem, osiągnie za jednym zamachem to wszystko, na co inni muszą pracować przez całe życie: piękny dom, wspaniałe warunki do wychowywania dzieci, najlepsze szkoły, pozycję społeczną. Jak mogło jej przyjść do głowy, by odrzucić to wszystko dla bezrobotnego aktorki, który dorabia sobie sezonowo udawaniem trapera?



W naradzie uczestniczyli też jej dwaj bracia, którzy mieszkali i pracowali w Billings. Jeden zaproponował, żeby pojechała do Fort Heritage i przeprowadziła z chłopakiem męską rozmowę. Drugi wyraził obawę, że mściwy Braddock zadba również o to, żeby i oni wylądowali na bruku; pracował na państwowej posiadzie, a Braddock miał w Helena wpływowych przyjaciół.

Przybity ojciec czyścił tylko machinalnie grube szkła swoich okularów. To jego przygnębienie przekonało w końcu Linde Pickett. Kiwnęła głową, wstała i poszła do swojego pokoju. Tym razem napisała dwa listy.

Pierwszy do Kevina Braddocka. Przyznawała w nim, że zadurzyła się w młodym kowboju, którego przypadkowo poznała, ale to już skończone. Napisała, że poprzedni list był głupim błędem i że prosi go o wybaczenie. Nie chce już zrywać zaręczyn i nie może się doczekać października, kiedy to zostanie jego żoną.

Drugi list był adresowany do Pana Bena Craiga, Fort Heritage, okręg Big Horn, Montana. Oba listy wysłane zostały nazajutrz.

Pomimo swej obsesji na punkcie autentyzmu profesor Ingles poczynił dwa ustępstwa na rzecz współczesności. Do fortu nie była co prawda podciągnięta linia telefoniczna, ale trzymał w swoim biurze radiotelefon zasilany z kadmowo-niklowych akumulatorów.

Drugim ustępstwem były usługi pocztowe.

Podpisał z Urzędem Pocztowym w Billings umowę na przekazywanie korespondencji, adresowanej do fortu, do biura firmy zajmującej się przewozami autokarowymi, a z tą ostatnią umówił się co do dostarczania tej korespondencji przez kierowcę najbliższego autokaru udającego się do fortu. List dotarł do Bena Craiga po czterech dniach.

Próbował przesyłać go sam, ale niesporo mu to szło. Charlie uczyła go czytać na słowie drukowanym i ręczne pismo dziewczyny zmusiło go do kapitulacji. Poszedł z listem do Charlie. Przebiegła go wzrokiem i spojrzała na chłopca ze współczuciem.

- Przykro mi, Ben. To chyba od tej dziewczyny, która zavróciła ci w głowie. Ma na imię Linda, tak?

- Przeczytaj mi, Charlie.

- „Drogi Benie - zaczęła - dwa tygodnie temu popełniłam straszne głupstwo. Kiedy krzyczałeś za mną z konia, odkrzyknęłam ci z autobusu, że za ciebie wyjdę. Dopiero po powrocie do domu uświadomiłam sobie, co zrobiłam.

Prawda wygląda tak, że jestem zaręczona z przystojnym młodym mężczyzną, którego znam od lat. Nie mogę zerwać tych zaręczyn. Pobieramy się w przyszłym miesiącu.

Życz mi, proszę, szczęścia na nowej drodze życia, tak jak ja życzę go tobie. Z pożegnalnym pocałunkiem, Linda Pickett”.

Charlie złożyła list i oddała mu go. Ben patrzył na góry zatopiony w myślach. Wzięła go za rękę.

- Przykro mi, Ben. Zdarza się. Dwa statki, które mijają się nocą. Najwyraźniej zadurzyła się w tobie, i nawet jej się nie dziwię. Ale postanowiła zostać ze swoim narzeczonym. Metafora ze statkami nic Craigowi nie powiedziała. Nigdy nie widział statku.

- Kto jest jej narzeczonym? - spytał, patrząc na swoje góry.

- Nie wiem. Nie napisała.

- A możesz się dowiedzieć?

- Chwileczkę, Ben, chyba nie zamierzasz robić żadnych głupstw?

O Charlie pobiło się kiedyś dwóch chłopców. Nawet jej to wówczas pochlebiało. Ale to było kiedyś. Nie chciała, żeby jej nieoswojony młody podopieczny wdawał się teraz w bójkę na pięści o dziewczynę, która trzy razy przyjeżdżała do fortu, by zburzyć mu spokój ducha, a potem porzucić.

- Nie, Charlie, żadnych głupstw. Jestem tylko ciekaw.

- I nie pojedziesz się bić do Billings?

- Charlie, chcę tylko tego, co moje w oczach Człowieka i Wszechobecnego Ducha. Tak zostało powiedziane dawno temu.

Znowu mówił zagadkami.

- Ale nie chodzi o Linde Pickett?

Zastanawiał się przez chwilę, żując źdźbło trawy.

- Nie, nie o Linde Pickett.

- Słowo, Ben?

- Słowo.

- Zobaczę, co się da zrobić.

Charlie Bevin miała w college'u w Bozeman przyjaciółkę, która została dziennikarką i pracowała teraz w „Billings Gazette”. Zadzwoiła do niej i poprosiła o szybkie sprawdzenie w archiwalnych egzemplarzach gazety, czy ostatnio nie ogłoszono zaręczyn niejakiej Lindy Pickett. Nie trwało to długo.

Po czterech dniach w poczcie przywiezionej przez kierowcę autokaru wycieczkowego znalazła adresowaną do siebie kopertę, a w niej wycinek z początku lata. Państwo Pickettowie i Państwo Braddockowie mieli przyjemność ogłosić zaręczyny swoich dzieci, Lindy i Kevina. Charlie uniosła brwi i gwizdnęła cicho. Nic dziwnego, że dziewczyna nie zamierzała zrywać swoich zaręczyn.

- To pewnie syn Wielkiego Billa Braddocka - wyjaśniła Craigowi. - Wiesz, tego króla wołowiny. Ben pokręcił głową.

- No tak - powiedziała z rezygnacją Charlie - skąd miałbyś go znać. Ty nie kupujesz mięsa w sklepie. Ty zaopatrujesz się w nie, polując. Bez pozwolenia zresztą. No więc ojciec tego narzeczonego jest bardzo bogatym człowiekiem. Mieszka w wielkiej posiadłości na północ stąd, nad Yellowstone. Słyszałeś o tej rzece?

Craig kiwnął głową. Przejechał kiedyś jej południowym brzegiem z generałem Gibbonem od Fort Ellis do zlewiska z Tongue i z powrotem.

- A możesz się dowiedzieć, Charlie, kiedy ten ślub?

- Pamiętasz o słowie, które mi dałeś?

- Pamiętam. Nie chodzi o Linde Pickett.

- Właśnie. No więc co ci się tłucze po głowie? Szykujesz jakąś małą niespodziankę?

- Mhm.

Charlie jeszcze raz zadzwoniła do koleżanki. Skończył się wrzesień, zaczął październik. Wciąż było słonecznie i ciepło. Z prognoz długoterminowych wynikało, że taka pogoda utrzyma się do końca miesiąca.

Dziesiątego października pocztą przewożoną autokarem wycieczkowym nadszedł egzemplarz „Billings Gazette”. Z kilkudniowym opóźnieniem, bo wraz z początkiem roku

szkolnego spadła drastycznie liczba zwiedzających i autobusy nie kursowały już codziennie.

W gazecie przysłanej przez koleżankę Charlie znalazła artykuł wypełniający całą kolumnę towarzyską. Przeczytała go Craigowi.

Autorka opisywała z pasją przygotowania do ślubu Kevina Braddocka z Lindą Pickett. Uroczystość miała się odbyć 20 października o drugiej po południu we wspaniałej posiadłości Bar-T na południe od Laurel Town. Jeśli pogoda dopisze, pastor połączy młodych węzłem małżeńskim na świeżym powietrzu w obecności licznie zaproszonych gości, głównie przedstawiciele śmietanki towarzyskiej i elity biznesu stanu Montana. I tak aż do końca strony. Ben Craig kiwał tylko głową i zapamiętywał.

Nazajutrz komendant zarządził zbiórkę całego zespołu na placu apelowym. Powiedział, że 21 października Fort Heritage zostaje zamknięty na zimę. Przedsięwzięcie odniosło ogromny sukces, z całego stanu napływają gratulacje od zachwyconych władz oświatowych i polityków.

- Ostatnie cztery dni spędzimy pracowicie - ciągnął profesor Ingles. - Przed wyjazdem musimy zabezpieczyć rekwizyty, wysprzątać obiekt i przygotować go na surową zimę. Wynagrodzenia wypłacone zostaną dzień przed zamknięciem.

Po zbiórce Charlie wzięła Bena Craiga na stronę.

- No, Ben, zbliżamy się do końca - powiedziała. - Niedługo przeberzemy się z powrotem w normalne ubrania. Zaraz, dla ciebie normalnym ubraniem jest to, które teraz nosisz. No nic, zainkasujesz wkrótce harmonię dolarów. Pojedziemy do Billings i kupimy ci buty, dżinsy, parę sportowych koszul i jakąś ocieplaną kurtkę na zimę. Potem zabiorę cię do Bozeman, znajdę jakieś mieszkanie i skontaktuję z ludźmi, którzy ci pomogą.

- Dobrze, Charlie - mruknął.

Jeszcze tego samego wieczoru zapukał do drzwi profesora. John Ingles siedział za biurkiem. W kącie jarzyła się brzuchata, opalana drewnem koza, bo wieczory były już chłodne. Profesor powitał ciepło odzianego w skóry gościa. Ten chłopak zaimponował mu swoją wiedzą na temat dziczy i starego pogranicza oraz tym, że ani razu nie wypadł z roli. Zastanawiał się nawet, czy nie wyszukać mu jakiejś pracy w kampusie uniwersyteckim.

- Ben, chłopcze, czym mogę ci służyć?

Miał nadzieję, że potrafi udzielić jakiejś ojcowskiej rady na przyszłość.

- Ma pan mapę, majorze?

- Mapę? Dobry Boże. Tak, chyba by się znalazła. Jakiego obszaru?

- Tego od fortu na północ do Yellowstone, jeśli łaska, panie majorze.

- Dobra myśl. Nigdy nie zawadzi wiedzieć, gdzie się człowiek znajduje i co jest dookoła. Popatrzmy.

Rozpostarł mapę na biurku. Pochylili się nad nią. Craig widywał już mapy wojskowe, ale tamte składały się w przeważającej mierze z białych plam, na które, na podstawie informacji dostarczanych przez traperów i zwiadowców, nanoszono sukcesywnie ważniejsze punkty orientacyjne. Ta pokryta była płataniną linii i kolorów.

- Tu, po północnej stronie góry West Pryor, jest nasz fort - wyjaśniał profesor. - Na północ od niego płynie rzeka Yellowstone, a na południe rozciągają się góry Pryor Range. Tu mamy Billings, a tu Bozeman, miasto, z którego jesteście.

Craig przejechał palcem sto mil dzielące oba miasta.

- To Szlak Bozemański? - zapytał.

- Zgadza się, tak kiedyś nazywano tę trasę. Teraz, rzecz jasna, biegnie tędy asfaltowa szosa.

Craig nie miał pojęcia, co to jest asfaltowa szosa, ale nie wiedząc czemu pomyślał o długim pasie czarnej skały, który widział w blasku księżyca. Na wielkoskalowej mapie zaznaczono dziesiątki mniejszych miasteczek, a na południowym brzegu Yellowstone, w miejscu, gdzie wpada do niej Clark's Creek, ranczo Bar-T. Zapamiętał sobie, że trzeba się kierować nieco na zachód od wyimaginowanej linii poprowadzonej z fortu prosto na północ i że na przełaj jest tam około dwudziestu mil. Podziękował majorowi i oddał mu mapę.

Wieczorem 19 września Ben Craig poszedł spać wcześniej, zaraz po kolacji. Nie wzbudziło to niczyich podejrzeń. Wszyscy młodzi mężczyźni mieli za sobą pracowity dzień. Od rana sprząтали, zabezpieczali smarem metalowe elementy przed mrozami, pakowali do specjalnych skrzyń narzędzia, by nadawały się do użytku następnej wiosny. Pozostali mieszkańcy baraku położyli się do łóżek około dziesiątej i szybko zasnęli. Nikt nie zauważył, że ich współlokator leży pod kocem całkowicie ubrany.

Wstał o północy, nałożył lisią czapkę, zwinął dwa koce i bezszelestnie wyslizgnął się z baraku. Przemknął chyłkiem przez plac apelowy, wsunął się do stajni i zaczął siodłać Rosebud. Wieczorem podsypał jej podwójną porcję owsa, żeby nabrała więcej sił przed podróżą.

Kiedy klacz była już gotowa do drogi, zostawił ją, wszedł do kuźni i zabrał stamtąd narzędzia, które upatrzył sobie poprzedniego dnia: toporek w przypinanej do pasa pochwie, łom i cęgi do metalu.

Zerwał łomem kłódkę zawieszoną na drzwiach zbrojowni, wszedł do środka i cęgami przeciął bez trudu łańcuch przewleczonego przez osłony spustów karabinów. Były to, z jednym wyjątkiem, repliki. Wziął swojego sharpa model 1852 i wyszedł.

Wyprowadził Rosebud ze stajni i opuścił fort przez małą furtkę obok kaplicy. Dwa zabrane z baraku koce podłożył pod siodło, śpiwór z bawolej skóry zrolował i przytroczył z tyłu siodła. Karabin wsunął do kabury po lewej stronie siodła, po prawej zawiesił kołczan z niewyprawionej skóry, zawierający cztery strzały. Łuk przewiesił sobie przez plecy. Odszedł cicho na pół mili od fortu i dopiero tam dosiadł Rosebud.

W ten to sposób Ben Craig, człowiek pogranicza i zwiadowca, jedyny ocalały z masakry nad Little Big Horn, zostawił za sobą rok pański 1877 i wjechał konno w ostatnie ćwierćwiecze dwudziestego stulecia.

Z położenia księżyca na niebie wynikało, że jest druga nad ranem. Miał więc mnóstwo czasu. Dwadzieścia mil, które dzieliły go od rancza Bar-T, przebędzie spacerkiem, oszczędzając siły Rosebud. Odszukał na firmamencie gwiazdę polarną i obrał kierunek odbiegający trochę na zachód od wytyczanej przez nią północy.

Prerię zaanektowano pod pastwiska i co jakiś czas drogę zagradzały mu druty rozciągnięte na wbitych w ziemię palikach. Przecinał je cęgami i jechał dalej. Nie zdając sobie z tego sprawy, przekroczył granicę okręgu Big Horn i znalazł się w Yellowstone. O świcie dotarł do strumienia Clark's Creek i podążył z jego biegiem na północ. Kiedy słońce wyrzało zza wzgórz na wschodzie, ujrzał przed sobą długą, białą wstęgę ogrodzenia z szyn przytwierdzonych do słupków, i tablicę głoszącą: „Ranczo Bar-T. Teren prywatny. Wstęp wzbroniony”. Odczytawszy to litera po literze, ruszył wzdłuż ogrodzenia i wkrótce natrafił na prywatną drogę prowadzącą do głównej bramy.

Przejechał nią pół mili i zobaczył bramę, a za nią olbrzymi dom, a dalej okazałe obory i stajnie. W bramie drogę przegradzała pomalowana w pasy belka, obok stała stróżówka. W oknie paliła się słaba nocna lampka. Cofnął się pół mili do małego lasku, rozsiedział Rosebud i puścił ją na jesienną trawę. Przez cały czas pozostawał czujny jak dzikie zwierzę.

Dziennikarka pisująca do kolumny towarzyskiej nie oddała w pełni splendoru, jaki zaplanował Wielki Bili Braddock na ślub swojego syna.

Na żądanie Braddocka narzeczoną syna przebadał wszechstronnie rodzinny lekarz. Upokorzona dziewczyna nie miała innego wyjścia i musiała się na to zgodzić. Czytając wyniki badań, Braddock uniósł nagle brwi.

- Jaka jest? - spytał.

Lekarz spojrział na miejsce wskazywane grubym paluchem.

- A tak, nie ma co do tego wątpliwości. Całkowicie nietknięta.

Braddock uśmiechnął się lubieżnie.

- Szczęściarz z tego Kevina. A co z resztą?

- Bez zarzutu. To bardzo piękna i zdrowa młoda kobieta.

Najdrożsi dekoratorzy wewnątrz przekształcili rezydencję w zamek z bajki. Dwadzieścia jardów od ogrodzenia, na trawniku o powierzchni akra, wzniesiono ołtarz, z którego roztaczał się widok na prerię. Przed ołtarzem stały rzędy wygodnych krzeseł dla tysiąca gości, między tymi krzesłami biegło przejście, którym przy dźwiękach marsza Mendelssohna kroczyć będzie młoda para - najpierw Kevin prowadzony przez swojego drużbę, potem ona ze swoim ciamajdowatym ojcem.

Bufet urządzono na drewnianych stołach, rozstawionych za rzędami krzeseł. Braddock nie żałował pieniędzy. Piętrzyły się tam piramidy kryształowych kieliszków do szampana, stało morze butelek francuskiego szampana, najznakomitszych marek i najlepszych roczników. Najwybredniejszy gość nie miałby się do czego przyczepić.

Z Seattle sprowadzono samolotem homary, kraby i ostrygi. Dla tych, którzy gustowali w trunkach mocniejszych niż szampan, przygotowano skrzynki chivas regal. Kładąc się w przeddzień ślubu do łóża z baldachimem, Wielki Bili martwił się tylko o syna. Chłopak znowu się zalał i rano trzeba go będzie wstawić na godzinę pod prysznic, żeby doszedł do siebie.

Braddock pomyślał też o rozrywce i wynajął trupę kowbojów z Rodea Dzikiego Zachodu, która miała bawić gości, kiedy młoda para już się przebierze i wyruszy w podróż poślubną na prywatną wyspę na Bahamach, by spędzić tam miesiąc miodowy. Zadał również o zapewnienie bezpieczeństwa i porządku.

Mając obsesję na punkcie swojego bezpieczeństwa, utrzymywał małą prywatną armię. Trzech albo czterech ochroniarzy nie odstępowało go na krok, pozostali pracowali na co dzień na ranchu w charakterze kowbojów, ale byli przeszkoleni w zakresie posługiwania się bronią palną i walki wręcz i gotowi wykonać każdy jego rozkaz. Za to im płacił.

Na czas ślubu i wesela w stan gotowości postawiona została cała trzydziestka. Dwóch pilnowało głównej bramy. Jego samego strzegła kilkuosobowa gwardia przyboczna pod dowództwem weterana zielonych beretów. Reszta udawała kelnerów i barmanów.

Przez cały ranek główną bramą napływał nieprzerwany strumień limuzyn i luksusowych autokarów dowożących gości z lotniska w Billings. Craig obserwował to z ukrycia. W południe przybył pastor, a wkrótce po nim zespół muzyczny.

Boczną bramą na teren posiadłości wjechała dyskretnie kolumna furgonetek firmy cateringowej i grupa kowbojów z rodeo. Tuż po pierwszej muzyki zaczęli stroić instrumenty. Słyszając to, Craig dosiadł Rosebud.

Jechał wzdłuż ogrodzenia, dopóki stróżówka nie zniknęła mu z oczu. Wtedy skręcił i przechodząc z klusa w cwał, popędził wprost na ogrodzenie. Resebud, widząc zbliżające się białe szyny, odbiła się od ziemi i przefrunęła nad nimi. Craig znalazł się na wielkiej łące, ćwierć mili od obór. Pasało się na niej stado longhornów.

Po drugiej stronie łąki natrafił na bramę prowadzącą do kompleksu obór. Otworzył ją i tak zostawił. Na wyłożonym kamiennymi płytami dziedzińcu między oborami zatrzymało go dwóch patrolujących teren ochroniarzy.

- Ty pewnie z tego cyrku?

Craig kiwnął bez słowa głową.

- Toś, chłopie, zabłądził. Jedź cały czas prosto, a trafisz do swoich. Są na tyłach domu. Craig ruszył powoli we wskazanym kierunku, a kiedy patrol znikł za oborą, skręcił tam, skąd dobiegały dźwięki muzyki. Nie mógł wiedzieć, że to „Marsz weselny”.

Kevin Braddock odziany w nieskazitelnie biały smoking czekał przed ołtarzem w towarzystwie swojego drużby. Był o osiem cali niższy od ojca, ważył o pięćdziesiąt funtów mniej, miał wąskie ramiona i szerokie biodra. Policzki zdobiło mu kilka pryszczycy, do których miał skłonności, zamaskowanych teraz częściowo matczynym pudrem do twarzy.

Pani Pickett i państwo Braddockowie siedzieli w pierwszym rzędzie po przeciwnych stronach przejścia. Na końcu przejścia pojawiła się Linda Pickett pod rękę z ojcem. Była nieziemsko piękna w białej, sprowadzonej prosto z Paryża sukni. Twarz miała bladą i ściągniętą. Patrzyła na wprost, nie uśmiechała się.

Kiedy ruszyła przejściem, zwróciło się na nią tysiąc par oczu. Za rzędami krzeseł stały zwarte szeregi kelnerów i kelnerek. Oni też patrzyli ciekawie. Za ich plecami pojawił się samotny jeździec.

Michael Pickett doprowadził córkę do ołtarza, zostawił ją obok Kevina Braddocka i zajął miejsce obok żony. Pastor podniósł wzrok i głos.

- Umiłowani, zebraliśmy się tu dzisiaj, by połączyć tego mężczyznę i tę kobietę świętym węzłem małżeńskim... - zagał, kiedy ścichł „Marsz weselny”. Jeśli widział na końcu przejścia między krzesłami jeźdźca patrzącego nań z odległości pięćdziesięciu jardów, to był pewnie zaintrygowany, ale nie okazywał tego po sobie. Koń, roztrącając stojących

przed nim kelnerów, zrobił kilka kroków naprzód. Kilkunastu ochroniarzy rozstawionych na obwodzie trawnika patrzyło na parę przed ołtarzem.

- ...W który to święty związek - podjął pastor - te dwie osoby za chwilę wstąpią.

Pani Pickett szlochała otwarcie. Braddock posłał jej gniewne spojrzenie. Pastor ze zdziwieniem obserwował dwie łzy, które wypłynęły z oczu panny młodej i potoczyły się po policzkach. Skonstatował, że to pewnie z przepełniającego ją szczęścia.

- Jeśli zatem ktoś z obecnych zna jakkolwiek powód, dla którego ci dwoje nie mogą zostać z mocy prawa połączeni, niech mówi teraz albo zachowa to na zawsze dla siebie. Podniósł wzrok znad tekstu i uśmiechnął się promiennie do zebranych.

- Ja znam taki powód. Ona mnie jest przyrzeczona.

Głos był młody i silny, wszyscy go usłyszeli. Koń ruszył z kopyta, przewracając kelnerów. Dwaj ochroniarze próbowali zastąpić jeźdźcowi drogę. Obaj dostali po kopniaku w twarz i odlecieli w tył, wpadając między dwa ostatnie rzędy gości. Mężczyźni krzyczeli, kobiety piszczwały, usta pastora ułożyły się w idealne O.

Rosebud w ciągu paru sekund przeszła z klusa w cwał, a potem w galop. Jeździec, ściskając cugle lewą ręką, wychylił się w siodle, otoczył prawym ramieniem smukłą, obleczoną w jedwab kibić panny młodej i poderwał dziewczynę w powietrze. W mgnieniu oka przesunęła się przed nim, przerzucając nogę przez zrolowaną bawołą skórę, wślizgnęła się za niego, obłapiła go ramionami w pasie i przywarła do jego pleców.

Koń, ani na moment nie zwalniając kroku, pomknął dalej, przesadził białe ogrodzenie i pogalopował w prerię przez trawę sięgającą mu brzucha. Na trawniku przed ołtarzem zawrzało.

Goście, krzyząc i piszcząc, zrywali się z miejsc. Zza narożnika domu na przystrzyżony trawnik wyszło stado longhornów. Jeden z czterech ochroniarzy Braddocka, siedzący w pierwszym rzędzie, kilka krzeseł od swojego podopiecznego, wyrwał spod pachy pistolet i wziął na cel oddalającego się konia. Michael Pickett, z okrzykiem „Nieeee”, rzucił się na mężczyznę i chwycił go za rękę. Wywiązała się szamotanina, padły trzy strzały.

Tego było już za wiele zarówno dla zebranych, jak i dla bydła. Oba stada rzuciły się do panicznej ucieczki, tratując wszystko, co stało im na drodze. Łamały się z trzaskiem krzesła, w powietrzu fruwały kraby i homary. Miejscowy burmistrz, pchnięty przez kogoś, wpadł na piramidę kryształowych kieliszków i wylądował na ziemi w gradzie nic już niewartych okruchów. Pastor dał nurka pod ołtarz, gdzie wcześniej schronił się pan młody.

Na głównym podejździe stały dwa wozy patrolowe z miejscowego biura szeryfa, z czterema policjantami w środku. Mieli tu kierować ruchem. Usłyszeli strzały, popatrzyli po sobie, odrzucili hamburgery, którymi ich poczęstowano, i pobiegli na miejsce ceremonii. Na skraju trawnika jeden z nich zderzył się czołowo z uciekającym kelnerem. Poderwał kelnera z ziemi za kołnierz białej kurtki.

- Co tu się, u diabła, wyprawia? - spytał. Jego trzej koledzy gapili się z otwartymi ustami na dantejskie sceny rozgrywające się przed ołtarzem. Starszy zastępca szeryfa wysłuchał bełkotliwej relacji kelnera i zwracając się do jednego ze swych ludzi, rzucił:

- Wracaj do wozu i powiadom szeryfa, że mamy tu problem.

Szeryf Paul Lewis nie spędzał zazwyczaj sobotnich popołudni w swoim biurze, ale tego dnia miał trochę papierkowej roboty, z którą chciał się uporać przed poniedziałkiem. Dwadzieścia po drugiej do jego pokoju wsunął głowę dyżurny.

- Jest jakiś problem w Bar-T.

Trzymał w ręku słuchawkę telefonu.

- Wie pan, na tym weselu Braddocka. Mam na linii Eda. Mówi, że przed chwilą porwano pannę młodą.

- COOO zrobiono? Przełącz go do mnie.

Dyżurny wykonał polecenie i na aparacie szeryfa zamrugało czerwone światelko.

Poderwał słuchawkę do ucha.

- Ed? Tu Paul. Co ty, u diabła, wygadujesz?

Słuchał przez chwilę meldunku swojego człowieka, oddelegowanego na ranczo. Jak wszyscy stróże prawa dostawał wysypki na sam dźwięk słowa „porwanie”. Było to po pierwsze obrzydliwe przestępstwo, którego ofiarami padały zazwyczaj żony i dzieci ludzi zamożnych, a po drugie pogwałcenie prawa federalnego, co oznaczało, że na głowę zwali mu się teraz Biuro. Przez trzydzieści lat służby w okręgu Carbon, w tym dziesięć na stanowisku szeryfa, miał do czynienia z trzema przypadkami wzięcia zakładników, z czego wszystkie udało się rozwiązać bez ofiar w ludziach, ale jeszcze nigdy z porwaniem. Wyobraził sobie bandę gangsterów w szybkich samochodach, kto wie, czy nie dysponujących helikopterem...

- Samotny jeździec? Czyś ty na głowę upadł? I jak zwiął?...przez płot w prerię. Jasna sprawa, musiał gdzieś tam mieć ukryty samochód. Zorganizuję wsparcie z sąsiednich okręgów i zablokuję wszystkie główne drogi. A ty, Ed, weź tam na spytaki każdego, kto coś widział. Chcę wiedzieć, jak ten facet dostał się na teren, w jaki sposób porwał dziewczynę, jak uciekł. Kiedy będziesz miał coś konkretnego, oddzwoni.

Szeryf przez pół godziny wisiał na telefonie, ściągając posiłki i rozlokowując wozy patrolowe na głównych drogach wylotowych z okręgu Carbon w kierunku północnym, południowym, wschodnim i zachodnim. Policjantom z drogówki kazano kontrolować każdy pojazd i każdy bagażnik. Mieli szukać pięknej brunetki w białej jedwabnej sukni. Parę minut po trzeciej z wozu patrolowego stojącego w Bar-T oddzwonił Ed.

- Bardzo dziwna sprawa, szefie. Zebraliśmy blisko dwadzieścia relacji naocznych świadków. Ten jeździec nie zwrócił niczyjej uwagi, bo wszyscy myśleli, że jest z Rodea Dzikiego Zachodu. Był w skórzanym garniturku i dosiadał kasztanki. Miał czapkę z lisa, pióro we włosach i łuk.

- Łuk? Jaki łuk?

- No, taki do strzelania strzałami. Ale to jeszcze nie wszystko.

- Nie opowiadaj.

- Wszyscy świadkowie twierdzą, że kiedy dopadł już do ołtarza i wychylił się z siodła, żeby chwycić dziewczynę, ona wyciągnęła do niego ręce. Mówią, że wyglądało to tak, jakby go znała. Kiedy przeskakiwali przez płot, obłapiła go rękami w pasie. Gdyby nie to, zleciałaby z konia i była tu teraz.



Ogromny ciężar spadł szeryfowi z serca. Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że nie ma do czynienia z porwaniem, lecz z ukartowaną ucieczką sprzed ołtarza. Po wargach zaczął mu się błąkać uśmiezek.

- Są tego pewni, Ed? Nie uderzył jej, nie ogłuszył, nie przerzucił przez siodło, nie wyrwała mu się?

- Wychodzi na to, że nie. Do tego narobił tu niezłego bajzlu. Goście poszli w rozsypkę, bufet diabli wzięli, pan młody zeszczął się w spodnie, a po panie młodej zostało tylko wspomnienie.

Szeryf uśmiechnął się szerzej.

- O, to straszne - mruknął. - Wiadomo już, kto to był?

- Chyba tak. Ojciec panny młodej zeznał, że córka zadurzyła się podobno w jednym z tych młodych aktorów, co to siedzieli przez całe lato w Fort Heritage i udawali ludzi pogranicza. Słyszał pan?

Lewis słyszał o forcie. Jego córka spędziła tam kiedyś z wnukami cały dzień i wrócili zachwyceni.

- W każdym razie zerwała z tego powodu zaręczyny z Kevinem Braddockiem. Rodzice wytłumaczyli jej, że głupio robi, i dziewczyna zgodziła się w końcu wyjść za Braddocka. Mówią, że ten porywacz nazywa się Ben Craig.

Zastępca wrócił do przesłuchiwania świadków, a szeryf Lewis sięgał już po słuchawkę, żeby połączyć się z Fort Heritage, kiedy profesor Ingles sam zatelefonował.

- Może to nic ważnego - zaczął - ale jeden z moich młodych współpracowników spakował się i wyniósł, nic nikomu nie mówiąc. Dzisiaj w nocy.

- Ukradł coś, profesorze?

- No, trudno to tak nazwać. Konia i ubranie miał własne. Ale miał też karabin.

Skonfiskowałem mu go na czas pobytu w forcie. W nocy włamał się do zbrojowni i zabrał go sobie.

- Ma pozwolenie na broń?

- Chyba nawet nie wie, że trzeba je mieć. To sympatyczny młodzieniec, ale trochę dziki. Urodził się i wychował w Pryor Range. Jego rodzice byli ludźmi gór. Nie posłali go nawet do szkoły.

- To może być poważna sprawa, profesorze. Czy ten młody człowiek może być niebezpieczny?

- Och, mam nadzieję, że nie.

- Co jeszcze ze sobą zabrał?

- No, swój nóż Bowie, a w kuźni brakuje toporka. Aha, i jeszcze czejeński łuk i cztery strzały z krzemiennymi grotami.

- Podprowadził panu zabytkowe eksponaty?

- Nie, sam je sobie zrobił.

Szeryf policzył powoli do pięciu.

- Czy nie nazywa się aby Ben Craig?

- Tak, skąd pan wie?

- Ja tu zadaję pytania, profesorze. Czy nie podkochiwał się czasem w ładnej młodej nauczycielce z Billings, która bywała w forcie?

Usłyszał w słuchawce, jak naukowiec konsultuje się z kimś o imieniu Charlie.

- Owszem, zapalał podobno gorącym uczuciem do tej dziewczyny - odezwał się po chwili profesor. - Myślał, że z wzajemnością, ale dowiaduję się teraz, że ona napisała do niego, że z nim zrywa. Bardzo to nim wstrząsnęło. Pytał nawet, gdzie i kiedy ma się odbyć ślub. Mam nadzieję, że nie zrobił niczego głupiego.

- Nie. Porwał ją tylko sprzed ołtarza.

- Boże.

- Czy to możliwe, profesorze, że przesiadł się później z konia do samochodu?

- Wykluczone. Nie potrafi prowadzić. Nigdy nie siedział w samochodzie. Moim zdaniem nie rozstał się ze swoim ukochanym koniem i będzie biwakował w dziczy.

- Jak pan myśli, dokąd się skieruje?

- Prawie na pewno na południe, w góry Pryor. Przez całe życie tam polował i zastawiał sidła.

- Dziękuję profesorze, bardzo mi pan pomógł.

Szeryf odwołał blokadę dróg i zadzwonił do pilota policyjnego helikoptera okręgu Carbon. Kazał mu startować i zameldować się przez radio. Potem rozsiadł się wygodnie w fotelu i czekał na telefon od Wielkiego Billa Braddocka, bo nie miał wątpliwości, że ten prędzej czy później zadzwoni.

Szeryf Lewis był dobrym stróżem prawa - zdecydowanym, stanowczym, ale ludzkim.

Wolał pomagać tym, którzy zeszli na złą drogę, niż ich zamykać, ale prawo było prawem i bez wahania żądał, by go przestrzegano.

Jego dziadek był kawalerzystą i poległ na równinach, zostawiając w Fort Lincoln żonę i synka. Wdowa po nim wyszła za innego żołnierza, którego przeniesiono wkrótce potem na zachód, do Montany. Ojciec szeryfa wychował się w tym stanie i dwukrotnie się tu ożenił. Z pierwszego małżeństwa zawartego w roku 1900 miał dwie córki. Po śmierci żony ożenił się powtórnie w dojrzałym wieku czterdziestu pięciu lat i w roku 1920 przyszedł na świat jego jedyny syn.

Szeryf Lewis liczył sobie teraz pięćdziesiąt osiem lat i za dwa miał przejść na emeryturę. Jako zapalony wędkarz planował zainteresować się wtedy bliżej paroma znanymi sobie, obfitującymi w pstragi jeziorami w Montanie i Wyoming.

Na wesele zaproszony nie został, co nie było dla niego żadnym zaskoczeniem. W ciągu kilku ostatnich lat już cztery razy on albo jego ludzie wzywani byli do pijackich burd wywoływanych przez Kevina Braddocka. Za każdym razem poszkodowanym barmanom z nawiązką rekompensowano poniesione straty i ci odstępowali od wniesienia skargi. Szeryf traktował ze zrozumieniem bójki na pięści między młodymi mężczyznami, ale krew go załapała, kiedy Braddock junior poturbował kiedyś w barze dziewczynę, która odrzuciła jego dosyć szczególne zaloty.

Wsadził go wtedy do ciupy i sam chciał już wnieść skargę, ale dziewczyna zmieniła nagle zeznania, przypominając sobie, że zwyczajnie spadła ze schodów.

Szeryf wiedział jeszcze o czymś, co na razie zachowywał tylko dla siebie. Otóż przed trzema laty zadzwonił do niego znajomy z komendy policji w Helena. Razem studiowali na akademii policyjnej.

Znajomy ten powiedział mu, że jego ludzie przeprowadzili nalot na pewien nocny klub. Dostali cynk, że handluje się tam narkotykami. Spisano nazwiska i adresy wszystkich obecnych. Jednym z nich był Kevin Braddock. Jeśli miał wtedy przy sobie jakieś narkotyki, to zdążył się ich w porę pozbyć i trzeba go było zwolnić. Ale dawało do myślenia, że był to klub wyłącznie dla gejów.

Zadzwoił telefon. Był to pan Valentino, osobisty prawnik Wielkiego Billa Braddocka.

- Pewnie pan już wie, szeryfie, co się tu dziś po południu wydarzyło. Pańscy ludzie zjawili się na miejscu w chwilę po zajściu.

- Słyszałem, że nie wszystko odbyło się zgodnie z planem.

- Tylko proszę bez protekcjonalizmu, szeryfie Lewis. To było brutalne porwanie i przestępca musi zostać zatrzymany.

- Tak, panie mecenasie, ale ja mam plik oświadczeń zebranych od gości i personelu, z których wynika, że ta młoda dama nie stawiała żadnego oporu, a wręcz przeciwnie, i że wcześniej miała romans z tym młodym człowiekiem, z tym jeźdźcem. Bardziej wygląda mi to na zaplanowaną ucieczkę.

- Co też pan opowiada, szeryfie. Gdyby ta dziewczyna chciała zerwać zaręczyny, to mogła to zrobić w każdej chwili. Ona została porwana siłą. Ten bandyta wtargnął na prywatny teren, kopnął w twarz dwóch pracowników pana Braddocka i dokonał tu poważnych zniszczeń. Pan Braddock zamierza wnieść oskarżenie. Zatrzyma pan tego łobuza, czy sami mamy to zrobić?

Szeryf Lewis nie lubił pogroźek.

- Mam nadzieję, że ani pan, ani pański klient nie zamierzacie brać prawa we własne ręce, mecenasie? Byłoby to z waszej strony bardzo nieroztropne.

Prawnik zlekceważył ostrzeżenie.

- Pan Braddock jest głęboko wstrząśnięty tym, co spotkało jego synową. Obawia się o jej bezpieczeństwo. Ma prawo jej szukać.

- Czy ceremonia zaślubin została doprowadzona do końca?

- Czy co?

- Czy syn pańskiego klienta i panna Pickett zawarli formalnie związek małżeński?

- No...

- W takim razie ona nie jest synową pańskiego klienta. Nic jej z nim nie łączy.

- Ale narzeczoną syna mojego klienta jest w dalszym ciągu. Spiesząc jej z pomocą, mój klient spełniłby tylko swój obywatelski obowiązek. No więc jak, będzie pan ścigał tego obwiesia? Bo jeśli nie, to zwrócimy się do policji w Helena.

Szeryf Lewis westchnął ciężko. Wiedział, jakie wpływy ma Bili Braddock w stolicy stanu. One też nie robiły na nim wrażenia. Musiał jednak przyznać w duchu, że ten młody człowiek, Ben Craig, dopuścił się niewątpliwie kilku wykroczeń.

- Zadzwoię, jak tylko trafimy na jego ślad - powiedział. Kiedy odkładał słuchawkę, przemknęło mu przez myśl, że lepiej by było zatrzymać zakochaną parę, zanim zrobią to uzbrojeni ludzie Braddocka. Dochodziła czwarta, za dwie godziny zajdzie słońce i zacznie się ściemniać.

- Jerry, leć nad ranczo Bar-T. Stamtąd weź kurs na południe, na góry Pryor. I dobrze się rozglądaj.

- Czego mam szukać, Paul? - zatrzeszczał w głośniku głos pilota.

- Jeźdźca zmierzającego na południe, prawdopodobnie w kierunku gór. Za nim siedzi dziewczyna w białej ślubnej sukni.

- Podpuszczasz mnie?

- Nie. Pewien włóczęga na koniu porwał niedawno sprzed ołtarza narzeczoną syna Billa Braddocka.

- Chyba już go lubię - powiedział policjant, zataczając koło nad lotniskiem w Billings.

- Znajdź mi go, Jerry.

- Spokojna głowa. Jeśli gdzieś tam jest, znajdę go. Bez odbioru.

Pięć minut później pilot był już nad Bar-T i brał kurs na południe. Leciał na wysokości tysiąca stóp, wystarczająco nisko, by zauważyć galopującego jeźdźca pod sobą, i wystarczająco wysoko, by sięgać wzrokiem na dziesięć mil w lewo i w prawo.

Po prawej widział Drogę 310 i linię kolejową, biegnącą na południe, w kierunku wioski Warren i dalej, równinami, ku Wyoming. Przed sobą miał szczyty gór Pryor.

Na wypadek gdyby porywacz próbował zmylić pościg, skręcając na zachód i przecinając drogę, szeryf Lewis poprosił drogówkę o patrolowanie trzystadziesiątki i wypatrywanie po obu jej stronach torsu jeźdźca wystającego ponad preriową trawę.

Wielki Bili Braddock nie czekał z założonymi rękami. Zostawiwszy swoim pracownikom kłopot zaprowadzania porządku na objętych anarchią trawnikach, udał się pod eskortą ochroniarzy do gabinetu. Nigdy nie uchodził za człowieka pogodnego, ale w takiej furii jego ludzie jeszcze go nie widzieli. Przez chwilę siedział za swoim biurkiem i milczał. Otaczająca go kilkunastoosobowa grupka ochroniarzy czekała na rozkazy.

- Co robimy, szefie? - spytał w końcu jeden.

- Myślę - warknął ranczer. - Myślę. Jest ich dwoje. Koń daleko nie ujedzie z takim obciążeniem. Tylko dokąd się skierują?

Max, weteran zielonych beretów, podszedł do ściennej mapy okręgu.

- Na północ nie. Musieliby się przeprowiać przez Yellowstone. Za głęboka. Czyli na południe. Może z powrotem do tej repliki fortu na podgórzu?

- Właśnie. Potrzebuję dziesięciu uzbrojonych ludzi na koniach. Pojedziecie na południe tyralierą rozciągniętą na pięć mil. Nie żałujcie koni. Dopadnijcie go.

Kiedy dziesięciu kowbojów siodłało wierzchowce, wyszedł do nich i powiedział:

- Wszyscy macie radiotelefony. Bądźcie ze sobą w kontakcie. Kto pierwszy go zobaczy, niech wzywa posiłki. Odbierzcie mu dziewczynę. Jeśli będzie chciał wyrządzić krzywdę jej albo stawiał opór wam, wiecie, co robić. Chyba się rozumiemy? Macie wrócić tylko z dziewczyną. W drogę.

Dziesięciu jeźdźców wyjechało kłusem przez główną bramę, rozwinęło się w tyralierę i przeszło w galop. Zbieg miał nad nimi czterdzieści minut przewagi, ale jego koń dźwigał na grzbiecie dwie osoby, wypchane torby i ciężką skórę bawołu.

Tymczasem na ranczu prawnik Valentino zdawał swojemu klientowi relację z rozmowy z szeryfem.

- Szeryf zdaje się mieć do sprawy stosunek lekceważący. Ale podejmie poszukiwania. Roześle po okolicy wozy patrolowe, pewnie użyje również helikoptera.

- Musimy być pierwsi - warknął Braddock. - Chcę znać wszystkie informacje i meldunki, jakie będą do niego napływały. Max, idź do radiowców. Niech prowadzą nasłuch na każdym kanale policyjnym tego okręgu. Wyślij w powietrze mój helikopter. Niech wysforuje się przed jeźdźców, znajdzie tego włóczykija i naprowadzi ich na niego. Jedna maszyna może nie wystarczyć. Wypożycz jeszcze dwie z lotniska. No jazda! Na jednej nodze!

Mylili się wszyscy. I profesor, i szeryf, i Braddock. Ben Craig nie kierował się ku górcom Pryor. Zdawał sobie sprawę, że właśnie tam będą go w pierwszym rzędzie szukali. Odjechawszy na pięć mil od rancza, zatrzymał się, wyciągnął spod siodła jeden z koców i owinał nim Szepczący Wiatr. Koc był jasnoczerwony, ale lepsze już to, niż rzucająca się z daleka w oczy biel sukni. Nie brał jednak pod uwagę helikopterów, bo nigdy o nich nie słyszał. Po tym krótkim postoju skierował się na południowy zachód. Pamiętał, że wiosną przecinał gdzieś tam długi pas czarnej skały.

Milę dalej zobaczył przed sobą rząd słupów z rozpiętymi na nich drutami. Ciągnęły się w obie strony jak okiem sięgnąć. Były to słupy telefoniczne ustawione wzdłuż linii kolejowej Burlington, biegnącej równoległe do szosy.

Larry, pilot sikorski'ego, połączył się z szeryfem przez radio o wpół do czwartej.

- Paul, mówiłeś chyba, że chodzi o samotnego jeźdźca? A ja ich tu mam całą armię.

Grupa pościgowa Braddocka, przemknęła przez myśl szeryfowi.

- Co konkretnie widzisz, Larry?

- Naliczyłem co najmniej ośmiu jeźdźców - zatrzeszczało w głośniku. - Galopują tyralierą na południe. Wyglądają mi na kowbojów z rancza. Widzę też przed sobą drugi helikopter. Krąży nad wzgórzami, tam gdzie stoi ta replika fortu.

Lewis zaklął pod nosem. Wiele by dał za to, żeby zamiast tkwić w biurze, siedzieć teraz w helikopterze.

- Larry, jeśli zbiegowie gdzieś tam są, staraj się dotrzeć do nich pierwszy. Jak chłopaka dorwą te oprychy Braddocka, to już po nim.

- Masz to u mnie, Paul. Będę miał oczy szeroko otwarte.

Do gabinetu Braddocka wszedł radiooperator.

- Panie Braddock, nad naszym oddziałem leci helikopter szeryfa.

- Będzie naoczny świadek - mruknął Max.

- Przekaż chłopakom, żeby nie przerywali poszukiwań - warknął Braddock. -

Ewentualnymi sprawami sądowymi będziemy się martwić później.

Po odebraniu kolejnego meldunku, który nadszedł za pięć piąta, szeryf Lewis doszedł do wniosku, że jednak dobrze zrobił, zostając w swoim biurze, skąd ma pełny przegląd sytuacji.

- Są! - krzyknął podniecony głos.

- Kto mówi?

- Wóz Tango Jeden. Z trzystadzieści. Przejechał właśnie przez szosę, kieruje się na południowy zachód. Mignął mi przez chwilę, a potem zniknął za drzewami.

- Gdzie jesteś?

- Cztery mile na północ od Bridger.

- Jak rozumiem, obiekt znajduje się teraz po zachodniej stronie szosy. Potwierdź.

- Potwierdzam, szeryfie.
- Pokręć się tam jeszcze, na wypadek gdyby zawrócił.
- Tak jest.

Szeryf Lewis podszedł do ściennej mapy. Jeśli jeździec będzie nadal podążał w tym kierunku, to natknie się na drugą linię kolejową i na o wiele szerszą Drogę Międzystanową 212 biegnącą przez góry do okręgu Park w Wyoming.

Międzystanową patrolowały dwa wozy drogówki. Poprosił je, żeby pojechały dalej na południe i meldowały o każdym, kto będzie przecinał szosę ze wschodu na zachód. Potem połączył się z pilotem helikoptera.

- Lany, widzieli go. Spory kawałek na zachód od ciebie. Przeciął właśnie trzystadzieciątą i kieruje się na południowy zachód. Możesz się tam pofatygować? To około czterech mil na północ od Bridger. Jest znowu na otwartej przestrzeni.

- W porządku, Paul, ale niedługo będę miał problemy z paliwem i szybko się ściemnia. Szeryf spojrzął jeszcze raz na mały punkcik symbolizujący na mapie miasteczko Bridger.

- W Bridger jest lądowisko. Lataj, dopóki starczy ci paliwa, a potem siądź na nim. Może przyjdzie ci tam przenocować. Zawiadomię Janey.

W domu na ranczu słyszano wszystkie te rozmowy. Max studiował mapę.

- Jego celem nie są góry Pryor. To by było zbyt oczywiste. Kieruje się przez bezdroża ku górcom Beartooth Range. Chce się przez nie przedostać do Wyoming i tam zapaść pod ziemię. Sprytnie. Na jego miejscu tak właśnie bym postąpił.

Radiooperator Braddocka przekazał dziesięciu jeźdźcom, że mają skrócić na zachód, przeciąć szosę i podjąć za nią poszukiwania. Potwierdzili odbiór instrukcji, ale uprzedzili go, że przez ostatnie piętnaście mil tak forsowali tempo, że tylko patrząc, jak konie pod nimi padną. A do tego się ściemnia.

- Przydałoby się wysłać na międzystanową ze dwa samochody z ludźmi - powiedział Max. - Jeśli chce dotrzeć do bezdroży, będzie musiał przez nią przejść.

Na międzystanową pchnięto ośmiu ludzi w dwóch dużych wozach terenowych.

Dotarłszy do między stanowej, Ben Craig zeskoczył z konia, wspiął się na rosnące na małym pagórku drzewo i przyjrzał się przeszkodzie. Szosa biegła nasypem, równoległe do niej ciągnęły się tory kolejowe - jeszcze jedna nitka linii Burlington. Szosą przejeżdżał od czasu do czasu jakiś pojazd zmierzający albo na północ, albo na południe. Wokół rozciągał się surowy, dziki kraj strumieni, skał i wybujałej preriowej trawy, sięgającej końskiego brzucha. Craig zszedł z drzewa i w przytroczonej do siodła torbie poszukał krzesiwa.

Wiała lekka bryza od wschodu i rozprzestrzeniający się szybko ogień ruszył szerokim na milę frontem w stronę drogi. W ciemniejące niebo wznosiły się kłęby dymu, pchane wiatrem sunęły na zachód szybciej niż ogień i wkrótce droga zniknęła z oczu.

Policjanci z wozu patrolowego zobaczyli dym z odległości pięciu mil i podjechali na południe sprawdzić, co się dzieje. Na widok idącej na nich gęstniejącej i ciemniejącej chmury zatrzymali się, ale trochę za późno. W chwilę potem nic już nie widzieli.

Pozostawało im tylko wycofać się na wstecznym biegu.

Kierowca jadącego na południe ciągnika siodłowego z naczepą, zauważywszy przed sobą światła cofania jakiegoś samochodu, zareagował prawidłowo i w porę. Hamulce miał sprawne, ciężarówka zatrzymała się. Refleksem nie popisał się za to kierowca jadący za nim.

Ciągniki siodłowe z naczepami są bardzo praktycznym środkiem transportu, ale mają tendencję do składania się jak scyzoryk. Druga ciężarówka najechała na pierwszą i obie zachowały się zgodnie z tą tendencją, ustawiając się w poprzek drogi i całkowicie tarasując ruch w obu kierunkach. Strome skarpy po obu stronach nasypu uniemożliwiały objechanie blokady.

Policjanci z patrolu, zanim gryzący dym zmusił ich do opuszczenia wozu i wycofania się tam, gdzie ewakuowali się już kierowcy ciężarówek, zdążyli nadać przez radio tylko jeden meldunek.

Ale to wystarczyło. Na południe skierowano na sygnale kilka wozów bojowych straży pożarnej i ciężki dźwig. Droga miała zostać odblokowana dopiero przed świtem. O wypadku powiadomiono Wyoming i władze wstrzymały całkowicie ruch na południe od gór. Kierowcy będący już na trasie spędzili jednak całą noc w korku.

Korzystając z zamieszania, dwoje ludzi na koniu, bez pośpiechu, pod osłoną dymu, przecięło szosę i wjechało w dziki kraj po jej zachodniej stronie. Mężczyzna zasłaniał twarz chustą, siedząca za nim dziewczyna zarzuciła sobie koc na głowę.

Odjechawszy na bezpieczną odległość od nasypu, jeździec zeskoczył z konia. Mięśnie pod błyszczącą skórą Rosebud drżały z wysiłku i wyczerpania, a do lasu mieli jeszcze dziesięć mil. Szepczący Wiatr, ważąca połowę tego, co jej ukochany, nie zsiadła z konia. Przesunęła się tylko na siodło.

Strąciła z ramion koc. W zapadającym zmierzchu zajarzyła się białą ślubną suknią, rozpuszczone włosy sięgały dziewczynie pasa.

- Dokąd jedziemy, Ben?

Pokazał na południe. Nad linią lasu w ostatnich promieniach zachodzącego słońca niczym pochodnie płonęły szczyty Beartooth Range, strażnicy innego, lepszego życia.

- Przez góry do Wyoming. Tam nikt nas nie znajdzie. Zbuduję ci chatę, będę dla ciebie polował i łowił ci ryby. Będziemy wolni i żyć będziemy wiecznie.

Uśmiechnęła się, bo bardzo go kochała i wierzyła mu, i znowu była szczęśliwa.

Pilot Braddocka musiał zawrócić. Nie miał innego wyjścia, bo kończyło mu się paliwo, a zresztą było już tak ciemno, że niewiele widział. Wylądował na ranczu na resztkach rezerwy.

Dziesięciu jeźdźców dotarło na zgonionych koniach do miasteczka Bridger. Poprosili tam o przenocowanie. Poczestowano ich kolacją i udostępniono stodołę. Położyli się spać na ziemi, podkładając sobie pod głowy siodła i przykrywając się kocami.

Larry posadził helikopter szeryfa na lądowisku w Bridger. Kierownik lądowiska zaproponował mu nocleg w swoim kantorku.

Na ranczu dowodzenie akcją przejął weteran zielonych беретów. Dziesięciu ludzi z prywatnej armii ugrzęzło z wyczerpanymi końmi w Bridger; ośmiu utknęło w samochodach terenowych na zablokowanej międzystanowej. Obie grupy były uziemione do rana. Max stanął przed Billem Braddockiem i pozostałą dwunastką. Był w swoim żywiole - planował operację jak za starych dobrych czasów w Wietnamie. Na ścianie wisiała wielka mapa okręgu.

- Plan Jeden - zaczął. - Odciać przejście... dosłownie. Tędy, przez góry aż do Wyoming, ciągnie się głęboki wąwóz. Nazywa się Rock Creek. Obok niego biegnie kręta, prowadząca na południe szosa.

Ten włóczęga będzie może próbował podążać jej trawiastym poboczem, żeby oszczędzić sobie przedzierania się górskimi ścieżkami. Gdy tylko usuną blokadę na międzystanowej, nasi chłopcy będą musieli dojechać na pełnym gazie do granicy stanu i zasadzić się tam na niego. Kiedy się pojawi, będą wiedzieli, co robić.

- Popieram - burknął Braddock. - A jak będzie próbował przejechać tamtędy nocą?

- Nie zrobi tego, nawet gdyby chciał. Jego koń ciągnie już ostatkiem sił. Sądzę, że przeciął szosę, bo najpierw chce dotrzeć do lasu i dopiero stamtąd skieruje się w góry. Jak pan widzi, musi przejść przez Narodowy Las Custer, a to cały czas pod górkę, przeciąć wąwóz West Fork i wyjść na ten płaskowyż Silver Run. I tu dochodzimy do Planu Dwa. Lecimy za nim dwoma wynajętymi helikopterami, zabierając po drodze tę dziesiątkę nocującą w Bridger. Wysadzamy ich przed nim na płaskowyżu, zajmują pozycje za głazami. Kiedy wyjdzie z lasu na skałę, będzie dla nich łatwym celem.

- Wydaj odpowiednie rozkazy - mruknął Braddock. - Jeszcze coś?

- Plan Trzy. O świcie reszta naszych ludzi wjeżdża za nim konno do lasu, pędzi go przed sobą pod górę i zmusza do wyjścia na zaczynający się tam płaskowyż. Krótko mówiąc, polowanie z nagonką.

- A jeśli zaatakuje nas w lesie?

Max uśmiechnął się z wyższością.

- Proszę pana, szkolono mnie do walki w dżungli i mam w tym duże doświadczenie. Kilku moich ludzi też odsłużyło swoje w Wietnamie. Zabieram ich ze sobą. Jeśli spróbuje stawić nam opór w lesie, będzie mój.

- A jak dostarczymy tam konie, skoro szosa jest zablokowana?

Max wskazał palcem cienką linię na mapie.

- Jest tu wąska boczna droga. Odchodzi od międzystanowej piętnaście mil za Billings, biegnie przez nieużytki i urywa się tutaj, w Red Lodge, u samego wylotu wąwozu Rock Creek. Dowieziemy tam konie nocą przyczepami, dosiądziemy ich o świcie i ruszymy za nim. Proponuję teraz przespać się cztery godziny i wstać o północy.

Braddock kiwnął głową.

- Jeszcze jedno, majorze. Jadę z wami. Kevin też. Obaj chcemy zobaczyć, jak kończy człowiek, który tak mnie dzisiaj upokorzył.

Szeryf Lewis też studiował mapę i dochodził do podobnych wniosków. Zadzwoił do miasteczka Red Lodge i poprosił o wsparcie. Obiecano mu tuzin wypoczętych i



osiedlanych wierzchowców. Miały na niego czekać o wschodzie słońca. Larry do tego czasu zatankuje i będzie gotowy do startu.

Sprawdził jeszcze, jak idzie odblokowywanie międzystanowej. Zapewniono go, że szosa o czwartej nad ranem będzie już przejezdna. Poprosił, żeby jego dwa wozy patrolowe przepuszczono jako pierwsze. Dotrze do Red Lodge o czwartej trzydzieści.

Chociaż była niedziela, nie miał żadnych problemów ze znalezieniem ochotników. Praca policjanta w okręgu zamieszkiwanym przez spokojnych obywateli jest może monotonna, ale prawdziwe polowanie na człowieka podwyższa zazwyczaj poziom adrenaliny. Oprócz Larry'ego będzie miał w powietrzu jeszcze jednego pilota, właściciela prywatnego górno-płatowca, a w pościgu naziemnym weźmie udział dziesięciu ludzi. To powinno wystarczyć na jednego jeźdźca. Wpatrywał się w mapę.

- Proszę cię tylko, chłopcze, nie wjeżdżaj w las - mruknął. - Strasznie trudno będzie cię tam znaleźć.

Kiedy wypowiadał te słowa, Ben Craig i Szepczący Wiatr dotarli właśnie do lasu i zniknęli między drzewami. Pod koronami jodeł i sosen było ciemno choć oko wykol. Zagłębiwszy się na pół mili, Craig rozbił biwak. Uwolnił zmęczoną Rosebud od ciężaru dziewczyny, siodła, karabinu i koców. Klacz napiła się świeżej wody z przepływającego obok strumyczka i zaczęła skubać soczyste sosnowe igły.

Zwiadowca nie rozpałał ogniska, zresztą Szepczący Wiatr go nie potrzebowała. Zwinęła się w kłębek w śpiworze z bawolej skóry i natychmiast zasnęła. Craig wziął toporek i oddalił się cicho. Nie było go sześć godzin. Po powrocie zdrzemnął się godzinę, a potem zwinął obóz. Wiedział, że gdzieś tu, trochę wyżej, płynie strumień, nad którym niegdyś, dawno temu, udało mu się oderwać od podążających jego tropem kawalerzystów i Czejenów. Chciał znaleźć się na jego drugim brzegu, zanim pościg przybliży się na odległość strzału.

Rosebud nie całkiem jeszcze doszła do siebie po zeszłodziowym maratonie, ale była już trochę świeższa. Prowadził ją za uzdę. Od zbawczych szczytów dzieliło ich jeszcze wiele mil.

Szedł, kierując się gwiazdami, które prześwitywały między koronami drzew. Po godzinie niebo na wschodzie, nad odległymi świętymi górami Black Hills w Dakocie, zaczęło się różowić. Dotarł do pierwszej przeszkody, urwistego wąwozu West Fork.

Był już tu kiedyś. Wiedział o istnieniu przejścia na drugą stronę, musiał je tylko odnaleźć. Poszukiwania zajęły mu godzinę. Zeszli na dno, tam Rosebud napiła się wody z zimnego strumienia, po czym wspięli się z mozołem na przeciwległą stronę.

Craig dał Rosebud odpocząć, a sam znalazł osłonięte miejsce, z którego mógł obserwować rwący dołem strumień. Ciekaw był, ilu ludzi podąża jego tropem. Nie wątpił, że będą mieli świeże konie. Ale najbardziej niepokoiły go biorące udział w pościgu, osobliwe metalowe pudła, które fruwały w powietrzu na wirujących skrzydłach jak orły i ryczały jak łoś w rui. Widział te latające pudła poprzedniego dnia nad bezdrożami.

Służby ratownicze dotrzymały obietnicy i tuż po czwartej nad ranem ruch na międzystanowej został przywrócony. Dwa samochody szeryfa Lewisa, pilotowane przez

policjanta z drogówki, precyzyjnie się na czoło powstałego przez noc korka i ruszyły w kierunku odległego o piętnaście mil Red Lodge.

Osiem minut później wyprzedziły je dwa duże, pędzące na złamanie karku wozy terenowe.

- Wsiąść im na ogon? - spytał kierowca.

- Pies z nimi tańczył - mruknął szeryf.

Wozy terenowe przemknęły z rykiem przez budzące się ze snu miasteczko Red Lodge i na pełnym gazie wpadły w kanion, gdzie droga międzystanowa biegnie skrajem przełomu Rock Creek.

Wąwóz zwał się błyskawicznie, jego ściany stawały się coraz bardziej strome. Po chwili ta po prawej stronie szosy opadała już niemal pionowym urwiskiem w pięćsetstopową przepaść, której dnem rwał strumień, a ta po lewej pięła się gęsto zalesionym stokiem w niebo. Wyostrzały się zakręty.

Pędzący przodem samochód wszedł w piąty z rzędu na zbyt dużej szybkości i kierowca za późno zauważył świeżo zwaloną sosnę leżącą w poprzek drogi. Karoseria samochodu przeleciała na jej południową stronę, podwozie z kołami zostało po północnej. Z dziesięciu nóg pięciu jadących nim mężczyzn, cztery uległy złamaniom. Do tego dochodziły trzy złamane ręce, dwa pęknięte obojczyki i jedna zmiażdżona miednica. Kierowca drugiego samochodu terenowego miał do wyboru: albo odbić w prawo i runąć do strumienia, albo w lewo i wyrznąć w zbocze góry. Odbił w lewo. Góra wzięła górę. Dziesięć minut później na najmniej uszkodzonym z mężczyzn, kuśtykającego środkiem szosy po pomoc, wyjechała z zakrętu pierwsza z uwolnionych z karambolu ciężarówek. Hamulce w dalszym ciągu miała sprawne. Zatrzymała się w porę, ale znowu złożyła się w szczyryk. Naczepa, jakby chciała dać do zrozumienia, że ma już dosyć takiego traktowania, przechyliła się powoli i przewróciła na bok.

Na szeryfa Lewisa i jego siedmiu ludzi czekał w Red Lodge policjant z miejscowego posterunku ze stadkiem wypożyczonych koni. Towarzyszyło mu kilku funkcjonariuszy straży leśnej. Jeden z nich rozpostarł na masce samochodu mapę i zaczął pokazywać najbardziej charakterystyczne punkty orientacyjne Lasu Narodowego Custer.

- Lasy przecina ze wschodu na zachód strumień West Fork - mówił. - Po tej stronie strumienia są szlaki turystyczne i kempingi dla letników. Za strumieniem zaczyna się prawdziwa dzicz. Jeśli wasz człowiek przeprowił się na drugi brzeg, będziemy musieli za nim pójść. Samochód tam nie przejedzie, zostają konie.

- Gęsty ten las?

- Dosyć - przyznał leśnik. - To znaczy w swojej liściastej części. Jest ciepło jak na tę porę roku i liście nie opadły jeszcze z drzew. Dalej jest las sosnowy, a za nim, już do samych gór, ciągnie się skalny płaskowyż. Wasz człowiek da sobie radę w takim terenie?

- Z tego, co słyszałem, urodził się i wychował w dziczy - powiedział szeryf.

- To nie problem, mamy nowoczesny sprzęt - wtrącił się inny leśnik. - Helikoptery, samoloty, walkie-talkie. Nie wymknie się nam.

Grupa pościgowa miała już zostawić samochody i ruszyć w drogę, kiedy zgłosił się kontroler ruchu powietrznego z lotniska w Billings. Dyżurny z biura szeryfa przełączył go na radio w wozie patrolowym.

- Mam tu dwa duże helikoptery czekające na pozwolenie na start, szeryfie - powiedział człowiek z wieży kontrolnej. Zнали się z szeryfem Lewisem od lat. Razem chodzili na ryby, a nic tak nie łączy ludzi. - Dałbym im zgodę, gdyby nie zostały wynajęte przez Billa Braddocka. W planach lotu zadeklarowali, że lecą do Bridger. Larry mówi, że macie tam jakiś problem. Coś w związku ze ślubem w Bar-T? Trąbią o tym we wszystkich porannych wiadomościach.

- Przetrzymaj ich trochę. Daj mi z dziesięć minut.

- Załatwione - mruknął kontroler i zwracając się do pilotów czekających helikopterów powiedział: - Musicie poczekać. Mamy klienta, który zaraz będzie podchodził do lądowania.

Szeryf Lewis przypomniał sobie, jak poprzedniego dnia Larry meldował o gromadzie uzbrojonych jeźdźców, kierujących się na południe; prawdopodobnie ścigali zbiegów. Zmrok zaskoczył ich pewnie daleko od domu i przenocowali na prerii albo w Bridger. Ale jeśli zostali odwołani na ranczo, to dlaczego nie wracają tam na wypoczętych już koniach? Poprosił dyżurnego, żeby połączył go z innym znajomym, szefem oddziału FAA, Federalnej Agencji Aeronautyki w Helena. W głośniku zatrzeszczał zaspany głos obudzonego skoro świt urzędnika:

- Lepiej, żeby to było coś ważnego, Paul. W niedzielę lubię dłużej pospać.

- Mam mały problemik z dwoma zbiegami, którzy uciekają na teren Absaroka Wilderness. Idę za nimi ze swoimi ludźmi i kilkoma leśnikami, ale paru gorliwych obywateli chce to chyba przekształcić w polowanie na kaczki. I tylko patrzeć, jak zwałą się tu media. Czy mógłbyś zamknąć na dzisiaj przestrzeń powietrzną nad Wilderness?

- Nie ma sprawy.

- Na lotnisku w Billings czekają na pozwolenie na start dwa helikoptery.

- Kto siedzi tam dzisiaj w wieży?

- Chip Anderson.

- Zaraz to załatwię.

Dziesięć minut później kontroler z wieży połączył się z pilotami helikopterów.

- Przepraszam za to opóźnienie. Klient zrezygnował i zawrócił. Zezwalam na start. Tylko omijajcie strefę zamkniętą przez FAA.

- Jaka strefę zamkniętą?

- Całe Absaroka Wilderness do pięciu tysięcy stóp.

Tam, gdzie chodzi o przestrzeń powietrzną i bezpieczeństwo w powietrzu, słowo Federalnej Agencji Aeronautyki jest prawem. Wynajętym pilotom zależało na zachowaniu licencji. Wyłączyli silniki, wirniki obracały się jeszcze przez chwilę, ale coraz wolniej; w końcu znieruchomiały.

Wielki Bili Braddock z dziesięcioma ludźmi, jacy mu zostali, skręcił przed świtem w boczną drogę, która docierała od północnego zachodu do Red Lodge. Pięć mil przed miasteczkiem, na skraju lasu, wyładowali konie z przyczep, sprawdzili broń, dosiedli wierzchowców i wjechali między drzewa.

Braddock miał ze sobą przenośne krótkofalówki i był w stałym kontakcie z pokojem radiowym na ranczo. Kiedy przez korony drzew zaczęło się przesączać światło wstającego dnia, dowiedział się, że karetka pogotowia zabrały dziesięciu jego ludzi z międzystanowej na wysokości Rock Creek, a druga dziesiątka utknęła w Bridger z braku transportu lotniczego, który miał ją przerzucić nad uciekinierami na skalny płaskowyż. Plany Jeden i Dwa majora przeszły do historii.

- Dopadniemy sukinsyna sami - warknął hodowca bydła.

Jego syn, niepewnie czujący się w siodle, pociągnął z piersiówki. Oddział posuwał się przez las rozciągniętą na ćwierć mili tyralierą, wypatrując na ziemi śladów podkutych kopyt. Po trzydziestu minutach jeden z ludzi zauważył trop - odciski kopyt Rosebud i obutych chyba w mokasyny stóp prowadzącego ją człowieka. Przywołał przez radio pozostałych. Dalej ruszyli już zwartą grupą. Wyprzedzali o milę oddział szeryfa Lewisa. Byстрыm oczom leśników zajęło to mniej czasu. Trafili na trop po dziesięciu minutach.

- Ile ten człowiek ma koni? - spytał jeden.

- Tylko jednego - odparł Lewis.

- Ja tu naliczyłem więcej - powiedział leśnik. - Co najmniej cztery.

- Niech go cholera - mruknął szeryf. Wywołał przez krótkofalówkę swoje biuro i poprosił dyżurnego, żeby go połączył z prywatnym numerem mecenasa Valentina.

- Mój klient bardzo się martwi o bezpieczeństwo tej młodej damy, szeryfie Lewis. Mógł podjąć poszukiwania na własną rękę. Zapewniam pana, że ma do tego pełne prawo.

- Panie mecenasie, jeśli tym młodym ludziom włos spadnie z głowy, jeśli którekolwiek z nich zginie, uznam to za morderstwo. Niech pan to przekaże swojemu klientowi.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź prawnika.

- Paul, ten facet porwał dziewczynę i ma karabin - mruknął jego starszy zastępca Tom Barrow. - Mnie się wydaje, że powinniśmy najpierw strzelać, a dopiero potem zadawać pytania.

- Z zeznań świadków wynika, że dziewczyna sama wskoczyła na konia - odparował Lewis. - Nie będę rozwaliał chłopaka za potłuczone kieliszki.

- I dwa kopniaki w twarz.

- Tak, i za dwa kopniaki w twarz.

- Za podpalenie prerii i doprowadzenie do zamknięcia międzystanowej.

- Fakt, ta lista się wydłuża. Ale on jest tam z dziewczyną sam, ma zmęczonego konia i strzelbę z tysiąc osiemset pięćdziesiątego drugiego roku. Aha, i jeszcze łuk i strzały. My dysponujemy nowoczesną techniką, on jest zdany tylko na siebie. Miej na względzie proporcje. I pilnuj tego tropu.

Leżący w wysokiej trawie Ben Craig obserwował z odległości pięciuset jardów pierwszych jeźdźców, którzy dotarli do potoku. Rozpoznawał wśród nich zwalistą postać Wielkiego Billa Braddocka i o wiele drobniejszą figurkę jego syna, który otarł sobie chyba siedzenie, bo poprawiał się co rusz w siodle, przenosząc ciężar ciała to na jeden, to na drugi półdupek. Wśród towarzyszących Braddockowi ludzi był człowiek ubrany w łaciaty mundur kamuflujący, wysokie wojskowe buty i beret. Nie musieli szukać przejścia przez wąwóz, wyszli na nie po śladach Rosebud. Przewidział to. Patrzył, jak wprowadzają

konie w wartki nurt i zatrzymują się, żeby zaspokoić pragnienie i ochlapać sobie dla odświeżenia twarzy.

Nikt nie usłyszał nadlatujących strzał ani nie zauważył, skąd zostały wystrzelone. Kiedy opróżniali magazynki karabinów, waląc na oślep do drzew na drugim brzegu, łucznika już tam nie było. Nie pozostawiając za sobą śladów, wrócił do konia i dziewczyny i poprowadził ich dalej w kierunku gór.

Obie strzały osiągnęły cel. Krzemienne groty weszły głęboko w miękkie ciało, zatrzymały się na kości i pokruszyły. Dwaj mężczyźni, wrzeszcząc z bólu, runęli w wodę. Max, weteran z Wietnamu, wdrapał się z kocią zwinnością na południowy brzeg, przypadł do ziemi i lustrował wzrokiem zarośla, w których znikł napastnik. Nic nie widział. Ale jeśli ten człowiek wciąż tam jest, ogień osłonowy ochroni grupę brodzącą w potoku.

Ludzie Braddocka wyciągnęli krzyczących rannych na brzeg.

- Trzeba ich będzie stąd zabrać, szefie - powiedział jeden z ochroniarzy. - Bez szpitala się nie obejdzie.

- Dobra, niech wsiadają na konie i wracają - zdecydował Braddock.

- Nie utrzymają się na koniu, szefie. Iść też nie mogą.

Nie było innej rady. Ścięli cztery gałęzie i sklecieli z nich prowizoryczne nosze. Do ich dźwigania oddelegowano kolejnych czterech mężczyzn. Straciwszy sześciu ludzi i godzinę czasu, oddział Braddocka, osłaniany ogniem prowadzonym przez majora Maxa, przepłynął na drugi brzeg. Czwórka noszowych pomaszerowała z powrotem przez las. Gdyby przyszło im do głowy, żeby sporządzić travois, mieliby dużo łatwiej i do transportu rannych wystarczyłoby dwóch.

Słyszając strzelaninę, szeryf zaczął się obawiać najgorszego. Zdawał sobie jednak sprawę, że byłoby głupotą puścić się teraz galopem. W tej gęstwinie można było łatwo oberwać zabłąkaną kulka. Spotkali ludzi wracających z noszami po śladach pozostawionych przez konie.

- Co tam się, u diabła, stało? - spytał szeryf.

Żołnierze Braddocka powiedzieli mu, jak było.

- I co, uciekł?

- Tak. Kiedy major Max przepłynął na drugi brzeg, jego już tam nie było.

Noszowi ruszyli w dalszą drogę ku cywilizacji, a oddział szeryfa w stronę strumienia.

- A wy, chłopaki, przestańcie się głupio uśmiechać - warknął szeryf, który szybko tracił cierpliwość do młodego człowieka lasu. - Nikt tu nie wygra łukiem i strzałami. Na Boga, mamy przecież rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy.

Obaj ranni, których przed chwilą widział, leżeli na noszach twarzami do dołu, i każdemu z lewego pośladka sterczała pionowo czejeńska strzała z pierzyskiem z piór indyka.

Prowadząc konie za uzdy i ślizgając się na kamienistym dnie, oddział szeryfa przebrnął przez strumień i znalazł się na drugim brzegu. Dalej nie będzie już kempingów ani biwakowiczów. Tak jak tutaj, świat musiał wyglądać w czasach swej młodości.

Larry przeczesywał metodycznie okolice, krążąc swoim helikopterem tysiąc stóp nad wierzchołkami drzew. Rejon poszukiwań zawęził mu się, kiedy w dole wypatrzył grupę

jeźdźców przepływających się przez strumień. Zbiegowie musieli być przed nimi, gdzieś między strumieniem a górami.

Gęsta warstwa listowia utrudniała mu jednak nawiązanie łączności przez walkie-talkie z szeryfem Lewisem. Szeryf ze swej strony słyszał pilota, ale ni w ząb go nie rozumiał.

Trzaski zakłóceń zagłuszały wszystko, sygnał zanikał.

A Larry mówił:

- Mam go. Widzę go.

Rzeczywiście zauważył samotnego, prowadzonego za uzdę konia, a na nim owiniętą w koc dziewczynę, kiedy uciekinierzy przecinali małą leśną polankę. Ale trwało to tylko sekundę. Potem zniknęli mu znowu z oczu między drzewami.

Ben Craig patrzył przez liście na unoszącego się w górze, warczącego i terkoczącego potwora.

- Człowiek, który w nim siedzi, będzie mówił ścigającym, gdzie jesteśmy - powiedziała Szepczący Wiatr.

- A jak go usłyszą przez ten hałas? - spytał.

- Usłyszą, Ben. Mają swoje sposoby.

Człowiek pogranicza też je miał. Wydobył z kabury starego sharpa i wsunął do komory długi, gruboziarnisty nabój. Larry, żeby lepiej widzieć, zszedł na sześćset stóp. Zawisł nad ziemią, pochylając lekko w dół nos maszyny, i wpatrywał się w drugą małą polankę, którą może przetnął. Mężczyzna kryjący się wśród drzew złożył się do strzału i pociągnął za spust.

Ciężki pocisk przebił podłogę, przeszedł między rozstawionymi udami pilota i wywalił postrzępioną dziurę w bulwiastej kabinie. Sikorsky zatoczył się dziko i odleciał w bok, nabierając jednocześnie wysokości. Zwolnił dopiero milę dalej i milę wyżej.

- Paul - wrzeszczał do mikrofonu Larry - ten sukinsyn przedziurawił mi kabinę. Zmywam się stąd. Muszę wracać do Bridger i obejrzeć uszkodzenia. Gdyby trafił w zespół głównego wirnika, byłaby już ze mnie mokra plama. Mam to gdzieś. Zdejmujemy białe rękawiczki.

Szeryf tego nie słyszał. Słyszał jednak huk wystrzału oddanego ze starej strzelby i widział, jak helikopter odstawia dziki taniec na błękitnym niebie; widział, jak odlatuje.

- No i mamy swoją technikę - mruknął jeden z leśników.

- Tego już za wiele - warknął Lewis. - Chłopak pójdzie za to siedzieć na wiele lat. Idziemy dalej, broń w pogotowiu, oczy i uszy szeroko otwarte. Żarty się skończyły.

Druga grupa pościgowa również słyszała huk wystrzału, a była o wiele bliżej, jakieś pół mili od miejsca, z którego został oddany. Max zaproponował, że wysforuje się naprzód i zorientuje w sytuacji.

- On prowadzi konia, a to znaczy, że mogę się poruszać szybciej. Nie usłyszysz mnie.

Może wyjdzie mi na strzał.

Braddock się zgodził. Max, rozglądając się czujnie, wypatrując najmniejszego poruszenia w zaroślach, ruszył skokami naprzód. Zapamiętał, gdzie padł strzał - jakieś pół mili od nich i trochę w prawo od kierunku, w którym dotąd podążali.

Ben Craig wsunął karabin do kabury i wziął Rosebud za uzdę. Od skraju lasu, za którym zaczynała się skalna płyta zwana Silver Run, dzieliło go już tylko pół mili. Widział ponad drzewami coraz bliższe góry. Wiedział, że ścigający zostali trochę z tyłu, ale nie zrezygnowali. Wciąż za nim szli.

Za jego plecami, wysoko w koronach drzew, odezwał się ptak. Znał tego ptaka i ten krzyk, powtarzalne tok-tok-tok, które ścichło w dali, kiedy ptak odleciał. Odpowiedział mu na tę samą nutę inny ptak. Był to ich okrzyk ostrzegawczy. Craig zostawił Rosebud, oddalił się na siedem kroków od tropu pozostawionego przez podkowy i pobiegł między sosnami z powrotem.

Max, przemykając od pnia do pnia śladem kopyt, dotarł do polanki i zatrzymał się na jej skraju; mundur kamuflujący i uczerniona twarz czyniły go niewidocznym w półmroku, jaki zalegał między drzewami. Przemiotł wzrokiem polankę i uśmiechnął się pogardliwie na widok błyszczącej mosiężnej łuski leżącej pośrodku. Nie z nim te numery. On się na to nie nabierze. Podchodząc, żeby ją podnieść, wystawiłby się na strzał. Wiedział, że ten człowiek gdzieś się tu zaczął. Świadczyła o tym ta oczywista przynęta. Cał po calu przeczesywał wzrokiem zarośla po drugiej stronie.

I nagle jego uwagę zwróciła drgająca gałązka rozłożystego krzaku. Lekki wietrzyk poruszał co prawda liśćmi, ale wszystkimi w tę samą stronę. Ta gałązka poruszyła się w przeciwną. Wyteżając wzrok, odróżnił między liśćmi ledwie widoczną brązową plamę majaczącą sześć stóp nad ziemią. Przypomniawszy sobie, że jeździec miał poprzedniego dnia na głowie traperską czapkę z lisiego futra.

Był uzbrojony w swój ulubiony karabin M-16, krótkolufy, lekki i niezawodny. Prawym kciukiem przesunął dźwignienkę przełącznika w pozycję „ogień ciągły” i nacisnął spust. Władował w krzak połowę magazynka; brązowa plama na moment zniknęła, a potem pojawiła się znowu na ziemi, tam gdzie upadła. Dopiero teraz wyszedł śmiało z ukrycia. Czejenowie nie używali kamiennych maczug bojowych. Woleli toporki, którymi rąbali z końskiego grzbietu na boki albo z góry, albo nimi celnie rzucali.

Wirujący toporek wbił się majorowi w prawy biceps, przecinając mięśnie i gruchocząc kość. Karabin wypadł mu z pozbawionej czucia dłoni. Spojrzał z pobladłą twarzą na prawą rękę, wyrwał z niej toporek i z rany buchnęła jasnoczerwona krew. Przycisnął rozcięcie lewą dłonią, żeby zatamować krwotok, odwrócił się i pobiegł po własnych śladach. Zwiadowca wypuścił z lewej ręki długi na pięćdziesiąt stóp rzemień, za pośrednictwem którego wprawił w ruch gałązkę, podniósł z ziemi toporek i czapkę i wrócił biegiem do konia.

Braddock, jego syn i trzech pozostałych mężczyzn spotkali majora opartego o pień drzewa i oddychającego głęboko.

Szeryf Lewis i jego grupa, słysząc drugą już tego dnia kanonadę, tym razem serię oddaną z karabinu maszynowego, przyspieszyli kroku. Starszy leśnik, spojrzawszy na rozharataną rękę, mruknął „opaska uciskowa” i rozerwał paczuszkę z zestawem pierwszej pomocy.

Podczas gdy leśnik opatrywał rannego, szeryf Lewis wysłuchiwał relacji Braddocka i spoglądał na niego z pogardą.

- Powinienem was wszystkich aresztować - powiedział. - I zrobiłbym to, gdybyśmy nie byli taki kawał od cywilizacji. Zabieraj się pan stąd, Braddock, nie chcę tu pana widzieć.

- A właśnie że doprowadzę to do końca! - krzyknął Braddock. - Ten dzikus uprowadził narzeczoną mojego syna i poważnie zranił trzech moich ludzi...

- Których nie powinno tu być. Doprowadzę tego chłopca przed oblicze sprawiedliwości, ale nie chcę tu trupów. Proszę mi oddać broń. Co do sztuki i natychmiast. Kilka łuf skierowało się na Braddocka i jego ludzi. Policjanci odebrali im karabiny i pistolety. Szeryf zwrócił się do leśnika, który opatrzył, jak umiał, ramię majora.

- Co zalecasz?

- Jak najszybszą ewakuację - powiedział leśnik. - Można by go odesłać pod eskortą do Red Lodge, lecz to dwadzieścia mil trudnego terenu, z wąwozem West Fork po drodze. Może nie przetrzymać. Przed nami płaskowyż Silver Run. Radia powinny tam działać. Można by wezwać helikopter.

- Tak mówisz?

- Tę rękę trzeba szybko operować, bo ją straci.

Ruszyli w dalszą drogę. Na polance znaleźli porzucony karabinek i łuskę. Leśnik obejrzał ją.

- Strzały z krzemiennym grotem, tomahawk, strzelba na bawoły. Kim, u diabła, ten facet jest, szeryfie?

- Myślałem, że wiem - mruknął Lewis. - Teraz nie jestem już tego taki pewien.

- Bezrobotnym aktorem na pewno nie - orzekł leśnik.

Ben Craig stał na skraju lasu i patrzył na połyskującą skalną równinę. Pięć mil do ostatniego, ukrytego strumienia; potem jeszcze dwie przez płaskowyż Hellroaring Plateau i mila wspinaczki na górę. Poglądził Rosebud po łbie i aksamitnie miękkich chrapach.

- Jeszcze jeden wysiłek przed zachodem słońca - powiedział do niej. - Jeszcze ten kawałek i będziemy wolni.

Dosiadł kłaczy i ruszył cwałem po skale. Dziesięć minut później na skraj płaskowyżu dotarła grupa pościgowa. Milę przed sobą zobaczyli oddalającą się plamkę.

Po wyjściu z lasu radia znowu zaczęły działać. Szeryf Lewis nawiązał łączność z Larrym i dowiedział się od niego, co spotkało małego sikorsky'ego. Larry był z powrotem na lotnisku w Billings i zdążył już wypożyczyć większego bella jetrangerera.

- Przyleć tu, Larry. Snajpera możesz się nie obawiać. Jest teraz milę stąd, poza zasięgiem. Trzeba pilnie odstawić człowieka do szpitala. Co z tym cywilem ochotnikiem z piper cubem? Powiedz mu, że jest mi tu natychmiast potrzebny. Niech przyleci nad Silver Run, ale nie schodzi poniżej pięciu tysięcy stóp. Powiedz mu, że ma wypatrywać jeźdźca kierującego się w stronę gór.

Było już po trzeciej i słońce chyliło się ku zachodowi. Kiedy skryje się za górę Spirit i górę Beartooth, szybko zapadnie zmrok.

Larry przyleciał bellem pierwszy. Opuścił się z warkotem z błękitnego nieba i wylądował na płaskiej skale. Majora wsadzono do kabiny, za nim wsiadł jeden z policjantów. Pilot



wystartował i poprosił przez radio szpital Billings Memorial, by zrobiono mu miejsce do lądowania na parkingu i zmobilizowano zespoły chirurgów i anestezjologów.

Pozostali jeźdźcy ruszyli przez płaskowyż.

- Przepływa tędy ukryty strumień, o którym on prawdopodobnie nie wie - powiedział starszy leśnik, podjeżdżając do szeryfa. - Nazywa się Lake Fork. Rwie głębokim, wąskim wąwozem o stromych ścianach. Konno można się przez niego przeprowić tylko w jednym miejscu. I za sto lat go nie znajdzie. Dogonimy go tam.

- A jak zaczał się na nas z karabinem między drzewami? Nie chcę, żeby ktoś zginął.

- To co robimy?

- Spokojnie - powiedział Lewis. - Nie wydostanie się z gór, nie zejdzie do Wyoming.

Obserwujemy go z powietrza.

- Chyba że będzie maszerował nocą.

- Ma zmęczonego konia i dziewczynę w lekkich ślubnych pantofelkach. To jego ostatnie podrygi i pewnie zdaje sobie z tego sprawę. Będziemy podążali za nim w odległości mili i czekali na samolot.

Jechali za maleńką, odległą figurką, nie spuszczać jej z oka. Samolot nadleciał tuż przed czwartą. Młodego pilota musiano ściągnąć ze sklepu ze sprzętem turystycznym w Billings, gdzie pracował. Ukazały się wierzchołki drzew porastających strome stoki wąwozu Lake Fork.

- Co chcecie wiedzieć? - zatrzeszczał w krótkofalówce szeryfa głos pilota.

- Przed nami jedzie konno człowiek, za nim siedzi owinięta w koc dziewczyna. Widzisz ich?

Piper cub zniżył lot nad strumieniem.

- Widzę. Jest tu wąski strumień. Facet wjeżdża teraz między drzewa.

- Zachowuj dystans. Ma karabin i jest dobrym strzelcem. Piper wzniósł się wyżej i dwie mile za strumieniem zawrócił.

- Odbiłem za bardzo w prawo. Ale wciąż go widzę. Zsiadł z konia i sprowadza go po stoku na dno wąwozu.

- Nigdy nie uda mu się przedostać na drugą stronę - syknął leśnik. - Możemy teraz podjechać bliżej.

Przeszli w cwał. Braddock z synem i trzema swoimi ludźmi, rozbrojonymi teraz, też przyspieszyli.

- Trzymaj się poza zasięgiem strzału - ostrzegł znowu pilota szeryf. - Jeśli za bardzo się zbliżysz, może wygarnąć do ciebie zza drzew. Tak jak do Larry'ego.

- Larry wisiał nieruchomo dwieście jardów nad nim - zauważył pilot. - Ja lecę z szybkością stu dwudziestu węzłów na wysokości trzech tysięcy stóp. Coś takiego. Chyba znalazł drogę na górę. Wspina się teraz na Hellroaring Plateau.

Szeryf zerknął na leśnika i prychnął wymownie.

- Można by pomyśleć, że już tu kiedyś był - mruknął stropiony leśnik.

- Może i był.

- Niemożliwe. Bez naszej wiedzy nikt się tu nie zapuszcza.

Grupa dotarła na skraj kanionu, ale sosny zasłaniały wyczerpanego mężczyznę, wciągającego konia z dosiadającą go dziewczyną na przeciwległy stok.

Leśnik znalazł tylko jedną drogę prowadzącą na dno kanionu, ale ze śladów kopyt Rosebud wynikało, że zbieg też ją zna. Wynurzył się na drugim płaskowyżu i wkrótce znowu stał się plamką w oddali.

- Ściemnia się i paliwo mi się kończy - powiedział pilot. - Muszę wracać.

- Zrób jeszcze jedno okrążenie - poprosił szeryf. - Gdzie on teraz jest?

- Wspina się na górę. Znowu zsiadł z konia i prowadzi go. Pnie się północną ścianą. Ale wygląda na to, że koń ma już dosyć. Co chwila się potyka. Przed zachodem słońca powinniście go dogonić. Pomyślnych łowów, szeryfie.

Piper zawrócił na ciemniejącym niebie i odleciał w kierunku Billings.

- Jedziemy dalej, szeryfie? - zapytał jeden z policjantów. Szeryf Lewis pokręcił głową.

Powietrze było tu rozrzedzone, oddychali z trudem, szybko zapadała noc.

- Za ciemno już. Zaczekamy tu do świtu.

Rozbili obóz wśród drzew nad strumieniem. Góry na południu w świetle gasnącego dnia zdawały się wyrastać na odległość wyciągniętej ręki.

Włożyli grube ciepłe kurtki z owczej skóry. Nazbierali pod drzewami naręcza suchych gałęzi i rozpalili ognisko. Braddock z synem i swoimi trzema ludźmi zastosowali się do sugestii szeryfa i rozłożyli się obozem sto jardów dalej.

Nocowania na płaskowyżu nie było w planach. Nie zabrali śpiworów ani żywności.

Siedzieli na kocach wokół ogniska i wsparci o siodła pożywiali się batonikami. Szeryf Lewis wpatrywał się w ogień.

- Co jutro zamierzasz, Paul? - spytał Tom Barrow.

- Pojadę dalej sam. Bez broni. Wezmę tubę i będę machał białą flagą. Spróbuję go nakłonić do zejścia z dziewczyną z tej góry.

- Ja bym nie ryzykował. To dziki i niebezpieczny chłopak - powiedział leśnik.

- Mógł dzisiaj położyć trupem trzech ludzi - wymruczał szeryf. - Mógł, ale tego nie zrobił.

Na pewno zdaje sobie sprawę, że nie wytrzyma długo na tej górze oblegany. Myślę, że nie zastrzeli parlamentariusza z białą flagą. Najpierw go wysłucha. Warto spróbować.

Chłodny mrok spłynął na górę. To ciągnąc, to szarpiąc za uzdę, ponaglając i prosząc, Ben Craig przeprowadził wreszcie Rosebud przez ostatni etap i stanęli na płaskiej skalnej półce przed jaskinią. Kiedy zdejmował z siodła dziewczynę, klacz drżała na całym ciele, oczy miała zgaszone.

Craig wprowadził Szepczący Wiatr do dawnej jaskini niedźwiedzia. Potem odwiązał śpiwór z bawolej skóry i rozścielił go u wylotu. Wrócił do konia i odczepił od siodła kołczan z dwoma strzałami, jakie mu jeszcze zostały, zdjął z pleców łuk i ułożył wszystko pieczołowicie pod ścianą. Odpiął od siodła kaburę z karabinem i położył broń obok łuku. Na koniec poluzował popręg i zdjął z grzbietu klaczy siodło z dwiema torbami.

Odciążona kasztanka postąpiła kilka kroków w kierunku karłowatych drzew, pod którymi ścielił się dywanik opadłych igiełek. Nagle ugięły się pod nią tylne nogi i przysiadła na zadzie. Przednie nogi rozjechały się, nie wytrzymując ciężaru ciała. Przewróciła się na bok.

Craig ukląkł przy klaczy, położył sobie jej łeb na kolanach i pogładził chrapy. Zarżała cichutko, ukojona tą pieszczotą, i jej dzielne serce przestało bić.

Był wykończony. Nie spał dwie doby, w tym czasie mało co jadł i częściowo konno, częściowo pieszo przebył sto mil. Miał jednak jeszcze coś do zrobienia. Zmobilizował resztkę sił.

Podszedł do skraju półki i w dole, na północy, zobaczył dwa ogniska rozpalone przez ścigających. Naciał gałęzi i gałązek w miejscu, gdzie niegdyś siedział starzec, i też rozpałił ognisko. Płomienie oświetliły półkę, jaskinię i odzianą w biały jedwab postać pierwszej i ostatniej dziewczyny, jaką w życiu pokochał.

Otworzył torby i z żywności, którą zabrał z fortu, przyrządził skromną kolację. Usiedli obok siebie na kocu i spożyli pierwszy i ostatni wspólny posiłek.

Wiedział, że bez konia nie ujdzie pogoni. Ale stary łowca wizji przyrzekł mu, że ta dziewczyna zostanie jego żoną, że taka jest wola Wszechobecnego Ducha.

Rozmowa między ludźmi obozującymi w dole, na skalnej równinie, nie kleiła się i w końcu całkiem zamarła. Siedzieli w milczeniu, wpatrzeni w tańczące płomienie, których odbłask oświetlał im twarze.

W rozrzedzonym na tej wysokości powietrzu cisza była kompletna. Nie zakłócał jej nawet leki wietrzyk wiejący od szczytów. I nagle tę ciszę rozdarł krzyk.

Nadleciał do nich na skrzydłach wiatru od gór. Był to przeciągły i czysty krzyk młodej kobiety.

Nie wyrażał bólu ani trwogi. Był to wibrujący, cichnący krzyk ekstazy, która wymyka się wszelkim opisom i nie da powtórzyć.

Policjanci i leśnicy popatrzyli po sobie, a potem spuścili głowy. Szeryf zauważył, że drgają im ramiona.

Obozujący sto jardów dalej Bili Braddock wstał od ogniska i spojrzał na górę. Twarz wykrzywiła mu wściekłość i nienawiść. Jego ludzie odwrócili wzrok.

O północy temperatura zaczęła spadać. Z początku myśleli, że to normalne nocne ochłodzenie, tylko trochę bardziej odczuwalne ze względu na rozrzedzone powietrze i wysokość. Dygotali z zimna i szczelniej opatulali się kurtkami. Ale ziąb przenikał przez dżinsy. Przysunęli się bliżej ognia.

Było już poniżej zera i temperatura wciąż spadała; policjanci spojrzeli w niebo i zobaczyli gęste chmury, które zbierały się nad szczytami i zaczynały je przesłaniać. Wysoko na zboczu góry Rearguard dostrzegli isierkę ognia; po chwili znikła im z oczu.

Byli Montańczykami, przywykli do surowych zim, ale nie pod koniec października. Za wcześniej na mrozy. O pierwszej po północy leśnicy oszacowali, że jest dwadzieścia stopni poniżej zera i temperatura dalej leci na łeb na szyję. O drugiej wszyscy już stali i zapominając o śnie, przytupywali, by podtrzymać krążenie, chuchali w dłonie, zabijali rękami, dorzucali naręcza gałęzi do ognia, lecz nic nie pomagało. Z nieba zaczęły opadać pierwsze płatki śniegu. Roztopiały się z sykiem w zetknięciu z płomieniami. Do szeryfa Lewisa podszedł starszy leśnik.

- Uradziliśmy z Calem, że lepiej zawrócić do lasu Custer - powiedział, szcękając zębami.

- I tam będzie cieplej? - spytał szeryf.

- Powinno.

- Co tu się, u diabła, wyprawia?
- Weźmie mnie pan za wariata, szeryfie.
- Wal.

Śnieg sypał coraz gęściej, nie było już widać gwiazd, napierała na nich mroźna, biała dzicz.

- W tym miejscu terytoria Kruków stykają się z ziemiami ludu Szoszonów. Dawno temu, jeszcze przed nadejściem białego człowieka, staczane tu były zażarte bitwy. Indianie wierzą, że duchy wojowników, którzy w nich polegli, wciąż wędrują po tych górach; uważają to miejsce za magiczne.

- Piękna tradycja. Ale co z tą cholerną pogodą?

- Uprzedzałem, że to zabrzmi idiotycznie. Oni mówią, że czasami przychodzi tu również Wszzechobecny Duch i przynosi ze sobą Chłód Wielkiego Snu, którego żaden człowiek nie jest w stanie przetrzymać. To oczywiście dziwaczna anomalia klimatyczna, moim zdaniem jednak powinniśmy się wycofać. Zamarzniemy przed wschodem słońca, jeśli tu zostaniemy.

Po chwili zastanowienia szeryf Lewis kiwnął głową.

- Siodłać konie - powiedział. - Zawracamy. Powiadom Braddocka i jego ludzi.

Leśnik zniknął w śnieżycy. Wrócił po paru minutach.

- Braddock mówi, że zostaje i schroni się w wąwozie.

Szeryf, policjanci i leśnicy, dygocząc z zimna, przeprawili się przez strumień i odjechali płaskowyżem Silver Run w kierunku gęstego sosnowego lasu. Między drzewami temperatura była dodatnia. Rozniecili kilka ognisk i przetrwali.

O wpół do piątej nad ranem biały całun oderwał się od zbocza góry i zszedł na równinę, sunąc po skale cichą falą. Masy śniegu runęły w wąski wąwóz i wypełniły go po brzegi. Lawina wdarła się na pół mili w Silver Run i dopiero tam zatrzymała. Niebo zaczęło się przecierać.

Dwie godziny później szeryf Paul Lewis wyszedł na skraj lasu i spojrzał na południe. Góry były białe. Różowa jutrzienka na wschodzie zapowiadała pogodny dzień. Niebo zmieniało barwę z indygowej na błękitną. Przez całą noc trzymał radio blisko ciała, dzięki czemu działało teraz.

- Larry - zawołał - jesteś nam potrzebny. Bierz jetranglera i przylatuj. Mieliśmy tu potężną śnieżycę, kiepsko to wygląda... Nie, wróciliśmy do lasu, jesteśmy teraz tam, skąd zabierałeś wczoraj tego najemnika. Czekamy tu na ciebie.

Cztermiejscowy helikopter nadleciał z warkotem od strony wschodzącego słońca i siadł na zimnej, ale wolnej od śniegu skale. Dwaj policjanci zajęli miejsca z tyłu, szeryf usiadł obok pilota.

- Lecimy w góry - rzucił.

- A ten snajper?

- Nie sądzę, żeby teraz ktoś do nas strzelał. Jeśli przeżyli, to są w czepku urodzeni.

Helikopter poleciał trasą, którą przebyła poprzedniego dnia grupa pościgowa. Miejsce, gdzie przebiegał wąwóz Lake Fork, znaczyły tylko sterczące ze śniegu czubki sosen i modrzewi. Po pięciu ludziach, którzy tam obozowali, nie było śladu. Polecieli dalej w kierunku gór. Szeryf wypatrywał miejsca, w którym w nocy widział iskierkę ognia. Pilot był

tym razem ostrożny i utrzymywał dużą wysokość; żadnego tam schodzenia na sześćset stóp.

Lewis dostrzegł ją pierwszy. Atramentowo czarną plamkę w zboczu góry - wylot jaskini, a przed nią zaśnieżona skalna półka wystarczająco szeroka, by pomieścić jetranglera.

- Siadaj tam, Larry.

Pilot zaczął ostrożnie opuszczać maszynę, wypatrując czujnie najmniejszego poruszenia między głazami, człowieka biorącego go na muszkę, rozbłysku towarzyszącego detonacji przestarzałego czarnego prochu strzelniczego. Nic takiego nie dostrzegł. Wylądował na półce, ale nie gasił silnika; wołał być przygotowany do natychmiastowej ewakuacji.

Szeryf Lewis wyskoczył z kabiny z gotowym do strzału pistoletem. Policjanci poszli w jego ślady i od razu przypadli do ziemi, kierując lufy karabinów na wylot jaskini. Nic się tam nie poruszało.

- Wychodzić - zawołał Lewis. - Ręce wysoko w górze. Nic się wam nie stanie.

Nie było odpowiedzi. Bezruch, cisza. Podbiegł tam zakosami i przywarł plecami do ściany, tuż obok zięjącego w niej otworu. Po chwili zebrał się na odwagę i zajrzał ostrożnie do środka.

Zobaczył tylko jakiś wzgórek na podłodze, nic więcej. Wszedł ostrożnie, żeby mu się przyjrzeć. Kiedyś była to chyba zwierzęca skóra, ale zdążyła już przegnić i spleśnieć ze starości. Po futrze nie został ślad, rozłaziła się w rękach, kiedy ją unosił.

Pod skórą leżała dziewczyna w jedwabnej białej sukni ślubnej, kaskada zeszywniałych na mrozie czarnych włosów opadała jej na ramiona. Wyglądała tak, jakby spała w małżeńskim łóżu. Ale dotknąwszy jej, stwierdził, że jest zimna jak marmur.

Wepchnął pistolet do kabury i niepomyślnie, że ktoś może mierzyć do niego z ukrycia, porwał dziewczynę na ręce i wybiegł z nią na zewnątrz.

- Ściągajcie kurtki i opatulcie ją nimi! - krzyknął do swoich ludzi. - Potem wsiadajcie z nią do maszyny, weźcie między siebie i rozgrzewajcie własnymi ciałami.

Policjanci zerwali z siebie ciepłe kurtki i owinęli nimi dziewczynę. Jeden wtaszczył ją na tył kabiny i zaczął rozcierać dłonie i stopy. Szeryf wepchnął do środka drugiego mężczyznę i krzyknął do Larry'ego:

- Leć z nią do kliniki w Red Lodge. Gazem. Uprzedź ich, że wiesz kobietę w hipotermii, wyziębioną prawie na śmierć. Podkreśl na cały zyczer ogrzewanie w kabinie. Może jest jeszcze cień szansy. Potem wracaj po mnie.

Odprowadził wzrokiem jetranglera odlatującego z rykiem nad skalnym płaskowyżem w kierunku lasu. Potem zbadął jaskinię i skalną półkę przed nią. Skończywszy, usiadł na kamieniu i zapatrzył się na niewiarygodny krajobraz roztaczający się na północy.

Lekarz i pielęgniarka z kliniki w Red Lodge przystąpili natychmiast do ratowania dziewczyny. Ściągnęli z niej zeszywniałą na mrozie ślubną suknię, zaczęli rozcierać dłonie, stopy, nogi i klatkę piersiową.

Ciało było z wierzchu lodowato zimne, wewnątrz temperatura ocierała się o granicę zagrożenia życia.

Po dwudziestu minutach lekarz wyczuł słabiotkie pukanie. Młode serce walczyło ze śmiercią. Dwa razy to pukanie ustawało; dwa razy uciskał rytmicznie klatkę piersiową, dopóki nie powróciło. Temperatura ciała zaczęła rosnać.

Raz ustała akcja oddechowa. Lekarz przywrócił ją metodą usta-usta, zmuszając płuca do podjęcia pracy. Na sali panował tropikalny upał, elektryczne koce, ogrzewające kończyny dolne, podkręcone były na cały regulator.

Po godzinie dziewczynie zadrżała powieka i z warg zaczęła ustępować siność.

Pielęgniarka zmierzyła jej temperaturę; podniosła się powyżej niebezpiecznego poziomu i rosła. Bicie serca ustabilizowało się i wzmocniło.

Pół godziny później Szepczący Wiatr otworzyła wielkie czarne oczy i wyszeptła:

- Ben?

Lekarz odmówił krótką modlitwę dziękczynną do starego Hipokratesa i wszystkich innych, którzy go poprzedzali.

- Mam na imię Luke, ale mniejsza z tym - powiedział. - Myślałem, że już po tobie, dziecko.

Siedząc na kamieniu, szeryf śledził wracającego jetrangera. W czystym, nieruchomym powietrzu dostrzegł go z odległości paru mil i dawno usłyszał gniewny warkot tnących atmosferę łopatek. Tak spokojnie było na tej górze. Larry wylądował i szeryf skinął na siedzącego obok niego policjanta.

- Weź dwa koce i chodź tutaj! - krzyknął, kiedy wirnik zwolnił obroty do jałowego biegu.

- Jego też zabieramy - powiedział, kiedy policjant stanął obok z kocami.

Młody mężczyzna zmarszczył nos.

- Uuu, szeryfie...

- Rób, co mówię. To był kiedyś człowiek. Zasługuje na chrześcijański pochówek.

Szkielet konia leżał na boku. Był obrany do czysta ze skóry, ciała, mięśni i ścięgien.

Zniknęły też włosy z ogona i grzywy; prawdopodobnie posłużyły ptakom za budulec na gniazda. Ale zęby, choć starte na niewyszukanej równinnej paszy, tkwiły w szczękach.

Uzda sparciała niemal na proszek, lecz w pysku błyszczało stalowe wędzidło.

Braźowe kopyta, zabezpieczone dawno temu podkowami przybitymi przez jakiegoś kawaleryjskiego kowala, też pozostały nietknięte.

Kilka kroków dalej leżał na wznak szkielet mężczyzny. Wyglądało na to, że śmierć zabrała go we śnie. Z ubrania nie zostało prawie nic, do żeber przywarły przegniłe strzępy koziej skóry. Policjant rozpostarł koc i zaczął układać na nim, kosteczka po kosteczce, te doczesne szczątki. Szeryf wszedł do jaskini po rzeczy pozostawione tam przez jeźdźca.

Z siodła i popręgu, wystawionych przez niezliczone pory roku na kaprysy pogody, została tylko kupka przegniłej skóry, ale wśród nich połyskiwały łuski garści mosiężnych ładunków. Szeryf Lewis zabrał je.

Podniósł też z ziemi porzewiały nóż Bowie w ozdobionej paciorkami pochwie, która rozpadła się, kiedy jej dotknął. To, co było kiedyś uszytą z owczej skóry kaburą na karabin, rozdziobały ptaki, jednak sam karabin leżał tam, nawet nieźle zachowany, choć pokryty nalotem tworzącej się przez lata rdzy.

Uwagę szeryfa przyciągnął kołczan z dwiema strzałami, zwężające się ku końcom łączyisko łuku z nacięciami na cięciwę oraz toporek. Wszystko to wyglądało na prawie nowe. Była tam też sprzączka do pasa i odcinek mocnej starej skóry, która oparła się żywiołom.

Szeryf owinał to wszystko w drugi koc, rozejrzał się jeszcze raz, czy czegoś nie przeoczył, i wdrapał się do helikoptera. Policjant z drugim tobołkiem siedział już z tyłu. Jetranger po raz ostatni wzbił się ze skalnej półki w niebo i pomknął w porannym słońcu nad dwoma płaskowyzami ku zielonej masie Lasu Narodowego.

Szeryf spojrzął z góry na zawalony śniegiem wąwóz Lake Fork. Trzeba będzie tu przysłać ekspedycję i odkopać zasypanych. Wiedział, że nikt z nich nie przeżył. Wodząc wzrokiem po przesuwających się w dole skałach i drzewach, myślał o młodym mężczyźnie, którego ścigał przez tę bezlitosną krainę.

Z wysokości pięciuset stóp widział po prawej wąwóz Rock Creek i samochody sunące międzystanową. Zwaloną sosnę i wrak wozu terenowego już z niej usunięto. Kiedy przelatowali nad Red Lodge, Larry połączył się przez radio z policjantem, który tam został. Dowiedzieli się od niego, że dziewczyna leży na oddziale intensywnej terapii, ale żyje.

Cztery mile na północ od Bridger, przy między stanowej, zobaczyli setki akrów spalonej, szerniałej prerii, a dwadzieścia mil dalej wymuskane trawniki i wspaniałe longhorny na ranczu Bar-T.

Helikopter przeleciał nad Yellowstone, potem nad szosą prowadzącą do Bozeman, i zaczął wytracać wysokość. Lądowali na lotnisku w Billings.

- Człowiek zrodzony z łona kobiety żyje krótko.

Był koniec lutego i po małym cmentarzyku w Red Lodge hulał kąśliwy wiatr. Nad świeżo wykopaną mogiłą w samym rogu przerzucono dwie deski, na nich stała prosta, zbita z sosnowych desek trumna.

Kapłan kulił się z zimna, dwaj grabarze zacierali obleczone w rękawiczki dłonie. Nad grobem stała jedna tylko osoba w śniegowcach, ocieplanym płaszczu, ale z gołą głową. Kruczoczarne włosy spływały jej na ramiona.

W drugim końcu cmentarza, pod cisem, stał samotny mężczyzna. Patrzył, ale nie podchodził. Na piersi kurtki z owczej skóry widniała odznaka urzędu, który sprawował. Dziwna to była zima, myślał mężczyzna pod drzewem. Owdowiała pani Braddock sprawiała wrażenie bardziej zadowolonej niż pogrążonej w żałobie. Wyszła z izolacji i zasiadła w fotelu prezesa Braddock Beef Inc. Zaczęła chodzić do fryzjera, malować się, nosić modne stroje i udzielać się towarzysko. Odwiedzała w szpitalu dziewczynę, której o mało co nie poślubił jej syn, polubiła ją i zaproponowała zamieszkanie w domku na terenie rancza oraz posadę swojej osobistej sekretarki. Obie oferty zostały przyjęte. W ramach darowizny pani Braddock zwróciła panu Pickettowi kontrolny pakiet akcji jego banku.

- Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz - zaintonował ksiądz.

Dwa niesione wiatrem płatki śniegu osiadły na czarnych włosach niczym kwiaty dzikiej róży.

Grabarze chwycili za sznury, odkopnęli na bok deski i opuścili trumnę do grobu. Potem cofnęli się i czekali, zapatrzeni w trzonki łopat wbitych w hałdę świeżej ziemi. W zakładzie medycyny sądowej w Bozeman przeprowadzono dogłębne badania

znaleziska. Ustalono, że szkielet należy do mężczyzny, który miał sześć stóp wzrostu i był niewątpliwie obdarzony ogromną siłą fizyczną.

Na kościach nie stwierdzono żadnych pęknięć ani śladów po ranach, które mogłyby doprowadzić do śmierci, przyjęto więc, że nastąpiła ona z powodu wychłodzenia organizmu. Dentystę zaintrygowały zęby; równe, białe, bez najdrobniejszego ubytku. Sądząc po nich, mężczyzna w chwili śmierci liczył sobie dwadzieścia kilka lat.

Pozostałymi szczątkami zajęli się naukowcy. Badania metodą C-14 wykazały, że materia organiczna, koźła skóra i futro z całą pewnością pochodzą z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku.

Zagadką pozostawały kołczan, strzały, łuk i toporek. Z badań przeprowadzonych tą samą metodą wynikało, że wykonane zostały całkiem niedawno. Przyjęto, że jakaś grupa pielęgnujących tradycje przodków Indian, która odwiedziła ostatnio jaskinię, pozostawiła te przedmioty w darze zmarłemu dawno mężczyźnie.

Nóż Bowie oczyszczono i odrestaurowano, określono jego wiek na podstawie badań kościanej rękojeści, i подарowano profesorowi Inglesowi, ten zaś zawiesił go na ścianie swojego gabinetu. Szeryf Lewis wziął na pamiątkę zabytkowy karabin. On też został profesjonalnie odrestaurowany i zawisł na ścianie za biurkiem szeryfa. Zabierze go, odchodząc na emeryturę.

- Wierząc niezachwianie w Zmartwychwstanie i Życie Wieczne. Amen.

Zmarznęci grabarze ożywili się. Chwycili rażno za łopaty i zaczęli zasypywać grób.

Kapłan zamienił kilka słów z samotną żałobniczką, poklepał ją po ramieniu i odszedł pospiesznie, szukać schronienia w przytulnej zakrystii. Kobieta została.

Po przesłuchaniu leżącej w szpitalu dziewczyny poszukiwania jej porywacza przerwano.

Prasa spekulowała, że być może mężczyzna zostawił ją na pewną śmierć w jaskini, a sam zjechał pod osłoną nocy na drugą stronę gór i zaszył się w dziczy Wyoming.

Grabarze zasypali już grób, otoczyli go szybko ramką z górskich kamieni i wypełnili ją czterema workami żwiru.

Potem uchylili przed dziewczyną futrzanych czapek, zabrali łopaty i odeszli. Dopiero wtedy mężczyzna spod cisu zbliżył się do grobu i stanął obok niej. Nie drgnęła. Widziała, że tu jest i kim jest. Mężczyzna zdjął kapelusz.

- No i nie znaleźliśmy pani przyjaciela, panno Pickett - odezwał się.

- Nie.

Trzymała w ręku kwiat, czerwoną różę na długiej łodyżce.

- I chyba nie znajdziemy.

- Nie.

Wyjął jej różę z ręki, pochylił się i położył ją na grobie. W wezłowie tkwił drewniany krzyż ufundowany przez dobrych ludzi z Red Lodge. Miejscowy rzemieślnik przed jego polakierowaniem wypalił w drewnie kilka słów. Brzmiały one:

TU SPOCZYWA  
CZŁOWIEK POGRANICZA  
ZMARŁY W GÓRACH  
OKOŁO ROKU 1877



JEDEN BÓG WIE, KIM BYŁ I JAK SIĘ NAZYWAŁ  
NIECH SPOCZYWA W POKOJU

Mężczyzna wyprostował się.

- Mogę coś dla pani zrobić? Podwieźć panią do domu?

- Nie. Dziękuję. Jestem samochodem.

Mężczyzna nałożył kapelusz i zasalutował do ronda.

- Powodzenia, panno Pickett.

I odszedł. Pod cmentarzem stał jego wóz w barwach biura szeryfa okręgu. Paul Lewis spojrzał na południowy zachód, ku połyskującym w słońcu szczytom Beartooth Range.

Dziewczyna stała jeszcze chwilę nad mogiłą. Potem odwróciła się i ruszyła wolnym krokiem w stronę bramy cmentarza.

Powiew wiatru od gór odchylił połę jej długiego płaszcza, odsłaniając czteromiesięczne uwypuklenie brzucha.